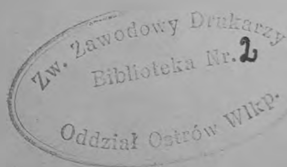
KAROL GRYCZ-ŚMIŁOWSKI

Z ZIEMI ŚWIĘTEJ
NOWOCZESNE „WIERZĘ”

Wierzę w Boga Ojca, Ducha wszechświata;
Przez Chrystusa Człowieka wierzę w człowieka;
Wierzę w zjednoczenie człowieka i ludzkości z Bogiem.



KRAKÓW 1934.
NAKŁADEM SAMODZIELNOŚCI.



ODBITO CZCIONKAMI ZAKŁ. GRAF. „LITODRUK" W KRAKOWIE, UL. STRADOMSKA L. 12.

Świętej pamięci wierzącego Ojca,

miłości Matki

i nadziei lepszej przyszłości

poświęcam.

ERRATA.

Mniejszych błędów, zwłaszcza w **interpunkcji,** nie wymieniam.

Gdzieniegdzie **brak przerw pomiędzy ustępami;** winę tego ponosi mój rękopis, gdzie dla skrócenia pracy sporo musiałem przekreślić, skutkiem czego tu i ówdzie składający się nie zorjentował.

Najprzykrzejszą jest jednak sprawa **skrótów przy imieniu Chrystus.** W rękopisie używałem tu b. często skrótu. Wskutek niefortunnego zbiegu okoliczności skróty te dostały się do druku, p. str. 3, Ch-a (= Chrystus) i spowodowały te fatalne zjawiska, zwłaszcza w przypadkach. Proszę łaskawego czytelnika, by nie gorszył się, natykając się na te zjawiska, tak jak mnie samemu są one nadzwyczaj niemiłe.

„Djablik drukarski" zemścił się tu może za to, że odważyłem się ojca wszystkich djablików, JMość szatana zesadzić z tronu jego, p. str. 170, 227, 237. Po cichu jednak mówię sobie (ale tak żeby czytelnicy nie słyszeli, bo się wstydzę przyznać), że winę tu ponosi głównie moja nieuwaga i niedoświadczenie drukarskie. Zbłądziłem i nadstawiam plecy łaskawej i niełaskawej krytyce. Nie chcę szukać kozłów ofiarnych, sprzeciwia się to zresztą głównemu założeniu tej pracy. Później djablika wykurzyłem już kadzidłem uwagi i doświadczenia. Każdego prawie djabła można tem wypędzić!

Może **wywody teologiczne wypadły za długie,** ale na twierdzenia teologiczne nie ma innej drogi jak teologiczna rozprawa; najważniejsze argumenty **przeciw pojęciu ofiary za grzech** powtórzyłem dla podkreślenia nawet parę razy, bo jest to węgielny kamień chrześcijańskiej teologji.

Dla śpiesznych zastosowałem za to **dużo tłustego druku,** by łatwiej treść przebiegnąć i uchwycić mogli.

Ryciny niektóre nieszczególne, ale była to moja pierwsza fotogr. praca a sądziłem, że lepiej będzie przy opisie podróży dać nienajlepszą rycinę niż żadną.

Może błędem są **mocne nieraz słowa;** ale nie handluję rozwodnionym winem; kto nie znosi, niech sobie doleje wody zrozumienia indywidualności.

WSTĘP.

Zaczęło się to w szóstej klasie gimnazjalnej, mój religijny światopogląd starannie budowany wychowaniem w domu, szkole i kościele, doznał poważnego wstrząśnięcia u samych podstaw: zoologja i somatologja, nauka o budowie ciała zwierząt i człowieka, wykładana w duchu nowoczesnym wykazywała jasno powolny rozwój życia organicznego, począwszy od najprostszych form, pojedyńczych komórek życiowych aż do form najwyższych, do których należy i człowiek, którego ciało tyle ma pokrewieństwa z ciałem wyższych zwierząt, że wprost narzuca się tu myśl, że wyszedł on ze świata zwierzęcego. Ta nauka o rozwoju czyli **teorja ewolucyjna,** poparta doświadczeniami **Darwina,** w konsekwencji obala biblijną naukę, że człowiek bezpośrednio wyszedł wprost z ręki Bożej, ba nauka ta staje się podstawą materjalistycznego poglądu, że wogóle wszelkie życie organiczne rozwinęło się powoli samo od siebie z nieorganicznej materji, która jest wieczną; mamy tu więc już zaprzeczenie Boga, który przecież jest podstawą wszelkiej religji. Bardzo dużo wewnętrznego niepokoju sprawiały mi te myśli.

Nauka religji nie dawała mi tu uspokojenia; poruszała ona te tematy, ale argumenty jej nie trafiały mi do przekonania. Na dowód, że życie organiczne może pochodzić tylko od Boga, omne vivum ex vivo = życie tylko z życia, ksiądz przytaczał takie doświadczenie: w retorcie, zupełnie zamkniętym naczyniu szklannym zabito przez gorąco wszelkie życie i czekano długo, czy powstanie tam samo od siebie życie organiczne i — nie powstało; to jest dowodem, że ono wogóle nie może powstać samo z ziemi, ale musi tu być Bóg, dawca życia.

Myślałem sobie: przecież świat to nie retorta: panują w nim tak potężne materjalne siły, jakich nigdy w retorcie nie pomieścimy; one to mogły przez współdziałanie wywołać życie, mając do tego i miljony lat czasu.

Drugim dowodem przeciwko teorji ewolucyjnej było pytanie: a dlaczegóż wszystkie małpy i inne zwierzęta nie rozwi-

nęły się do godności człowieka, jeśli człowiek powstać miał powoli przez rozwój z małpy i zwierząt? Ale powiadałem sobie na to, widocznie przyroda w gospodarce swojej potrzebuje i takich typów jak różne zwierzęta i małpy i dlatego pozostały one na tym stopniu rozwoju, podczas gdy pewna tylko część i to w sprzyjających warunkach mogła się rozwinąć w człowieka; zresztą są i między ludźmi różnice w rozwoju.

Z kolegami prowadziliśmy namiętne dysputy na ten temat; między innemi gwałtownie sprzeczaliśmy się o wolność woli.

Mimo wątpliwości nie zaprzestałem regularnego czytania biblji, ale ta na takie pytania nie dawała odpowiedzi, bo one wtenczas były nieaktualne.

Było mi bardzo ciężko, bo z natury mam usposobienie religijne. Raz wieczorem ukląkłem wobec gwiaździstego nieba i krzyknąłem w zwątpieniu: Boże! jeśliś jest, to muszę się o tem upewnić!

Nie rozumiałem wtenczas, że teorja ewolucyjna wcale nie musi wyłączać pojęcia Boga, owszem przeciwnie! Dziś rozumię, że Bóg jest w każdej najdrobniejszej cząstce wszechświata, jak mówi i ap. Paweł: „W Nim żyjemy, ruchamy się i jesteśmy" Dzieje Ap. 17, 28. **Każdy atom jest centrum wszechświata, a życiem atomu jest Bóg,** wszystko przenikający i z każdego atomu jako z centrum kierujący wszechświatem i tem właśnie wielki, że trzyma się tych odwiecznych praw i nie łamie ich przez jakieś nienaturalności, jak dawniej myślano; dziś każdy „cud" staramy się naturalnie wytłumaczyć i mówimy, że wszystko jest jednym wielkim Bożym cudem a niema specjalnych cudów, nie mówiąc już o cudactwach.

Wszystko jest żywe; nawet w martwym pozornie kamieniu wre życie i działają przepotężne siły a Bóg, inteligencja wszechświata tak te siły kombinuje, że mogło powoli ewolucyjnie, napozór tylko samo od siebie a jednak w gruncie rzeczy kierowane wyższą świadomością, powstać organiczne życie. Gen. 2, 4 mówi: „**I wywiódł** Pan Bóg **z ziemi** wszelkie drzewo", Gen. 1, 24 „rzekł Bóg: niech **wyda ziemia** duszę żywiącą według rodzaju swego..."

Dziś jest mi to rzeczą jasną, ale wtenczas zakryte to było przed mym zrozumieniem i jak po omacku szukałem wyjścia i nie znachodziłem, choć nadziei nie traciłem; obcowanie

z umiłowaną przyrodą i objawiająca się w niej mądrość i piękno kazała mi się jednak domyślać poza nią czegoś wielkiego Nieznanego.

Po zdaniu matury ciągnęła mię **teologja**, spodziewałem się tu zresztą rozwiązania zagadki; z drugiej strony w tym stanie bałem się tego powołania, ale zaryzykowałem. Ewangelicka teologja jest nauką, wiedzą w całym tego słowa znaczeniu; nie cofa się ona przed żadną krytyką, naukowo bada biblję, krytycznie rozsądza dogmaty i historję kościoła. Starałem się poznać wszystkie jej kierunki, począwszy od t. zw. pozytywnego (konserwatywnego), poprzez różne odcienie aż do liberalnego, wolnomyślnego; zmieniałem uniwersytety jeden po drugim: Wiedeń, Halle, Berlin, Lipsk były etapami tej drogi; słuchałem przy tem i wykładów z filozofji i psychologji.

Przekonanie o istnieniu Boga stawało się coraz silniejsze, ale zato ośrodkiem wątpliwości stała się teraz **postać Chrystusa i biblji**. Porównywanie tekstów Pisma i pojedyńczych jego ksiąg ze sobą i wychodzące stąd różnice, ba sprzeczności obaliły mi bezpowrotnie nieomylność tego źródła nauki chrześcijańskiej. Raziła mię niepomiernie postać Ch-a (= Chrystus) jako ją przedstawiają ewangelje, w świetle cudów i nienaturalności.

Nie umiałem jeszcze wtenczas jak dziś szukać poza tym sztucznym Ch-em onego prawdziwego, jakim on był w rzeczywistości, Chrystusa-Człowieka; nie rozumiałem, że taki właśnie jest największą postacią, jaką ludzkość wydała, najidealniejszym człowiekiem, jakiego sobie w danych warunkach wyobrazić możemy i jedyną w swoim rodzaju postacią, w jakiej objawił się Bóg.

Wtenczas tego nie rozumiałem i wątpiłem. Nosiłem się wobec tego z zamiarem porzucenia teologji.

Wtedy zetknąłem się z głębokim **praktycznym życiem chrześcijańskim**: w Miechowicach na G. Śląsku stworzyła „matka Ewa“ wielkie zakłady miłosierdzia; była to pani wysokiego arystokratycznego rodu, postać tak świetlana, jakich się rzadko spotyka w życiu; głęboka wiara, objawiającą się nie we wierzeniach, ale w czynnej miłości, w osobistej ciężkiej pracy i poświęceniu, wierze w Boga i człowieka potężnie działała na każdego, kto się z nią zetknął. Odczułem, że to jest chrześcijaństwo, wyczułem, acz jeszcze nie w tej świadomości co dziś, że **Chrystus to nie dogmat, to nie system nauk,**

ale Życie i to tak potężne, że wszędzie, gdzie się Go pozna, stwarza życie idące swoistą drogą a nie oglądające się na nic i nikogo, bo życie ma swoje odwieczne prawa; ma je i życie religijne.

To mnie skłoniło do pozostania w obranym powołaniu. Przyczyniła się tu i miłość do ludu polskiego ewangelickiego na Śląsku, z któregom wyszedł, a który wtenczas ciężki bój toczył o swą duszę a pomóc mu można było przez kościół, do którego serdecznie jest przywiązany.

Praktyczne życie duszpasterskie przyniosło mi ciężkie walki: zarząd kościoła spoczywał w rękach ludzi niechętnych ruchowi polskiemu ewangelickiemu a ja do niego przywarłem całą duszą a giętkiego karku nie mam.

Długo wogóle pracy znaleść nie mogłem a znalazłszy posadę, ciągle osobiście odczuwałem skutki zażarcie toczącej się walki narodowej i politycznej w kościele; choć miałem duże sympatje u ludu w zborze, przy wyborach na stałą posadę przepadłem wskutek nieprzebierającej w środkach agitacji; zostałem znowu bez pracy na dłuższy czas i szukać jej musiałem zdaleka od ojczystego kraju i umiłowanego ludu. Tu zaczęły się nowe poważne **wątpliwości, teraz co do kościoła,** jak przedtem co do Boga i Ch-a.

Coraz więcej narzucało się mi zdanie, że kościół, a conajmniej zarząd jego, to polityka, to środek do uzyskania władzy nad ludem.

W przeciwstawieniu do takiego kościoła znowu w Gorycji przy Trjeście, gdzie zostałem wybrany proboszczem, zetknąłem się z podobnie jak matka Ewa świetlaną postacią hrabiny La Tour, która tam założyła wielkie domy miłosierdzia i sama w nich pracowała; i znowu umocnił sie we mnie szacunek dla takiego chrześcijaństwa naprawdę Ch-owego. Z drugiej strony stał kościół z wiecznymi sporami a bezwładem swoim w dziedzinie religijnego życia.

Wielka wojna, w której od r. 1915 jako kapelan wojskowy brałem udział, jaskrawo oświetlała mi niemoc kościołów i brak wpływu na etyczne życie świata.

Przeszedłem jako wojskowy kapelan do polskiej armji i już w niej pozostałem jako zawodowy ze stanowiskiem podpułkownika, przez 12 lat obsługując wielki okręg.

I na nowym stanowisku natknąłem się na podobne, co przedtem stosunki: w łonie kościoła zacięte walki narodowe,

które prawie wszystko i nas wszystkich porywały w swój wir, zasłaniając właściwy cel.

Ostatecznie wybuchł ostry konflikt pomiędzy mną i zwierzchnią władzą kościelną, na pozór na tle osobistym a jednak zasadniczym, bo w gruncie rzeczy rozeszło się o to, czy duchowni przez hierarchiczną zwierzchnią władzę mają być traktowani jak pionki czy też według chrześcijańskich demokratycznych zasad.

W konflikcie tym natknąłem się na smutne objawy życia kościelnego, tak że wypełzły z zakamarków mej duszy wszystkie wątpliwości, przenicowałem w sobie wszystko, co tam naniosło życie, przemyślałem cały ten system, w który zostałem wprzągnięty i zaszedłem dalej, niżbym był kiedykolwiek myślał: **runął mi** zupełnie i to chyba bezpowrotnie, **autorytet kościoła.** Doszedłem do bolesnego przekonania, że kościół chrz. taki, jakim jest, nie spełni dziś swego zadania, jak tego potrzebuje ludzkość.

Z kościołów uciekło po wiekiej części życie Ch-owe a zostały symbole jego, symbolów tak dużo, że przesymbolizowano tam religję, życie.

Z żalem i bólem to mówię; dałbym sobie krwi z żył utoczyć, by móc inaczej powiedzieć, by widzieć, że tak potężne instytucje pracują w myśl tak szczytnych haseł, jako je głosił i ucieleśnił w sobie Chrystus!

Nie chcąc być hipokrytą złożyłem swój urząd duchowny, co w ewang. kościele jest możliwe, bo instalacja tj. pobłogosławienie starszych przy wprowadzeniu w urząd nie ma sakramentalnego, niezniszczalnego charakteru.

Znalazłem się bez domu, bo mimo wszystko kościół był mi przez długi czas domem. Wyszedłem na **tułaczkę,** tym razem boleśniejszą niż ta, którą opisałem w swym pamiętniku z czasów wojny.

Rozglądam się dookoła siebie i widzę, że nie jestem sam, pełno takich tułaczy na wszystkich drogach; całe rzesze, miljony, prawieże narody całe uciekają z kościołów; niejednych gniew za zawód ogarnia i na rozstanie burzą i niszczą, co im przedtem było święte — Rosja, Hiszpanja, Meksyk! Jakiś przełom religijny wisi w powietrzu! Po przewrocie na polu technicznym, naukowym, gospodarczym, politycznym idziemy do najgłębszego do **przewrotu religijnego,** co mówię, on się już

zaczął i coraz nowe ogarnia kraje; ostatnio i Niemcy w jego wir wkroczyły. Na razie przewrót ten jest tylko burzeniem i szukaniem nowych dróg do nowego domu. Jeśli tym torem dalej te rzeczy pójdą, nie powstanie prędko nic pozytywnego i pójdą na darmo olbrzymie energje duszy ludzkiej, zawarte w religijnym pragnieniu i wypaczy się nasza kultura, stając się jednostronnie materjalistyczną.

Jeśli się prędko nie zdobędziemy na najdalszy program **(bolszewizm) religijny** i nie zaczniemy go wcielać w życie, to bolszewizm antyreligijny wyprze religję z wpływu na życie społeczne; bolszewizm rosyjski taki jest, bo zna tylko kościelną religję a nie zna widocznie głębokich podstaw religj Ch-owej

Mając za sobą teologiczne wykształcenie i 25. letnią pracę duszpasterską na różnych placówkach, przeszedłszy sam na gruncie religijnym walkę wewnętrzną, zakończoną odpadnięciem od wielu zasadniczych podstaw chrz. kościoła, postanowiłem publicznie poruszyć te kwestje.

Poruszyć, podkreślam, bo sam jeden nie jestem wprost w stanie rozwiązać je; za mało mam wiadomości z przeróżnych działów dzisiejszej wiedzy, aby wiedzę pogodzić z religją. Któż zresztą ogarnąć potrafi sam jeden ogrom dzisiejszej wiedzy i wogóle kiedyż wiedza ogarnąć potrafi tajemnice naszego bytu? Nad rozwiązaniem pytań religijnych będzie musiał pracować cały szereg uczonych, przez cały szereg wieków, ale trzeba koniecznie do tej pracy się zabrać, bo są to podstawowe kamienie gmachu naszej kultury, o którym wielu krzyczy, że się wali — w każdym zaś razie chwieje się bardzo poważnie!

Najważniejsze jednak narazie, **w jaką stronę skierować** kroki swoje i tych miljonów **tułaczy,** by trafić do jakiegoś domu. Gdzież jaki przewodnik, któryby drogę wskazał? Czy myśl religijną można wogóle pomieścić w jakim systemie, domu?

I oto staje przedemną Ten, który również był tułaczem, który wyszedł ze swojej religijnej społeczności, by dla siebie i ludzkości nowy dom znaleść... „Ptaki mają gniazda, ale Syn Człowieczy nie ma gdzieby głowę skłonił", Mat. 8,20; taki on był, Chrystus!

On nam zbudował **najnowszy, najbardziej zawsze nowoczesny dom,** w którym się każdy, co jest człowiekiem, pomieścić może: życiową a nie dogmatyczną społeczność swoją.

Odzywa się wtedy we mnie głęboka **potrzeba podróży do Ziemi św.** Miejsca historycznych wydarzeń wywierają nieprzeparty urok, tak jakby w nich samych odbijały się te wydarzenia. Tak i mnie bezdomnego całą siłą pociągnął kraj, gdzie wielki Bezdomny nowy dom dla ludzkości budował. Tak się mi zdawało, że tam w Ziemi św. łatwiej mi będzie znaleść ten dom i dla siebie, łatwiej wniknąć w ducha Ch-owego tam, gdzie on żył, i nowe drogi ludzkości torował.

Komu w drogę, temu czas! Któż pojedzie ze mną?

Z góry zaznaczam, że jako towarzyszy nie zapraszam: takich, **którzy mają dom** i w nim dobrze się czują; przedewszystkiem mam tu na myśli ludzi, którzy mają zdolność dziecięcego wierzenia a męskiego działania: b. wysoko takich cenię i nie chciałbym zakłócać ich spokoju ducha a przedewsz. pracy chrześcijańskiej.

Wszakże i tacy z wątpliwościami innych na każdym kroku się dziś chyba stykają i dobrze jest umieć tu wskazać drogę a do tego ap. Paweł mówi: Wszystkiego doświadczajcie a co jest dobrego tego się trzymajcie 1. Tes. 5, 21.

Są i tacy, którzy dobrze się w kościołach czują, bo **nie mają usposobienia krytycznego**. I takich nie zapraszam, niech zostaną w domu, gdzie się dobrze czują; gdyby z domu wyszli, toby im go ktoś mógł skraść, bo dzisiaj to i domy kradną, w każdym razie są „djabli", którzy dusze wykradają z kościołów; takim djabłem to ja absolutnie być nie chcę, a już bynajmniej nie chcę wykradać ludzi takiego pokroju. Nie przeciw Ch-owemu kościołowi, ale dla bezkościelnych ta praca!

Któż więc pojedzie ze mną? Kogóż zaproszę?

Przedewsz. was wszystkich, wy **tułacze, bez domu,** którzy domu szukacie, bo go potrzebujecie; was, wieczni krytycy, którzy wszystko na ręby przewracacie, a mikroskopy do wszystkiego przystawiacie; ciebie zapraszam, młodzi niespokojna, budująca sobie życie w tych dziwnych dzisiejszych warunkach; wiem co to znaczy młodemu szukać w zwątpieniu dróg życia!

Całą tę **kupę niespokojnych duchów** zapraszam w swą drogę!

„Poważne" społeczności, wielkie systemy z was rezygnują, ba boją się was; tam wy jesteście niepożądani, wobec tych nastawień bezrobotni — mnie się wy jednak b. wartościowi widzicie! I nas takich potrzeba, skoro takimi nas stworzył Bóg!

Pójdźmy razem w drogę a może otworzy się nam cel w życiu i owładnie nas radość tworzenia, której należy przyszłość.

Szeroki nam dom, otwarty nam świat!

Program jest taki: przy zwiedzaniu pojed. miejsc jak Morija, Golgota są rozważania nad rel. problemami, związanymi z danym miejscem i w ten sposób przechodzimy życie i naukę Ch-a Drugą część stanowi próba nowoczesnego ujęcia zasadniczych rel. problemów.

Uwaga: ponieważ b. często cytuję biblję, przeto dobrzeby było mieć ją pod ręką. Bryt. Towarzystwo Biblijne, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 15 sprzedaje N. Testament z psalmami za cenę 75 gr Nr. 651 a całą biblję za 3 zł, Nr. 641.

Muszę również przeprosić za częste skróty a to celem oszczędności, by cenę książki uczynić jak najprzystępniejszą.

Przy przymiotnikach w 6. i 7. przypadku używam zawsze y, w liczbie mn. i, na wszystkie rodzaje, bo tak niesie z sobą życie, upraszczając warunki. Przed spójnikami nie używam przecinków, bo w nich samych leży już pojęcie przecinka, chyba że się rozchodzi o zdanie wtrącone.

Karol Grycz-Śmiłowski.

Kraków, wiosna 1934.

DROGA DO ZIEMI ŚWIĘTEJ.

W Tryeście siadamy na okręt, który drogą na kanał koryncki wyjeżdża do Jaffy. Podróżni przeważnie **Żydzi, emigranci palestyńscy,** po wielkiej części pochodzący z Polski. Sporo jest i takich, którzy jadą, by zwiedzić ziemię przodków lub odwiedzić krewnych, już tam osiadłych. Obok mnie ma łóżko 80-letni staruszek, który na stare lata chce jeszcze oglądać ziemię obiecaną Izraela i złożyć w niej swe kości. Drugim sąsiadem jest maturant z Pińska, który wybiera się na uniwersytet jerozolimski. Sporo jest młodzieży ideowej, która jako pionierzy koloniści t. zw. chaluce zdążają do Palestyny. Wśród niej rej wodzi przystojny młody Żyd z Rosji, który już był osiadły w Palestynie, pracował tam kilka lat, zapadł jednak na malarję i dla poratowania zdrowia wyjechał do rodzinnych stron a teraz wraca znowu do dalszej pracy; żonaty jest z Wilnianką. Cała młodzież wciąż się skupia dookoła niego; śpiewają bardzo dużo oryginalnych żydowskich pieśni, tańczą, chwytając się za ręce w duże koło i często powtarzają refren: jachalili, jamalili (śpiewajmy, zatańczmy!). Przypomniał się mi młody Dawid, tańczący „przed Panem". Poprosiłem go o informacje: z zapałem opowiadał mi o gorączkowej żydowskiej pracy kolonizatorskiej w Palestynie. W przeciągu kilkunastu lat po wojnie osiedliło się tam przeszło 100.000 Żydów, z tego 44.000 z samej Polski, która po bogatej Ameryce najwięcej daje pieniędzy na ten narodowy, sjonistyczny cel. Towarzystwo Keren Kajemeth kupuje ziemię a Keren Hajesod buduje osady. Koloniści po kilku latach pracy i prób otrzymują ziemię na własność. Są i całe osady z Rosji, organizujące się na zasadach komunistycznych, przedewszyst. w dolinie Jezreel. Odgrzebano z pyłu stary język hebrajski, zastosowano go po części do potrzeb dzisiejszych i obok żargonu żydowskiego język ten w Palestynie coraz więcej wchodzi w życie.

Zapytałem się go przedewszystkiem **o kwestję religijną.** Widziałem, że nie ma dla niej wielkiego zrozumienia.

Kierowały nim samym jak znaczną częścią wychodźtwa, tak mi mówił, momenty narodowe. Zwróciłem mu uwagę, że historyczna wielkość narodu żydowskiego polega głównie na tem, co zdziałał on na polu religji przez Mojżesza, przez swoich wielkich proroków a zwłaszcza przez największego z ludzi, Chrystusa, Żyda.

Wykazywałem mu, że **Ziemia święta to klasyczny kraj myśli religijnej** i otwierałem przed nim horyzonty nowej pracy na tym polu i może nowej misji narody żydowskiego, wracającego do ziemi ojców, Wyraziłem obawę, że Żydzi przez rozpalenie na nowo tylko nacjonalizmu żydowskiego do 10C0 bied na tym polu dodadzą jeszcze jedną, jak to widzimy zresztą już z rozruchów arabskich przeciw Żydom w Palestynie a w historji wybujały nacjonalizm żydowski stał się dwukrotnie główną przyczyną katastrofy narody żydowskiego.

Również wskrzeszanie umarłego już od 2000 lat **języka hebrajskiego** dodaje do 1000 bied na tym polu jeszcze jedną, i pomnaża językowe kłopoty świata. Osobiście jest mi rzeczą niezrozumiałą, dlaczego praktyczni Żydzi nie wprowadzają w Palestynie łatwego esperanta, który wynalazł polski Żyd, Dr. Zamenhof a wprowadzają bardzo trudny język hebrajski, który wystarczyłby może do liturgji.

I ja uważam **sjonizm** z jego ideą umiłowania ziemi ojców i powrotu do niej za główny środek ratunku narodu żydowskiego przed zupełnym zmaterjalizowaniem i wypaczeniem kultury i charakteru narodu, ale dla osiągnięcia tego celu **koniecznie nieodzownem jest umiłowanie** przedewszystkiem tego, co ta ziemia wydała najszlachetniejszego — **myśli religijnej**, która była ostoją narodu i może być jego przyszłością

Trochę przecierał na to „młody Dawid" oczy, ale widziałem, że nie trafiłem głęboko. Poprosiłem o napisanie mi hebrajskiego hymnu narodowego, który nieraz śpiewali z przejęciem. Po hebrajsku uczyłem się i trochę rozumiałem, resztę on mi przetłumaczył; w żydowskim języku pierwsze słowa brzmią:

כל עוד בלבב פנימה נפש יהודי הומיה

(Kol od balewaw penima nefesz Jehudi homija). Po polsku: Jak długo w sercu głęboko dusza żydowska żyje, w stronę wschodu oko spogląda do ojczyzny. Jeszcze nadzieja nasza

nie zginęła, nadzieja przodków naszych! Wrócić do kraju, do Ojczyzny, do miasta, gdzie Dawid żył!

Jadąc w otoczeniu tych ludzi, miałem wrażenie, że powtarza się historja powrotu Żydów z niewoli babilońskiej i że jadę z jedną z takich grup wracających. Podróż okrętem trwała 5 dni przy prześlicznej pogodzie i cudnych widokach brzegów i wysp greckich.

Na piąty dzień już o świcie niebywały ruch wśród Żydów. I ja wstaję i wychodzę na pokład: słońce właśnie wschodzi nad **Ziemią św.** i zpoza murów Joppy (Jaffa), do której portu wjeżdżamy, przesyła nam pozdrowienie od świętego brzegu, ex oriente lux = światłość ze wschodu. Wzruszony, w skupieniu, ducha modlę się, uchylając jeden po drugim płatki tego najkraśniejszego kwiatu, jaki Ziemia ta wydała: Ojcze nasz...

Ale i Ziemia św. jest ziemią z jej kłopotami i niedomaganiami. Przekonałem się wnet o tem. Port Jaffy najeżony jest rafami, tak że okręt nie może przybić do brzegu; trzeba więc wsiadać na łódki; obdziera się przytem podróżnych bez litości: parominutowa jazda kosztuje urzędowo 12 zł., przyczem łodzią jedzie do 20 osób. Formalności paszportowe, celne (nawet herbatę z paczki mi przesypano, czy tam niemam jakich skarbów!), sanitarne (trzeba się dać szczepić przeciw ospie), są tak fatalne, że wśród tłoku, brutalnych szturkań i wyzysku traci się na to wszystko pół dnia drogiego czasu. Zmordowany stanąłem wreszcie w hotelu w Tel-Awiw; jest to nowe, żydowskie miasto, liczące 40 tys. mieszkańców; wyrosło ono jak grzyb po deszczu jak nasza Gdynia po wojnie, tuż obok starej Jaffy.

Żydzi obchodzili właśnie swe radosne święto Purim i postanowiłem zatrzymać się przez jeden dzień, by zwiedzić oba miasta.

Na rycinie na prawo dachy ostatnich domów **Jaffy,** biblijne Joppe; na takim płaskim dachu miał ap. Piotr owo widzenie, opisane w Dziejach Ap. r. 10. Na lewo na rycinie **Tel-Awiw** nad brzegiem morza.

Miasto **Jaffa,** jest typowym miasteczkiem arabskim, jako ich mnóstwo widziałem przed rokiem w Tunisie i Algierze. Centrum miasta zbudowane na wzgórzu, stanowi prawieże jeden dom; ulice kręte i strome, pełne schodów idą przeważnie pod domami, są ciemne i brudne, sklepiki nędzne i ciasne.

W przeciwieństwie do tego **Tel-Awiw** jest miastem zupełnie nowoczesnym, o szerokich, zadrzewionych ulicach, licznych placach i wielu gmachach publicznych, zbudowanych w przesadnie nowym stylu. Całe miasto robi jednak bardzo wrażenie sezonowego. Kryzys gospodarczy i tu dał się odczuć silnie. Na święto obchodzone po karnawałowemu wszystko wyległo na ulice. Mimo przechodzących deszczów wszędzie na placach tłumy. Młodzież żydowska, chłopcy i dziewczęta ubrane zupełnie po sportowemu, krótkie spodenki i krótkie spodniczki,



Jaffa i Tel-Awiw.

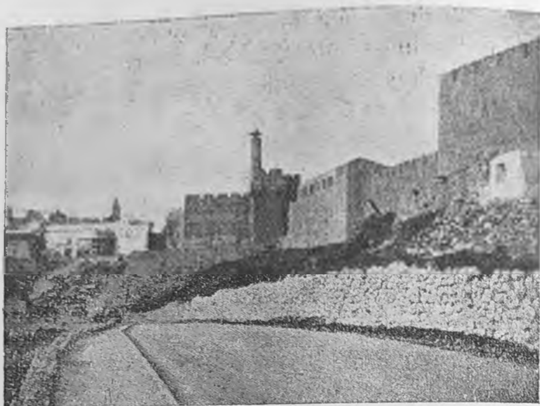
wszędzie koła tańczących z wykrzykami: jachalili, jamalili! Orkiestry rżną niektóre oryg. żyd. melodje, przeważnie jednak ulubione „bubliczki". Długo nie mogłem się zatrzymywać w Tel-Awiw, bo na zwiedzenie Palestyny pozostawało mi dwa tygodnie czasu, chciałem bowiem potem i do Egiptu. Autobusem powędrowałem dalej do Jeruzalem. Droga wiodła zrazu **doliną Sarońską,** gdzieto za biblijnych czasów siedzieli Filistyni a dziś rozsiedli się Arabi i nowi koloniści żydowscy. Pod Jaffą najpierw kościół niemieckich Templerów, sekty, która w r. 1868 założyła pierwsze kolonje w Ziemi św., wierząc że od tej pracy

ma się zacząć odrodzenie kościoła chrześcijańskiego. Potem wielka doświadczalna rolnicza szkoła, założona przez bar. Rotszylda, która bardzo przyczyniła się do gospodarczego podniesienia kolonistów żyd. Dolina Saronu bardzo żyzna i piękna. Wszędzie widać rozległe plantacje pomarańcz, na których hodowlę przedewszystkiem rzucili się koloniści żydowscy, produkując tzw. „sun-goldy", złote słońce, wielkie, znakomite pomarańcze, znajdujące dobry zbyt w Anglji a ostatnio i w innych krajach.

Wnet jednak żyzna dolina sarońska się kończy, bo ciągnie się ona wąskim tylko pasem wzdłuż wybrzeża. Autobus zaczyna się piąć w górę. Wnet objęły nas **góry judzkie,** puste, pełne kamienia i skał wapiennych jak kras koło Trjestu. Gdzieniegdzie kępka trawy i zielska różnego, na którym się pasą owce i czarne kozy. Autobus to pnie się w górę, to stromo jedzie w dół, by się potem piąć jeszcze wyżej. Mgła otula niegościnne góry i po chwili deszcz zimny z wiatrem smaga szyby. Daremnie wysilam wzrok, by przeniknąć tajemnicę tej dziwnej krainy. Pniemy się wciąż w górę, bo Jeruzalem leży na wysokości 750 m. Jesteśmy wreszcie u celu w „Nowym Jeruzalem", przedmieściu, zamieszkałym głównie przez Żydów. Deszcz leje jak z cebra, zimno przenikliwe. Stanąłem w hotelu „Tel-Awiw-Warszawski". Właściciel mówi znośnie po polsku; wogóle po polsku prawie wszędzie u Żydów można się domówić. „Kurjer Krakowski" i tutaj się rozchodzi i z przyjemnością go po dłuższej przerwie czytałem.

Odpocząwszy trochę, pędzony ciekawością zaraz się wybrałem na zobaczenie starego Jerusalem, odległego o 10 minut od mojej kwatery. Wnet stałem pod murami świętego miasta. Mury te zbudowali Krzyżowcy. Otaczają one zwartym wałem całe miasto. Wyrwę stanowi tylko **brama jaffska,** pod którą wnet stanąłem. Piękny widok: Z prawej strony potężna cytadela z „wieżą Dawida", również przez Krzyżowców zbudowaną, przedemną piękna brama, ale zniekształcona ogromną wyrwą, którą w niej zrobiono, aby w nią wjechać mógł wygodnie z całą paradą ces. Wilhelm II. Idę wąską uliczką, „ulicą Dawida". Ulica oślizgła, pełna schodków i gładkich okrąglaków wapiennych. Na prawo i lewo małe kramiki arabskie; wszędzie pełno jatek z baraniną i jarzyną. Towary wystawione w głąb uliczki, tak że z trudem się wśród tłumu prze-





Mury Jerozolimy z cytadelą i wieżą Dawida.

ciskać można. Krzyki, nieznane półdzikie twarze, zapachy różne odurzają człowieka. Podobnie musiały wyglądać te uliczki i za



czasów Ch-a. Podchodzę pod bramy wzgórza świątyni — zamknięte! Zbaczam więc pod sławny **„Mur Płaczu"**, który sta-

nowi część obwarowania dawnej świątyni. Jest to niewątpliwie resztka dawnego muru, okalającego kiedyś świątynię Salomona. Tu Żydzi ze wszystkich stron świata, w najróżniejszych strojach wylewają swoje jeremjady nad zburzeniem świętego grodu, tu płaczą nad rozproszeniem swoim a zabobonni wtykają w szczeliny muru papiery z prośbami swymi do Boga, wierząc że tu napewno będą wysłuchani.

„Mur Płaczu“ — kiedy przed nim stałem, nie wiedziałem, że właśnie o tymsamym czasie tam w domu cała moja rodzina płacze nad grobem sędziwego ojca, który po ciężkiej chorobie zmarł prędzej niż myślałem; miałem się o tem dowiedzieć dopiero po 3 tygodniach w Kairo.

MORIJA.

Zwiedzanie Jeruzalemu trzeba rozpocząć od góry Moriji, gdzie swojego czasu stała sławna świątynia Salomona; jest to historycznie najstarszy zabytek świętego miasta. Wzgórze M (skrót od Morija) znajduje się we wschodniej części miasta; wierzchołek jego to obszerna skalista płaszczyzna o 145.000 m^2 powierzchni. Środek jej jest nieco podniesiony, w samym centrum znajduje się wystająca skała z wydrążeniem w środku, które uchodzi do niżej położonej jaskini, mającej podziemny odpływ do potoku Cedronu, płynącego w stronę doliny Jozafata (Hinnom) — jednym słowem wymarzone **naturalne warunki dla ołtarza na ofiary palone ze zwierząt:** nad jamą zabijano zwierzę, krew ściekała do dołu a ofiarę palono na wystającej skale. Miejsce to uważano też jako przez samych bogów wybrane na ołtarz. Od niepamiętnych czasów, góra ta musiała służyć jako naturalny ołtarz; pierwotnie ludzi na niej ofiarowano.

1 Moj. 14 opowiada nam o spotkaniu Abrahama z Melchisedekiem, królem salemskim, który był „kapłanem Boga najwyższego“. Z ustępu tego wywnioskować możemy, że owo Salem to najdawniejsze Jeruzalem koło góry, która była ołtarzem dla najznaczniejszego ze wszystkich bogów tej ziemi.

Do tego miejsca zdąża też Abraham, aby tam ofiarować Izaka: nie szczędzi drogi kilku dni dla świętości miejsca.

Musiało to wzgórze być uważane za święte, skoro Dawid, urosłszy w moc, tu przenosi swą siedzibę; na wzgórzu najbliż-

szym, Sjonie na półdn. zachód od wzgórza M zakłada swój zamek a na wzgórzu M wyznacza miejsce pod świątynię, którą potem buduje Salomon.

Niezliczonych zwierząt krew płynie przez otwór w skale do potoku Cedronu, dalej do doliny Jozafata a ponieważ krew owa, przelewana ofiarą za grzechy, grzechy te jakoby unosiła ze sobą, przeto Żydzi mniemali, że ostateczny sąd odbędzie się w dolinie Jozafata.

Morija! jakżeż daleką, ale i straszną twa przeszłość! W zamierzchłych tysiącleciach ciągną tu zdaleka karawany, by ofiarą przebłagać gniew bogów. Ileż serc tu drżało w przedśmiertnej trwodze, nim je przebił kamienny nóż kapłanów!

Potem tysiące robotników przez szereg lat krząta się tu, by postawić przybytek godny skrzyni przymierza i godny narodu, który zdobył tę ziemię. I staje tu świątynia przebogata i przepiękna, zaliczana do jednego ze siedmiu ówczesnych cudów świata. Tysiące kapłanów prawie bez ustanku składa tu ofiary; dymy ze szczerozłołych kadzielnic ciągle idą w górę.

Ale oto ledwie świątynia wystawiona i Salomon zamyka oczy, gdy już za jego następcy, Roboama (Rehabeam) odpada znaczna część Izraela od świątyni jeruzalemskiej a faraon Sizak zdobywa miasto i łupi świątynię, 1 Król. 14. 25. W Karnaku, w Egipcie na jednej ze ścian sławnej tamtejszej świątyni widziałem wkrótce potem przedstawioną scenę owego złupienia świątyni salomońskiej.

Podnosi się jednak później jej znaczenie zwłaszcza po zniszczeniu północno-izraelskiego państwa, r. 721 przed Ch. kiedy tacy prorocy jak Jezajasz i Jeremjasz głosili tu słowo Boże.

Niezmiernie ważnym jest r. 621: za króla Jozyjasza odnawiano świątynię. Przy tej sposobności postanowił najwyższy kapłan Helkijasz zreformować religję mojżeszową w duchu nawskroś centralistycznym i kapłańskim, przy uwzględnieniu i zasad proroków i powiedział, że znalazł stary rękopis zakonu przy sposobności odnawiania świątyni, 2 Król. 22; w rzeczywistości była to dzisiejsza 5 Księga Mojżeszowa t. zw. Deuteronomium, drugie prawo, napisane przez Helkijasza i jego kapłanów.

Przez nowe to prawo zostały zupełnie zniesione wszystkie inne miejsca ofiar, których potąd było bardzo dużo; właściwie każda miejscowość mogła mieć swoje miejsce ofiar, gdzie

w rytualny sposób zabijano na ofiarę zwierzęta. Obecnie wszystko to zostało zcentralizowane w świątyni jeruzalemskiej, przez co niepomiernie podniesiono jej znaczenie a temsamem też i znaczenie kapłaństwa, które tu rządziło. Kapłaństwo to obwarowało się ściśle skodyfikowanym, spisanym prawem, zakonem, przez co w religji żydowskiej niepomierne znaczenie osiągnęły księgi prawa religijnego, gdzie każdy wyraz, każda kreska byłą nienaruszalna, jako niby natchniona objawieniem bożym. Taką religją ksiąg była religja żydowska i za czasów Ch-owych i sam Ch. niestety podzielał to przekonanie albo też musiał się z nim liczyć, tak ono było mocno zakorzenione w duszach, że nie byłby może mógł nic uczynić, gdyby przeciw temu przekonaniu był wystąpił. Zobaczymy później, jakie to miało skutki dla chrześcijaństwa. Wiara w **werbalną inspirację** (verbum = słowo, inspiratio = natchnienie) świętych ksiąg kanonu t. zn. zbioru ksiąg uznanych za święte przeszła nietylko do dzisiejszego ortodoksyjnego żydowstwa, ale przez Ch-a i apostołów przeszła też i do nowej społeczności religijnej, do chrześcijaństwa, które przez kościoły jest również religją świętych ksiąg. I Luter śpiewał: „Das Wort sie sollen lassen stahn" — słowa niech nie naruszają! W piśmie św. każde słowo jest według tego mniemania natchnione duchem bożym.

Jest to stanowisko bardzo niebezpieczne dla zdrowej myśli religijnej, boć wiele ludzkich błędów dostać się może i dostaje się do świętych ksiąg i błędy te potem uświęca się i czyni je nietykalnymi i przypisuje się je Bogu, który z tymi błędami zpewnością nie chce mieć nic wspólnego. Podnosi się też przez to znaczenie kapłaństwa, które przecież przeważnie te księgi samo pisze, rozumie się w swoim interesie.

Fałszywe owo mniemanie nieomylnej świętości ksiąg świętych ma w żydowstwie i chrześcijaństwie główne swe źródło w dziele reformy Helkijasza w r. 621, owego arcykapłana, który z pomocnikami swymi spisał księgę a przed ludem powiedział, że znalazł pierwotną, starą księgę, pochodzącą od Mojżesza samego. Zburzenie świątyni w r. 586 dzieła tej reformy Helkijasza nie zniszczyło, bo Żydzi wzięli ze sobą świete księgi do niewoli babilońskiej, nimi żyli, pomnożyli je i wróciwszy po 70 latach i odbudowawszy świątynię, ją jedną znowu uczynili jedynym miejscem ofiar a święte księgi jedynym źródłem prawdy.

Tylko na górze Garizim Samarytanie, mieszańcy izraelsko-pogańscy mieli jeszcze świątynię i konkurowali z Jeruzalemem, za co ich też kapłani jeruzalemscy serdecznie nienawidzili i tę nienawiść wpajali „czystym" Żydom, dla których jako jedyne miejsce ofiar istniała już tylko jeruzalemska świątynia, tu na górze Moriji.

Tu na tym miejscu gromadzą się ciągle a zwłaszcza w uroczyste święta nieprzeliczone rzesze Izraela z całego kraju, ba z dalekich ziem, po których Żydzi poczęli się już wówczas rozpraszać za handlem.

Ale już Żydzi nie są panami w swoim kraju; obcy, poganie narzucają im swoją wolę. Późniejsze ciągłe walki z obcymi i Żydów między sobą niszczą raz w raz cały kraj. Świątynia znowu zniszczona i tu na M, na miejscu najświętszym poganie, Grecy stawiają posąg swego boga, Jowisza („obrzydliwość spustoszenia na miejscu świętym, Mat. 24, 15), aż w r. 165 przed Ch. odbudowują ją po morderczych walkach bohaterscy Makabeusze a później król Herod świątynię tę tak upiększa, że niewiele co do blasku ustępuje salomońskiej. Tę właśnie **świątynię** oglądał **Jezus.**

Nie byłby Jezus Żydem, gdyby nie był umiłował tego świętego dla każdego Żyda miejsca; a **Jezus był świadomym siebie Żydem.** Choć obcym mu był zupełnie fanatyzm narodowy a zawsze bliskim człowiek jako człowiek, [przecież już i najwięksi prorocy przełamali granice ciemnego żydowstwa i uczyli, że Bóg jest Panem wszystkich narodów i ostatecznie zbawienie do wszystkich narodów ma przyjść] — to jednak wiedział Ch. że jego naród to był, który tak wysoko rozwinął myśl religijną i w tym właśnie narodzie a nie w innym postanowił on tę myśl religijną doprowadzić do najwyższego rozkwitu, poczem dopiero mogła ona przejść i do innych narodów. Postanowił działalność swoją i swoich uczniów na początku ograniczyć tylko do żyd. narodu. Dlatego też n. p. do niewiasty chananejskiej rzekł, że jest posłany tylko do owiec, które zginęły z domu izraelskiego, Mat. 15, 24, a uczniom, idącym na pierwszą pracę, rzecze: „Na drogę pogan nie zachodźcie i do miasta Samarytańczyków nie wchodźcie..." Mat. 10, 56.

Wszyscy apostołowie, mimo dłuższego obcowania z Ch-em, wykazują nawet po jego śmierci cechy nacjonalizmu żydowskiego. Dopiero ap. Paweł w głębszym konsekwentnym zrozu-

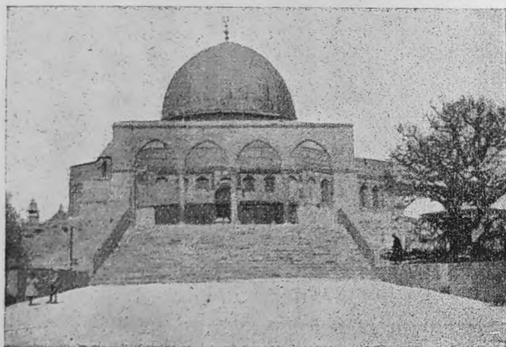
mieniu nauki Ch-owej, kiedy przyszedł dalszy, odpowiedni już czas, przełamał skutecznie granice żydowstwa w chrześcijaństwie i zrobił z niego religję wszechświatową...

Jak bardzo **Jezus jako Żyd umiłował to miejsce,** widzimy z jego płaczu nad Jeruzalemem, które miało być zniszczone, Łuk. 19, 41 n. Próbował przez działalność swoją odwrócić wyroki boże przeciw temu miejscu, wyroki głoszone przez proroków, ale bezskutecznie Mat. 37, —38. Zatwardziałość kapłańska była nie do przezwyciężenia — „oto wam dom wasz pusty zostanie“, woła, litością przejęty. I padła krew Ch-owa na to miejsce, jak sam lud żyd. krzyczał: „krew jego na nas i na dziatki nasze” Mat. 27, 25.

I niedługo też nastają straszne czasy dla tego miejsca. Nastają okrutne walki żydowskich stronnictw pomiędzy sobą, aż wreszcie w r. 70 Rzymianie zdobywają to miejsce, palą świątynię a na jej miejsce stawiają świątynię pogańskiego boga, Jowisza. Lud izraelski rozproszony, w niewoli. Kiedy w r. 637 mahometański kalif, Omar, zdobył Jeruzalem zastał na górze Morija tylko gruzy i zwaliska. Miejsce to jednak było i jest i dla Mahometan wielką świętością. Uznają oni i Abrahama za swego patrjarchę; w jednej ze sur, rozdziału koranu, opowiada Mahomet, że nad skałą ofiarną góry Morija w widzeniu uniesiony był w niebo. Mahometanie wierzą też, że z tego placu ich prorok, Mahomet, na koniu wstąpił po śmierci na niebiosa. Otaczają więc to miejsce wielką czcią i kiedy kalif Omar tu stanął, kazał wybudować przy skale ofiarnej meczet. Później meczet postawiono nad samą skałą; nosi on nazwę **meczetu Omara.** Meczet ten stoi po dziś dzień, przebudowywany kilkakrotnie i upiększany. Jest to jedna z najwspanialszych świątyń, jakie widziałem. W samym środku znajduje się owa goła skała ofiarna z wydrążeniem w środku a jaskinią na dole; dookoła skały pobudowany ośmioboczny meczet z ogromną kopułą na wierzchu nad samą skałą. Bogactwo materjału, marmurów, mozaik, złoceń, arabesków wprost niesłychane, ale wszystko tak ujęte, że nie znać żadnego przeładowania, przepych ten nie razi, nie narzuca się, ale harmonją swą działa dziwnie estetycznie, kojąco i podnosząco. W życiu swym, choć dużo już zwiedziłem, nie widziałem n. p. tak przecudnych **witraży,** (okien kolorowych), jak w tym meczecie. Cudne są rozety witrażowe z tumu św. Szczepana we Wied-

niu, są to poprostu tajemnicze oczy średniowiecza, ale jeszcze piękniejsze te tu witraże: kolory tak dziwnie misternie dobrane i zestawione a przytem artystycznie przytłumione, że wprost hipnotyzują i oczu od nich oderwać nie można, tak są przecudne — przemawia przez nie dusza tajemniczego wschodu — bajka z tysiąca i jednej nocy!

Długo tu bawiłem, upajałem się pięknością, oddychałem dziejami tego miejsca; tu nie przeszkadzają tubalne liturgje i kłótnie mnichów, jak w „kościele św. Grobu;" cisza skupienia napełnia całą świątynię, grupki zwiedzających cicho suną w przepisanych pantoflach, nikt nie odważy się przemówić



Meczet Omara z Małazynami nad schodami.

głośno, tak działa nastrój dziejów i dzieła. Doprawdy świątynia ta jest wprost idealnie artystycznym ujęciem wielkości tego miejsca. Kościół „św. Grobu" ze swym niesmacznym przeładowaniem niesłychanie traci w porównaniu z tą świątynią. Wyszedłszy, znowu po chwili wróciłem, aż zamknięto świątynię dla zwiedzających, bo rozpoczęła się godzina modlitwy.

Chodziłem teraz po placu dookoła i oglądałem również śliczne mniejsze budowle dookoła świątyni. Tuż obok meczetu Omara od wschodu, do niego jakby przyczepiony jest inny maleńki meczet tego samego kształtu, co główny meczet; jest to **meczet świętego łańcucha.** Znajduje się tam łańcuch, którego jeden koniec, jak wierzą mahometanie, jest w niebie a drugi właśnie w tym meczecie. Za dawniejszych czasów

w ważnych sprawach sądowych, kiedy trudno było od świadka wydobyć prawdę, przyprowadzano go tutaj, musiał się dotknąć łańcucha i jeśli łańcuch niesamowicie drżał, było to znakiem fałszywego świadectwa.

Dziwna rzecz, dzisiaj wymyślono aparat, w który świadkowie wkładają ręce i aparat jest tak czuły, że wykazuje kłamstwo — widocznie ręka kłamcy odpowiednio drga i to uchwytuje aparat. Taki przyrząd mieli już dawno Arabowie tu na tym miejscu, tylko że tu działać musiała wiara, iż łańcuch ma początek swój w niebiesiech.

Dziś wiarę coraz więcej zastępuje się wiedzą i jej aparatami, tak jak państwo ze swymi prawami i zakładami humanitarnymi coraz więcej zastępuje kościoły.

Na południe od wielkiego meczetu Omara stoją na trzech pięknych kolumnach śliczne arkady, zwane **małazynami** czyli wagami. Według wiary mahometańskiej w dzień ostatecznego sądu będą tu zawieszone **wagi dobrego i złego** i tu nastąpi osądzenie każdego człowieka według tego, która szala przeważy.

Podobne wierzenia znajdujemy i w innych religjach. Świadczą one dobitnie o tem, że **religja**, którejbym dał nazwę **samodzielnej**, uczącej osobistej odpowiedzialności każdego człowieka za jego czyny i wymagająca **osobistego, samodzielnego zadośćuczynienia za zło popełnione** ma głębokie naturalne podstawy w duszy ludzkiej.

Zboczymy teraz z naszej drogi, aby szerzej omówić ten objaw, bo będzie nam to rozważanie nieraz potrzebne dla zrozrozumienia podstawowych myśli religijnych.

I chrześcijańska religja wyraźnie mówi: „Uczynki ich idą za nimi" Obj. 14, 13 „Dam każdemu z was według uczynków waszych" Obj. 2, 23 i „I sądzeni są umarli według uczynków ich" Obj. 20, 11. I Ch. wyraźnie powiada; „Nie każdy, który mi mówi: Panie, Panie! wnijdzie do królestwa niebieskiego, ale który czyni wolę Ojca mego... Tedy im wyznam: żem was nigdy nie nie znał; odstąpcie odemnie, którzy czynicie nieprawość" Mat. 7, 71 n.

Taki jest naturalny Boży zakon, włożony w serce, poczucię człowieka. Każdy człowiek czuje, że nieraz zawini, postąpi wbrew słuszności, wbrew swemu przekonaniu, przekroczy naturalne Boże i ludzkie prawa. Następstwem tego cierpienie i tak

być musi, boby inaczej nie było ratunku od złego. Człowiek to intuicyjnie jako słuszne odczuwa, że za zło musi cierpieć i że to **cierpienie jest jednym ze środków, które wypalają zło** i wymazują je. Jeśli jednak człowiek **dobrym uczynkiem naprawi zło**, wtedy również czuje, że zmazał winę, że jest wolnym. W naszym codziennym życiu nieraz spotykamy się z podobnymi słowami: Zbłądził, ale dość się nacierpiał; już tego więcej nie zrobi — sprawa załatwiona! Skrzywdził ale krzywdę naprawił — wina wymazana! To jest naturalne poczucie moralne każdego przeciętnego normalnego człowieka.

A jeśli zadośćuczynienie nie nastąpiło tu za życia? — więc wierzy, że jest nieomylny, sprawiedliwy Bóg, który wszystko wie i On rozsądzi, czy i o ile dalsze cierpienie za winę będzie musiało nastąpić, aż ona zostanie wymazaną, zło wytrzebione a duch będzie się mógł wznieść w wyższe sfery. Droga ta, acz w zasadzie słuszna, jest jednak tak ciężka i nieubłagana, że człowiek od samego początku swego religijnego myślenia szukał jej złagodzenia i znalazł je w pojęciu **przebaczenia** i zupełnie słusznie, bo zawsze wina jest większa niż dobre uczynki i nigdyby one nie były w stanie jej zmazać. I zasadniczo też tylko przebaczenie może naprawdę zmazać grzech i zło; kto go udzieli, ten odczuwa jak bardzo w naturze ludzkiej jest ono ugruntowane, jak tylko ono przywraca równowagę duchową i równowagę — między ludźmi. Słowo pokój potężniejsze jest i bardziej naturze ludzkiej odpowiada, niż słowo wojna.

Gdybyśmy wszyscy wszystkim wszędzie wszystko i zawsze pamiętać mieli, musielibyśmy się załamać psychicznie pod ciężarem krzywdy a jad nienawiści zabiłby ducha i ciało. Dlatego musi następywać amnestja, przebaczenie, pojednanie, wymazanie długu, którego inak absolutnie spłacić nie można. Tak nas uczy codzienne życie. **Bez przebaczenia ani społeczne ani indywidualne ani religijne życie jest niemożliwe.**

Pewnie że do poznania tej drogi nie odrazu się dochodzi; nieraz długo się kołuje i zbacza, aż doświadczenie życiowe i nabyta przez nie mądrość tę drogę wskaże jako jedyną.

Jedna tylko jest siła, która odrazu tę drogę wskaże: **miłość**. „Miłość ci wszystko przebaczy!". Umiłowanemu człowiekowi bez trudności przebaczamy. Miłość jednak nie może być

ślepą i nie może na ślepo przebaczać, bo takie przebaczenie psułoby tylko człowieka.

Przebaczaniem nie można jednak szafować rozrzutnie i bez myśli. Jałmużna dawana bezmyślnie stwarza tylko żebractwo. Mogą być wypadki gdzie przebaczenie byłoby z naszej strony nawet grzechem, wygodą naszą, nie chcącą się i pomocować duchowo z krzywdzicieiem, by go naprowadzić na drogę właściwą.

Mogą być i takie wypadki, gdzie się człowiekowi powie, że się mu nie przebacza, ale Bogu sąd zostawia, aby skruszyć twarde jak skała serce jego.

Pzebaczenie musi bvć celowe, musi wychowywać człowieka, by w w nim przezwyciężyć zło i obudzić żal i skruchę. Człowiekowi, który żałuje za swój błąd i stara go się naprawić przebaczamy chetnie i w ten sposób **łączymy miłość ze sprawiedliwością a sprawiedliwość z miłością**. Człowiekowi dużo dobrego czyniącemu, chętnie społeczeństwo wybacza osobiste wady i ułomności jego. **Trzeba być człowiekiem, a Bóg i ludzie przebaczą nam nasze winy**. Tu znajdujemy zastosowanie słusznej w zasadzie samodzielnej, ale nieubłaganej religji do duszy ludzkiej, która się obejść nie może bez pierwiastka miłości, bo człowiek przez miłość jest zrodzony.

Jęst jednak najwyższa droga — **przebaczenie z góry**, naprzód, przed skruchą winowajcy, przed naprawieniem złego z jego strony, to jest przebaczenie naprawdę boskie, które nieraz działa cuda. Modlitwa zaś za prześladowcami w chwili cierpienia i szyderstw wroga, to szczyt, na który może pierwszy wszedł Ch. ucieleśniający w sobie najzacniejsze popędy duszy ludzkiej. Gdzie taka młłość nie poskutkuje, tam zdaje się nie ma już ratunku, Mat. 12, 31.

Przejdźmy teraz do najniższej drogi, mającej prowadzić do zmazania grzechu — jest nią **zepchnięcie winy ze siebie na niewinną ofiarę**

Drogę tę wymyślił sobie człowiek dla wygody swojej. Wymyśliło tę drogę i najciemniejsze zabobonne wyobrażenie o Bogu jako istocie potrzebującej krwi i dymu ofiar dla istnienia swego, tak bowiem pogaństwo wyobraża sobie bóstwa. Jest to droga nawskroś niemoralna i podkopująca grunta, podstawy etycznego myślenia, droga nawskroś niesprawiedliwa.

Wierzy się, że grzech własny można przelać na krew ofiarowanego zwierzęcia i zwalnia się w ten łatwy sposób od osobistej odpowiedzialności.

Do ofiary, która musi być według pewnych reguł wykonana, aby miała być skuteczną, trzeba kapłana. Dlatego tę drogę nazwiemy **kapłańską.**

To wzgórze Morija od dawien dawna było ucieleśnieniem tej fatalnej omyłki, wynikającej z fałszywego pojmowania Boga i z wygody ludzkiej.

Miljony ludzi i zwierząt zabito na ofiary; do dziś istniejący nieludzki sposób rytualnego uboju u Żydów jest pozostałością z tych czasów a w chrześcijaństwie tam, gdzie uważa się krew Ch-ową niemal za magiczny środek oczyszczenia z grzechu — wiara, podkopująca moralne poczucie osobistej odpowiedzialności za swe winy a polegająca za niezrozumieniu myśli Ch-owej.

W Izraelu od samego początku oba kierunki religji samodzielnej i religji kapłańskiej znajdują się obok siebie, bo sobie nie uświadamiano sprzeczności tych kierunków. Zakon Mojżeszowy, zawarty przedewsz. w 10 przykazaniach przedstawiał typ najsurowszej religji samodzielnej, nakazującej człowiekowi czyn a zakazującej grzechu i grożącej karą, idącą w pokolenia. Zakon ten w czystej swej postaci nie znał poprostu miłości, łaski; jego symbolem były twarde kamienne tablice, tu w świątyni przechowywane i to było jego jednostronnością i wadą. Tę myśl wyrażają w podobny sposób i te mahometańskie wagi, małazyny, ważące bezwzględnie dobre i złe uczynki w sądzie nad zmarłym.

Ta trwoga przed strasznym Bogiem przyczyniała się również do myśli, by ofiarami przebłagać gniew Boży. I tak obok tego zakonu były ofiary kapłańskie, przelewające grzech na krew baranka czy kozła. Dzięki temu kapłaństwo usadowiło się tu na tej górze Morija, jak rzadko gdzie i obwarowało się świętymi księgami, zwyczajami, tradycją a nadewszystko strasznym Bogiem.

Ale zjawia się już w Izraelu zrozumienie głębszych zasad religijnych, odczucie potrzeby i pierwiastka miłości obok słusznej myśli osobistej odpowiedzialności i powoli wyłania się owo największe przykazanie: „Będziesz miłował Pana, Boga swego ze wszystkiego serca swego, ze wszystkiej duszy swo-

jej i ze wszystkiej siły swojej“ 5 Moj. 6, 5 i „Miłuj bliźniego swego jako siebie samego” 3 Moj. 19, 18. Pojawia się już b. wcześnie, bo u Hozeasza potężne, antykapłańskie słowo: **„Miłosierdzia chcę, a nie ofiary“** 6, 6.

Prorocy zaczynają przewidywać czas, kiedy ofiary będą niepotrzebne: „Nie będą zabijać na wszystkiej górze mojej świętej, bo ziemia będzie napełniona znajomością Pańską tak jak morze wodami jest napełnione“ Jez. 11, 9.

Jest to ścieżka, prowadząca na szczyty, ale wciąż się gubiąca w labiryncie bezlitosnego zakonu i kapłańskiego wypaczenia. Nieraz ci sami ludzie piszą tak a parę wierszy dalej inaczej n. p. Ps. 51, 18 a 51, 21.

Aż zjawia się Ch. i harmonijnie połączy miłość ze sprawiedliwością i przekreśli zupełnie kapłaństwo. Uczyni to nietylko w nauce tak głębokiej, jako jej nie znają potąd dzieje gdzieindziej, ale przedewsz. w swym życiu, bo ono jest wprost ucieleśnieniem jego genjalnych myśli, jasno wskazujących drogę na szczyty.

Przedstawię teraz, **jak myśl religijna rozwijała się u Ch-a** i jaką zarazem to miejsce, ta góra kapłańska, Morija w tym rozwoju duchowym Ch-a odegrała rolę.

Ewang. Łuk. 2, 41 podaje, że **Jezus w 12 roku życia** po raz pierwszy był tu na tym wzgórzu, w świątyni Pańskiej i że zasypuje kapłanów dziwnymi pytaniami, tak że ci zdumiewają się nad mądrością jego.

Nieraz dzieci wprawiają starszych w zdumienie swą logiką. Jezus było to poprostu „cudowne dziecię“, jakie się od czasu do czasu z Bożej łaski zjawiają, ale tu nie muzyk, nie szachista, nie matematyk, ale **genjusz religijny.**

Długa, głęboka religijna kultura jego narodu, środowisko nawskroś religijnego domu i otoczenia, gdzie pewno nieraz rozmawiano o kwestjach religijnych — wszystko to zogniskowało się w jego duszy i miało zakwitnąć niebywałą krasą i głębią religijnej myśli.

To co miało przyjść, objawiało się u Jezusa już w wieku dziecięcym. Pewnie i w szkółce zakonnej w Nazarecie Jezus nieraz w kłopot wprawiał nauczycieli swych, którzy przeważnie w pamięć tylko wbijali zdarzenia z dziejów Izraela i przepisy zakonne; ale Jezus chciał wszystko rozumieć i stawiał pytania i to bardzo głębokie.

Kiedy tu poraz pierwszy przyszedł do świątyni, pewnie wszędzie zaglądał, nad wszystkiem się zastanawiał. I oto z pewnością zastanowił go jeden rys religji żydowskiej — **ofiary!** Wprawdzie ucząc się pism świętych, wszędzie słyszał o ofiarach, ale nie zdawał sobie może sprawy z ich rzeczywistego wyglądu, bo w Galilei już nie składano krwawych ofiar, tylko tu na jednym miejscu w Jeruzalemie, ale zato jak przeraźliwie realnie tu to wyglądało! — masowa rzeź zwierząt poprostu przerazić musiała jego dziecięcą duszę. Pewnie pytał się, jakto Bóg dobry mógłby się kochać w tych potokach krwi? Półświadomie przypomina się mu Psalm 50, 13—14: „Izali jadam mięso wołowe albo pijam krew kozłową"? Więc pocóż to zabijanie Bogu niewinnych stworzeń? — Na zmazanie grzechu! Ale czyż to możliwe grzech wymyć krwią? Czyż Ps. 51, 18 nie mówi: „Nie pragniesz ofiar; sercem skruszonym nie pogardzisz, o Boże!"

Podobne pytanie stawia pewnie kapłanom, jak mówi ewangelista, że z nimi rozmawiał, ale oni nie mogą mu dać zadawalającej odpowiedzi; każą wierzyć w to, co oni uczą, co oni robią. Przytaczają mu różne miejsca w zakonie, gdzie wszystkie te ofiary są nakazane, jako „woń przyjema Panu" Exod. 29, 18; „mięso cielca spalisz ogniem za obozem, bo to jest ofiara za grzech" Exod. 29, 14.

Czuje Jezus, że ani te słowa ani te rzezie zwierząt ani ci dziwni kapłani jakoś się nie zgadzają z tym pojęciem dobrego Boga, którego obraz jako Ojca wypieścił on w duszy swojej tam w Galilei, czytając proroków, obcując z ludźmi, przypatrując się cudownej przyrodzie a nadewszystko w dziecięcych swych modlitwach — rozmowach z Bogiem, do których od zarania świadomości swej czuł nieprzeparty pociąg...

Czuje rozdźwięk pomiędzy sobą a tym tu miejscem.

I z tem wraca i już się tego uczucia nie pozbędzie aż do śmierci.

Wątpliwości, które zrodziły się w jego duszy przy pierwszym już tutaj pobycie, nie ustąpiły, owszem rozdźwięk pomiędzy nim a tym miejscem stał się w międzyczasie jeszcze głębszy.

Jezus przechodził teraz **okres swojego dojrzewania** cielesnego i dziwne uczucia nurtowały jego głębię. Nie interesowały go kwestje seksualne, owszem cała siła tego przemożnego popędu

kierowała go nie ku sprawom cielesnym, ale religijnym, jak się to niekiedy u genjuszów religijnych zdarza. Sam tak to później określił: „są rzezańcy, którzy się sami urzezali dla królestwa niebieskiego" Mat. 19, 12, którzy zrezygnowali z radości cielesnych dla pogłębienia duchowego. Takim był Jezus.

Całą siłę miłości skierował ku Bogu. Popęd seksualny przynosi w najgłębszej swej istocie umiłowanie tego, co piękne, co dobre, co prawdziwe; falsyfikatów, sztuczności nie lubimy, bo natura intuicyjnie chce stworzyć typy najdoskonalsze. Zwykły śmiertelnik uosobienia tego wszystkiego bez ustanku szuka wśród ludzi, Jezusa owo naturalne umiłowanie piękna, dobra i prawdy przemożną siłą niosło w kierunku źródła piękna, dobra i prawdy, w kierunku Boga. Otwierały się mu głębie najgłębszego przykazania zakonu: „Będziesz miłował Pana, Boga twego z całej duszy swojej, z całego serca swego..."

Całym żarem swej młodzieńczej duszy i całą potęgą swego religijnego genjuszu odczuł Boga jako miłość, jako Ojca człowieka, któremu trzeba ufać we wszystkiem i Jego wyrok we wszystkiem przyjąć.

Nieraz w tym okresie Jezus znikał z domu i godziny, ba dnie i noce spędzał na samotności, wypełnionej modlitwą. Wnioskować to możemy z tego, że i później tak postępował, jak zgodnie podają wszystkie ewangelje. Nie brakowało przy tem pewnie i zachwytów i uniesień, ba ekstaz religijnych i widzeń, które jednak z latami przezwyciężał trzeźwą myślą religijną, co zwłaszcza w czasie jego publicznej działalności tak dodatnio u niego występuje w przeciwstawieniu np. do takiego Buddy.

Okres młodzieńczych przemian miał jednak u Jezusa pewnie charakter pewnego mistycyzmu, który spowodował uczucie zupełnego zlewania się duszy jego z Bogiem; poczuł się jedno z Nim (późniejsze: „ja i Ojciec jedno jesteśmy, ewang. Jana 10, 30).

Zrozumiał, że **jeśli życie religijne się ma w człowieku rozwinąć, to człowiek musi odczuć, że Bóg jest w nim a on w Bogu,** że musi w ten sposób nastąpić ścisła społeczność — „Bóg jest miłością, a kto mieszka w miłości, mieszka w Bogu a Bóg w nim" 1 Jana 2, 16.

Z tym i takim Bogiem w sercu przychodzi Jezus znowu na tę górę Morija. I znowu budzą się te same pytania, co za pierwszym razem, znowu ten sam, ba coraz większy rozdźwięk

pomiędzy jego Bogiem miłości a tym tu Bogiem, któremu hekatomby ofiar na tym miejscu składano. Tysiące i tysiące ofiar składają kapłani wśród mąk rytualnego uboju, bo w pełnej świadomości zwierzęcia musi być przelany grzech na krew jego, w której się mieści dusza, 3 Moj. 17, 11. Gotuje się mięso w ogromnych kotłach, pali się na ołtarzu „ku wdzięcznej wonności" Panu; swąd ofiar zatyka mu dech, ale jeszcze więcej zatyka ducha...

Rzeźnię poprostu zrobiono z domu bożego, który miał być domem modlitwy. I przypominają się mu słowa Jeremjasza 7, 11 i daje im później wyraz w swojem: „Dom mój dom modlitwy nazwany będzie a wyście wy z niego uczynili jaskinię zbójców" — rzeźników Mat. 21, 13.

Takie samo uczucie na widok ofiarujących kapłanów miał już mędrzec hinduskiej Wedy (wiedzy), gdzie tak w Magdali 10, 83 (według tłumaczenia St. Michalskiego) woła:

„Nie znacie Tego, co to wszystko stworzył;
Wręcz co innego nosicie w swym sercu!
Dymem osnuci, szepczący modlitwy,
Kapłani włóczą się — **mordercy zwierząt!"**

Takie uczucie na widok masowych strasznych rzezi religijnych miał i Chrystus tu na tej górze.

A jednak zakon Boży te ofiary przepisuje! jak echo powtarzają mu twarde kamienie tej góry. Jak to pogodzić? Przecież zakon się nie myli?

Dla niewierzącego w werbalną inspirację pytanie takie nie nastręcza żadnej trudności, bo wie, że myśl zastępczej ofiary jest błędem fałszywego rozumowania; ale Jezus wierzył w natchnienie boże każdego słowa Pisma, Mat. 5, 18.

Pyta się, jak to pogodzić: miłość Bożą przebaczającą na podstawie miłosierdzia („miłosierdzia chcę a nie ofiary") a te krwawe ofiary, które również są przepisane w piśmie?

Znalazł odpowiedź!

Tak, przepisuje zakon krwawe ofiary „dla zatwardziałości serca ludzkiego" Mat. 19, 8 t. zn. dla etycznego i umysłowego, religijnego niedorozwoju człowieka; człowiek naturalny, człowiek krwi nie może inaczej zrozumieć strasznych skutków grzechu jak przez krew i **krew za grzech się lać musi, aby uzmysłowić człeku grozę grzechu.** Zapłacić musi za grzech czło-

wiek krwią, aby był wyrwany z grzechu i nie zaginął w jego potopie.

Ale jakżesz **niedoskonały to sposób** dla jak bardzo niedoskonałego człowieka! Jakżesz niedoskonała to ofiara! Jak nikłe jej skutki! Czyż w gruncie rzeczy, w istocie samej można zwalić grzech na niewinne stworzenie i przez to samego siebie oczyścić? Czyż to moralne postępowanie? Czyż człowiek zgrzeszywszy nie powinien sam ponieść kary za grzech? Czyż Mojżesz sam nie mówi, że aż do 3 i 4 pokolenia Bóg na samym winowajcy i potomstwie jego będzie dochodził grzechu? 2 Mojż. 20, 5.

A jeśli Bóg przebacza, to dlaczegóż mu do tego trzeba aż krwi i to niewinnych stworzeń, czyż to jest przebaczenie i to od Boga miłości, jeśli za to przebaczenie trzeba płacić drogą krwią?

A czyż winy ludzi pomiędzy sobą nie można przebaczyć sobie wzajemnie, czyż to też nie jest zmazanie grzechu i czy tak z reguły być nie powinno? Później Chrystus to tym słowem wyrazi: „Cobyściekolwiek rozwiązali na ziemi, rozwiązane będzie i w niebiesiech“ Mat. 18, 18.

I coraz więcej widzi Chrystus jak niedoskonały jest ten system ofiar, tu praktykowanych tak obficie na Morija.

I oto z pomocą mu idą prorocy, psalmista, wielkie duchy starych świętych Pism, uznanych równie jak zakon za nieomylne. „Miłosierdzia chcę a nie ofiary, znajomości Bożej wiecej, niż całopalenia“ Hozeasz 6, 6 i wiele, wiele innych miejsc podobnie woła.

Odkrywa Chrystus tę wąską ścieżynkę, która z dolin kapłańskich krwawych ofiar wiedzie ku szczytom znajomości Boga — Miłości, który zmazuje grzech nie dla krwi niewinnej, ale dla Świętej swej istoty, która jest miłością, przebacza, o ile człowiek tą miłością żyje i miłosierdzie pełni. Klasyczny wyraz temu daje Chrystus później w swojem: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“ i w tym słowie: „Wiele jej odpuszczono, bo ona wiele umiłowałą“ Łuk. 7, 47. Nie trzeba dla zmazania grzechu więcej żadnej krwi a tem bardziej niewinnej, **żadnej kapłańskiej ofiary, ale tylko ofiary miłości, która nie innych i to niewinnych, ale siebie samego ofiaruje w służbie bliźniego w pełnieniu woli Bożej; to jest ta jedyna prawdziwa ofiara, na podstawie której**

jedynie następuje zmazanie i skreślenie grzechu u winowajcy i wogóle wytrzebienie złego w świecie.

Uczynki miłości to są, które zbawiają od grzechu człowieka i ludzkość, nie ofiary krwi „Całopalenia i **ofiary za grzech nie żądałeś**... Abym **czynił wolę twą,** Boże mój, pragnę; albowiem zakon twój jest w pośrodku wnętrzności moich". **Ps 40, 7—9.** Na niezliczonych miejscach to Chrystus później podkreśla, przestrzegając jednak, by tych uczynków nie liczyć, bo miłość nie liczy, ale z miłości pełni bez granic. „Niech prawica twoja nie wie, co czyni lewica twoja" Mat. 6, 3.

Te szczyty dojrzałości religijnej i etycznej widzi Chrystus w przeciwstawieniu do tych nizin krwawych ofiar za grzech, jakie dymią na Morji.

Czyż te szczyty są osiągalne? Któż i iluż się na nie wzniesie? Kiedyż to cały lud na nich stanie? Któż go tam zaprowadzi, któż go wywiedzie?

Czyż dzisiejsi wodzowie jego, kapłani, nauczeni w Piśmie, faryzeusze? Przecież oni znają pisma, znają te wszystkie miejsca, które mówią o owej lepszej służbie Bożej, o onych doskonalszych niż te krwawe ze zwierząt niewinnych ofiary! **Dla Boga! dlaczegóż ten arcykapłan, dlaczegóż ci kapłani i uczeni w piśmie nie prowadzą tego biednego ludu z nizin na szczytne wyżyny?**

Nie! głucho Jezusowi odpowiadają twarde mury świątyni; nie, kapłani z tych ofiar przecież żyją i tyją: **duch kapłański** myśli morijskiej ofiary nigdy nie rzuci; on **woli ofiarować innych niż ofiarować siebie w służbie miłości; on tych nizin nigdy nie rzuci,** by lud prowadzić na wyżyny religijne, owszem na nizinach choćby gwałtem go trzymać będzie, bo on z ludu chce żyć i dlatego trzyma go w bezmyślności. Żal tego ludu biednego napełnia Jezusowe miłujące serce a święty gniew zaczyna podnosić się w duszy jego **przeciw kapłaństwu.**

Patrzy, oto idą kapłani w ceremonjalnym pochodzie!

W długich, poważnych szatach, powłóczystych sutannach.

Co za przepych! Jak liczne ich roje! Jak ciężkie ofiary biedny lud składać musi na utrzymanie tego kosztownego aparatu świątyni i jej kapłanów! Ale te ofiary to jeszcze niczem w porównaniu z **hekatombami zaślepienia religijnego,** które ci kapłani wśród ludu szerzą i fanatyzmu religijno-narodowego,

który podsycają, prowadząc naród do niechybnej katastrofy; **wszelką zdrową myśl wysysa to kapłaństwo z mózgu ludu.**

Biada wam, ciśnie się mu na usta. I rozumie Jezus, dlaczego ta świątynia już kilkakrotnie z dopustu Bożego była zburzona; rozumie, dlaczego prorocy przepowiadali jej zniszczenie. Widzi, że i teraz innej drogi nie ma, jak tylko zburzenie ponowne tego siedliska kapłaństwa, zniszczenie tego molocha, pożerającego uczciwość, prawość i sprawiedliwość. Grzmią Jezusowi w duszy słowa Jeremjasza z r. 7: „Kościół Pański, kościół Pański jest!" tak krzyczą kapłani, świętość to wielka i myślą, że ta świętość wybawi ich a przytem uciskają biednego i niesprawiedliwość pełnią... „Przetóż, „oto **gniew mój i popędliwość moja będzie wylana na to miejsce!"** Kościół dla tego **kapłaństwa stał się głównym celem,** z niegoć to żyją i **dlc niego gotowi są ofiarować uczciwość, ba własny mózg i mózgi innych.** Upaść więc musi ten kościół na nowo, paść arcykapłan i kapłani jego, aby lud wyzwolił swą duszę ku głębszemu życiu, ku myśli a nie ku bezmyślności religijnej.

Ale jak się to stanie, któż tego dokona i kiedy?

Rozważa Jezus, co mówią pisma. I oto staje przed oczyma duszy jego obraz **Mesjasza.** Tak! wyraźnie mówi Pismo, żę on nowe czasy przyniesie; kiedy on przyjdzie, „nie będą szkodzić ani zabijać na wszystkiej górze mojej świętej; bo ziemia napełniona będzie znajomością Pańską, tak jako morze wodami jest napełnione" Jez. 11, 9. „Ducha mego, mówię, dam do **wnętrzności** waszej a uczynię, że w ustawach moich chodzić i sądów moich przestrzegać i czynić je będziecie... i będziecie ludem moim a ja będę Bogiem waszym". Ezech. 36, 26.

Mesjasz! Jego dzień to wyzwolenie, to nowe dni dla ludu bożego!

Odetchnął Jezus z ulgą. Otrząsa z siebie przykre wrażenie tego miejsca i z siłą wewnętrzną kroczy naprzód.

Ale oto wzrok jego pada na **faryzeuszów.** Zna ich dobrze już z Galilei; ale szczególnie jaskrawo niesympatycznie występuje tu na tym miejscu zebrań ludu wstrętna istota tych świętoszków zakonu. Zwłaszcza tu przed licznie zgromadzonym ludem występują na jaw ze swą pobożnością i sprawiedliwością zakonną; ostentacyjnie jałmużny rozdają, modlą się na oczach wszystkich, oszpecają twarze swoje, aby każdy widział, jak poszczą; dumnie niosą swoje dziesięciny, nawet z kminku i anyżu;

uważają, aby się ani szata' ich nie dotknęła jakiego niepobożnego, wymijają takich z daleka i patrzą na nich z wysoka, oni sprawiedliwi na niesprawiedliwych i niepobożnych. Co chwila obmywają palce swoje, kiedy się dotkną czegoś „nieczystego", p. ewangelje.

A lud, szanujący zakon, patrzy na nich z uwielbieniem, słucha ich nauk i stara się ich naśladować, tych gorliwców zakonu — i oto **prawdziwa, szczera, naturalna religijność ginie, mąrnieje zasypana formalistyką zewnętrznych przepisów.**

W głęboko religijnym sercu Jezusowym na widok tych **grabarzy religijności** budzi się na nowo święty gniew i oburzenie „Groby pobielane!... zdadzą się z wierzchu być cudne, ale wewnątrz pełne są kości umarłych i wszelakiej nieczystości" Mat. 23, 27. Zdaleka śmierdzi mu ich religijna cnota. Jużby wykrzyknął swoje „biada", które tu potem tak głośno się rozlegnie, ale się hamuje. Jeszcze nie czas! Przyjdzie ten czas! czas mesjasza! Zawarł w sobie wszystko i wprost ucieka z tego miejsca, bo go tu wszystko dusi i razi; śpiesznym uchodzi krokiem, by nie musieć wykrzyknąć. Roztrąca po drodze lud w zachwycie podziwiający wspaniałe budowle, bogate stroje kapłanów, upajający się wyszukanym **ceremoniałem;** dla tego ludu to wszystko prawieże **cielesną jest potrzebą,** nie mającą nic do czynienia z religijnością, owszem teatralność ta wprost zabija religijność prawdziwą; upajają się tem jak winem i trwają w zachwycie, zapominając o właściwych celach religji; ceremonjalność dotyka nerwów, dochodzi do duszy, ale nie ma wpływu, wyzwalającego ku czynowi, na ducha.

Wyczuwa to Jezus i niecierpliwie przebija się przez tłum zachwycony; wielu się gorszy, że ten młodzian roztrącający ich przeszkadza im w ich **cielesnej religijności;** ale niejeden, podniósłszy wzrok na niego, z podziwu otwiera oczy — co za dziwny młodzian! Co za dziwnie głębokie oczy! Jaki dziwny w nich blask i ogień! Co za szlachetna postać! Jakaż dziwna z niej bije siła! Niejeden przystaje i ogląda się długo.

A on śpiesznie uchodzi, ale unosi ze sobą tu z Morji całe brzemię nowych myśli, które musi przetrawić tam w domu w Nazaret, w lepszej świątyni, w świątyni — przyrody, samotnej ciszy zielonych pagórków i gwiezdnych nocy, sam na sam w modlitwie — rozmowie ze swoim Bogiem — Ojcem.

W domu miesiącami całymi **zgłębia problem mesjasza.** Wnikliwie rozważa wszystkie ustępy Pism o nim mówiące, rozczytuje się w nowych apokalipsach, które o nim z bujną fantazją mówią. Sprzeczne są te różne zdania. Jedne ustępy mówią o królu z domu Dawidowego, potężnym władcy, który odnowi królestwo izraelskie; inne przedstawiają go jako pokornego sługę bożego, pełnego mądrości i znajomości bożej, który przyniesie religijne odnowienie narodu i nowe przymierze ustanowi, Jezajasz, Ezechiel. Najnowsze zaś objawienia nazywają go Synem Człowieczym, człowiekiem którego Bóg przygotowuje już w niebie, by go w odpowiednim czasie zesłać na ziemię dla dokonania sądu i założenia królestwa bożego na ziemi.

Kiedy tak rozważa i myśli biją się z myślami, oto poczyna odczuwać, że w nim samym dziwne rzeczy się dzieją. Rozmyślania głębokie, żarliwe modlitwy jego, potężniejąca siła męska, jedno i drugie: **pracujący duch i mężniejące ciało wywołują w nim nieznane, dziwne moce (medjumizmu):** umysł jego pracuje i w nocy w dziwnych snach; zjawiają się mu w widzeniach sennych Mojżesz i Eliasz i prorocy i dają odpowiedzi na pytania, których na jawie rozwiązać nie może. Wyrobiony umysł jego z łatwością daje odpowiedzi i na zawiłe pytania codziennego życia; w lot chwyta każdą sytuację, co będzie go charakteryzowało i podczas publicznej działalności. „Gwałtownie umacnia się w Duchu, pełen będąc mądrości“, Łuk. 2, 40.

Podczas gorliwej modlitwy zauważa raz, że ciało jego podnosi się samo od siebie (lewitacja, później bliżej). Siła jego wzroku staje się tak przenikliwą, że odgaduje bez trudności myśli innych, Jan 2, 25 (jasnowidzenie).

Przychodzi do przyjaciela, złożonego gorączką; modli się o zdrowie jego i kładzie mu rękę na rozpalone czoło i oto o dziwo, gorączka nagle ustępuje a chory wstaje zdrowy. Ludzie myślą, że to cudowny wypadek, ale Jezus czuł, że przytem jakaś siła z niego wyszła, która spowodowała uzdrowienie Wypadki takie się mnożą, bo Jezus, choć tak poważnymi myślami zajęty, bynajmiej się nie usuwa z życia, owszem na zewnątrz żyje jak każdy inny, w pracy swojej codziennej, w kole przyjaciół i rodziny.

Spotyka raz na samotnej swej wycieczce człowieka, którego ręka sparaliżowana. Litość go ogarnia. W modlitwie cichej łączy się ze źródłem swej siły, naciera rękę, przymawia biedakowi, budząc wiarę w miłosierdzie boże i oto ręka uzdrowiona! Chory Bogu dziękuje, który go uzdrowił. Ale Jezus znowu odczuł, że z niego wyszła siła, siła boża i ta sprawiła uleczenie.

Na drogach wschodu pełno się spotyka ślepych, po wielkiej części może z porażenia nerwowego wskutek udarów słonecznych. Próbuje na nędznym biedaku Jezus tej dziwnej siły, którą w sobie odkrył: znowu skupienie w sobie siły przez modlitwę, budzenie wiary (suggestja) u chorego, wsparte różnymi ruchami rąk Jezusa, jak pomazanie śliną oczu, i oto, o dziwo, ślepy odzyskuje wzrok. Jezus znika, tak że uzdrowiony nawet nie wie, kto to był. Marek 8, 23.

Zdumiony tym wszystkiem, pyta się Jezus samego siebie: czyż to nie znak jakiś? Znak boży? Czyż mię może Bóg powołuje do jakiegoś zadania? Czyż mam spełnić pracę jakiegoś proroka? I znowu głębokie rozmyślania, nadsłuchiwanie objawienia bożego.

W domach i na ulicach coraz częściej pada słowo: mesjasz. Czasy są ciężkie, dla narodu żyd. zdają się nieznośne. Oni, lud Boży przez pogan gnębieni! Fanatyzm narodowy, podsycany przez stronnictwo patrjotyczne, dochodzi do zenitu. O, gdyby już wreszcie przyszedł obiecany mesjasz i uwolnił nas od gnębiącego i hańbiącego jarzma pogańskiego. Mesjasza wszystko oczekuje.

I Jezus słyszy te słowa. Czyżby vox populi, vox dei? Czyżby i przez usta tego ludu Bóg do niego mówił: Czyżbym... czyżbym ja sam miał być... mesjaszem?

Zawróciło się mu na piewszą taką myśl w głowie. Ale się nie uląkł! Czyż to jednak nie prawda? **Roztrząsa ustępy mesjanistyczne:** „Duch Pański nademną"... czyż tego ducha nie odczuwam przemożnie w sobie? „Pomazał mię Pan, abym opowiadał dobrą wieść cichym, abym zawiązał rany tych, którzy są skruszonego serca, abym zwiastował pojmanym wyzwolenie..." Jez. 61, 1. Któż tego bardziej i głębiej pragnie, jak ja?. „Tedy **otworzą się oczy ślepych...,** poskoczy chromy jako jeleń..." Jez. 25, 5. 6 —, czyż mi Bóg nie dał tej siły, bym wypełnił i to proroctwo o mesjaszu?

Nowsze objawienia nazywają mesjasza Synem Człowieczym, człowiekiem, którego Bóg w niebie gotuje, aby go zesłać jako zbawiciela na świat. Ale jeśli to ma być syn człowieczy, rozumuje Jezus, to on musi być człowiekiem, musi przejść człowieczeństwo na ziemi, aby zrozumieć człowieka i zbliżyć się do niego a potem dopiero, po wypełnieniu człowieczeństwa swego, po śmierci znowu z niebios może być zesłany na odkupienie ludzkości, już jako Syn Człowieczy w potędze mocy — a więc dwie fazy rozwoju: syn człowieczy najpierw na ziemi a potem z niebios zstępujący. To tedy i ja mogę być owym Synem Człowieczym, mesjaszem! I podczas swej działalności późniejszej Chrystus tego przedewszystkiem wyrażenia używa.

Mesjasz ma być Synem Bożym — jak to rozumieć? Psalm 2, 7. Z pomocą przychodzi mu Ps. 32, 6: „Jam rzekł: Bogowieście a **synowie Najwyższego wy wszyscy jesteście**". Argumentu, dowodu tego użyje później wobec faryzeuszów. Jan 10, 34.

Z **pokolenia Dawidowego** ma przyjść mesjasz z Betlemu Mich. 5, 2. A przecież ja z domu tego nie pochodzę! (Jezus nie był z domu dawidowego, jak to później wykażę w ustępie o Betleemie; w każdym razie nie był potomkiem krwi Dawidowej). Znowu z pomocą przychodzi mu rozważanie, Ps. 2: „Rzekł Pan Panu memu: siądź po prawicy mojej, dokąd nie położę nieprzyjaciół twoich podnóżkiem nóg twoich" — i rozumuje tak: jeśli Dawid mesjasza nazywa Panem, tedy ten mesjasz nie może być synem jego, nie może pochodzić od niego. Więc i ja nie muszę być synem Dawidowym a mimo to mogę być mesjaszem. Dowodu tego użyje Jezus potem przeciw uczonym w Piśmie, Mat. 22, 41 n.

Chrystus rozumował swoją drogą tu mylnie, bo psalm ten nie jest pisany przez Dawida, ale przez pieśniarza królewskiego, który tak myśli: Pan (Bóg) rzekł królowi (memu panu). Bardzo wyraźny mamy ten sam bieg myśli 1 Królewska 1, 36: „I odpowiedział Banajas: Niech to stwierdzi Pan, Bóg króla, pana mojego". Ale tradycja wierzyła w to, że wszystkie psalmy napisał Dawid sam a miejsce to uważano za mesjanistyczne jak wiele innych miejsc, które wcale mesjanistycznymi nie były. Jezus, który wierzył w dosłowne natchnienie Pism, szedł tu za tradycją. W tym wypadku traf chciał, że miał słuszność, bo

dlaczegóż misja mesjasza miała koniecznie być połączona z domem Dawida?

Pochodzę z **Nazaretu**... Czyż prorok Amos 2, 11 nie mówi o Nazarejczykach, których Bóg wzbudza z synów izraelskich? Czyż może i to słowo nie odnosi się do Mesjasza? Później ewangelista Mateusz 2, 23 użyje tego słowa w tym właśnie duchu.

W ten sposób powoli Jezus coraz więcej dochodził do pewności, że jest mesjaszem. Zwłaszcza silne, **mistyczne poczucie jedności, społeczności z Bogiem** było mu tu wewnętrznym, najbardziej przekonywującym dowodem. **Jezus poczuł się Chrystusem, mesjaszem**. Widok kapłaństwa w siedzibie jego na górze Moriji, odczucie koniecznej potrzeby wyzwolenia ludu ku głębszemu życiu religijnemu, co się inaczej niemogło stać, jak przez usunięcie zgubnego wpływu tej góry z jej kapłanami, dokonać zaś tego mógł jedynie mesjasz — to zrodziło w nim ten bieg myśli, który go wyniósł z wyżyny Moriji na wyżynę poczucia mesjanistycznego. W ciągu paru miesięcy po ostatnim tu pobycie, któryśmy opisali, Jezus poczuł się Chrystusem.

Są zdania teologów, że świadomość mesjanistyczna obudziła się w Jezusie **dopiero po chrzcie Jezusowym**, ba nawet dopiero w ciągu jego działalności publicznej. Jest to przypuszczenie zupełnie niezasadnione. Jezus odrazu występuje w pełnej świadomości Chrystusa; na początku działalności obiera 12 apostołów — przyszłych sędziów 12 pokoleń izraelskich! Od samego początku działalności widzimy u niego całą głębię jego mesjanistycznej duszy; lud to odrazu odczuwa, że uczy jako „moc mający" Mat. 7, 29. Owszem późniejsza działalność przynosi niejedno rozczarowanie, odstąpienie niejednego ucznia, coby raczej moglo osłabić jego poczucie mesjasza. Że uczniom swoim Jezus nie odrazu się objawił jako Chrystus, to jest mądre wychowawcze jego postępowanie — chciał, żeby uczniowie sami na podstawie tego, co widzą, doszli do przekonania tem głębszego, że on jest Chrystusem.

Taka głębia, taka pełnia myśli, taka moc jako ją widzimy u Chrystusa zaraz od początku jego wystąpienia nie da się zaimprowizować, nie da się stworzyć od razu ani wycudować chrztem Janowym, to wszystko u Jezusa było już wytworzone w ciągu długich lat wewnętrznego rozwoju, na który się złożyły genjalne jego dary, stosunki, warunki, w jakich żył.

Taki Chrystus nie mógł powstać u Hotentotów; mógł powstać tam, gdzie kultura religijna tak wysokie, jak u Izraela osiągnęła szczyty, mógł powstać tylko wtedy, kiedy przyszło wypełnienie czasów.

Oczywiście mam głęboką wiarę, że przez to wszystko działała Mądrość najwyższa, Bóg; ale **Bóg działa nie przez nienaturalności, ale przez siły natury i to jest Jego wielkością.**

Tak objawił się i Chrystusowi, w naturalny a nie nadnaturalny sposób. A człowiekowi myślącemi też tylko taki Chrystus a nie sztuczny Deus ex machina, bóg maszynowy może być bliski, bo zrozumiały jak człowiek człowiekowi a o to się pewnie i Bogu rozchodzi! Tak Jezus stał się Chrystusem.

Gdybyśmy nie przyjęli tego psychologicznego zrozumienia rozwoju poczucia mesjanistycznego u Jezusa, jak je mniej więcej właśnie przedstawiłem, toby Ch-a trzeba było pojmować prawieże jako **szaleńca religijnego,** któremu się nagle poprostu przewróciło w głowie. Jeśliby ktoś nagle zaczął mówić, że jest mesjaszem, że jest jedno z Bogiem, że niedługo przyjdzie na sąd w potędze niebieskiej, aby królestwo boże założyć na ziemi i zacznie gwałcić religijne przepisy tradycją uświęcone i na śmierć wyzwie taką potęgę jako nią było i jest kapłaństwo — czyżby ktoś słusznie nie przypuszczał, że się mu pomyliło w głowie, że dostał obłędu religijnego.

Tak tę rzecz przyjęła zrazu rodzina, Marek 3, 21: „A gdy o tem usłyszeli jego powinni, przyszli, aby go pojmali, bo mówili, że odszedł od rozumu".

Tak tę rzecz przyjęli zrazu i kapłani, wodzowie ludu, co trzeba w każdym razie powiedzieć na ich częściowe usprawiedliwienie z powodu ich wrogiego do Ch-a stosunku. Obok osobistej urazy z powodu wytykania im wad, z pewnością i to zaważyło na szali, że Ch-a uważali za niebezpiecznego warjata. Jedni i drudzy nie przeczuwali wewnętrznego, ukrytego rozwoju Ch-a w kierunku mesjanistycznym.

Tymczasem logiczność religijnego rozumowania Chrystusa, bystrość jego umysłu i potęga w działaniu wszystko to nie o pomieszaniu zmysłów, ale o tężyźnie ducha jego świadczy. Rodzina też się potem o tem przekonała i uznała go za Mesjasza, co iest jednym z dowodów jego potęgi, bo rzadko

najbliżsi, znający wszystkie wady człowieka stają się jego wielbicielami. Brat Jezusowy, Jakób był przełożonym pierwszego zboru w Jerozolimie Gal. 1, 19. **Ch. obłąkańcem nie był; czem się stał, stał się na podstawie 30-letniego rozwoju. Na podstawie logicznego, religijnego myślenia Jezus stał się Chrystusem.** Ch. wiedział dobrze, że przed przyjściem mesjasza ma przyjść jego poprzednik. Tak mówiły, jak się jemu przynajmniej zdawało, pisma. Jezajasz 40, 3 pisze: „Głos wołającego na puszczy: „Gotujcie drogę Pańską"; słowo to było wezwaniem historycznego proroka-poety, by ludowi mającemu już wracać z niewoli babilońskiej przez pustynię do Jeruzalem, przygotowywać już drogę. Tradycja a za nią lud i Chrystus słowo to odnosili do czasów mesjasza, przed którego przyjściem miał zjawić się Elijasz czy jaki inny prorok, by mu przygotować drogę. Czekał więc Chrystus, czy ten głos wołającego na puszczy się ozwie i będzie dla niego ostatecznym upewnieniem jego powołania i wezwaniem do rozpoczęcia działalności.

I oto głos ten naprawdę rozbrzmiewa! Zjawia się **Jan Chrzciciel** nad Jordanem i zapowiada bliskie przyjście mesjasza, któremu gotuje drogę, głosząc chrzest pokuty.

Jan Chrzciciel to typowe wydanie pierwotnych proroków izraelskich w rodzaju Amosa i Hozeasza. Cechuje go przedewszystkiem nieustraszona bezwzględność głoszenia poznanej prawdy; prawda ta jednak to nie głębia myśli, obejmująca możliwie całokształt życia, jak to widzimy u Ch-a, to nie pieśń, rzekłbym grana misternie na wielostrunnym instrumencie, to raczej alarm głośny wybijany jakby na bębnie i to z taką mocą, idącą nietyle z rąk, ile z głębin przejętego ducha, taki w nim rytm i poryw, że wszystko obudzi, przejmie dreszczem i poruszy do głębin duszy. Trzeba słyszeć alarm na bębnie u bardziej prymitywnych ludów wschodu, aby mieć o tem pojęcie. Podobny temu jest alarmowy krzyk człowieka w śmiertelnym przestrachu — na taki krzyk wszystko się zrywa.

Taki był alarm, takie było „wołanie" Jana na puszczy. Cóż to był za alarm? — „Pokutujcie, albowiem się przybliżyło królestwo niebieskie!" Rozumiał przez to Jan bliskie przyjście mesjasza, który w dzień bliskiego już sądu swojego wytraci złych — „plewy spali ogniem nieugaszonym" a z pomocą dobrych z domu izraelskiego założy panowanie swoje na ziemi—

„pszenicę swoją zgromadzi do gumna". Kto chce ujść strasznego sądu, niech się zaraz nawróci, pokutuje, aby zyskał odpuszczenie grzechów.

Jan Chrzciciel zjawił się w czasie ogólnego napięcia w Izraelu. Cały febryczny niepokój narodu zogniskował się w nim. Przez dziwną intuicję odczuł, że przyszło wypełnienie czasów, że wisi coś wielkiego w powietrzu, jakiś przełom decydujący. Nie mogło to być nic innego: mesjasz tuż, tuż przed drzwiami! Bóg mi to objawia, Bóg nakazuje, abym w myśl proroctw przygotował drogę! Muszę wołać na puszczy!

I zawołał całą mocą swej przejętej do głębi duszy.

Głos był tak potężny, osobistość tak dziwna, nastrój ówczesny tak dostosowany, że na alarm ten dosłownie wszystko w Izraelu porwało się na nogi.

Na Chrystusa kazanie Janowe miało wpływ decydujący. Dusza jego była jako ten nabrzmiały życiem pąk kwiatu i tylko promienia wschodzącego dnia było trzeba, by się otworzył i zajaśniał w całej krasie.

Idzie nad Jordan i przyjmuje chrzest z ręki Janowej i ma widzenie, które drogą medjumiczną udzieliło się również Janowi a może i podatnej części otoczenia: „otworzyły... się mu niebiosa i widział Ducha Bożego, zstępującego jako gołębicę i przychodzącego nań; a oto głos z niebios mówiący: „Ten jest on Syn mój miły, w którym się mi upodobało". Mat. 3, 16.

Ewangelje synoptyczne (trzy pierwsze) mówią, że Ch. po chrzcie w Jordanie czyni ostatnie przygotowanie do publicznego wystąpienia, poddaje się przez 40 dni postom na puszczy i rozmyślaniom. Rozmyślania te ewangeliści przedstawiają w formie kuszenia Chrystusa przez djabła.

Jedno z tych pokuszeń odbyło się tu na górze Morija, wysoko na ganku kościelnym. Ponieważ wszystkie te trzy pokuszenia, Mat. r. 4, są treścią bardzo pokrewne, przeto przedstawiny je w związku z **pokuszeniem czy rozmyślaniem Ch. na górze Morija**, skoro już na niej tak długo stoimy. Trzy te pokuszenia możnaby nazwać pokuszeniem: dostatków, sławy i władzy, wszystkie one mają źródło w samolubstwie, w przeciwstawieniu do zaparcia siebie samego.

Na puszczy słyszy Ch. głos: „Rzecz, aby się te kamienie stały chlebem" — bez pracy, bez trudu osobistego mógłbyś

opływać **w dostatki** — takie masz zdolności! mówi mu kuszący głos wewnętrzny; a tak idziesz na poniewierkę, nie będziesz miał, gdzieby głowę skłonić! Paruje Ch, to pokuszenie wiekopomnem: **„Nie samym chlebem człowiek żyć będzie, ale każdym słowem, pochodzącym przez usta Boże“.**

Z poblLskich pustyń gór judzkich idzie Ch. do Jeruzalem, do tej twierdzy kapłaństwa, z którym się mu rozprawić przyjdzie ostatecznie. Chce wypatrzeć tę twierdzę we wszystkich szczegółach; wychodzi na ganek kościelny, tu na Morija. „Jeśliś jest Syn Boży, spuść się na dół“ — **uczyń cud, stań się sławnym** a uwierzą ci, zabiegać będą o Twe względy, będziesz miał wszystkich na usługi.

Nie cudem, ale pracą wewnętrzną, pracą ducha człowiek może być zbawiony, **cud człowieka tylko oszołomi, ale nie tknie jego głębi, a ta jest podstawą istoty.** Dlatego też Ch. z zasady nie lubił cudów, wolał wychowywać słowem i przykładem; nie widzimy u niego ani jednego wypadku, gdzieby się chciał dla siebie popisywać cudem. „Cudem” posługiwał się tam, gdzie bliźniemu mógł dopomóc, ale i tam prawie zawsze zakazywał, o ile cud nie był publiczny, by o nim nie mówiono. Wiele też cudów w ewangeljach jest wytworem późniejszych legend, co widać z tego, że wiele cudów i to ważnych, nie podają wszystkie ewangelje, ale tylko jedna albo dwie, ale nie wszystkie. Np. o żadnym cudzie zmartwychwzbudzenia przez Chrystusa nie piszą wszystkie cztery ewangelje a przecież takie cuda nie mogłyby ujść powszechnej uwagi.

O ile ktoś przyszedł do Ch. i prosił o cud jako znamię, to go nigdy nie wysłuchał, owszem zganił. Kiedy uczeni w Piśmie zażądali od niego cudu, nazwał ich rodzajem złym i cudzołożnym i cudu nie zrobił Mat. 12, 38.

Jakżeż daleko od ducha Chrystusa są te religje, które wprost gonią za cudami, ba cudactwami, hodują wprost u swych wiernych ten nałóg, zamiast go zwalczać a dowód świętości widzą nie w pracy, ale w wątpliwych cudach! Czyżby Ch. nie miał dla nich tej samej odpowiedzi Mat. 12, 39.

Z tych samych powodów Ch. odrzucił też pokuszenie władzy, potęgi — „wszystkie królestwa dam ci, jeśli się mi pokłonisz”. Człowiek tak zdolny jak Ch. władzę tę mógł mieć z łatwością.

Może mu na myśl przyszło, żeby **zewnętrzną potęgą przeprowadzić reformę.** Prawie każdy z nas ma takie ma-

rzenia: gdybym miał moc, tobym to wszystko przemienił! Zwaliłbym, zburzył to, co złe a nowe warunki stworzył! Pewnie Ch-owi taka myśl przyszła do głowy, by cielesną mocą pokonać to kapłaństwo i nowe królestwo izraelskie, doskonalsze założyć. Takie myśli o Chrystusie mieli aż do końca uczniowie jego, po części nawet jeszcze po jego śmierci, Dzieje 1, 6.

Ale Ch. wiedział dobrze, że na potęgę znajdzie się zawsze inna potęga, która tą pierwszą przemoże — „którzy miecz biorą, od miecza giną“ Mat. 26, 52: wojna zawsze wojnę rodzi; **decydujące zwycięstwo to zwycięstwo ducha,** nie w formie zewnętrznej potęgi, ale poświęcenia. **pracy,** ofiary miłości.

Potęga? Zastanawia się dalej Ch. Będę potężnym, będę królem, ale nie królem królów, ale **królem biednych,** uciśnionych, prostaczków; stamtąd wydobędę perły, które tam cierpienie włożyło i nowe skarby dam ludzkości... Będę tym królem, co w siermiędze pomiędzy ludem chodzi i pomoc przynosi, nie tym, co na tronie siedzi i sługi ma dookoła siebie i mieczami otoczony, aż go ktoś sztyletem zgładzi!

Walić potęgą, niszczyć, burzyć? I oto przedewsz. **żal** budzi się w sercu jego. **Zapłacze nad Jeruzalemem,** Mat. 23, 37. Czyż i między tymi kapłanami nie ma ludzi? Wielu tam służy z nieświadomości, w dobrej wierze, dla idei... Czyż nie ma tam takich jak Zacharjasz, ojciec Janowy, jako Nikodem, książę żyd. z rady kapłańskiej? Czyż nie da się może jeszcze zapowiedzianego przez proroków zniszczenia świątyni i ludzi uniknąć a może i tych najzatwardzialszych nawet pozyskać? Nie, nie chcę niszczyć! nie chcę cielesnej potęgi! „Syn Człowieczy nie przyszedł zatracać dusze ludzkie, ale zachować“ Łuk. 9, 56.

Spróbujemy! Odpędza od siebie pokuszenie władzy, myśl reformowania przez moc i gwałt i **idzie z tej góry do Galilei,** między lud, by służyć, oświecać, **miłością zdobywać** a potem z tym ludem tu na Morija przyjść do ostatecznej ze starym systemem rozprawy, by nowy najdoskonalszy dać narodowi swemu a przezeń ludzkości...

I idzie Ch. rzeczywiście między lud biedny, spracowany i pracuje niezmordowanie jako ten mocarz, ale nie cielesny, lecz duchowy, jako moc mający; pomaga i w cielesnych dolegliwościach, leczy i dając dobrą radę, ale przedewszystkiem

budząc życie wewnętrzne, religijne, bo wie, że tu jest źródło odrodzenia.

Cała energja wewnętrzna, gromadząca się w nim od wielu lat wyładowuje się teraz z niebywałą siłą Mat. 9, 35 „I obchodził Jezus wszystkie miasta i miasteczka, nauczając w bożnicach ich i każąc ewangelję"... Sławę jego pomnażają **„cuda"**, które z pewnością były, dokonywane **ponadnormalną,** jednak **nie ponadnaturalną mocą.** Sugestywną siłą wiary, jak sam to zaznacza, leczy wiele chorób, zwł. nerwowych; gdzie tej wiary u ludzi braknie, nie może nic zdziałać, Marek 6, 5 n.; wyraźnie Ch. zaznacza, że i inni przez wiarę tosamo, co on, ba więcej zdziałać mogą, Jan 14, 12.

Niektóre cuda Ch-owe można tłumaczyć jego medjumicznymi zdolnościami, np. cudowny połów ryb, Łuk. 5, 6 — Jezus siłą jasnowidzenia swego odkrywał, gdzie ryby ławicą ciągną; chodzenie po wodzie, Marek 6, 48 tłumaczyćby można siłą lewitacji, objawu medjumicznego (później); przemienienie na górze, Mat. 17, 1 n. tłumaczyćby można Ch-owym widzeniem, które w transie udzieliło się uczniom itd.

Wiele cudów podanych przez ewangelje jest później powstałą legendą ludu, który łatwo w opowiadaniu cuda stwarza, ale i te, które Ch. rzeczywiście czynił, wystarczyły, by imię jego rozsławić szeroko i daleko. Cała Galileja pełna jest jego imienia, echo jego odbija się i o mury świątyni. Wysyłają jeruzalemscy kapłani wywiad do Galilei, Mat. 15, 1...

Mają oni już sprawozdanie od faryzeuszów galilejskich, że Chrystus gwałci sabat, nie pości, nie przestrzega obmywań i różnych innych formalistycznych przepisów zakonu...; przyszli, aby go pociągnąć do odpowiedzialności.

Ch. na początku działalności swojej nie omijał faryzeuszów; przyjmował nawet ich zaproszenia w domy, Łuk. 7, 36, wchodził wszędzie, gdzieby mógł duszę pozyskać dla głębszego religijnego życia. Ale coraz więcej się o tem przekonywał, że z tymi ludźmi niema nawet co zaczynać. Przeważnie garną się w ich szeregi tacy, którzy z natury mają skłonność do wygód życia a nie borykania się z życiem, ludzie, którzy umieją wykorzystywać religijność ludu i „pod pokrywką długich modlitw pożerają domy wdów", Łuk. 23, 14; umysły pasożytnicze, niezdolne do pojmowania Ch-owych zapatrywań na religję i życie. Łatwiej przejść wielbłądowi przez ucho igielne niż takim do

królestwa Ch-owego. A jeśli zabłąkają się w ich szeregi inni, inni, idealniejszego pokroju, to przeważnie duch ich odrębny ginie i deprawuje się pod tresurą fałszywego systemu kapłańskiego; ostają się tylko wyjątki — widać tem cenniejsze, skoro ich nie zdołał przerobić na swą modłę młyn kapłański (z takich wychodzą potem reformatorowie, byli kapłani.

Naogół kapłani nietylko nie dadzą się pozyskać dla innej, wyższej idei, ale są właśnie największą przeszkodą do jej zwycięstwa, bo umieją strzec swych interesów i przytłaczać wszystko organizacją swą. Ale Ch. się, ich nie lęka, owszem publicznie gromi: „Biada wam, nauczeni w Piśmie i faryzeusze obłudni! iż zamykacie królestwo niebieskie przed ludźmi; albowiem tam sami nie wchodzicie ani tym, którzyby wejść chcieli, wchodzić nie dopuszczacie" Mat. 23, 13; co gorsza, to wszędzie się wciskają niepowołani i szukają, aby jaknajwięcej swoim systemem zakazić i zepsuć dusz, po dzisiejszemu mówiąc, aby sklerykalizować jak największe i najszersze warstwy społeczeństwa „Biada wam, iż obchodzicie morze i ziemię, abyście uczynili jednego nowego żyda; a gdy się stanie, czynicie go synem zatracenia dwakroć więcej, niżeście sami, Mat. 23, 15.

Ch. coraz więcej widzi, że jego pierwotna myśl pozyskania może i tych sfer dla sprawy królestwa bożego i uchylenia przez to bożego wyroku, wiszącego złowrogo nad świątynią góry Morija — że ta myśl nie da się urzeczywistnić „ilekroć chciałem — a nie chcieliście!" Mat. 23, 37. **Starcie śmiertelne jest nieuniknione...** Ch. widzi, że wyroki boże ustami proroków o tym miejscu głoszone, spełnić się muszą. Zburzenie świątyni i jej kapłaństwa musi nastąpić, ale aby wyroki te były pełne, musi przedewsz. idea kapłańskiej zastępczej ofiary być usunięta, bo inaczej kapłaństwo gdzieindziej wybuchnie z większą jeszcze siłą... musi być dany przedewsz. żywy przykład ofiary ze siebie samego, dokonanej z najwyższej miłości.

Jako dobra matka, naturalną miłością wiedziona poświęca się dla dziecięcia bezinteresownie i tem je wychowuje i ciepło jej miłości staje się, nawet po jej śmierci, źródłem wszelkich dobrych nietylko wspomnień, ale i porywów dziecięcia i ona jest tą najważniejszą cegiełką pod gmach spełeczny. — Jako wynalazca z narażeniem własnego życia pracuje nad dobrym wynalazkiem; jako robotnik na trudną idzie i niebezpieczną pracę, by i inni żyć mogli; jako szlachetny i w ogień skoczy, by

ratować ginących, choćby i z własnej winy ginących; jako miłujący Ojczyznę i piersi swej nadstawi, by bronić przed napastnikiem innych i krew swą darować dla życia innych — tak i w życiu religijnym Ch-owi ta sama przyświeca myśl: **śmiertelny bój musi być stoczony i tu ze złem; na ofierze miłości i w religji wszelki postęp się opiera, na niej buduje się przyszłość.**

Tę ofiarę Ch. postanawia złożyć ze siebie samego. Przed oczyma jego wielkiej duszy coraz jaśniej się maluje obraz **„Sługi Bożego", Jez. 52, 13** i Jez. 53, który cierpiąc z winy swoich, przez nich udręczony niewinnie, cierpliwie, jako owca na rzeź wiedziona, znosi ból swój i pohańbienie i przez tą swoją ofiarę, jakgdyby za grzechy swoich, prowadzi lud do upamiętania i wszystko kończy się szczęśliwie: Sługa Pański, zabity, w jakiś niewyjaśniony sposób ożywa i „z pracy duszy swej ujrzy owoc..., znajomością swoją wielu usprawiedliwi sprawiedliwy sługa mój; bo nieprawości ich on sam poniesie".

Miejsce to o mesjaszu mówi, tak rozumuje Ch., jako mesjasz wypełnię je z woli Ojca mego niebieskiego: położę życie swe ofiarą za lud, który ma być zbawiony!

Ten obraz „Sługi Bożego" Ch. wziął sobie za wzór i wypełnił go poraz drugi historycznie i to w potężniejszej jeszcze formie.

Z ustępu tego wywnioskował, że **musi umrzeć, ale ożyje!**

Powoli przygotowuje na to uczniów swoich, którzy tego nie mogli pojąć i nie pojęli, aż dopiero po śmierci jego.

Teraz Ch. już wprost **wyzywa śmierć!** atakuje kapłaństwo bez pardonu; wreszcie postanawia zaczepić je w centralnej jego siedzibie w świątyni jerozolimskiej i tu umrzeć ofiarą, by ożyć na nowo ku zwycięstwu. Wybiera dla dokonania nowej ofiary największe święto starej ofiary — **Wielkanoc.**

I oto, patrzcie! jak zapowiedziano przez proroka, Zach. 9, 9 wjeżdża do Jeruzalem na czele ludu, siedząc nie na koniu jako świeccy władcy, ale na oślicy jako król pokoju Mat. 21, 1 n.

Już dawno ta góra Morija nie przeżyła tak wielkich dni.

Na czele wielkich tłumów, krzyczących na jego cześć, wkracza Ch. do świątyni i wypędza biczami wszystkich kupczących świętościami a gołębie na ofiarę przeznaczone wypuszcza, jakby na znak, że te ofiary niepotrzebne. Pada gromkie słowo:

„Z domu modlitwy zrobiliście jaskinię zbójców“... rzeźnię — również słowo przeciw ofiarom: „Przychodzi co dzień, by uczyć lud“.

Następują zacięte spory z uczonymi w Piśmie, których Chrystus niezwykle głębokim tłumaczeniem Pisma zupełnie pokonywa i zamyka im usta, tak że unikają już dysput z nim, Mat. 22, 46, by się nie ośmieszać przed ludem, który się zdumiewał nad nauką Jezusową i uwielbiał go.

W podobieństwach zapowiada „odjęcie od nich królestwa Bożego“, Mat. 21, 43. Zwłaszcza r. 23 Mat. pełen jest „biada“ przeciw uczonym w Piśmie i faryzeuszom a zakończonym groźbą „oto wam dom wasz pusty zostanie“, zapowiedź zniszczenia świątyni.

To zniszczenie bliżej opisuje uczniom swoim w r. 24 Mat., przyczem opisuje bliżej, ale w słowach pełnych niejasnych podobieństw i porównań, ostateczne dni, kiedy przyjdzie na ostateczny sąd (t. zw. mała apokalipsa). Jest przekonany, że to przyjście jego powtórne nastąpi jeszcze w tym wieku, za tego pokolenia, Mat. 24, 34, n.; dnia ani godziny dokładniej nie określa, ale zapowiada, że w tym wieku się to stanie; tak też zrozumieli go apostołowie a za nimi wierzyli tak potem chrześcijanie.

Kapłani, pobici na głowę w dysputach, widząc, że lud cały stoi po stronie Chrystusa, postanawiają **pokonać go podstępem** (taka jest zawsze ich droga!). Trzeba go zdradą chwycić w nocy, rozumują, zelżyć, zbezcześcić, związać i wydać w rękę Rzymian i takiego pokazać ludowi. Niepodobna, aby lud, widząc tak sponiewieranego człowieka, jeszcze dłużej wierzył, że to mesjasz, którego lud wyobraża sobie jako potęgę, mającą przywrócić królestwo izraelskie. Plan był obmyślany z iście kapłańską chytrością i udał się, przynajmniej narazie. Znaleźli pomocnika nawet w gronie Jezusowym — Judasza, który im go miał wydać w nocy.

Siłą swego jasnowidzenia przeczuł to Chrystus; nie uchodził, jak kilkakrotnie dawniej, kiedy misja jego nie była jeszcze skończona. **Teraz sam chce tej śmierci — ofiary. Niech kapłaństwo pokaże, co potrafi! Niech zamierzy się do strasznego ciosu — uderzając, przewróci się!** Niech choroba ludzkości, do najwyższego nasilenia dojdzie — wtedy nastąpi wyleczenie! Gotów jest „nie sprzeciwiać się złemu“, ale naj-

większą cierpliwością, jak on Sługa Pański z Jezajasza, je przemóc.

Głucho zatrzaskują się za nim we czwartek pod wieczór bramy świątyni a kapłan spoglądając za nim z murów góry Morija, zaciera ręce i szepce: Już tu więcej nie wejdziesz a pójdziesz tam na to wzgórze trupie, **ną Golgotę!** Nie ty nas, ale my ciebie przemożemy!.

Wie o tem i Chrystus Dlatego trzeba mu przed śmiercią sporządzić testament (ustanowienie św. Wieczerzy), trzeba mu do ostatniego boju przygotować się modlitwą (Getsemane). Pójdźmyż i my z Nim, poszukajmy tych miejsc, rozważmy ustępy, które o tem mówią.

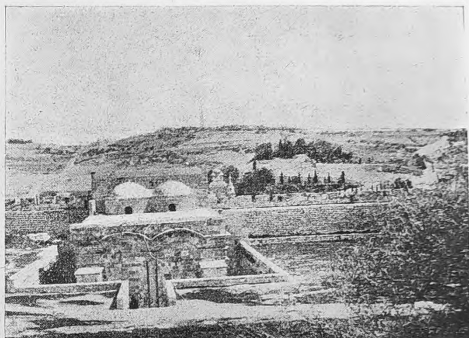
Z ZIEMI ŚWIĘTEJ NOWOCZESNE „WIERZĘ".

Tak zwiedzałem różne zabytki góry Morija i rozważałem dzieje tego historycznego miejsca — rozważanie długie i nużące pewnie czytelnika, ale są to rzeczy zasadnicze, stanowiące skrzyżowanie dróg myśli rel., która przecież ma tak doniosły wpływ na całokształt życia, że trzeba się nad tem głębiej zastanowić; obchodzą te sprawy nietylko teologa, ale wogóle człowieka.

Potem wylazłem na mur, okalający wzgórze i po nim doszedłem aż do t. zw. **Złotej Bramy**; piękny widok rozciąga się stąd na Górę Oliwną z wieżą kościoła Wniebowstąpienia w pośrodku na szczycie; lasek na prawo od bramy jest powyżej Getsemane, bo poza widocznym murem jest dolina Cedronu. Stroną Złotej Bramy, od wschodu wchodzili dawniej do świątyni pielgrzymi od strony Góry Oliwnej, między którymi bywał i Jezus.

Chodzę tak po murach i zaglądam wszędzie i szperam ciekawie, czy czego nie znajdę; przypomina mi się owa historja znalezienia przez Helkijasza zakonu Mojżeszowego przy przeszukiwaniu schowków starej świątyni; może i ja coś znajdę? I miałem szczęście! Przy Złotej Bramie z pośród kamieni, trochę przysypanych świętą tą ziemią wyłania się mi rękopis a na nim napis: **Piąta ewangelja** czyli raczej klucz do czterech ewangelij a dalej **Nowe Wierzę...** Początek „piątej ewangelji"

pisany wierszem a raczej tylko rymowany i to częściowo; widocznie rymy są tylko dla sprecyzowania myśli; prawidła wierszowania zaniedbywane przez wierszokletę, widocznie więcej się mu o myśl niż formę rozchodziło. Pierwsze słowo po hebrajsku: Bereszith, tak zaczyna się biblja; drugie słowo po grecku: En arché, tak zaczyna się czwarta ewangelja, ewang. Jana; oba słowa po polsku znaczą: na początku, poczem tu



Złota Brama.

i tam idzie opis stworzenia świata; piąta ewangelja również daje opis „stworzenia świata" czyli tzw. kosmogonję:

בראשית = Ἐν ἀρχῇ = Na początku... Nie było początku!
Wieku Istość z bezdna swego jedno-dwoje wyłania Sił:
Ciężkość i Ruch w swe istnienie wchodzą,
Ujem i Dodat (minus i plus) z sobą przywodzą.
Ciężkość jako ciało (substancja) się krysztali,
Siłę wnet Ruchu wiekiem przywali.
Lecz Ruchu moc, w wszechświadomość zjęta,
Ciała ciężkości nakłada pęta.
Tak dwie się wyżywają, krysztaląc się siły,
Dwoje a jednak w jedną Przyrodę złączeni,
Jedno a dwoje — z Wieku Istości stworzeni.
Ciało i Duch w wszechorganizm świata zjęci,
Gdzie to Bóg jest wszystko,
Lecz nie Bogiem wszystko!

Z przyrody Życie się rodzi
I życia z siebie wywodzi!
Roją się życiem już wszechświata sfery,
Pełne go lądy, powietrze i morza;
Wreszcie **człowieka** nadchodzi już zorza:
W słabym brzasku dnia na opar wód
Spoziera Bóg i staje się cud;
Uchwyta ciało słaby odblask Twarzy
I chłonie w siebie twórczą Boga moc;
Ucieka znowu w ciemną ziemi noc;
Lecz wnet się mu marzy,
Że samo jest Bogiem, że samo jak Pan
I stwórcą się czuje jak Stwórca!
I na początek stwarza początek, stwarzając czas.
Na początku.., nie było początku;
Lecz tu jest początek,
Tu dziejów jest wątek
Tu pierwszy jest dzień!
Lecz wnet pada cień
Trwogi i bolu na wszystko stworzenie,
Leją się wszędzie straszne krwi strumienie:
Gdziekolwiek ziemski ten stąpił pan;
Mnogo wnet wszystkim zadaje ran,
Najwięcej jednak sobie samemu!
Gdzież zaradzenie jakie jest złemu?:
Raz wraz Pan z góry na ziemię spoziera;
Dzień coraz wyższy i ziemia odbiera
Coraz wierniejsze Prawdy odbicie,
Coraz głębsze nurtuje ją życie...
Palą prorocy bałwochwalcze gaje,
Niebieskie duchom otwierają raje.
Tak idzie wypełnienie dnia...
Spojrzał Pan znowu na ziemi oblicze!
Wiernie już chwyta Jego prawdy lice;
Rodzi się wreszcie już **Człowiek wtóry**
Świętej Ziemi wydają go góry.
Na niego nastawione były wieki,
Ku niemu długo szły czasy dalekie!
Tu nowy nam jest początek,
Tu nowych dziejów jest wątek,

Tu wtóry jest dzień!
Lecz znów pada cień:
Lud szczery otworzył mu serce,
Lecz byli i mocni bluźnierce —
Człowiek ziemski, butny pan
I samolubny kapłan!
„A narodzenie Chrystusa takie było", Mat. 1, 18:

Czytaj o tem cztery ewangelje, ale czytaj je jako człowiek, widząc w Chrystusie człowieka, podstawę i nadzieję człowieczeństwa. **W co w Piśmie wierzyć nie możesz, nie wierz!** Bądź przedewsz. szczerym wobec siebie, ludzi i Boga, wtedy On ci drogę wskaże! Wiele w świętych księgach kapłańskiego balastu, tak dużo, że ci prawdziwy Ch. nieraz z oczu znikać się zdaje, żebyś zniechęcony zawołał: **St. Testament to jeszcze nie Ch., a nowy to już nie Ch.!** Ale nie zniechęcaj się łatwo! wśród szczątków i ruin „szukaj a znajdziesz, pukaj a będzie ci otworzono", Mat. 7, 7—8. Znajdziesz ślady prawdziwego Chrystusa, byś w nie mógł wstąpić. Znajdziesz w tych księgach, mimo wszystkie niedomagania, jeszcze tak wiele, jak nigdzie gdzieindziej, że żyć będzie mogła dusza twoja; włóż w te ewangelje siebie a znajdziesz, bo poznasz siebie.

Nigdy nie czytaj tych ewangelij jako w cudach się lubujący, egoistyczno-kastowi kapłani, którzy na „podstawie" ewangelij, a właściwie ludzkich naleciałości w nich, opaźniają człowieczeństwo, rozbijając je na partje — kościoły. Zapomnieli o człowieczeństwie Chrystusa i oddalili Go od duszy ludzkiej!

Ale oto On **idzie** już, jak zapowiedział, jako **Syn Człowieczy!**

Idzie z sądem na Morija a z miłością wyzwolenia do czekającego ludu!

Słychać już mocne Jego kroki,
Błyskawica rozświetla mroki!
Już **ludzkość** acz w bólach, **się rodzi:**
Boże idzie królestwo! Z królestwem ludzkości
Idzie z Bogiem zjednoczenie ludzkości...
Wielkie przeżywamy, acz ciężkie rodzenia dni...
„Gotujcie drogę Pańską", bo nowy idzie początek!
Tu nowych dziejów jest wątek,
Tu trzeci jest dzień!

Na końcu rękopisu idzie „wierzę"

Wierzę w Boga Ojca, Ducha wszechświata.
Przez Chrystusa-Człowieka wierzę w człowieka.
Wierzę w zjednoczenie człowieka i ludzkości z Bogiem.

Uwaga. Kosmogonicznego pow. obrazu zasadniczą myślą jest, że Byt jest zawsze ten sam, choć różne formy przybiera — w sobie samym jest rozdwojony a jednak jednością.

Początku wogóle niema ani nie masz też absolutnego końca, są tylko początki i zakończenia pewnych form Bytu.

Pierwsza forma to wiekuistość = wieczność.

Polskie to słowo pozwoliło mi użyć gry słów, aby wyrazić myśl dwoistości i jedności; słowo to stanowi jeden wyraz a jednak można go rozłożyć na 1) wiek i 2) istość czyli istnienie.

Przez słowo „wiek" rozumię substancję czyli „materjalną" widzialną stronę Bytu. Słowo to oznacza długi okres czasu, stulecie albo i więcej, stąd wieczność, okres bez czasu. Kiedy na umarłego w trumnie przykrycie nakładano, nazwano je wiekiem, ponieważ na wieki przykrywano umarłego; stąd dopiero nakrycie każdej skrzyni nazwano wiekiem; wieko zamyka treść skrzyni i dlatego przez słowo wiek rozumię w owym obrazie kosmogonicznym substancję, ciężkość, która zamyka, tamuje ruch, istnienie, ducha...

Wiekuistość oznacza więc najpierwotniejszą formę sił Bytu, których jest dwoje a jednak są jedno; wyrażenia ciężkość i ruch, ujem i dodat oczywiście są obrazami i nie mam tu na myśli plus i minus np. elektryczności, ale napięcie pomiędzy siłami Bytu.

Siły te krystalizują się w substancję i we wszechświadomość, poczem razem 'zjęte, zjednoczone stanowią Przyrodę z jej realnym życiem, przyrodę, w której Bóg jest wszystkiem, tzn. najistotniejszą treścią, choć nie możemy powiedzieć, by i substancja przyrody, o ileby nawet z Boga mogła wyjść, wyłonić się — również była Bogiem, jak twierdzi panteizm, uczący, iż wszystko jest Bogiem.

Bliższe uzasadnienie tego światopoglądu znajduje się w rozdziele: wszechświat a Bóg. Nazywam go tam organomizmem, patrząc się na wszechświat jako wszechorganizm, którego Duchem jest Bóg a ciałem skrystalizowane w substancję siły i nieskrystalizowane siły — promienie, które obejmuję nazwą energanny, w przeciwstawieniu do nirwanny.

Nazywam też ten **światopogląd harmonizmem,** bo nie widzę we wszechświecie sprzeczności, ale tylko przeciwieństwa, konieczne zresztą do rozwoju; przeciwieństwa te jednak rozwiązują się w harmonji życia.

O całości, a więc i o duchu, sądzę, że jest czemś materjalnym. Ciało i duch są objawami jednego, w sobie całkowicie materjalnego-realnego Bytu, są jego dwoma połowami, składającymi się na całość materji, w której niezmiernym kole wszystko się toczy.

Materja, to słowo pochodzi od mater = matka; a więc materja, przyroda czyli wszechświat widzialny razem z Bogiem, są Mater, materją wszystkiego.

WIECZERZA PAŃSKA I SPOWIEDŹ.

Testament Chrystusowy.

Po zwiedzeniu dopołudnia góry Morija wybrałem się popołudniu na zwiedzenie miejsca, gdzie Ch. miał odprawić ostatnią swą wieczerzę. Droga wiedzie na **Syon,** bo tam pokazują ową salę.

Syon jest to wysokie wzgórze w południowej części miasta, stromo wznoszące się nad dolinami, otaczającymi je z trzech stron. Z natury było to miejsce obronne i nie dziw, że je Dawid obrał na twierdzę. Oczywiście z budowli Dawidowych nic tu obecnie nie widać; może wykopaliska ujawnią kiedyś bodaj fundamenty.

Na Syonie pokazują Mahometanie mały meczet, marabut, w którym ma się znajdować **grób Dawida.** Oglądnąłem go; jest to niewielka sala z sarkofagiem, nakrytym dużym jedwabnym pokrowcem. Oczywiście niema nawet mowy, by to był **grób Dawida.** Na górze obok Kairo pokazywali mi mahometanie w starym zniszczonym meczecie grób Mojżesza!

Od takich nieprawdopodobności aż się roi w Palestynie, jak wogóle na Wschodzie; tam chcą mieć pamiątkę i nie wiele się troszczą o to, czy ta pamiątka może mieć jakikolwiek związek z historją. U nas wywołuje takie postępowanie wprost niesmak i zakrawa nam na fałszerstwo, zmierzające do wyciągania pieniędzy od turystów, bo wszędzie są wstepy płatne.

Tak jest w Palestynie nietylko u Muzułmanów, ale i u innych wyznań. W mieście pokazują łuk, z którego Piłat miał

powiedzieć te słowa: Ecce homo, oto człowiek! tak bardzo piękne wydając świadectwo o Chrystusie. Nie troszczą się o to, że w r. 70 Jeruzalem razem ze sądową stolicą Piłata zostało zniszczone do szczętu!

Podobnie ma się rzecz ze salą św. Wieczerzy. Pokazano mi salę w stylu gotyckim, który powstał w 1000 lat po Chrystusie. Nikt dziś nie wykaże, gdzie ta uroczystość się odbyła; niepewny też jest jej przebieg, otoczone tajemnicą słowa **testamentu Chrystusowego?**

Człowiek przed śmiercią sporządza zwykle testament, w którym wyraża swą ostatnię wolę; testament taki uważa się wszędzie za rzecz nienaruszalną. Ch., widząc zbliżającą się śmierć, również wyraził swą ostatnią wolę wobec swych uczniów. Słowa jego wypowiedziane do nich przy ostatniej wieczerzy, są tą wolą. Szczególnie wiele tych słów podaje ewangelista Jan; choć nie zawsze autentyczne, to jednak słowa te są prawdziwym wyrazem myśli i ducha Chrystusa. „Przykazanie nowe daję wam, abyście się społecznie miłowali, jakom i ja was umiłował...“ Jan 13, 34 „Ponieważem ja tedy umył nogi wasze, Pan i nauczyciel, i wyście powinni jedni drugim nogi umywać“ tzn. służyć i nie wynosić się ponad innych Jan 13, 34. „Jeśli przykazania swoje zachowacie, trwać będziecie w miłości mojej“ Jan 14, 10. „Większej miłości nad tę żaden nie ma, jeno gdyby kto duszę swoją (życie) położył za przyjacioły swoje, Jan 15, 13. „Aby wszyscy byli jedno, jako ty, Ojcze, we mnie a ja w tobie; aby i oni w nas jedno byli“. Jan 17, 21.

Zostawia Ch. **i symboliczny obrządek** jako swój testament wspólne łamanie chleba i wspólny kielich, dodając: „to czyńcie na moją pamiątkę“.

Chciał Ch. nowej społeczności religijnej zostawić jako widoczną pamiątkę po sobie podobną uroczystość jako ją miała stara społeczność religijna Izraela w uczcie wielkanocnej na pamiątkę wyjścia z egipskiej niewoli; zresztą ustanowił Ch. tę swoją pamiątkę właśnie przy obchodzeniu wielkanocnej uczty tzw. Sejder. Głównymi nas interesującymi składnikami tej uczty były: 1) przaśne chleby, mace 2) baranek wielkanocny, bo krwią baranka w Egipcie pomazano odrzwia dla ocalenia od śmierci.

I Ch. jako skład swojej pamiątkowej wieczerzy usta-

nawia: 1) chleb 2) kielich „Nowego Testamentu we krwi mojej" 1. Kor. 11, 25, i podobnie Mat. 26, 27 n.

O testament nieraz wybuchają **spory**; wybuchły też i o testament Chrystusa. Już ap. Paweł udziela upomnienia w tej sprawie zborowi korynckiemu, gdzie dochodziło do niesnasek i nieporozumień na tle obchodzenia tzw. agap, uczt miłości czyli Wieczerzy Pańskiej; zaczyna od słów: „my takiego obyczaju (swarliwości) nie mamy ani zbory Boże" 1 Kor. 11, 16, poczem daje wskazówki, jak Wieczerzę Pańską obchodzić.

Ale bardzo groźne spory wybuchły na tym tle w późniejszym kościele chrz.; w sporach tych rozchodziło się i o zewnętrzny sposób obchodzenia tego obrządku, przedewszystkiem jednak o tłumaczenie jego istotnej wartości. Doszło do krwawych walk i prześladowań za czasów husyckich i później za czasów reformacji 16 w. Testament krwi Chrystusa wiele kosztował krwi ludzkiej i zamiast zjednoczyć w miłości zbór chrześc. jak tego On chciał, przyczynił się do rozbicia i nienawiści.

Jaka jest **istota tego sporu?** Że zewnętrzne formy tego obrządku nie stanowią istotnej różnicy, to jasne; czy kto Wieczerzę Pańską obchodzi pod jedną czy dwoma postaciami czy używa chleba albo też opłatka, czy spożywa wino i chleb razem podawane łyżeczką jak w prawosł. i gr.-kat. kościele albo też oba elementy oddzielnie — to rzecz podrzędna.

Główna rzecz: czy Wieczerzę Pańską należy pojmować w duchu nawskróś **kapłańskim,** jako ponowną, ciągle **powtarzaną ofiarę** za grzech, do której potrzebny jest kapłan, msza w kapł. kościołach, czy też w duchu religji samodzielnej tylko jako **pamiątkę śmierci** Chrystusa, pamiątkę uroczystą i wzywającą wiernych do **naśladowania poświęcenia się** Jego, ale zawsze tylko pamiątkę a nie powtórzenie ofiary; w drugim razie kapłan oczywiście nie jest potrzebny.

Jak tę rzecz mógł czy chciał rozumieć sam **Chrystus?** Jest rzeczą jasną, że Ch. **samą śmierć swoją pojmował,** choć nieporównanie głębiej, to jednak w **duchu kapłańskim,** w myśli zastępczej ofiary — wypełniał przecież Proroctwo Jez. 53, gdzie jest mowa o tem, że mesjasz bierze na siebie zastępczo „niemocy nasze". Ch. jednak odczuwał, jak już mówiono, nielogiczność i niemoralność takich ofiar i dlatego postanowił je znieść przez **wypełnienie** swoją ofiarą najpełniejszą, najdosko-

nalszą, gorsze czy złe zastąpić lepszem a wtedy już to gorsze będzie zniesione. Po jego śmierci nie będzie więc już trzeba żadnych zastępczych ofiar w dawnym kapłańskim zrozumieniu, ale jedynie nowych ofiar w Jego zrozumieniu t. zn. poświęcaniu się jeden dla drugiego w miłości, jak to On uczynił; takie ofiary miłości będą podstawą do przebaczania grzechów; wypełni się „miłosierdzia chcę, a nie ofiary!" (kapłańskiej).

Tak tę rzecz pojmuje najwyraźniej list do Żydów 10, 6—18; „Całopalenia i ofiary za grzech nie upodobałyć się... idę, abym czynił wolę Twoją, o Boże; znosi pierwsze, aby wtóre postanowił. Przez którą wolę jesteśmy poświęceni przez ofiarę ciała Jego **raz** uczynioną. Wszelki kapłan stoi na każdy dzień, służbę Bożą odprawując a jednakież **ofiary** częstokroć ofiarując, które **nigdy grzechów zgładzić nie mogą.** Lecz ten (Ch.) **jedną** ofiarę ofiarowawszy za grzechy, na wieki siedzi na prawicy Bożej... **Jedną ofiarą** doskonałymi uczynił **na wieki** tych, którzy bywają **poświęceni...** Grzechów ich i nieprawości nie wspomnę więcej a gdzieć jest odpuszczenie, **jużci więcej ofiary nie trzeba za grzech".** A więc jasną jest rzeczą, że powtarzania kapłańskiej ofiary Chrystusa nie potrzeba, bo ona jest najpełniejszą po wszystkie czasy; powtarzać ją znaczy nie wierzyć, by ofiara na Golgocie była najzupełniejszą. Okres kapłańskich ofiar zastępczych minął a nastał okres czynienia miłosierdzia zamiast ofiary. „**Miłosierdzia chcę a nie ofiary".**

Zresztą widzieliśmy już poprzednio, jakie było nastawienie Chrystusa do kapłaństwa wogóle. Czyż byłoby to możliwe, żeby Ch. przez takie kapłańskie zrozumienie św. Wieczerzy mógł chcieć kapłaństwo na nowo ustanawiać, ba utwierdzać i dawać mu najświętszą, bo swoją sankcję. Przenigdy! **Kapłan starego typu tj. ofiarujący innych, tu Chrystusa a nie siebie dla nich a Ch., ofiarujący nie innych ale siebie za innych, to dwa typy zupełnie sobie przeciwne i nawzajem się wyłączające.**

Jak więc zrozumieć słowa Ch.: „**To jest ciało moje, to jest krew moja".** Na te słowa powołują się kościoły kapłańskie, mówiąc, że kapłan przeistacza opłatek na ciało Chrystusa (transsubstancjacja) a kościół luterski mówi: że kapłan nie przeistacza a jednak pod postacią chleba pożywamy **prawdziwe ciało Pańskie,** reformowane kościoły zaś uczą, że nie

pożywamy wcale ciała Pańskiego, tylko jemy chleb poświęcany na pamiątkę śmierci Chrystusowej.

Ch. często mówił w **podobieństwach**: „Jam **jest** winna macica **prawdziwa**" Jan 15, 1 i wiele innych podobnych miejsc. Nie znaczyło to bynajmniej, że on rzeczywiście **jest** samą winną macicą, ale oznaczało to tylko podobieństwo.

Zresztą sam Ch. w ciele siedział przy stole, więc chleb nie mógł być Jego ciałem, boby były dwa ciała Jego jednocześnie. Cały nacisk polegał na słowie: **„łamał" chleb;** jak chleb jest łamany, tak będzie **złamane** ciało moje. Po tym złamaniu poznawali Go uczniowie w Emaus. Pierwsze zbory tak obchodziły pamiątkę św. Wieczerzy **„łamając chleb** po domach" Dzieje 2, 46. Tak i my we **wigilję łamiemy się opłatkiem.**

Że Ch. przez wino nie mógł rozumieć **prawdziwej krwi**, to jest rzeczą najwyraźniej jasną, boć przecież Żydom nie wolno było i nie wolno dziś spożywać krwi w jakiejkolwiekbądź postaci a Ch. i apostołowie byli Żydami. Że Ch. przez św. Wieczerzę nie rozumiał jakiejś dla nas nakazanej ofiary za grzech, to widać z tego, ze z niej **usunął jedzenie baranka**, którego spożywano przy uczcie wielkanocnej, choć się zresztą przy ustanowieniu św. Wieczerzy zupełnie wzorował na wielkanocnej uczcie żydowskiej. „Ilekroćbyście jedli ten chleb i ten kielichbyście pili, **Śmierć pańską opowiadajcie,** ażby przyszedł" 1 Kor. 11, 26 **to jest główny cel Wieczerzy Pańskiej.** Wierzący ma sobie przypominać, co Ch. uczynił i wstępować w Jego ślady, ofiarując siebie dla innych, jak Ch. i tem dawać Bogu i ludziom podstawę do przebaczania grzechów i błędów swoich.

Jako taka pozostanie Wieczerza Pańska najświętszym obrządkiem, nienaruszalnym testamentem Pana.

Nic więcej ponad to nie trzeba; „co nadto jest, to od złego jest" Mat. 5, 37. Złe **i nielogiczne!** Kościoły tłumaczące Wieczerzę Pańską jako ofiarę a chleb jako ciało, uczą, że opłatek nie podlega zwykłemu trawieniu, bo jakżeż prawdziwe ciało Chrystusa miałoby iść drogą każdego pokarmu! Horendalność takiego twierdzenia jest między innymi również dowodem niemożliwości takiego dogmatu o prawdziwym ciele Chrystusa

A moralnie, **etycznie bardzo niebezpiecznym,** bo iście kapłańskim jest twierdzenie, że Komunja św. działa sama przez siebie odpuszczająco, o ile człowiek się tylko nie sprze-

ciwia jej działaniu tzw. opus operatum. Jest to więc poprostu jakiś **magiczny, ponadnaturalny i ponadetyczny środek na zmazanie grzechu,** podobnie jak i stara krwawa ofiara ze zwierząt miała oczyszczać sama przez się człowieka, jak krew przy pojedynku przelana niby czyściła honor a wojny krwawe niby zmazywały obrazę dokonaną na narodzie czy jego przedstawicielach.

A przecież jakżeż często Ch. to podkreślał, że nie ten, „który mi mówi: Panie, Panie! wnijdzie do królestwa niebieskiego, ale który **czyni wolę** Ojca mojego". Mat. 7, 21.

Są bractwa, które z powodu dogmatu o prawdziwym Chrystusie w hostji, dzień i noc oddają mu cześć, klęcząc przed Sakramentem. Czyż nie powinni tego czasu użyć na pielęgnowanie opuszczonych chorych? „Cokolwiekbyście uczynili jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili" Łuk. 25, 40.

Tak **nienaturalne dogmaty wypaczają z natury etyczne pojęcia ludzkie.** Ponieważ się wierzy, że Komunja św. jest środkiem na grzech, dają mu **sposobność łatwego odpustu.**

We wiekach średnich mimo przysłowiowej pobożności było niesłychanie dużo przestępstw! Bo było dość sposobności odpustów, relikwij; każdy dzień można było przystąpić do odpuszczającej wszystko Komunji świętej. **Myślano, że wystarczy moment skruchy i Komunja św. przed śmiercią,** by zmazać grzechy całego życia i zapewnić zbawienie. Jako dowód przytacza się, że i **złoczyńca na krzyżu** uzyskał w ostatnich chwilach przebaczenie i wszystko zostało wyrównane. Ale z owym skruszonym złoczyńcą, to nie tak łatwa to sprawa. Przedewsz. nie wiemy na pewno, jak się właściwie rzecz miała, bo np. ewang. Mat. 27, 44 mówi, że obydwaj złoczyńcy urągali Jezusowi. A jeśli nawet prawdziwe jest opowiadanie ewangelisty Łuk. 23, 40 n., to czyż my znamy dzieje tego złoczyńcy? Może on zresztą i niesłusznie tak ciężko został ukarany, przecież wiemy, że nieraz wiesza się małego złodzieja a na wielkich złodziejach wiesza się medale! A może on złoczyńca z winy innych dostał się na złą drogę i przechodził ciężkie walki wewnętrzne? Świadectwem sumienia jego są zresztą słowa jego do Chrystusa. Ten przez jasnowidzenie swoje, poznawszy jego

stan wewnętrzny, uchylił mu wrót do raju, ale to bynajmniej nie znaczy, byśmy się mogli spuszczać na ostatnie momenty, na maszczenie i ostatnie Komunje św. i w ten sposób poprostu **usuwać się od powagi życia i osobistej odpowiedzialności.** Kto tak postępuje, ten ma w sobie ducha kapłańskiego, powołującego się na cudzą ofiarę, wierzącego w magiczne ceremonje, nie borykającego się ze sobą przez całe życie, co ma jedynie znaczenie przed Bogiem i dla społeczeństwa; społeczeństwo z momentów skruchy i niby oczyszczających namaszczeń i ceremonji nietylko nic nie ma, ale pomijając już zapłatę, podkopują one poczucie osobistej odpowiedzialności i moralnego zadośćuczynienia, co podkreśla religja samodzielna.

Wbrew myśli Chrystusowej wdarł się duch kapłański do najświętszego obrządku i sprawił niesłychane moralne spustoszenie.

Powie ktoś: A czyż kościoły kapłańskie nie podkreślają tego, że **dobre uczynki konieczne są do zbawienia,** Jakób 2, 25, czego nie czynią ewangelickie kościoły, uczące, że „człowiek usprawiedliwiony bywa wiarą bez uczynków zakonu?!“ Rzym 3, 28.

Chwała Bogu, przyznaję otwarcie, że etyczne poczucie odpowiedzialności osobistej za grzech i etyczne poczucie konieczności nagrody nie upadło jeszcze zupełnie, ale jest zachowane, podobnie jak i u Izraela obok kapłańskich pojęć było głębokie etyczne poczucie obowiązku dobrego czynu, miłosierdzia; ale niestety u Izraela poczucie to wciąż było zasypywane przez ducha kapłańskiego; **duch kapłański liczył:** tyle a tyle i takich ofiar za takie a takie przestępstwa dla ich odpuszczenia — takie a takie **i tyle dobrych uczynków** dla odpuszczenia tylu a tylu lat kar za grzech; czyż z takimi nawskróś kapłańskimi objawami i tłumaczeniami dobrych uczynków nie spotykamy się na każdym kroku w praktycznym, codziennym życiu kapłańskich kościołów? Za taki a taki post, jałmużnę, pielgrzymkę, modlitwę otrzymasz tyle a tyle odpuszczenia kary za grzechy. Wymyślono i różańce, aby liczyć te dobre uczynki, tak jak kapłani liczyli i przepisywali takie a takie ofiary.

Zupełnie innego niż kapłańskie religje ducha jest **Ch. przez dobry uczynek rozumie on tylko społecznie dobry**

czyn (odwiedzanie chorych, pomaganie biednym itp. Mat. 25, 35) i dodaje: „Niech nie wie lewica twoja, co czyni prawica", gdy uczynicie wszystko, co wam nakazano, mówcie: słudzy nieużyteczni jesteśmy, bośmy byli powinni uczynić, co uczyniliśmy", Łuk. 17, 10.

Do tego **i pojęcie dobrych uczynków w kapłańskich kościołach** w ogromnej części wcale nie jest Chrystusowe **i nie ma znaczenia dla społeczeństwa.** Cóż za dodatnie znaczenie dla ducha i społeczeństwa ma **post,** który jest wstrzymaniem się od jednych a zato użyciem innych pokarmów? Ch. przez post rozumie zupełne wstrzymanie się na pewien czas od wszelkiego pokarmu; nie zabrania postu, uważa go nawet w pewnych wyjątkowych wypadkach za wskazany, Mat. 17, 21, ale nigdy go nie przepisuje jako jakieś zadośćuczynienie, owszem sam i uczniowie jego nieraz łamią post, z powodu czego dochodzi do ostrych konfliktów między Nim a faryzeuszami. Post może być hartowaniem woli, ale nie dobrym uczynkiem, zasługą przed Bogiem i społeczeństwem, za który się należy jakaś nagroda!

Podobnież **pielgrzymka,** czyż ona może być właściwie dobrym czynkiem, zjednującym łaskę Bożą? Czyż Bóg wszędzie nie wysłuchiwa? Może odwiedzenie historycznego dla religji miejsca przyczyniać się do głębszego wniknięcia w prawdę, ale sama w sobie nie jest żadnym dobrym uczynkiem i zasługą. A już najgorzej wyglądą pojmowanie **modlitwy jako zasługi, ba nawet jako kary,** którą się nieraz wymierza przy spowiedziach: tyle i tyle modlitw za taki a taki grzech, tyle i tyle odpustu za taką a taką modlitwę. Modlitwa według Ch-owego i religijnego zrozumienia to nasz najzacniejszy przywilej, że możemy rozmawiać z Bogiem i z Nim się duchem łączyć. Cóżbyśmy powiedzieli o dziecku, któreby rozmowę z ojcem uważało za karę albo kazało sobie płacić za każde słowo takiej rozmowy. Mat. 6, 5—13 Ch. wyraża swoje epokowe myśli o modlitwie. Powiedział raz ktoś, że „Ojcze nasz" jest największym męczennikiem, bo się go tak często trzepie a jednak Ch. zupełnie w innym celu dał tę przegłęboką modlitwę.

Jako **jedyną podstawę prawdziwie dobrych uczynków** określa Ch. **nie wyrachowanie, ale miłość** a za nim czyni to i ap. Paweł w przepięknym rozdziele o miłości 1 Kor. 13. Ap.

Paweł, bojąc się kapłańskiego liczenia dobrych uczynków, idzie nawet tak daleko, że mówi: „człowiek bywa usprawiedliwiony wiarą bez uczynków zakonu" Rzym. 3, 28. Oczywiście jest to nieszczęśliwe na tym miejscu sformułowanie jego myśli, przeciwko czemu występuje Jakób 2, 34: „a widzicie, że z uczynków usprawiedliwiony bywa człowiek a nie z wiary tylko". W rzeczywistości ap. Paweł przez wiarę wszędzie rozumiał żywą wiarę, wydającą uczynki jako konieczne wiary—miłości następstwo; w „Chrystusie ani obrzeska nic nie waży ani nieobrzeska, ale wiara przez miłość skuteczna Gal. 5, 6.

Najkonieczniejszą, nieodzownie potrzebną jest rzeczą, by tę skuteczność wiary tzn. uczynki miłości, miłosierdzie podkreślać jako koniecznie potrzebne do zbawienia i pojedyńczego człowieka i ludzkości od złego. Jeśli ap. Paweł a za nim Luter i inni reformatorowie z obawy przed kapłańskim duchem nieszczęśliwie formułowali zdanie swe o dobrych uczynkach, to dzisiaj, niejasności tej nie śmiemy powtarzać, ale musimy wołać: **uczynków jak najwięcej, one konieczne są do zbawienia**. Jeśli chrześcijaństwo dziś chce się ostać, to musi wykazać jak najwięcej uczynków miłości, z głębi wiary idących.

Ale nie śmiemy popełnić błędu kapłańskich kościołów, by uczynki te liczyć i poczytywać je sobie za swoją zasługę, z której się chełpić możemy przed ludźmi a od Boga żądać zapłaty i prowadzić z Nim poprostu handel — za tyle a tyle uczynków tyle łaski. Na tym stanowisku stanęły **i ewangelickie kościoły.**

Komunję św. uważają też one nie za jakiś magiczny środek na grzech, uważają ją nie jako ofiarę ciagle ponawianą (we mszy św.), ale za przypomnienie śmierci Chrystusowej, wzywające do naśladowania Jego w miłości. Dlatego wierzą, że obrządek ten, należycie obchodzony, jest w stanie obudzić w człowieku drzemiące w nim etyczne siły i wyzwolić je ku etycznemu działaniu.

Z pośród ewangelickich jedynie **kościół luterski** wierzy w prawdziwe ciało Chrystusowe w chlebie, choć odrzuca naukę o przeistoczeniu tego chleba na ciało Jego przez kapłana; jest to zatem stanowisko **półkapłańskie**, zaznaczone tem, że w kościele luterskim zatrzymano ołtarz jako symbol ofiary, podczas gdy reformowane kościoły zamiast ołtarza mają stół.

Jakie stanowisko zajmie tu **nowoczesna myśl religijna?**

Powie ona tak: Ze smutkiem i bolem to stwierdzam, że nieraz nietylko że błądzę i mylę się, ale postępuję przeciw głębokiemu przekonaniu swemu — grzeszę. Jedynym środkiem jednak na grzech — złość jest miłość a nie krew, którą złość czy na Golgocie czy gdzieindziej wytacza; złość nie może być środkiem na złość, ale miłość i z ofiary Chrystusowej bierzemy nie ciało i nie krew, ale miłość, która budzi i żywi naszą miłość, by była silną do etycznego, samodzielnego czynu.

Wiem, że grzechu nie powinienem zwalać na drugich i usprawiedliwiać się wszelkimi sposobami i zabijać sumienia swego; wstrętną jest mi i niebezpieczną ta metoda kapłańska; muszę sobie powiedzieć, że konsekwencje za swój czyn ponieść muszę i powinienem ja sam; sam muszę odcierpieć com zawinił, aż się zło, którem popełnił wypali w cierpieniu a skrócić mogę to cierpienie jedynie przez naprawę złego.

Jeśli jest najwyższa Sprawiedliwość a Ona czuję że jest, to Jej nie zmylę niczem i bez szemrania muszę się poddać Jej wyrokowi. Ch. największy genjusz religijny, w swym głębokim poznaniu człowieka i najgłębszym odczuciu najwyższej Istoty, objawia nam, że Ona jest Miłością, nie ślepą, ale sprawiedliwą a jednak najgłębszą Miłością, która pragnie dobra człowieka i włożyła weń potężne etyczne siły ku jego zbawieniu. Ta miłość **przebacza** i jest długo cierpliwa jako prawdziwa miłość. **Jeśli człowiek tę miłość zrozumie i miłością żyć zacznie, wtedy grzech jest odpuszczony a zło przemożone.**

Nienawidzi jednak ta Miłość zwalania winy ze siebie na innych ku samolubnemu celowi, bo tu już nie może być mowy o naprawie, o doskonaleniu się, o postępie, o przemożeniu grzechu w sobie i świecie; dlatego **nienawidzi Bóg myśli i ducha kapłańskiego, który jest w każdym z nas,** bo wygodni jesteśmy i samodzielni być się lenimy a przez to przyczynimy się, że duch kapłański rozwielmożnia się w świecie a choroba wrzody niebezpieczne wyrzuca na ciele a przedewszystkiem w mózgu i sercu ludzkości, powodując bezmyślność religijną i fanatyzm wyznaniowy. Nie mogę przeto, niesmię grzechu swego zrzucić ani na krew Chrystusa, choćby nawet On sam tak był myślał, odnośnie śmierci swojej samej chcąc wypełnić stare proroctwa; nie wierzę bowiem, by wszystko Pismo było Bożą myślą; wiele tam i ludzkich błędów. **Myśl**

kapłańska ***w każdym razie takim ludzkim błędem*** **jest a** ***nie Bożym objawieniem.*** Natomiast wiem, że Ch. w głębokim zrozumieniu niebezpieczeństwa ducha kapłańskiego walczył z nim aż do krwi, aby wyzwolić ludzkość i w boju tym życie swe bohatersko z miłości i dla mnie położył. Jako On siebie dla drugich a nie drugich dla siebie ofiarował, tak i ja w duchu tej miłości żyć pragnę, bo czuję, że **jedynie ta najwyższa miłość jest wypełnieniem mego życia i jego najgłębszych potrzeb. To przypominać sobie chcę przy każdym obchodzeniu pamiątki śmierci Chrystusowej w św. Wieczerzy.**

Przez Chrystusa zrozumiałem Boga i człowieka i wszelkie stworzenie i umiłowałem cały ten Boży świat. Nie chcę nikogo nienawidzieć, a tem więcej dla wiary, nie chcę nienawidzieć i kapłana żadnego jako człowieka, ale boję się i uciekam przed systemem i duchem kapłańskim, bo widzę, że w nim jest śmierć ducha a za nim i ciała, bo jedno od drugiego zależy.

Z tym duchem kapłańskim w sobie i w świecie bojować chcę jak Ch. Niechże mi w tem dopomaga pamiątka śmierci Jego, bym wypełnił Testament Jego.

Niechże będzie pochwalona i **błogosławiona pamiątka śmierci Jego!** Tak a nie inaczej niech będzie pochwalony przenajświetszy Sakrament, Chrystusowy Testament!

Co się tyczy **praktycznego obchodzenia obrządku św. Wieczerzy,** to sądzę, że najlepiej odpowiadałoby duchowi tego obrządku nasze wigilijne łamanie się opłatkiem, przyczem konieczną jest rzeczą „opowiadanie śmierci Pańskiej" przez czytanie i objaśnianie ustępów, mówiących o śmierci Chrystuowej.

Wspólny kielich we większych zgromadzeniach powinienby odpaść ze względów higjenicznych alboteż być zastąpiony większą ilością małych kielichów, napełnianych z jednego wielkiego kielicha. Zresztą ewangelje mówią, że kielich Jezus dał pić uczniom już „po wieczerzy". Pierwsze zbory chrześcijańskie też zawsze mówią o „łamaniu chleba" jako najistotniejszej części tego obrządku.

W małych kołach wspólny kielich byłby możliwy.

Niektóre kościoły przed Komunją św. wymagają **spowiedzi** czyli wyznania grzechów do ucha kapłana w myśl Jakóba 3, 16 „Wyznawajcie jedni przed drugimi upadki". Nie ma tu

jednak absolutnie mowy o spowiedzi przed kapłanem, tylko **o spowiedzi przed tymi, wobec których się zgrzeszyło.** J Ch. wyraźnie mówi: „Jeślibyś ofiarował dar swój na ołtarzu a tambyś wspomniał, że brat twój ma co przeciwko tobie, zostaw tam dar twój przed ołtarzem a odejdź, pierwej się pojednaj z bratem swoim a potem przyszedłszy ofiaruj dar swój. Zgódź się z przeciwnikiem twoim rychło, pókiś jest z nim w drodze“ Mat. 5, 23 n. To jest ta właściwa, chrześcijańska a nie kapłańska spowiedź: wyznać grzech i błąd przed poszkodowanym i pojednać się z nim a potem iść w ten sposób oczyszczony do Wieczerzy Pańskiej.

Oczywiście daleko to trudniejsze niż spowiedź kapłańska, ale kto na sobie i innych doświadczył mocy i błogosławieństwa takiego oczyszczenia wzajemnych stosunków, ten wie, co taka spowiedź znaczy.

A jeśli tak bezwarunkowo postąpić nie można, boby może się jeszcze więcej zaszkodziło współżyciu wzajemnemu albo dany człowiek już umarł, czyż jednak dla ulżenia sumieniu swemu nie należy i nie jest dobrze wyspowiadać się przed kapłanem, aby ten mógł rozwiązać mię z grzechu w myśl słów Chrystusa: **„Cobyściekolwiek rozwiązali na ziemi, będzie rozwiązane i w niebiesiech“?** Mat. 18, 18. Ale właśnie że te słowa odnoszą się do **wzajemnego** odpuszczania sobie, jeden drugiemu a nie przez kapłana i takie wzajemne przebaczenie sobie uznane będzie i w niebiesiech. Nigdzie w N. Testamencie nie spotykamy **ani jednego słowa Chrystusa, któreby kapłana upoważniało do odpuszczenia cudzych grzechów;** kapłan, jako człowiek może odpuścić grzech który przeciw niemu samemu ktoś popełnił, ale nigdy nie może rozwiązać od grzechu innego.

Wprawdzie w ewang. Jana 20, 23—23 czytamy, dziwne słowa: „A to rzekłszy, Jezus tchnął na uczniów i rzekł im: Weźmijcie Ducha świętego. Którymkolwiek grzechy odpuścicie, są im odpuszczone a którymkolwiek zatrzymacie, są zatrzymane“. Według tego Ch. po zmartwychwstaniu udzielić miał apostołom swym prawa odpuszczania grzechów po otrzymaniu przez nich Ducha św.

Ustępu tego ani podobnych słów nie zawiera żadna z trzech pierwszych ewangelij. Słowa te są zatem już przez to podejrzane, jakoby miały pochodzić od Chrystusa samego, boć z pewno-

ścią inni ewangeliści nie omieszkaliby zaznaczyć tak ważnego prawa, gdyby im było znajome. Ewang. Jana powstała 70 lat po śmierci Chrystusowej w kołach przejętych filozofją grecką i we wielu rzeczach jest zupełnie odrębna od trzech pierwszych, starszych ewangelij; pomiędzy tymi a nią jest wiele różnic, ba wprost sprzeczności i nigdy nie można powiedzieć, że dane słowo z ewang. Jana należy uważać za autentyczne Chrystusowe, choć naogół ewangelista Jan bardzo głęboko wnikał w ducha Chrystusowej miłości.

A choćby nawet pow. słowa były autentycznie Chrystusowe, to nie oznaczają one, by apostołowie otrzymali prawo przekazania mocy odpuszczania grzechów jakimś następcom swoim i by tego prawa rzeczywiście byli udzielili i to jakimś urzędowym kapłanom, których wogóle nie znają dzieje pierwszego kościoła chrześcijańskiego, bo kapłaństwo w chrześcijaństwie rozwinęło się dużo później.

Świętość i moc odpuszczania grzechów jest zresztą niemożliwą do przekazania testamentem (jako spadek) czy namaszczeniem, ale jako moc duchowa mogłaby być ostatecznie zdobywana tylko własną wewnętrzną pracą. Dlatego ani Piotr nie mógł tej mocy „w spadku" przekazać jakimś następcom swoim, Mat. 16, o ileby ten ustęp nawet był prawdziwy.

Kapłani zatem od Chrystusa nie otrzymali mocy ani prawa odpuszczania grzechów, ale sami sobie to prawo nadali.

Oczywiście, że człowiek religijny może i powinien ludziom mówić, pod jakimi warunkami mogą uzyskać przebaczenie boże i odpuszczenie grzechów i jeśli widzi, że te warunki są spełnione, może zwiastować im łaskę Bożą i rzec: Ufajcie, odpuszczone są wam grzechy! — ale nie odpuszcza tu on, lecz Bóg.

Nic niema też przeciw temu, aby człowiek w rozterce swej duchowej poszedł do człowieka religijnego, a takim duchowny zawsze być powinien i poradził się go w trwodze swej duszy, jak się chory radzi lekarza; jest to rzeczą nawet wskazaną i to jest również spowiedź, ale spowiedź ta nie jest równoznaczną z odpuszczeniem, choć może ułatwić to odpuszczenie, ale nigdy taka spowiedź nie zwalnia od właściwej spowiedzi tzn. wyznania grzechu przed poszkodowanym samym i naprawienia go.

Podczas rozmowy o tych sprawach powiedział mi raz pe-

wien znajomy: a jednak dobrze jest i potrzeba, że człowiek przez kapłana rozwiązany może być od grzechu! Jeśli np. skrzywdził konia, to jak mu koń ma odpuścić?

Odpowiedziałem mu na to: idź i daj koniowi za to, żeś go skrzywdził jedną wiązkę siana więcej i poklepaj go serdecznie i pogłaskaj a zobaczysz, jak ci głową kiwnie i zarży radośnie i zrozumie cię i odpuści ci ze serca i niezmiernie się do ciebie przywiąże a ty jeszcze więcej do niego. Koń z twojej spowiedzi u kapłana nic mieć nie będzie a ty jeszcze mniej, bo zabijesz i znieczulisz swą duszę na wszelki szlachetniejszy poryw, który ci jest dany z natury samej.

Gdzie zaś już wszelkie drogi wzajemnego odpuszczenia są zamknięte, tedy człowiek idzie z brzemieniem swoim tam, gdzie w zasadzie i zawsze z każdym grzechem iść powinien: w głębokiej skrusze i postanowieniu poprawy przed oblicze boże w modlitwie a Bóg go wysłucha bez jakichkolwiek pośredników, bo pomiędzy człowiekiem a Bogiem Ojcem pośredników nie trzeba; do uzyskania Chrystusowego testamentu nie trzeba adwokatów — kapłanów.

Wogóle głębsza myśl rel. musi wychowywać ludzi do samodzielności. Kapłan starego systemu traktuje wiernych jak dzieci niesamowolne; nowoczesny człowiek chce samodzielności a prawdziwa religja mu ją daje i wychowuje do niej, bo dlaczegóż człowiek musi mieć zawsze pośredników między sobą a Bogiem?

„Kto na wieczne wszedł rozłogi,
Kogo światłość zórz przenika,
Ten nie będzie pytał drogi
U ziemskiego pośrednika.

I nie będzie pytał drogi
U aniołów, serafinów,
Ale wejdzie w Ojca progi
Jako jeden z bożych synów".

Konopnicka.

Starokapłańskie pojęcie spowiedzi i odpuszczania grzechów to podrywanie moralności, Chrystusowe pojęcie Komunji św. i spowiedzi jest natomiast spotęgowaniem sił dobrych i etycznych w człowieku.

GETSEMANE.

Obchodziłem mury miasta od południa, zbudowane jeszcze przez wojska krzyżowe; spuściłem się w dół do doliny Józefata i ku potokowi Cedron. Nie bardzo miła przechadzka, bo dużo nieczystości tam wyrzucają **a potok Cedron** bynajmniej nie pachnie historycznością; jest niemożliwie brudny i pachnący — widocznie jeszcze grzechami, które tu ongiś razem z krwią zabijanych ofiar spływały z tej oto wiecznie toczącej krew góry Moriji — miejsce dobrane na sąd ostateczny!

Przeprawiwszy się przez Cedron, wstąpiłem na zbocze Góry Oliwnej. Stanąłem wśród olbrzymich otwartych **cmentarzysk żydowskich i mahometańskich.** Jednym i drugim nie wolno przekopywać i naruszać, choćby i najstarszych grobów, stąd cmentarze zajmują tak olbrzymie przestrzenie. Widać tam i duże groby, prawie mauzolea z czasów rzymskich; legenda zrobiła z nich groby proroków a jeden grób w stylu rzymskim nazywają nawet grobem Absaloma!

Imponująco przedstawiają się stąd **mury świątyni** ze złotą bramą od **wschodu;** wzniesione wysoko ponad głęboką dolinę były stąd nie do wzięcia.

Pielgrzymom, przybywającym od strony Jerycha, między którymi bywał i Jezus, świątynia stąd przedstawiała się niezwykle potężnie i witali ją w nabożnym uwielbieniu.

Chrystus spoglądał na tę świątynię stąd i w ostatniej swej nocy pielgrzymki ziemskiej — zbliżam się do **ogrodu Getsemane.** Leży ono u samych stóp Góry Oliwnej, blisko samego Cedronu. Na miejscu, gdzie przypuszczają, że tu Ch. toczył on bój wewnętrzny, wystawiono wielki, kosztowny kościół. Uważam ten sposób traktowania takich miejsc za zupełnie nieodpowiedni; daleko korzystniej na takich miejscach jak Getsemane, Golgota, Grób działa natura niż choćby nawet najpiękniejsze świątynie.

Świątynia na górze Morija stanowi tu wyjątek, bo tu i tak była dawniej świątynia. W kościele Getsemane miejsce ołtarza zajmuje blok skał, na których Chrystus miał się modlić. Oczywiście nikt tego nie dowiedzie, żo to jest owo historyczne miejsce.

Daleko sympatyczniej od kościoła podziałał na mnie ogródek obok kościoła, w którym rośnie kilkanaście **prastarych drzew oliwnych.** Ponieważ drzewo oliwne podobno bardzo

długo żyje, przeto możliwą jest rzeczą, że drzewa te sięgają początkami swymi gdzieś aż w czasy **Chrystusowe.** Drzewo oliwne jest niepokaźne; podobne liściem do naszych wierzb, tylko liść jest więcej suchy i twardy i biało błyszczący. Getsemańskie oliwki to prawdziwe staruszki: z niewielkich pni, spróchniałych (dziury te jednak starannie zaplombowano cementem) sterczą pokręcone konary, które popodpierano troskliwie; na nich trochę liści. Ledwieże dyszą resztą życia, troskliwie podtrzymywanego, ale rodzą jeszcze. Oliwki te starannie się zbiera i wyciska z nich olej, używany w kościele katolickim do największych święceń kapłańskich.

U stóp staruszek oliwek mnóstwo fijołków, które tu pewnie też kwitnęły w tym czasie wiosennym, kiedy tu Ch. wychadzał z Jeruzalem na nocne modlitwy w ostatnich dniach przed śmiercią.

Getsemane to dla myśli chrześcijańskiej jedno z najzacniejszych miejsc. Widzimy tu **Chrystusa jako pełnego człowieka,** Mat. 26. Widzimy jego tak naturalny lęk przed śmiercią, wyrażony tak klasycznie w słowach: „jeśli można niech mię ten kielich minie"; widzimy tę potrzebę, by w tych ciężkich godzinach mieć przyjazne serca koło siebie, ale widzimy też tak często spotykane u ludzi zjawisko, że właśnie w takich chwilach przyjaźn ludzka prawie zawsze niedomaga i człowiek pozostaje sam, jak w gruncie rzeczy zasadniczo zawsze jest sam, zwłaszcza w decydujących chwilach, owszem w takich właśnie chwilach skazany jest na napaść ze strony otoczenia, jakto widzimy i tu w Getsemane z tym strasznym pocałunkiem Judasza, tak symbolicznym w dziejach ludzkości i ludzi.

Koło Ch. wszystko się to powtórzyło, jak się już nieraz zdarzyło, ale jeszcze nieraz zdarzać będzie: Ch. jednak był nietylko zwykłym, ale człowiekiem w najpełniejszym, najszlachetniejszym, najpotężniejszym tego słowa znaczeniu — nie cofa się, nie łamie, ale zwycięża samego siebie: „Niech się dzieje Twoja wola". Ile to miljonów serc w tym boju i w tych słowach czerpało i znalazło moc i siłę! Nie dumne wyzwanie świata, ale pokorne poddanie się woli bożej i chęć spełnienia jej, doprowadziło do zwycięstwa.

Opowiadanie o aniele, posilającym Chrystusa, znajdujące się tylko w ew. Łukasza a nie wymienione u innych, jest tylko późniejszym dodatkiem, osłabiającym tylko wielkość i wrażenie

tego, co przeszedł tu człowiek-Chrystus, właśnie dlatego też tak nam bliski jako ludziom. Niedobrą wogóle oddali przysługę Chrystusowi i chrz. religji ci, którzy Go oderwali od pojęcia i możliwości człowieka i stworzyli z niego sztucznego Boga, jakim on sam wcale być nie chciał; wykażemy to później.

Dzisiejszemu człowiekowi trzeba dać znowu Chrystusa-Człowieka a będziemy mieli więcej ludzi, więcej religijności!

Oto Ch. z Getsemane, Ch. tam z tej Golgoty, Ch. tam ze świątyni na tej górze naprzeciw Moriji, spierający się z kapłanami i uczonymi w Piśmie i faryzeuszami — takiego trzeba duchowi i dzisiejszych dni!

Getsemane z tym Chrystusem w lęku pośmiertnym, z tą jego modlitwą: „jeśli można niech mię ten kielich minie", z tym męskim postanowieniem: „niech się dziele wola Twoja"; Gest. z Nim szukającym oparcia o przyjaźń a jednak tak samotnym, jak samotnym jest człowiek w tym świecie, Gets. ze słowami: „Czuwajcie, a módlcie się, abyście nie weszli w pokuszenie; duchci jest ochotny, ale ciało mdłe", Gets. z tym strasznym Judaszem i jego tak symbolicznym pocałunkiem a naprzeciw tego łagodnymi słowy Mistrza: „Przyjacielu, pocałowaniem wydajesz Syna Człowieczego!?"; Gets. z mocnym słowem Pana, tak pięknie brzmiącym i dla dzisiejszych czasów: „Obróć miecz swój na miejsce jego; albowiem wszyscy, którzy miecz biorą od miecza giną" — Getsemane drogie bądź mi pozdrowione! Niech z olejku oliwek twoich ten duch, który tu pracował w ciężkim zmaganiu, zstąpi do serc i rozumów namaszczanych na wodzów ludzkości. Getsemane! niech z ciebie idzie posilenie dla samotnych duchów bojujących bój wiary i idących naprzód przed ludzkością!

GÓRA OLIWNA.

Już wieczór był, kiedym wrócił zmęczony na kwaterę. Pod hotelem, w centrum „nowego Jeruzalem" ruch i ciżba wielka — to nowoczesne młode pokolenie żyd. w wieczór sobotni szuka nowoczesnych rozrywek: kino oblężone, flirt święci swoje triumfy, śmieje się głośno na ulicy i razi płomieniami namiętnych oczu, błyszczących jak ogniki. Odzipnąwszy trochę, z okna ciekawie obserwuję młodego Judę i jego zapały.

Wtem nadjeżdża autem nasz konsul Dr. Kurnikowski, u którego się wnet po przyjeździe zgłosiłem i bardzo serdecznie i gościnnie byłem przez niego i przez Dr. Statkowskiego, wicekonsula przyjęty; ułatwiali mi zwiedzenie Jeruzalem i okolicy i nieraz służyli mi swoim autem; serdecznie i tu za to dziękuję!

Pan konsul zaprasza mię teraz na **wieczorną przejażdżkę na Górę Oliwną.** Nie było trzeba zapraszać dwa razy, z przyjemnością skorzystałem z tej łaskawej usłużności.

Musimy robić duże koło, by nie jechać doliną Cedronu; jesteśmy na miejscu. Przejeżdżamy obok ogromnego **cmentarza bohaterów ostatniej światowej wojny,** poległych o nową przyszłość tej ziemi. Z całego kraju zebrano ich ciała i tu pogrzebano uroczyście, wysoko na oczach całego Jeruzalem.

Zaraz potem ogromny nowy gmach **uniwersytetu i bibljoteki żydowskiej** — może stąd pójdzie coś innego niż zacofany w fanatyzmie i uwikłany w formalistykę i ceremonjalność duch talmudu i kabalistyki żydowskiej, zasklepiającej ortodoksyjnych żydów w samych sobie, tak jak zakrzepłą samą w sobie i majestatycznie nieruchomą jest ta typowa twarz Żyda — ortodoksy. Z żyd. narodu wyszło sporo mężów nauki, filozofji, techniki — niechże i z tego przybytku promienieje nauka ku duchowemu wyzwolenia Izraela.

Za uniwersytetem wznoszą się ogromne zabudowania **zakładów miłosierdzia** z kościołem, noszące imię **Augusty Wiktorji,** ś. p. cesarzowej niemieckiej, żony excesarza Wilhelma. Dziś stoją pustką, bo ostatnie trzęsienie ziemi, które tu zresztą często się powtarzają, bardzo je uszkodziło i muszą być gruntownie przebudowane.

Na szczycie Góry Oliwnej kościół **Wniebowstąpienia Pańskiego.** O wniebowstąpieniu na Górze Oliwnej mówią Dzieje Ap. r. 1.

Ewang. Łukasz 24, 50 mówi, że wniebowstąpienie nastąpiło w Betanji, która zdaja się była po drugiej stronie Góry Oliwnej

Z ewang. Marka wynika, że Ch. w pokoju siedzącym uczniom się pokazał i tam wstąpił w niebo po rozmowie z uczniami.

Ewang. Mat. nic nie mówi o wniebowstąpieniu, w każdym razie jednak mówi, że uczniowie ostatni raz z Ch. widzieli się na pewnej górze Galilei.

Ewang. Jan o wniebowstąpieniu nie mówi.

Widzimy więc z tego, jak słabo nawet biblijnie ten dogmat jest ugruntowany. Widzimy tu podobne sprzeczności pomiędzy pojedyńczymi ewangeljami jak i przy opisach zmartwychwstania.

Czy nam zresztą ta nauka, sprzeciwiająca się najprostszemu rozumowaniu, jest potrzebna dla naszego życia religijnego? Bynajmniej, owszem dla miljonów jest tylko przeszkodą. Ciało Chrystusa mogło pójść drogą wszelkiego ciała; że duch jego żywie, to jest rzeczą najważniejszą dla wiary.

Jedną może tylko ma zaletę ten dogmat; niema ciała Chrystusowego a więc nie można z niego robić cudownych relikwij tak jak z ciał najróżniejszych świętych. Możemy sobie wyobrazić coby kościół zrobił z Jego Ciałem! Mielibyśmy już kilka wagonów „prawdziwych" kości Chrystusowych a siła ich odpustu byłaby tak wielką, żeby Pan Bóg nie nastarczył biednym grzesznikom przepisywać miljardów lat czyśca, boby ta najświętsza relikwja wnet wszystko wymazywała.

Czytałem gdzieś, że w średnich wiekach jako relikwję zaczęto sprzedawać obrzeską Ch., ale jakoś taką relikwją nie wypadało już handlować, więc to ustało. Zostały tylko prawdziwe gwoździe, święte drzazgi z krzyża, kolce korony cierniowej, sukienka Chrystusa i tp. niedorzeczności. O zaiste, gdyby Ch. dziś miał przemówić, toby się odezwał: nie małowierni, ale łatwowierni a do tych, którzy tę łatwowierność podtrzymują i zabijają życie religijne, pewnieby ostrzej, groźniej przemówił.

Z Góry Oliwnej wieczorem rozciąga się piękny widok na Jeruzalem, które leży przed nami, całe zasiane gwiazdami świateł.

Inaczej ono się nam przedstawia niż ongiś Jemu, który pewnie również z Góry Oliwnej patrzał na miasto i płakał nad nim. Później spoglądał na nie tam z pod stóp Góry Oliwnej, z Getsemane, spoglądając w górę ku przepotężnym twardym murom świątyni, co go za parę godzin zetrzeć miała i wydać na straszną śmierć pogańskim żołdakom.

Następna droga i nas poprowadzi na Golgotę, największą ze świętości Ziemi świętej.

GOLGOTA.

Gdzież w Jeruzalemie szukać tego historycznego, świętego miejsca? Wiedziałem z drukowanego przewodnika, że istnieją różne hipotezy, mniemania pod tym względem, ale nie miałem jeszcze czasu zbadania ich możliwości na miejscu i w terenie.

Aż jednego dnia idę na północno zachodn. przedmieście Jeruzalemu. I oto, parę minut za wspaniałą bramą Damaszku, stanąłem jak wryty — przedemną skaliste wzgórze, w kształcie ogromnej trupiej czaszki; z ziemi wyrasta prostopadła półokrągła, jakich 40 metrów wysoka ściana wapienna, w której znajdują się jakieś ogromne jamy, tak rozmieszczone jak oczodoły czaszki, zagłębienie zaś niby usta jakaś jaskinia tuż przy ziemi, tak że całość niesłychanie łudząco wygląda jak biała ogromna czaszka ludzka. (P. ryc. str. nast.). To chyba **Golgota!** I odrazu wyjaśnia się mi, że nazwa ta pochodzi nie od tego, że tam dokonywano egzekucji i że tam trupie czaszki leżały, ale od tego, że całe wzgórze ma wyraźną formę trupiej czaszki! Golgota! Wzruszony tym odkryciem wchodzę na wzgórze od północno wschodniej strony, gdzie jest wygodne wejście, natomiast od południowej strony wzgórze opada zupełnie stromo jak ściana i tworzy tam właśnie owe podobieństwo trupiej czaszki.

Poprzez nagrobki arabskie, bo Golgota jest obecnie starym arabskim cmentarzem, wchodzę na sam szczyt wzgórza, aż po krawędź prostopadłej ściany. Tu z pewnością dokonywano strasznych straceń krzyżowych, umyślnie na oczach miasta, na oczu przechodniów tam w dole, aby dawać odstraszający przykład kaźni a do tego to wzgórze nadzwyczajnie położeniem swym i wyglądem się nadawało, podobnie jak i góra Morija z natury nadawała się jako ołtarz ofiarny.

Z góry daleki widok na miasto, Górę Oliwną i okolicę. Spokojnie tu i cicho, jedynie na zboczu pasą się białe owieczki,

strzeżone przez dwóch arabskich pasterzy w bieli arabskich „burnusów".

Odddaję się cały nastrojowi świętego miejsca, które jakby woła na mnie: „Zzuj obuwie swoje, albowiem miejsce, na którym stoisz, ziemia święta jest 2 Moj. 3, 5. Myśl moja cofa się w daleką przeszłość.

Inaczej tu kiedyś bywało! Dreszcz mię przejmuje, kiedy wspomnę. Całymi dniami wisieli tu na krzyżach nieszczęśni skazańcy a takich bywało w ówczesnych czasach niepokojów i buntów często bardzo dużo; kruki im w oczy zaglądały; ziemia zlana obficie krwią, zawalona połamanymi krzyżami



Golgota.

i kośćmi ledwie co ziemią przysypanych ciał. Okropnym tym miejscem kaźni straszono dzieci a starsi ze zgrozą je omijali z daleka... Czasami tylko straszne to wzgórze zaludniały roje ludzi, kiedy jakiego ważniejszego skazańca tu tracono. Patrz oto takiego wiodą!

Straszny gwar, dzikie wrzaski i przekleństwa, pomieszane z płaczem i zawodzeniem niewiast napełniają to miejsce. Trzech naraz skazańców wiodą. Dwóch z nich to typy złoczyńców trzeci to postać, jakiej się prędko nie zapomina. Poprzez sińce i krew, płynącą z pod cierniowej korony błyszczą oczy tak mądre, głębokie i szlachetne, że mimo całego pohańbienia jednak one panują nad całą tą zgrają; wszystko patrzy na tę twarz, wgórę podniesioną i dziwnie natchnioną i tajemniczą. Takiego skazańca jeszcze to miejsce nie widziało! Wszystko

ucichło, jakby zamarło, kiedy go na krzyżu w górę dźwigają; dech wszystko w sobie zapiera: cóż się teraz stanie? Taż to ten sławny Chrystus! Człowiek, którego imię było na ustach wszystkich; o którym dziwne wieści chodziły, że nadzwyczajnych cudów dokonuje, dziwną naukę głosi, kapłanów gromi, biednym dobrze czyni i królestwo Boże chce założyć na ziemi, wieść o nim niesie, że jest mesjaszem. Nad wielkich proroków, nad Jana Chrzciciela imiona jego imię się wybiło i jako promienna gwiazda zajaśniało nad złamanym Izraelem. Tyle nadziei weń włożono! Cóż się stanie? Jaki cud? Jaki znak? „I patrzą w niebo, czy z jego szczytów sto słońc nie spadnie wrogom na znak! — Cicho i cicho pośród błękitów"... Bolesny jęk nieszczęsnej Matki, głośne szlochy żałosnych niewiast rozdzierają ciszę napięcia. Ciężko na gwoździe opada ciało; dreszcze strasznego bolu przebiegają całą postać; żałośnie kurczą się usta, ale nie jęk z nich się wydobywa, tylko święte słowa: „Ojcze! odpuść im, boć nie wiedzą, co czynią!" Żadnego znaku, żadnego cudu! Ośmielone bezkarnością katy jak żmije syczą pod krzyżem i drwią i kpią z bezbronnego; gawiędź, bo gawiedź, ona do drwin przywykła, bo z niej drwią, ale te kapłany, boże sługi, w poważne, powłóczyste szaty przybrane! Raz w raz przyskakują do krzyża i przeklinają w religijnym swym fanatyzmie i kpią: „Inszych ratował a samego siebie nie ratuje!". Głupi nie wiedzą, że tem Chrystusowi najlepsze wystawiają świadectwo; ale oni tego nie rozumieją, bo nie nauczeni pomagać innym, ale samym żyć z biedoty i krwawicy innych i głównie dlatego wściekli na Chrystusa, że im to nieraz wytykał przed ludem. Dziś ich Chrystus już nie gani, nie woła swojego mocnego: biada wam, faryzeusze!".

Dziś Chrystus im nie odpowiada, „nie sprzeciwia się złemu"... On wie, że to jest **„godzina ciemności"**, ale wie też, że zło, osiągnąwszy najwyższe swe napięcie, załamuje się samo w sobie, jak choroba załamuje się w nasileniu najwyższym. Trzeba tylko komuś to nasilenie w najwyższym poświęceniu, w cierpliwości bez granic i miłości wziąć na siebie, przecierpieć a skończy się wszystko zwycięstwem.

Tu Chrystus sam wypełnia najpotężniej swą głęboką naukę o **„niesprzeciwianiu się złemu"**, której nauczył się z bacznego przyglądaniu się przyrodzie i duszy człowieka i dziejom ludzkim: niesłychana cierpliwość jakiejś wyższej My-

śli cechuje tu wszystko, słońce i deszcz jednako służą wszystkim, dobrym i złym a jednak ostatecznie prawda i dobro zawsze zwyciężają... miłość, cierpliwość i dobroć potężniejsze są od naostrzejszych mieczy a męczennicy dla dobra bliźnich, choć długi czas zapoznani, to jednak prędzej czy później stają się bohaterami i wynoszeni bywają na ołtarze uwielbienia ludzkości i stają się świętymi wzorami, zachęcajacymi do naśladowania a o to ostatnie Chrystusowi przecież się rozchodzi.

Obraz cierpiącego cierpliwie Sługi Pańskiego z Jezajasza 53 staje mu tu przed oczyma duszy; wypełnia go może nie po raz drugi, bo niewinnego cierpienia pełne są dzieje ludzkości, ale wypełnia go w sposób najwyższy, najdoskonalszy.

Wierzy, że jest mesjaszem; czuje w sobie uosobiony lud pastwiska bożego i cierpi, mając na oku zbawienie człowieka. Dla tego zbawienia sam **wyzywa** zło do walki, aby je przemódz w niezmiernym wysiłku duszy... **umiera dla idei!**

Umiera z miłości najszlachetniejszej — „większej miłości nikt nie ma nad tę, jedno gdyby kto duszę położył za przyjacioły swoje". Oto on ją kładzie w ciężkiej ofierze, modląc się przytem za nieprzyjacioły swoje.

Powoli i strasznie spełnia się ta ofiara: Oko Jego ogarnia to Jeruzalem nieszczęsne i lud jego; potem idzie w dal; duch wmyśla się w bieg dziejów ludzkich, ogarnia przeszłe i przyszłe pokolenia i jak tytan bierze na siebie bezmierne brzemię ludzkiej winy... skupia się w Nim człowieczeństwo całe— ecce homo! Duch Chrystusowy pracuje w przemożnym wysiłku.

Od czasu do czasu oko Jego spocznie na tej nieszczęsnej gromadzie u stóp... pocieszy bolesną Matkę, polecenie święte da umiłowanemu uczniowi... wrót do raju uchyli skruszonemu złoczyńcy, współbratu...

Potem dalej idzie ta straszna walka; duch Jego goreje pragnieniem, by ludzkość uszczęśliwić, podnieść z upadku na wyżyny boże... Okruch tego pragnienia pada na ziemię i słyszą najbliżsi słowo: „Pragnę!" — ocet podają, ale On pić nie chce, Jemu nie ochłodę ciała się rozchodzi.

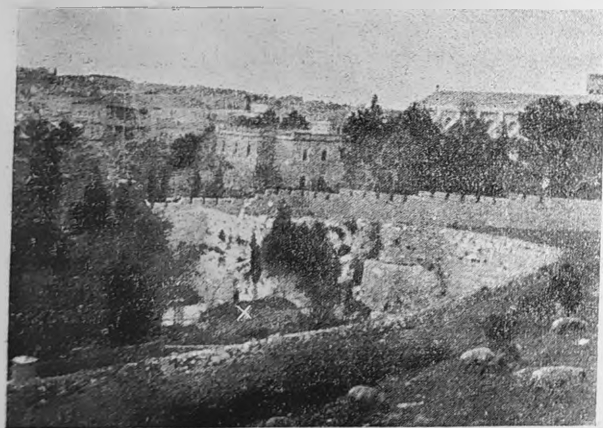
Bój śmiertelny dochodzi do najwyższego napięcia. Już całe brzemię winy przejęte — całe oblicze słońca duszy złowrogim cieniem powleczone... straszna ciemnia otwiera się przed Jego duchem: Bóg znika mu z oczu! Grzech, który wziął na siebie, Boga mu wydziera. Od najpierwszego zarania

świadomości Swej czuje się z Bogiem połączony a potem w mistycznym stałym nastroju i poczuciu w jedno z Nim złączony...



Pastuszek z Golgoty.

Bóg dla Niego tem, czem dla nas powietrze, czem dla ryby woda, w Nim i przez Niego żyje i oto ten Bóg znika Mu



Widok z Golgoty na ogród grobu.

z oczu... przed Duchem umęczonym w pognębionym do ostateczności ciele otwiera się bezdenna otchłań zwątpienia, która już tylu pochłonęła... w przeraźliwym błysku intuicji widzi zło, które się mimo Jego krzyża dalej pleni, ba w imieniu Jego

krzyża będzie dokonywane... w ciemnię zwala się Duch a ciało krzyczy w strasznej męce: „Eli, Eli, lama azawtani! — **Boże mój, Boże mój! czemuś mnie opuścił...**

Ale oto jak świeca przed zagaśnięciem nagle mocno zajaśnieje, jak nieprzytomny umierający nieraz w ostatnich momentach zadziwi jaśnią umysłu, tak i tu Duch, już się zamraczający, bucha nagle przemożną wiarą, rozjaśniają się ciemności a jasność zwycięstwa promienieje... ofiara spełniona! „Wykonało się!" a wargi zbielałe ostatnie, wielkie wypowiadają słowa: Ojcze! w ręce Twoje polecam Ducha mojego!..." **Duch Chrystusowy jednoczy się z Bogiem, by rządzić ludzkością, za którą tak umarł.**

Największy dramat religijny skończony...

Owieczka pasąca się tuż koło mnie budzi mnię z rozmyślania mego a pastuszek patrzy na mnie zdziwionymi oczyma, com się tak zamyślił. — **Rycina** na poprz. str. **Pastuszek z Golgoty**, obok ciernista agawa, rodzaj kaktusa; dalej nagrobki arabskie. Owieczki pastuszka pasą się teraz na **zachodnim zboczu Golgoty**, skąd w głębi widać ogród, gdzie się znajduje **grób Chrystusowy.** Owieczek widać tylko parę i to niewyraźnie. Pastuszek zbiera czerwone jak krew kwiatki podobne do małych maczków, których tu w okresie Wielkanocy pełno rośnie, rozsypanych jakby krople Krwi przenajświętszej, tu przelanej; nieśmiało podaje mi ich wiązkę, którą sobie na pamiątkę zabrałem do kraju. Okazałem mu wdzięczność swoją; jak mogę, porozumiewam się z nim na migi, aż zadowolony odchodzi dalej za owieczkami.

Dusza moja znowu lgnie do tego świętego miejsca. Tak, to doprawdy tu ów Tytan ducha, największy religijny genjusz ludzkości największego jej wroga, zło wyzwał na śmiertelny bój — ono Go przemogło, ale On je zwyciężył! „Ono go ukąsiło w piętę, ale On starł wężowi głowę" 1 Moj. 3, 15.

Zło zawsze tak walczy, jak tu walczyło — wali z rozmachem fizycznej siły, ale zamierzając się do decydującego ciosu, przewraca się przy rozmachu samo.

Przypomina się mi obraz szatana który ziarno pożywne w ziemię zakopał i kopytem przytłukł i cieszył się, że Bogu psotę wyrządził. Ale oto ziarno wzeszło!

Tak i tu z Golgoty wzeszło ziarno. **Śmierć Chrystusa stała się Jego zwycięstwem!**

Ale gdzież to zwycięstwo? Trzeźwe rozumowanie zaczyna brać górę, zaczynają się budzić **wątpliwości**. „Wiara nasza to zwycięstwo, które zwyciężyło świat“ tak tryumfuje ap. Jan, 1 Jana 5, 4. Czyż to prawda? Za jego czasów zwycięstwo to było ogromne, niebywałe. Garstka Żydów, ludzi prostych, ale wielkich wiarą w Chrystusa i pracą, podbija ogromne państwo rzymskie. Coś podobnego widzimy dziś, gdzie garstka fanatyków komunistycznych podbija ogromną Rosję, wciska się wszystkimi szparami we wszystkie społeczeństwa i nowy światopogląd, prawieże nową religję społeczną tworzy. Przy większej trudności ówczesnych środków komunikacyjnych chrześcijaństwo pierwotne podobnie zwycięskim pochodem szło naprzód. Tu było zwycięstwo, które przeobrażało stary pogański świat i coś nowego, wielkiego tworzyło.

Ale jakżeż prędko przychodzi upadek i wypaczenie! Wytwarza się nowa kasta kapłańska, którą przecież Chrystus tak namiętnie zwalczał; naukę Chrystusa ujmuje w suche paragrafy i kanony, dobiera różne pierwiastki świeckie i stwarza mocną organizację, która staje się wszystkiem i żywego Chrystusa przysłania — „Kościół Pański, Kościół Boży jest!“. Ten głos odzywa się wszędzie jak za czasów izraelskich (Jerem. 7 w. 4) ale sprawiedliwości i miłości chrześcijańskiej coraz większy brak. I organizacja ta kościelna, kapłańska niesie wprawdzie dalej krzyż, ale razem ze strasznym mieczem; narody całe się tępi i morduje, by krzyże pozatykać w Europie całej; z mieczem idzie się i tu do Ziemi św. i krwią ją obficie zlewa w imieniu Ukrzyżowanego; po zdobyciu Jerozolimy przez Krzyżowców bez litości wymordowano całą mahom. ludność miasta; „bij kto w Boga wierzy!“ — tych, co inaczej w Niego wierzą... Potem Ameryce półn. i połud. wciska się znak krzyża wśród nieustannych morderczych walk z Indjanami, których i alkoholem wytępia się prawie zupełnie a na ich miejsce sprowadza się niewolników murzynów.

Równocześnie tępi się mieczem wszelkie objawy głębszego rel. życia; w obliczu krzyży najstraszniejszych tortur inkwizycyj się dokonuje, które chyba wstrętniejsze są od dzisiejszych bolszewickich, bo w imieniu Chrystusowym dokonywane! Straszne wojny religijne, fanatyzm, ciasnota religijnych pojęć, zabobon, jak największe wykorzystywanie mas, byleby

tylko bogactwem i potęgą wzmocnić kastę kapłańską, sprytnie opanowującą rządy!

A ostatnia wojna w świecie chrześcijańskim! Aż boleśnie o tym wszystkiem myśleć... **Czyż to wszystko zwycięstwo krzyża nad światem albo też świata nad krzyżem?...**

Chryste! czyś Ty nie nadarmo cierpiał i umierał? Czyż w dziele Twoim nie było może nawet jakiej słabej strony, jak pięta u Achillesa, którą jakby furtką złowrogą zło wtargnąć i całe dzieło rozsadzić mogło? Czyż może w dziele ofiary Twojej samej, tu na Golgocie dokonanej nie ma tej rysy, w którą mogło paść ziarno kapłaństwa, tego najistotniejszego wypaczenia Twojej myśli i zapuściło tam korzenie i rozsadziło skałę. Umierałeś tu, jako sam może wierzyłeś, **ofiarą za grzech... Dookoła ofiary zawsze kapłan się znajdzie i zrobi swoje!**

Narzuciło Ci kapłaństwo wiarę w werbalną inspirację a z nią myśl konieczności ofiary zastępczej za grzech, jak o niej mówi Jezajasz, którego proroctwo chciałeś wypełnić. A jeśli sam odczuwałeś niedoskonałość i szkodliwość myśli kapłańskiej ofiary a tylko chciałeś się liczyć z wiarą ówczesną, czyż nie było może lepiej otwarcie powiedzieć uczniom, co sam o tem sądzisz? Czyż nie było lepiej nie brać nawet cienia myśli ofiary za grzech, aby się kapłan już bezwarunkowo nie mógł tu wedrzeć i przybrać w świętość Twoją i rozpocząć na nowo dzieło swoje zatruwające? Lepiej może było jaskrawym światłem oświecić oczy niż liczyć się z ich zaślepieniem?

Czyś może, Chryste, i nie zawcześnie umarł, czyż potęga miłości Twojej nie zawcześnie uniosła Cię w bramy śmierci? Jeszcze przecież nawet najbliższych uczniów Twych umysły nie były odpowiednio przekształcone i przeorane nowymi ideami, jak sam się na to skarżyłeś!

Może gdybyś był dłużej żył i utrwalił umysły ówczesnych głębiej w prawdzie Swojej, kto wie czy dzieje chrześcijaństwa nie byłyby się potoczyły innym, lepszym torem?

Boleśnie rozważam te rzeczy; siadam na jednym z nagrobków arabskich i patrząc na ciernistą agawę, która może na miejscu św. Krzyża wyrosła, cierniem takich rozmyślań opłatam swą duszę...

Któż jesteś, jakiś cichy głos we mnie się podnosi, że tak

surowo sądzisz? a duszę swą przy tem mieczem przebijasz? Któż ty jesteś, że krytyką swoją i na to, co wielu najdroższe, się targasz i to tu, na tym najświętszym miejscu, gdzie chyba tylko uwielbiać, uwielbiać to co największe i najświętsze się godzi? Izali to, co ganisz nie ludzkie wszystko a za człowiekiem wszędzie błąd się wlecze? Czyż ty za dużo nie wymagasz od człowieka? A któż ty sam jesteś? Czy w tobie samym nie ma tego kapłaństwa, nie ma tego faryzeizmu, który źdźbło widzi w oku brata swego a belki w swym własnym nie baczy?... coraz potężniejszy ten głos, aż idzie jak burza, jak grzmot...

Skulam się sam w sobie, kurczę wobec tego Krzyża w swą głąb jak ślimak w skorupę, ogarniam swą własną istotę: rana obok rany, że gdzie kto dotknie, tam bolesny nerw urazi i gwałtowną reakcję wywoła...

Ogarniam swe życie, przebiegam prędko swe dzieje: jaka to krzywizna, jakie kołowanie ślepe, jakie szalone nakładanie drogi, nim się do czegoś trafi, jaki kłąb splątany, którego początku ni końca nie widać...

A obecne położenie? jaki to nieszczęsny splot własnych i cudzych błędów, że dusza ze samym sobą i ze światem całym się spiera i wadzi i oto wyszedłem na to, że jak ten pies bezpański, bezdomny się tułam i domu szukam dla duszy swojej... samotność mym domem a towarzyszem mi myśli moje, ale one to właśnie na tułaczkę mię pędzą i zwadę ze światem, jakby jaka wyższa siła mię pędziła, jakby jakie przeznaczenie ciężkie nademną zawisnęło...

Boże! zmiłuj się i daj jakie oparcie duszy mojej, daj je tym rzeszom dusz, co je czuję dookoła siebie, jak i one w rozterce domu szukają a wsród nienawiści miłości łakną...

Wysłuchaj, Boże Miłości!

Rozumię cię, słyszę z Krzyża głos i ja tak byłem — bez domu; „liszki mają jamy a ptaszki gniazdka swoje, ale Syn Człowieczy nie miał, gdzieby głowę skłonił", Mat. 8, 20.

Podnoszę oczy i oto widzę tę świętą postać Tułacza... Tak, doprawdy i Ty zerwałeś z tem, w czem wyrosłeś i wyszedłeś na spór, na tułaczkę, aby nowy dom znaleść dla siebie i duszy ludzkości... jakiś mi Ty oto teraz bliski!

Domu szukasz? słyszałem. **Zbudowałem wam dom**, najszerzy jaki być może, tak przestronny, że w nim każdy, kto chce być człowiekiem, miejsce znajdzie; jest nim **nie zbiór nauk**, ale życie, głębokie **życie w Bogu**.

Wątpiłeś, czym nie użył nieszczęśnie myśli kapłańskiej ofiary, tak że kapłan mógł się wedrzeć w dzieło moje? Zaprawdę powiadam tobie, choćbym był królestwo ducha swego wszystkimi aniołami stróżami opatrzył i wtedyby się on wąż był wdarł, bo kapłaństwo siedzi w duszach waszych, tkwi i w twojej duszy, każdy ma skłonność zwalania winy ze siebie na innego. Nieraz już matka uczy tego od dzieciństwa: gdy dziecko nieuważnie się uderzy, matka bije przed nim przedmiot, zwalając nań winę, zamiast dziecku powiedzieć, że ono winne i na przyszłość uważać musi, by błędu nie popełniło znowu; tak je wychowa ku samodzielności i myśleniu a inaczej je psuje.

W tensam sposób myśl kapłańska zwalając winy na krew ofiary, psuje ludzkość i zabija w niej samodzielność. Wiedziałem i z krzyża widziałem, że z kapłaństwem bój zawsze się będzie musiał toczyć i przyszedłem po to, abym was wzmocnił w tym boju; chciałem do potęgi podnieść dobre w was siły a na miejsce niedoskonałej kapłańskiej ofiary, która innych a nie siebie ofiaruje, dałem wam żywy przykład onej najdoskonalszej ofiary, w której człowiek samego siebie ofiaruje w miłości; tu jest podstawa zwycięstwa a nie samo zwycięstwo, o które się przedtem pytałeś, wątpiąc: gdzież Chryste, zwycięstwo twoje? Spróbuj stanąć na tej podstawie a zwyciężysz i żyć będzie dusza twoja. **O ile sami lepszymi będziecie zniknie gorsze, prędzej nie.**

Żałowałeś, żem zawcześnie umarł a uczniów niewykończonych zostawiłem. Jak Ojciec mój niebieski nie dokończył stworzenia człowieka, ale samemu człowiekowi to dokończenie pozostawił (p. rozdział „człowiek"), tak i ja nie wykończyłem królestwa bożego na ziemi, ale zostawiłem człowiekowi wykończenie jego, bo co człowiek zadarmo dostaje, to lekce sobie waży, ale co sam pracą swą zdobędzie, to wejdzie mu w krew i życie;... dlatego i uczniów swych niewykończonych zostawiłem.

Nie zawcześnie ja umarłem! „Na zielonym drzewie", Łuk. 23, 31, się to stać musiało a nie na suchym. Nie wyra-

chowana nauka i mądrość, **nie sama piękna myśl, ale gorąca miłość, która wtedy na bolesną drogę idzie, kiedy jej się żyć chce — to zbawi świat**

Stałeś przede mną oskarżając, sądząc to, co niedoskonałe, co ci się złym widzi? Zaprawdę dalekim ja od tego, by ludziom brać prawo do osądzania; wiem że sąd ludzki być musi, że może on być częścią sądu Ojca mego niebieskiego; bynajmniej nie pragnę, aby wierni moi byli zawsze potulnymi owieczkami a już nigdy nie chcę, by byli głupimi, oszukiwanymi baranami. Wiem, że nieraz i mocne „biada" rozlegnąć się musi, gdzie tego koniecznie potrzeba, ja i jak swoje „biada" głośno wypowiadałem; wiem, że i bicz tu niekiedy będzie potrzebny!

Wszakże moim najmilszym, najbliższym doskonaiszą, lepszą wskazuję drogę, której zawsze najpierw powinni szukać i nią chodzić:

„Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni; albowiem jakim sądem sądzicie, takim sądzeni będziecie" Mat, 7, 1. „Ale ja wam powiadam: żebyście się nie przeciwili złemu, ale który cię uderzył w prawy policzek twój, nadstaw mu i drugi..." Mat. 5, 39. Nie mówię, żeby we wszystkiem i zawsze tak być musiało, boć życie nie da się ująć w jeden przepis. Mogą zajść wypadki, gdzie się i sprzeciwić trzeba. I ja słudze mię bijącemu rzekłem: przeczże mnie bijesz? Jan 18, 23. Ba mogą być wypadki, że ten co się w twarz bić pozwoli, zasługuje na to, by być bity! A w każdym razie grzech ma rozsądzający, jeśli niesłusznie bitemu moją regułę niesprzeciwiania się zaleci a krzywdziciela, że możny, usprawiedliwi względami „wyższej" natury!

Wszakże podkreślam, że zasadniczą drogą dla mych umiłowanych pozostanie „nie sprzeciwiajcie się!" Dużo, zaprawdę **za dużo jest dziś w świecie sprzeciwiania się,** ale mało, **za mało niesprzeciwiających się, za mało cierpliwych,** za mało w ciszy cierpienia pracujących i poświęcających się i idzie krzyk wasz aż pod niebo, ale nie może być wysłuchany, bo **Bóg wysłuchuje tylko cierpliwej modlitwy, pracującej w miłości i poświęceniu...**

Za dużo w świecie sądu i zemsty i nienawiść rośnie jak lawina, która wszystkich pogrzebać może....

Nie ścinaj głowy w gniewie, że zła i głupia, ale w cier-

pliwości dodaj do niej drugą swoją a będzie mądra i lepsza, jeśli sądzisz, że twoja mądra i dobra...

Nie przebijaj, nie krusz serca, że twarde, ale otwórz swoje serce jeśli sądzisz, że twoje dobre i szlachetne a drugie serce zabije w jego rytm, i pozyskałeś człowieka...

Nauczcie się naprawdę przebaczać; nieraz nie rozumiecie, jak to konieczne i dla duszy, ba dla ciała waszego.

Jak we śnie ciało wydala ze siebie jad, tak w przebaczaniu wydala się z duszy jad, który ją zatruwa; ludzie, którzy nie umieją przebaczać są nieszczęśliwi, trują duszę a z nią i ciało!

Przezwyciężajcie się, nauczcie się przebaczać błądzącym i przed widoczną chęcią naprawy; tak jak najpierw słońce silniej zaświecić musi a potem dopiero wiosna nadchodzi, tak i tu to boże naprawdę przebaczenie cuda zdziałać może...

Mistrzu! ze wszech miar szlachetna, nader wzniosła Twa droga... ale czyż starczy tych dobrych serc, czy starczy tych mądrych głów na tyle złości i głupotę ludzką? — wykorzystają dobroć a potem może i wykpią, że się głupim i słabym! Czyż ludzi nie łatwiej kierować ostrym, bezwzględnym prawem, „oko za oko, ząb za ząb, krew za krew“, tresurą twardą ich wychować; jakże to dać rady bez kija i bata? Mówią, że w krajach skandynawskich dawniej za małą nawet kradzież karano okrutnie odrąbaniem ręki i dziś nie tknie tam nikt cudzego dobra, nawet bez opieki zostawionego; tak twarda tresura potrafiła wychować naród...

Ludzie kierują się raczej irraracjonalizmem niż rozumem, namiętnościami raczej niż rozsądkiem i nie naprawisz ich rozsądkiem i rozumem, ale batem.

Na namięność, na szał chcesz iść, Mistrzu, z miłością jak ze świecą na huragan; zgasi Ci ją wiatr i Ciebie jeszcze deszczem i błotem obleje!

Namiętność musi się wyhuczeć, wyszumieć, namiętność z namiętnością wziąć za bary, aż się wyszamocą i uspokoją; wszak klin się klinem wybija!

Mówią, że dzieje tworzy się żelazem i krwią a prawo pięści mocniejsze jest niż słuszność a zdaje mi się, że historja to potwierdza; w każdym razie żelaza i krwi więcej jest i na dłużej starczy niż dobrych serc i mądrych głów...

Czyż i Ciebie, Mistrzu, z miłością Twoją nie sponiewie-

rano i tu na Golgocie haniebnie na krzyżu nie zawieszono; na modlitwę Twą za nieprzyjaciół odpowiadają ci oni drwinami; i gdyby nie wiara w Twe zmartwychwstanie, byłoby w zapomnienie poszło wszystko coś uczynił!...

Światem ci zaszły oczy, taki w odpowiedzi słyszę głos i ze świata światu nie widzisz; nie dostrzeżesz, na czem się jego droga kończy! Dotknę twych oczu, byś przejrzał. Cóż widzisz?

Mistrzu! rzeczy straszne: Oto tam nieprzeliczone rzesze potężne **kościoły burzą** i niszczą... krwi całe morze, w której topią ich sługi...

To krew tortur inkwizycji; to krew przez fanatyzm wyznaniowy z ciała ludzkości wytoczona; to moja krew, której kapłani toczą codziennie tak dużo, tak dużo w ofiarach jakoby na zmazanie grzechów, niepomni, że nie krew, ale miłość jedynie grzechy zmazać może,.. kto się na moją krew powołuje a miłości nie pełni, kto moją krew sprzedaje, winnym się jej staje i na niego ona spadnie, jak spadła na syny jeruzalemskie, którzy wołali, „krew jego na nas i na dziatki nasze“, Mat. 27, 25.

Mistrzu! mówisz o **synach jeruzalemskich;** oto i ich tam widzę w tym strasznym obrazie: potężna jakaś ręka w strasznym gniewie tłucze złotego cielca, dookoła którego tańczyli a kawały złota rozpryskują się na wsze strony i gubią na śmierć niezliczone tysiące! Coś straszniejszego niż rok 70., rok zburzenia Jerozolimy i rozproszenia Izraela...

Ach, oto za tem jeszcze okropniejsze idzie zło: wszystkie narody ziemi w jakiejś strasznej zawierusze pogrążone... jacyś apostołowie pychy i samolubstwa narodowego, państwowego, klasowego jakimiś strasznymi sposobami takie napięcie wywołują, że ludzie szaleją, że pada wreszcie straszny grom... drzewo ludzkości do cna rozłupane, z korzeniami wyrwane, co tysiące lat budowały, zniweczone... ogień pożera wszystko a zgliszcza krew zalewa...

Panie, Panie! widziałem już w życiu straszne rzeczy: byłem pod Monte Santo dymami walk osnutym; widziałem Doberdob (piękny dąb) do cna przewrócone wojną a w murach jego kościoła w nocy pogrzeby odprawiałem; gazami zatrute, zarazami niszczone, na poniewierkę wojny pędzone rzesze widziałem, krwi i łez dużo — Golgotę narodów widziałem...

Ale to, co mi ten straszny obraz pokazuje, jeszcze straszniejsze — beznadziejny to grób narodów, okropna czeluść,

w którą chyba i samemu ku wspólnej ostatecznej zagładzie skoczyć przyjdzie, jak raz podczas pogrzebu na froncie ostrzeliwany w grób skoczyłem.

Mistrzu! zamknij mi oczy, bo włosy mi zbieleją!

Widzisz, do czego prowadzi krew i żelazo, do czego wiedzie siła przed prawem, do czego wiedzie wszelka nienawiść, gwałt, bezwzględność, zemsta i namiętność — koniec tego wszystkiego zniszczenie! Nie tędy więc droga!

Mistrzu! masz słuszność. Oto patrz: aparat fotograficzny! cudowna rzecz, na którą wieki pracowały; coś się mi w nim zacięło, gwałtownie skręciłem i zepsułem; musiałem oddać wprawnej ręce znawcy i naprawił i oto dobrze znów działa.

A oto patrz ten zegerek; nie znałeś takich; cudowna rzecz! Szedł dobrze, naraz coś stanęło. Otwieram i niecierpliwie sprężynę trącam — znowu zepsułem. Musiałem oddać wprawnemu amatorowi, który zegarki wprost lubi jak żywą istotę i oto wszystko znowu dobrze...

Widzę człowieku, że mnie rozumiesz, żeś pojął dobrze moją myśl — wychowywać trzeba a nie żelazem i krwią kropić; lekarz wyjątkowo tylko powinien ciąć, z reguły leczyć powinien. Wychowywać trza ludzi i wszelkie stworzenia przedewszyskiem dobrocią i miłością i cierpliwością; nie powiem, żeby nieraz i rózga nie była potrzebna, i kara ma swoje prawa, niczego ani wychowania nie ujmiesz w jeden system, jednaką dla wszystkich regułę; ale i rózgą kierować musi ręka miłości a nie złości, pychy, a choćby nawet tylko niecierpliwości...

Krzyknąłeś, żeby ci oczy zasłonić, bo włosy ci zbieleją na widok beznadziejnej otchłani; nie zasłonię ci oczu, ale ci je jeszcze głębiej otworzę, byś jeszcze głębiej i dalej wniknął a utracona nadzieja była ci wrócona; dam ci swoją moc widzenia. Patrz teraz! Cóż widzisz?

Mistrzu! dziwnie widzę; czy to ta siła wzroku, o której u Ciebie wspominają ewangelje, że Tobie nikt nie musiał mówić o człowieku, boś Ty widział, co jest w człowieku? — Tak! Mistrzu, Twoim okiem widzę głębię serc i myśli ludzkich, zaglądnąć mogę na samo dno. Oto patrzę na ten **lud dookoła kościołów** i widzę, że lud wierzący jest niepomiernie lepszy od samych systemów kapłańskich, że jeszcze one do cna nie wyssały poczucia człowieczeństwa z serca wierzących; ten lud instynktownie głęboko Cię kocha, Panie, jako ideał człowie-

czeństwa, jako myśl jedności w miłości i czeka na Ciebie — Człowieka, by Ciebie mieć wśród siebie...

Dobrześ widział! I ja sądzę, że te stare systemy kapłańskie — kościelne to nie moja myśl o społeczności chrześcijańskiej; wypaczyły one moją myśl. Zrazu szły moją drogą i w męczeństwie krew swą ofiarowały w miłości, ale potem inną krew zaczęły przelewać; zrazu szły w dzikie ostępy i lasy trzebiły i oświecały i księgi przepisywały i były światłem, potem zaczęły księgi palić i zacieśniać widnokrąg narodów. Zrazu ich skarbem byli ubodzy, potem dostatki i bogactwa; zrazu w pierwszej miłości pielęgnowały one chore, cieszyły strapione, pomagały strudzonym; i dziś wielu tam mam umiłowanych swoich, którzy w ciszy i skromności spełniają me słowo samarytańskie; nie według wierzeń będę sądził, ale według czynów; niejeden tam jest simplex servus Dei, skromny sługa boży, miły dla serca mego! Ale całość, ten system to nie moja myśl; uciekli od mego życia i życie ich strawi; zostawcie to **życiu**, ono jest **sędzią**.

Ale nie wątpcie! Z tego ludu dookoła kościołów wybieram sobie **nową społeczność**, której bramy piekielne nie przemogą; nie będą to masy, bo masami i ich dostatkiem opasły się tamte kościoły i ruszać się nie mogą, za bardzo biorąc pod uwągę nawyknienia tłumów. Nowa moja społeczność to grupki ludzi nowych, prawdziwie religijne ośrodki, ogniska, gromadzące się dookoła zagadnień religijnych; ośrodkiem ich będzie zawsze jakieś dzieło miłości, które będzie próbą ich ducha i doświadczalnią ich myśli... Nie skują się dogmatami, ale płynąć będą z życiem...

Tu dwóch, to trzech tylko, tam trochę więcej, ale jam w pośrodku nich i choć ich poślę jak jagnięta pomiędzy wilki, zwyciężą świat, bo we mnie jest zwycięstwo... I znikną złote krzyże tam, gdzie one dziś są zasłoną wyzysku a staną moje znaki tam, gdzie dziś rozpacz i wyglądanie cielesnej i duchowej pomocy...

Oto idę już! Przede mną wicher, miecący plewy, ale czyszczący ziarno; ja je pobłogosławię i rzucę w ziemię, obumrą, ale wzejdzie z nich nowe życie...

Patrz, teraz w stronę **mojego żydowskiego narodu** — cóż widzisz? Mistrzu! i tam wglądam w głąb serc: złoto, choć tak wiele koło niego tańczą, nie daje im właściwego zadowo-

lenia, bo nienasycona jest żądza złota, owszem lęk rodzi w sercach i nerwowy niepokój... i oto 7000 prawdziwych Izraelitów, bożych bojowników, którzy o cielca złotego nie dbają ani przed nim skłonili kolan i upodobań swych... chcą ratować swoich i jakąś treść dać duszy narodu... oto hasło pada: umiłowanie ziemi przodków! I ciągną tysiące ze wszystkich stron i kopią i grzebią w tej ziemi i skarby tu znajdują, droższe od złota — skarby myśli swoich proroków, którymi nasiąkła ta ziemia; te kamienie do nich mówią i otworzą im oczy na życie, na świat... mesjasza szukają, ale już nie tego, który tylko państwo odbudowuje, ale tego, który duszom da ukojenie... Mistrzu, poznają siebie i Ciebie, największego syna swego! i przyśpieszają wypełnienie dni królestwa Bożego na ziemi... Rzym. 9—11.

A teraz wreszcie spoglądnij tam, gdzieś widział obraz najstraszniejszy — beznadziejny grób narodów, ową otchłań ziejącą na dorobek tysiąceletniej kultury!

Panie, za szalonymi apostołami pychy, nienawiści, egoizmu masy zahipnotyzowane grzmią wprawdzie rykiem gniewu i nienawiści, ale na dnie serc, gdzie teraz zaglądam, pozostaje poczucie człowieczeństwa nietknięte... poznają, że duszy nie syci nienawiść, bo nienawiść jest nienasycona... poznają, że gniew to zły doradca... otwierają się im oczy, usta po krzyku milkną... budzi się pragnienie i łaknienie miłości, z której stworzeni, która jest głębią i ich istoty, szukają tej miłości — walą słupy, które człowieka od człowieka, naród od narodu dzielą...

Mistrzu! widzę, że „idą czasy których znamieniem będzie wyścig pracy, jak przedtem był wyścig żelaza, jak przedtem był wyścig krwi“. *Marszałek Piłsudski.*

Mistrzu! widzę jak narody szukają Człowieka... Mistrzu! poznawają Ciebie — Człowieka!

I oto gdzie krzyki nienawiści się rozlegały, okrzyki radości i wesela i szczęścia, dziękczynienia idą pod niebiosy, że **jedną jest owczarnia**, jeden jest Pasterz i niebo przybliża się do ziemi, bo ziemia podnosi się ku niebiosom! **Mistrzu! przez Ciebie Człowieka — wierzę w Człowieka!**

Widzę teraz jasno, że nie dobrze robiono i to najwierniejsi Twoi, widząc w człowieku tylko grzech i zło i ciągle to czło-

wiekowi przed oczy stawiano. Zabito w człowieku poczucie godności i zdolności ludzkiej — tak psuje się dziecko, zawsze mu tylko mówiąc, że nic nie warte. Mistrzu! Ty inaczej czyniłeś; wierzyłeś w człowieka i tego najbardziej upadłego i przez to z błota go wyciągałeś, podkreślając Swoje wielkie: „Bądźcież wy tedy doskonałymi. jako i Ojciec wasz, który jest w niebiesiech, jest doskonały“ Mat. 5, 48. Przez Ciebie, mimo wszystkich zawodów, nauczyłem się wierzyć w człowieka. Jeśli też z ludzkich szeregów taki wyszedł jak Ty, to nie ginąć nam w błocie, ale naprzód iść w górę ku zbawieniu! Chwała Ci, Mistrzu, za to zbawienie!

Ale jakoś się mi, Mistrzu, zmienił w tej chwili! Przedtem zdało mi się, że cudowną jakąś zjawę mam przed oczyma swej duszy a oto widzę, żeś Ty człowiek, prawdziwy człowiek, jak ja i brać moja, krew z krwi i kość z kości naszej... Tóż to prawda, coś rzekł: „Jam jest z wami po wszystkie dni" Mat. 28, 20. Do nieba Cię wysłano, Boga tylko z Ciebie zrobiono, zapomniano, żeś ty człowiek, oddalono Cię od duszy ludzkiej. Królem królów Cię ogłaszają kapłani, korony Ci kładą na głowie i dworskim przepychem i sztywnym ceremonjałem monarszym Cię otaczają, ale lud instynktownie czuje, że Ty do biednych należysz; wierzy, że Ty między nimi chodzisz; piastuje Cię jako dziecię, krzyż Twój kwiatami stroi, legendy o tobie tworzy, rzewnie o Tobie śpiewa i oto widzę, że Ty rzeczywiście między nami chodzisz, w naszym ciele żyjesz, z za każdego oka człowieka spoglądasz... Teraz rozumię, dlaczego to oko człowieka zwłaszcza cierpiącego jest takie głębokie i zewsząd człowieka wygląda... Teraz rozumię, coś powiedział, „cobyściekolwiek uczynili jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili“, Mat. 25, 40. **Gdzie człowiek, tameś Ty, Chryste, jest a gdzieś Ty jest, tam człowiek...**

Dobrześ mnie, człowieku, zrozumiał, tylko ci dodam, że **wszelkiego** stworzenia oko jest głębokie, bo oczy wszelkiego stworzenia „oczekują objawienia synów Bożych“ Rzym 8, 19 (Pastuszek z owieczką znów stanął przede mną...).

A tak dwie ci pokazałem drogi: górę Morija z jej „oko za oko, ząb za ząb”, z jej zakrywaniem grzechu krwią — krew za krew; widziałeś koniec tej drogi — nienawiść, fanatyzm kapłaństwa, zniszczenie...

Z drugiej strony objawiłem ci drogę mej Golgoty, drogę

miłości, poświęcenia, ofiary własnej; widziałeś koniec jej: opamiętanie, człowieczeństwo, królestwo Boże na ziemi. Widzisz te niezmierzone pola dojrzałych kłosów? Z jednej strony złość w nie ogień miecie, pali i tratuje a z drugiej garstka robotników zbiera boże kłosy do stodół myśli i planów bożych...

Pozwól, że i tobie zaglądnę teraz w oczy i zapytam się, jak się ongiś zapytałem Piotra, Jan 21, 15 n., jak się pytam każdego człowieka, kiedy przyjdzie decydująca chwila jego: synu człowieczy, **miłujesz mię?**

Panie! Ty wiesz, że cię miłuję...

Paśże baranki moje!

Miłujeszże mię?

Panie! Ty wiesz, że cię miłuję...

Paśże owce moje!

Miłujeszże mię naprawdę?

Panie, Ty wiesz wszystko, Ty wiesz że cię miłuję... pomóż słabości i niewierze mojej Marek, 9, 24...

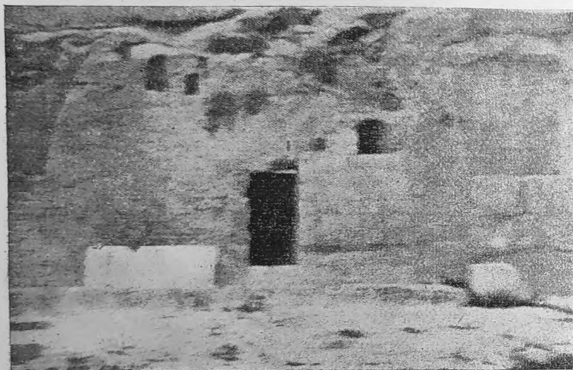
Paśże owce moje!

Gdyś był młodym, chodziłeś, gdzieś chciał, Jan 21, 18 gdzie cię niosło ciało twoje; gdyś dojrzał, teraz ja cię opaszę i pójdziesz, gdzieby nie chciało ciało twoje, ale gdzie cię poprowadzi ręka moja... wzwyż!

„Kto chce iść za mną, niechajże samego siebie zaprze, weźmie krzyż swój i naśladuje mię” Mat. 16, 24.

GRÓB CHRYSTUSOWY. ZMARTWYCHWSTANIE.

Z wierzchołka Golgoty widzi się w półn. zach. stronie u podnóża wzgórza w odległości jakich 500 kroków (p. ryc. str. 74) duży ogród; ogród zasłonięty jest od północy i wschodu niezbyt wysoką ścianą wapiennych skał, stanowiących przedłu-



Grób Chrystusowy.

żenie Golgoty. W północnej ścianie skały wykuty jest **Grób Chrystusowy** (na rycinie str. 74 oznaczono krzyżykiem).

Ogród jest dziś w posiadaniu prywatnym jakiegoś Anglika i trzeba płacić dość wysoki wstęp (5 zł), by można grób oglądnąć. Co gorsza to to, że ogrodnik Anglik mówi tak po angielsku, że go bardzo mało zrozumieć mogłem, choć drukowane słowo angielskie znośnie rozumię — drukowanych broszurek z objaśnieniami o grobie ogrodnik jednak nie miał wcale.

Grób odkrył uczony angielski Gordon i to mi właśnie objaśnia ogrodnik. Tyle rozumiałem, że grób był zamurowany kamieniami i że przypadkowo go odkryto. Wchodzę do grobu.

Cały wykowany w litej skale wapiennej. Jest to typowy grób grecki, tak jakich potem widziałem więcej w muzeum w Aleksandrji. Wchodzi się do malutkiego przedsionka a tuż zaraz obok miejsce dla zmarłych, nisza na dwa ciała. W czasach Chrystusa wpływ kultury greckiej w Palestynie był bardzo wielki i groby zaczęto sporządzać na wzór greckich.

W grobie jest też napis grecki XP, jedno na drugiem=Chrystus.

Tego znaku używali i używają Grecy po dziś dzień na wszystkiem, co poświęcone Jemu. Znak ten musiał tu zostać umieszczony później a nie za czasów apostolskich. Napis ten równie dobrze mógł się odnosić do jakiegokolwiek grobu chrz. wogóle, jak do grobu Chrystusa w szczególności. Grób cały jest poczerniały, widocznie od dymu pochodni i to byłoby może wskazówką, że grób ten był bardzo często odwiedzany a takim w tym stopniu mógł być Grób Chrystusowy.

Możliwe, że w późniejszym czasie, kiedy po zburzeniu Jerozolimy w r. 70 miasto było zupełnie opustoszałe i wyniosły się z niego resztki chrześcijan, ktoś z greckich chrześcijan z obawy, aby grobu tego nie zbeszczeszczono, umieścił w nim ów napis i zamurował go i z czasem grób ten popadł w zapomnienie.

Katolicy hipotezę Gordona tem zwalczają, jak mi mówił jeden z katolickich duchownych, że grób i Golgota według Gordona znajdują się w obrębie murów Jerozolimy, których ślady niedawno odkryto. Ale wtedy i ich kościół św. Grobu jest również w obrębie tych murów, bo się znajduje jeszcze bliżej miasta niż Golgota według Gordona.

Ja zaś przypuszczam, że ślady murów, które odkryto poza Golgotą, to są raczej przedmurza, jakie nieraz większe twierdze miewają, fortyfikacje, które miały służyć do pierwszej obrony w razie nagłego napadu. Dawna Jerozolima chyba nie była wiele większa od dzisiejszej i napewno miasto samo nie rozciągało się poza Golgotę

Niedawno pewien żydowski uczony badacz starożytności, nazwiska nie pamiętam, odkrył w odległości jakiej pół godziny pieszej drogi od Jerozolimy grób z napisem: Jezus, syn Józefa i twierdzi, że to jest grób Chrystusowy. Ale miejsca straceń na pewno były bliżej miasta, aby dawać odstraszający przykład kaźni; grób zaś Chrystusa według ewangelij musiał być dosyć blisko od miejsca ukrzyżowania.

Dalej imiona Jezus i Józef były dość rozpowszechnione wtenczas w Palestynie, tak że w owym grobie mógł być pochowany nie historyczny Jezus, ale jakiś inny Jezus. Możliwe jest jednak i to, że ktoś w tajemnicy podczas nocy wyniósł ciało Chrystusa z tymczasowego grobu a przenósł do owego, który odkrył ów archeolog żydowski. Na tej podstawie pustego grobu mogła również powstać wiara w zmartwychwstanie Chrystusowe.

Jak z pow. widzimy, miejsce grobu Chrystusa jest sporną rzeczą, podobnie z resztą jak była **i jest sporną sprawa samego zmartwychwstania Chrystusowego.**

Już w samych ewangeljach, mówiących o tem, jeśli je uważnie przeczytamy i porównamy dokładnie jedną ewangelję z drugą, znajdziemy wyraźne sprzeczności; zwrócę uwagę na kilka z nich.

Według jednej ewangelji były te, według innej inne niewiasty u grobu, tu jest mowa o trzęsieniu ziemi, tam ani słówka o tem; w ewang. Mat. Chrystus w Jeruzalemie pokazuje się tylko Marji i Magdalenie i drugiej Marji, ale żadnemu z uczniów; tym pokazuje się dopiero na górze w Galilei i wyraźnie jest dodane, Mat. 28 w. 17: „Ale ujrzawszy, pokłonili mu się; lecz niektórzy wątpili". Według innych ewangelij Ch. wnet po zmartwystaniu w Jeruzalemie wzięty jest do nieba, według ew. Jana r. 21 pokazał się Jezus uczniom swoim jeszcze u morza Tyberjadskiego a według Dziejów Ap. pokazywał się Jezus nawet przez 40 dni uczniom swoim w Jeruzalemie, poczem wzięty jest do nieba.

Jak z pow. widzimy, opisy zmartwychwstania Chrystusa pełne są niejasności, ba wprost sprzeczności. Musimy temu wszystkiemu odważnie spojrzeć w oczy i szukać prawdy, bo jedynie prawda nas wyswobodzić może a zwłaszcza wiara religijna na prawdzie tylko może być zbudowana, inaczej prędzej czy później zachwiać się musi a z nią razem gmach, który długie pokolenia z trudem budowały.

Jak sobie te sprzeczności można wytłumaczyć ?: Ewangelje, które mamy, pisane były w kilkadziesiąt lat po wypadkach. Do tego czasu wieść o zmartwychwstaniu Crystusa podawano sobie z ust do ust, przyczem naturalnie łatwo mogło dochodzić do zmian, które w jednych okolicach były takie a w innych inne a ewangelje różne w różnych też powstały miejscach. Stąd te poważne różnice. Ale gdzie wobec tego prawda ? **Jak się miała**

rzecz ze samym zmartwychwstaniem? Czy może wogóle nic nie nastąpiło a całą rzecz apostołowie zmyślili, aby nauce Chrystusowej dopomóc do zwycięstwa?

Tak z pewnością twierdzić nie można, boć przecież apostołowie prawie wszyscy śmiercią swą przypieczętowali zwiastowanie swoje a tego nikt nie czyni dla kłamstwa, choćby w dobrej wierze zmyślonego.

Ale może cała rzecz polegała na nieporozumieniu i złudzeniu? Mamy tu wiele możliwych tłumaczeń: Najstarsze, znajdujące się w ewang. Mat., mówi, że żydzi razszerzali wieść, iż apostołowie wykradli ciało Jezusowe. Nie musieli to jednak być apostołowie; mógł to zrobić ktoś inny a Marja Magdalena, której pierwszej według ewangelij św. Marka i św. Jana Jezus się pokazał, widząc grób pusty w żalu swoim i rozpaczy mogła mieć jakieś przywidzenie, co się ludziom wzruszonym nieraz zdarza. Wogóle Marja Magdalena musiała należeć do ludzi bardzo pobudliwych; ewangelje mówią o niej, że Chrystus „wypędził z niej siedem djabłów"; musimy te słowa rozumieć w ten sposób, że uleczył ją z ciężkich chorób umysłowych, nerwowych. Taka niewiasta w takiej chwili mogła mieć widzenie tylko, ale to widzenie mogło potem wystarczyć, aby podniecić innych i udzielić się innym, jak się to nieraz zdarza. Znane są np. wypadki objawiania się „Matki Boskiej" najpierw pojedynczej osobie a potem całym masom. Są-to złudzenia, które prości ludzie biorą potem za rzeczywistość. Tak mogło być i tu. Nie powiadam, że tak było, ale tak być mogło.

Inni znowu twierdzą, że Chrystus nie był jeszcze umarły, kiedy go z krzyża zdjęto i ożył w grobie i potem pokazał się kilku najbliższym. Chrystus rzeczywiście krótki tylko czas wisiał na krzyżu; sam Piłat się dziwował, czyby już był rzeczywiście umarł.

Ukrzyżowani niekiedy parę dni nawet wisieli na krzyżu, zanim umarli; Ch. wisiał około sześciu godzin. Może też egzekucję przerwało, jak niektórzy przypuszczają, trzęsienie ziemi, jak o tem pisze ewang. Mat. i Chrystusa omdlałego tylko zdjęto z krzyża, obudził się w grobie i ukazał się Marji Magdalenie a potem ukazywał się i gdzieindziej uczniom swoim, poczem, widząc zadanie swoje wypełnione, jak Mojżesz umarł gdzieś daleko od ludzi, aby z ciałem jego cudactw nie wyprawiano.

Nie wykluczam też możliwości, która mnie samemu przez długie lata wystarczała, że u **Chrystusa duch był tak potężny, że potrafił ożywić i przemienić martwe rzyczywiście ciało**, w grobie już złożone. Nauka nie zna jeszcze wszystkich objawów ducha i nieraz staje zdumiona przed różnymi objawami. Są udowodnione np. takie zjawiska, że ludzie siłą ducha swojego unosić się mogą ponad ziemię; ciężkie choroby leczy się wpływaniem na ducha ludzkiego itp., ale zaraz tu dodaję, że nawet wtedy zmartwychwstanie Chrystusa dokonałoby się na podstawie materjalnej, przyrodzonej siły ducha jego i żeby i w tym najmożliwszym jeszcze wypadku nie było nadnaturalnego cudu we właściwym tego słowa znaczeniu, choć zmartwychwstanie mogło nastąpić. Tłomaczenie takie jednak dziś wydaje mi się mało prawdopodobne.

Zwolennicy **spirytyzmu** tłumaczą zjawy Chrystusa po śmierci tzw. astralnym ciałem, które znajduje się w naszym zwykłym ciele i może się nawet za życia w tzw. transie wyłaniać a po śmierci, jak twierdzą spirytyści, żyć może samo przez się, uszedłszy z ciała.

Badania naukowe udowodniły, że istnieją tzw. **materjalizacje;** niektórzy ludzie mają dziwną moc, że w chwili transu wyłaniają ze siebie jakieś subtelne ciało w kszałcie rąk, ba nawet całych postaci ludzkich i postacie te mogą wykonywać nawet pewną fizyczną pracę a kształt ich może być uchwycony przez płytę fotograficzną. (Bliżej o tem w rozdz. o nieśmiertelności). Niektórzy przypuszczają, że to jest właśnie dusza, która może przetrwać i śmierć ciała. Tem tłumaczą też dziwne, stwierdzone zjawiska, że ludzie umierający zjawiają się niekiedy nie jednej, ale i więcej osobom, w miejscach nieraz odległych od miejsca zgonu. Podają też zdolność fakirów hinduskich, którzy i za życia w chwili transu mogą się pokazywać na dalekie odległości; są to tajemnicze zjawiska jakiejś organicznej telewizji. Tyle jest tajemnic, ale naturalnych w przyrodzie, żeśmy ani drobnej ich części jeszcze nie poznali.

Faktem jest, że u Chrystusa siły medjumiczne, jakieś przepotężne siły ducha być musiały i może one wystąpiły i po jego śmierci czy zupełnej czy też tylko pozornej. Ch. znał te siły w sobie i wierzył, że zmartwychwstanie i mówił o tem uczniom za życia. Ale i tu **nie można** wtedy **mówić o nadnaturalnym,**

ale naturalnym, choć ponadnormalnym cudzie zmartwychwstania Chrystusowego.

W każdym bądź razie trudno mówić o zmartwychwstaniu zwykłego ciała Chrystusa tak jak o tem mówi ewang. Łuk. 24, 41 n., że Ch. zmartwychwstały przed uczniami jadł sztukę ryby pieczonej i plastr miodu.

Zresztą pytam się, czy zmartwychwstanie ciała Chrystusa jest koniecznie dla wiary religijnej? Po długich wahaniach i rozmyślaniach ostatnich lat doszedłem do przekonania, że może być wiara i to głęboka, dla której **ciała Chrystusa zmartwychwstanie** nietylko nie jest konieczne ani potrzebne, ale jest poważną przeszkodą **i niepotrzebnym utrudnieniem.**

Różne są usposobienia ludzkie:

Są ludzie, którzy na dowód wielkich rzeczy potrzebują cudu. Takimi byli wszyscy za czasów Chrystusa i dużo, bardzo dużo takich jest po dziś dzień, zwłaszcza na wschodzie, którzy poprostu żyją w atmosferze cudów. A ileż u nas ludzi, którzy na udowodnienie czegoś chwytają się już nietylko cudów, ale wprost cudaczności! Inni znowu mają umysł bardzo trzeźwy, bardzo krytyczny, wszędzie widzą wprawdzie wielkie Boże cuda w całej przyrodzie, w całym życiu ludzkim, ale na udowodnienie czegoś nie potrzeba im nigdy specjalnych cudów a już nigdy cudactw; specjalne cuda ludziom takim są tylko przeszkodą w wierze.

Do tych drugich i ja zawsze miałem skłonność a dziś tu całym sercem i umysłem należę.

Dla pierwszego rodzaju ludzi ziarno cudownej nauki Ch. musiało i musi być zaopatrzone w przyrząd do latania, jak to u wielu roślin widzimy; inaczej to ziarno nauki do nich nie dojdzie. Takim potrzebne są nadzwyczajne, nadnaturalne cuda Chrystusa a więc i nadnaturalny cud zmartwychwstania. U drugiego rodzaju ludzi takie latające ziarno nie usiądzie w sercu i nie zakiełkuje tam; musi ono zrzucić swój przyrząd do latania! Wtedy wpadnie w serce i przyniesie pożytek.

Dla mnie dziś **nadnaturalny cud zmartwychwstania ciała Chrystusowego jest niepotrzebny, bą wprost rażący. Wierzę, że Duch Chrystusowy, żywie i z Bogiem zjednoczony ludzkością kieruje**

Nie pytam wogóle o to, czy ciało Jego rzeczywiście zmartwychwstało czy poszło drogą wszelkiego ciała. „Duchci

jest, który ożywia; ciało nic nie pomaga" Jan 6, 63. To jednak powiadam, bracia, iż ciało i krew królestwa Bożego odziedziczyć nie mogą ani skazitelność nie odziedziczy nieskazitelności", 1 Kor. 15,50. Ten sam apostoł pisze 2 Kor. 5, 16; „Dlatego my od tego czasu nikogo według ciała nie znamy a chociażeśmy też znali Chrystusa według ciała, lecz już teraz więcej nie znamy".

Dla głębszej myśli religijnej jest to rzeczą zupełnie obojętną, co się stało z ciałem Chrystusa, gruntem jest jego dzieło, praca, miłość, duch.

Wprawdzie **ap. Paweł bezwzględnie wierzy w zmartwychwstanie Chrystusa,** ale w przemienionym jakimś, rzekłbym ciele; cały rozd. 15, 1 Kor. o tem mówi.

W w. 17 tak się nawet ap. Paweł wyraża: „Jeśli Ch. nie jest wzbudzony, daremna jest wiara wasza i jeszcześnie w grzechach waszych" Apostoł idzie tu torem kapłańskiej myśli o ofierze Chrystusa za grzech i tak rozumuje: było trzeba jakiegoś znaku, że ta ofiara Jego za grzech nasz przez Boga została przyjęta, uznana; podobnie Kain zazdrościł Ablowi uznania jego ofiary przez Boga, czego znakiem miało być, że dym z jego ołtarza szedł prosto w górę, bo tak a nie inaczej można sobie tę scenę wytłumaczyć; takim bożym znakiem przyjęcia przez Boga Chrystusowej ofiary za grzech według ap. Pawła jest zmartwychwstanie Jego; ono jest usprawiedliwieniem naszym: „Ch. wydany jest dla grzechów naszych a wstał zmartwych dla usprawiedliwienia naszego" Rzym 4, 25.

Wykazałem już poprzednio, jak **niemożliwą do przyjęcia,** nienaturalną, wprost nielogiczną jest myśl kapłańskiej ofiary Chrystusa za grzech, myśl, która **z Boga samego robi kapłana** ofiarującego Chrystusa niewinnego za winnych ludzi, „**Bóg tego, który nie znał grzechu, za nas grzechem uczynił**" 2 Kor. 5, 21 a dalszą nienaturalną konsekwencją tej kapłańskiej myśli jest i konieczność zmartwychwzbudzenia ofiary przez Boga, aby dać znak ludziom, że ofiara Jego jest uznana.

Jeszcze raz tu podkreślam, że grzech zmazuje nie krew ofiary, ale boża miłość na podstawie naszej miłości, objawiającej się w czynie czyli na podstawie miłosierdzia, „miłosierdzia chcę a nie ofiary!".

Wszystko inne jest sztuczne, teologiczne, kapłańskie rozumowanie, która podważa logiczność i moralność i jest zgorszeniem dla trzeźwego, naturalnego zrozumienia.

W greckich teatrach, kiedy nie można było rozwikłać jakiejś trudnej sytuacji, wprowadzano przez sztuczną maszynerję na scenę jakiegoś Boga, który w nadnaturalny sposób zaradzał trudnościom; jest to tzw. deus ex machina, bóg z maszyny.

Tak i tutaj teologja ap. Pawła w nienaturalny sposób wprowadza Boga jako kapłana na Golgotę i do grobu Chrystusa.

Logiczne pojmowanie Golgoty i grobu Chrystusa jest takie: Ch. w potędze miłości walczył z kapłaństwem i zginął w tym boju, dając nam przykład poświęcenia się i śmierci dla idei; krew jego sama nie zmazuje grzechu ludzkości, owszem ten grzech powiększa, bo zamordowanie Chrystusa było zbrodnią niesłychaną i kto na tę krew się powołuje, ba ją sprzedaje na zmazanie grzechu, ten staje się winnym tej krwi, bierze udział w zbrodni najstraszniejszej, jakiej dokonały dzieje.

Kto jednak za przykładem Jego bój toczy ze złem w sobie i dookoła siebie i w miłości Jego żyje, temu odpuszczone są grzechy i taki nie pyta się, jakie były dalsze dzieje ciała Jego, ale jakie były i są dzieje Jego miłości w świecie i we mnie.

Jedną dobrą stronę miała wiara w zmartwychwstanie Chrystusa: spopularyzowano nią myśl nieśmiertelności.

Uważam wprawdzie, iż życie religijne jest również możliwe bez wiary w osobistą nieśmiertelność; człowiek może wierzyć, iż jest istotą przez Boga przeznaczoną do wykonania pewnego zadania na świecie i może to zadanie wypełniać i Boga uwielbiać czyli mieć religję a po spełnieniu zadania swego przestaje istnieć i inny wchodzi na jego miejsce.

Głębsze, pełne życie religijne wymaga jednak wiary w nieśmiertelność, tak jak każdy gatunek ma pęd do nieskończonego istnienia. Będę próbował później rozumowo udowodnić myśl nieśmiertelności, niema ona jednak nic wspólnego ze zmartwychwstaniem ciała, bo to nie może inaczej jak rozpaść się stać i się cząstką innych ciał, tak że przy zmartwychwstaniu ciała wieluby miało pretensję do tego samego ciała.

Owszem wiem, że ciałem moim to nietylko muskuły moje i kości i krew: **ciałem, w którym się wyżywam, to wszechświat** i dlatego żyć będę, że wszechświat jest wieczny a duch mój, który jest jedną z najpotężniejszych energij, sił i to pewnego rodzaju materjalną siłą, też zniknąć nie może, bo nic we wszechświecie nie ginie, ale przetwarzając się ciągle istnieje.

Aby rozumieć wszechświat musimy iść w kierunku uduchowienia materji a ucieleśnienia ducha i tu znajdziemy drogę harmonji a nie sprzeczności pomiędzy jednem a drugiem; nie ma wogóle martwej materji, wszystko żyje a z drugiej strony wszelkie objawy ducha noszą charakter materjalny, tak że musimy przypuścić, że **duch jest jakąś pramaterjalną siłą,** której budowy nie znamy.

Nieśmiertelny byt będzie koniecznością tej drogi (p. roz. nieśmiertelność).

Myśli te nieraz rozważane w ostatnich czasach, głęboko nurtowały mą duszę, kiedym stał w tym historycznym grobie. Wyszedłszy, zamyślony spoglądałem nań i coraz większa pewność wstępowała w mą duszę.

Skierowałem wzrok na wznoszącą się o paręset kroków stąd na prawo Golgotę i coraz więcej stawało się mi jasnem, że dla wiary mej daleko większe znaczenie od bardzo wątpliwego zmartwychwstania ciała ma ta niezmierna potęga miłości, która Chrystusowi na śmierć iść kazała w poświęceniu się dla człowieka. W takiej śmierci już samej jest życie i nie potrzeba do niej dodawać żadnych cudów; w niej jest moc do odrodzenia ludzkości, w niej jest droga do Boga a pusty grób jest tylko symbolem, znakiem nieśmiertelności życia, które się w grobie zatrzymać nie da.

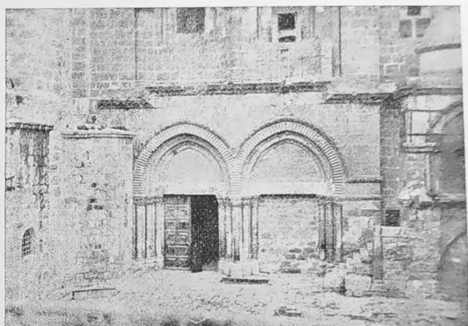
Rozmyślanie moje przechodziło w modlitwę a ta pewność i siłę wlewała w mą duszę.

KOŚCIÓŁ ŚW. GROBU.

Po zwiedzeniu grobu Chrystusa udałem się w następny dzień do kościoła św. Grobu, tak nazwanego, bo katolicy myślą, że tu był grób Pana i Golgota. Tymczasem jest to więcej niż wątpliwe. Po zburzeniu Jerozolimy zaginęła pamięć o tych najświętszych miejscach. W r. 366 pobożna cesarzowa grecka, Helena postanowiła odszukać św. grób i zrobiła pielgrzymkę do Jerozolimy. W tym właśnie miejscu miano znaleść jakiś krzyż; aby się przekonać, czy to jest ów prawdziwy kładziono nań nieboszczyków; dwóch nie ożyło a trzeci miał ożyć i to miało być dowodem, że ten cudowny krzyż jest krzyżem świętym a to miejsce Golgotą a tuż obok musiał być i grób.

Cudaczność takiego postępowania zanadto razi w oczy, aby je można było uważać za dowód. Drzewo zresztą leżące przez 300 lat w ziemi już dawnoby się było w próchno zamieniło. Z tego to krzyża św. Heleny pochodzą drzazgi „prawdziwego“ krzyża, czczone jako najświętsza relikwia.

Jeszcze jedna okoliczność bardzo wyraźnie mówi przeciw autentyczności owego św. grobu; ten grób jest tu o jakie 30 m



Wejście do kościoła św. Grobu.

oddalony od niby Golgoty, leżącej niżej. Czyż jest to możliwe, aby ktoś rodzinny swój grobowiec robił o kilkadziesiąt metrów powyżej miejsca strasznych straceń?!

Grób, który poprzednio opisałem leży o całe 500 kroków od Golgoty i w grodzie oddzielonym od Golgoty stromą ścianą skał.

W kościele św. Grobu dalej odkryto, jak mi mówił pewien kat. duchowny ślady dawnych murów; jeśli tak, to przecież miejsca stracenia nie wybierano pod samym murem miasta i nikt też pod samym murem miasta nie mógł robić grobu familijnego! Golgota przedtem opisana musiała leżeć o jakie również 500 kroków od starego miasta w tej stronie.

Wszystko świadczy za autentycznością tamtej Golgoty i grobu a nie za prawdziwością miejsca kościoła św. Grobu.

Byłoby też doprawdy pożałowania godną rzeczą, by na tych najświętszych miejscach miały się dziać rzeczy, jak o nich

zaraz napiszę. A do tego, choćby to najgodniejszy był kościół, to jednak lepiej działa na takich miejscach wolna natura, jak Chrystus pod wolnym niebem umierał.

Kościół św. Grobu robi do tego jeszcze niesympatyczne wrażenie. Tuż u wejścia legowisko rodziny arabskiej, która z dziada pradziada ma dziedziczne prawo utrzymywania porządku w świątyni; często bowiem pomiędzy pojedyńczymi wyznaniami chrz. dochodzi w świątyni do sprzeczek a nawet podobno i bójek, tak że ktoś bezstronny musi utrzymywać porządek. I ja tej pomocy musiałem zawezwać. Jakiś smarkacz arabski bezczelnie narzucał się mi na przewodnika i domagał się jakiejś zapłaty odemnie; kazałem mu iść precz, ale ten bezczelnie dalej mię napastował, tak że poprosiłem o interwencję stróżów arabskich. Ale chłopak drwiąc i śmiejąc się w czapce uganiał po świątyni, aż gdzieś w zakamarkach jej znikł.

Podczas Wielkiego Tygodnia w kościele przebywają wielkie tłumy, które dniami całymi nie wychodzą, ale trwają na modlitwach. Jak tu ciężko utrzymać porządek i co się tu dzieje, można sobie przedstawić.

Kościół robił na mnie niesympatyczne wrażenie. U wejścia wielka świętość: „kamień namaszczenia“, marmurowa płyta, na której niewiasty miały pomazać maściami ciało Jezusowe. Napewno nie odbyło się to na płycie marmurowej, ale ciało Jezusowe zawinięto w prześcieradło z maściami na kamieniach przed grobem, wykutym w skale. Nad kamieniem pełno drogocennych lamp, które należą do różnych wyznań chrz. z wyjątkiem ewang. kościołów, które do takich rzeczy nie przywiązują żadnej wagi; inne wyznania natomiast kłócą się tu o to, które i gdzie mają największe prawo, by umieścić lampę swoją, byle jak najpiękniejszą i na jaknajlepszym miejscu zawieszoną. W środku kościoła duża kaplica, obwieszona cała złotymi i srebrnymi lampami — to niby grób Chrystusowy. Grób Chrystusowy według ewangelji w opoce był wykowany. Ten tu jest zupełnie na wierzchu. Wchodzi się do niego jak do kapliczki przez wąskie i niskie drzwiczki, by to robiło wrażenie, że wchodzi się do jakiegoś grobu. W głębi pęknięta płyta marmurowa, na której miało leżeć ciało Chrystusowe. Nad płytą mnóstwo lamp, wiecznie płonących, należących również do różnych wyznań. Wyszedłszy z grobu widzę mnichów różnych przystawiających drabiny do kaplicy grobu i gwałtownie rozmawiających ze

sobą; o coś się spierali, czyszcząc lampy. Wogóle mnichów snuje się tu pełno, bo kościoły różne przedew. mnichów tu wysyłają, by pilnowali ich interesów. Stosunki między nimi, jak słyszałem i jak sobie zresztą wyobrazić można, nie najlepsze. Z różnych kaplic słyszeć ich tubalne głosy, śpiewające liturgje.

Obchodzę kościół; pełno wszędzie kaplic i kapliczek, obwieszonych zczerniałymi od wieku i dymu świec obrazami. W głębi jaskinia, gdzie miano znaleść św. krzyż i gdzie miała być Golgota.

Całość robi ponure, przygnębiające wrażenie. Doznaję głębokiego uczucia niesmaku i odrazy i wprost fizycznego bolu, jakby mię ktoś smagał, szydząc: widzisz, co robią z najświętszych niby miejsc?

Odetchnąłem, gdy byłem u wyjścia.

Ostatnio z kościołem tym są wielkie kłopoty, bo podobno gdzieniegdzie zarysowują się mury i jest obawa, by przy trzęsieniu ziemi się nie zawaliły.

Stojąc powyżej i patrząc w ciemną czeluść wejścia, wiodącą jak do grobu, ogarniam całość wrażenia tego miejsca i coś mi szepce; czyż ten kościół z jego nieprawdopodobieństwami, z tymi poczerniałymi od wieków ścianami i zagrożonymi pęknięciem stropami, z tymi lampami i lampeczkami, obrazami i obrazeczkami, z tymi rojami sprzeczających się mnichów, z tymi liturgjami, liturgjami, czyżby ten Kościół św. Grobu nie był obrazem grobu kościoła?

BETLEHEM.

W następny dzień, niedzielę, wstąpiłem do ewang. kościoła na nabożeństwo. Kościół ten znajduje się bardzo blisko kościołu św. Grobu. Jest to ten kościół, na którego poświęcenie przyjechał cesarz Wilhelm II, przyczem rozwalono bramę Jaffską.

Kazanie było w języku niemieckim. Raziła mię w tym kazaniu oschła ortodoksyjność; kaznodzieja posuwał się ciągle do takich wyrażeń, jak: Christus also Gott — Chrystus a więc Bóg. Przy swoich przekonaniach zbudowany tym kazaniem nie mogłem być.

Po nabożeństwie p. konsul Dr. Kurnikowski z Dr. Statkowskim, urządzając wycieczkę autem do Betleem, wzięli mię

ze sobą. Betleem jest o jakieś 12 km odległe od Jeruzalem na południe. Prędko mknie auto po dobrej drodze, których mnóstwo tam powstało od czasu objęcia protektoratu nad Pale-



styną przez Anglję. Zajeżdżamy do Betlehem Miasteczko pięknie rozłożone na wzgórzu. Ludność prawie zupełnie chrz.; są to po-



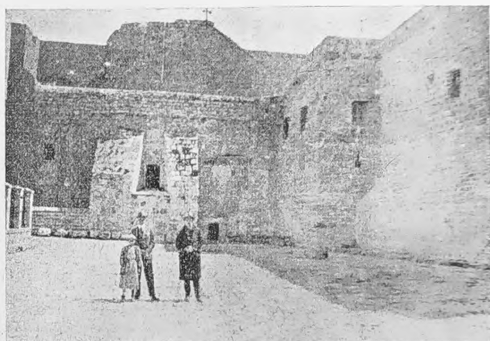
Typy Betlehemskie.

tomkowie ludności krzyżowej, która się tu osiedliła i ostała od czasów wojen krzyżowych. Kobiety po dziś dzień noszą wysokie, wykrochmalone chustki na głowie jak je noszono za czasów

średniowiecza w niektórych miastach europejskich. Mężczyźni noszą się po arabsku.

Idziemy do starej bazyliki, która ma być zbudowana nad stajenką narodzenia Chrystusowego. Oglądnąwszy kościół, schodzimy do groty narodzenia. W jednym jej rogu wyryta na ziemi wielka gwiazda — na tym miejscu miał sie narodzić Chrystus. W drugim rogu miał stać żłóbek betlejemski.

Jedno i drugie miejsce obwieszone znowu jak w kościele św. Grobu lampami i lampeczkami, należacymi do różnych wyznań chrz. Widziałem tam i świecznik, którego dolna część na-



Wejście do kościoła w Betlehemie. Na przodzie konsul Dr. Kurnikowski i wicekons. Dr. Statkowski.

leży do jednego a górna do innego wyznania, Między wyznaniami tymi jednak nie ma zgody, jedno współzawodniczy z drugim. Świecznik ten przypomniał mi mieszane wyznaniowo małżeństwa, w które kościoty wnoszą nieraz piekło niezgody i nieporozumień.

I w Betlejem często dochodzi nietylko do sprzeczek, ale nawet do bójek na świętych miejscach. Mówiono mi, że raz na wilję doszło tam z powodu zbytniego zbliżenia się jednego wyznania do ołtarza drugiego wyznania do tak zażartej bójki, że byłaby [się ona skończyła śmiertelnymi pobiciami, dopiero policja musiała wkroczyć i rozdzielić strony walczące. Cożby Chrystus na to powiedział?!

Ziemia św. jest klasycznym krajem religji; tu wytworzyła się religja żydowska, religja chrześcijańska, tu mahometanizm

ma święte miejsca i w ziemi tej obecnie ma przewagę. Ale ziemia św. jest też klasycznym przykładem, do czego zorganizowane religje doprowadzić mogą; na każdym miejscu widzi i wyczuwa się tu nienawiść, panującą między tymi wyznaniami. Ziemia św. od prastarych wieków w imię religji obficie jest zlewana ludzką i zwierzęcą krwią; tu religja a krew dla niej przelewana są prawie nieodłącznymi pojęciami.

Co się tyczy autentyczności miejsca narodzenia Chrystusa, to któż dziś wykaże, gdzie się właściwie Chrystus narodził? I rok jego narodzenia jest niepewny.

Że Chrystus sam nie uważał się za potomka Dawida, wykazaliśmy na str. 35; zresztą w czasie Chrystusowym nie ma wcale śladów potomków Dawida; ród ten wyginął prawdop. w niewoli bab.; po powrocie z niej już nigdzie nie ma mowy o potomkach Dawida; byliby oni zresztą zasiedli na tronie żyd. po powrocie, gdyby się byli ostali. Widać to i z tego, że listy genealogiczne, mające udowodnić król. pochodzenie Chrystusowe, jako je podaje i ewang. Mat. 1 i ewang. Łuk. 3, 23 n., nie są z sobą w zgodzie.

Źródłem opowiadań o Betlehemie jest proroctwo Micheasza 5, 2, że z Betlehemu przyjdzie mesjasz; tam bowiem urodził się Dawid i spodziewano się, że stamtąd przyjdzie drugi Dawid, który odnowi królestwo izrael. Kiedy ród Dawida wyginął, zaczęto się spodziewać mesjasza wprost z niebios jako Syna Człowieczego i tę wiarę podzielał Chrystus, który nie chciał odnawiać ziemskiego królestwa, ale dać pomoc z nieba, duchową, bożą.

W związku z Betlehemem musimy omówić **dogmat niepokalanego poczęcia Chrystusowego.** Ewang. Marek nic o tem nie mówi, ewang. Jan pisze tak: „Jezus, syn Józefa z Nazaretu“ 1, 45 i „Izali ten nie jest Jezus, syn Józefa, którego my ojca i matkę znamy” 6, 42. Ewang. Mat. mówi krótko: „co się w niej poczęło, z Ducha Św. jest” 1, 20. Natomiast ewang. Łukasz 1, 26—38 obszernie mówi o zwiastowaniu przez Anioła Gabrjela.

Że Jezus miał się począć z Ducha św. a nie z woli męża i narodzić się z panny, ten dogmat powstał na podstawie mylnego tłumaczenia proroctwa Jez. 7, 14: „Panna pocznie i porodzi syna a nazwie imię jego Immanuel“. Proroctwo to wcale nie odnosi się do mesjasza, ale do narodzin potomka Achazowego,

w 1C. Dalej przez słowo panna, prorok miał na myśli wogóle niewiastę, która pocznie pierworodnego syna swego, ponieważ pierworodny dziedziczył tron; pierworodny zaś poczęty jest wtedy, kiedy niewiasta jeszcze jest panną.

Stąd dogmat, że Marja poczęła Chrystusa jako panna a wtedy ten cud nie mógł się inaczej stać jak przez Ducha św., myślano i stworzono to opowiadanie; gdyby ono odpowiadało rzeczywistości, to niemożliwe, aby i ewang. Marek i Jan nie podali tak wielkiego cudu a oni o tem nic nie mówią.

Dogmat ten tak sprzeciwia się naturalnemu porządkowi rzeczy, że u niezliczonych rzesz o ten dogmat rozbijają się ich religjne przekonania i następuje zniechęcenie w stosunku do postaci Chrystusa a z tem i do głębokiej jego nauki. Dlaczegóż to narażać religję na nieobliczalne straty z powodu dogmatów, które nie mają żadnego uzasadnienia ani w rozumie ani w proroctwach a wyniknęły tylko z mylnych tłumaczeń?

Zupełnie obojętną jest rzeczą, jaki jest początek danego człowieka, główną rzeczą, czem ten człowiek sam jest w charakterze i działalności swojej.

W związku z tym dogmatem powstały dalsze, późniejsze a mianowicie: **jakoby Marja, matka Jezusowa, nie miała innych dzieci** i że sama nietylko niepokalanie Jezusa poczęła, ale że i ona sama niepokalanie, bez grzechu jest poczęta. Że Jezus miał braci i siostry, o tem wyraźnie mówi Mat. 12, 46, Marek 2, 31, Łuk. 8, 19, Jan 7, 5. Znajdziemy Mat. 12, 55 wymienione ich imiona: „Izali ten nie jest on syn cieśli? Izali matki jego nie zowią Marją a bracia jego Jakób i Jozes i Szymon i Judas? A siostry jego izali wszystkie u nas nie są?“ Kościół katolicki mówi, że to nie są dzieci Marji, ale Józefa z pierwszego małżeństwa; nic o tem biblja nie mówi, ale wyraźnie zestawia matkę ze synami i córkami.

W Ewang. Mat. 1, 56 znajdujemy ciekawe słowo, które nam rozwiązuje ten problem: „Józef nie uznał jej, aż porodziła pierworodnego“. W greckim oryginale te słowa brzmią: uk eginosken tzn. nie poznał jej, aż...

W biblji wyrażenie to jest używane na małżeński stusunek 1 Moj. 4, 1 „Potem Adam poznał Ewę, żonę swoją, która poczęła i porodziła...“, 1 Moj. 19, 8 "mam dwie córki, które nie poznały męża“ i inne miejsca. A więc na tej podstawie Mat. 1, 25 musimy tłumaczyć tak, że Józef nie poznał Marji tzn.

nie żył z nią małżeńsko, aż porodziła pierworodnego, ale potem ją poznał i żył z nią w małżeństwie, z którego byli wymienieni synowie i córki. Tłumaczenie „uznał" jest tu więc mylne; jakżeż jej zresztą miał nie uznawać, skoro już była mu poślubiona a więc przy ślubie uznana została jako małżonka?

Powie ktoś: w takim razie Jezus był nieślubnym synem! Wcale nie, bo dopiero na podstawie tego opowiadania dogmatycznego o poczęciu Chrystusa przed ślubem powstała w szeregach przeciwników chrześcijaństwa złośliwa plotka, jakoby Jezus był nieślubnym synem a ojcem jego miał być rzymski jakiś żołnierz gwałciciel i tę plotkę uwzględnia już ewang. Łuk. i Mat. i mówią, że to z Ducha św. było poczęcie. Tak nienaturalny dogmat spowodował takie zamieszanie.

Najprostszym i najoczywistszym jest tłumaczenie, że Jezus był pierworodnym synem z małżeństwa Józefa z Marją, z którego były i inne dzieci. Czyż pożycie małżeńskie jest grzechem?! Czyż małżeństwo i to zupełnie słusznie (o tem później) nie zostało podniesione na wysokość sakramentu?! Czy to uwłacza wielkości Chrystusa, że z małżeństwa wyszedł?! Czyż to w czemkolwiek uwłacza i wielkości Matki Jezusowej, że żyła w małżeństwie? 1 Tymot, 2, 15 mówi „niewiasta zbawiona będzie przez rodzenie dzieci", jest tu rozumiane oczywiście i wychowanie dzieci; jakiż to ciężki i trudny a święty czyn tworzenia i imię Matki z największą czcią i najgłębszem uczuciem zawsze będzie wymawiane. A Marja pozostanie też świętym wzorem matki, która takiego syna wydała i tak go wychowała.

Do tej wielkości Marji nie potrzeba wcale dodawać jeszcze bardziej niż powyższy nienaturalny cud o **niepokalanym poczęciu Marji;** owszem z ciała i z krwi i poczęcia jako my wszyscy, z tych samych niedomagań i niedoskonałości wybiła się ona za łaską bożą na wyżynę Matki Chrystusowej!

Człowiek głęboko religijny nie będzie się do Niej modlił, bo modlić się można tylko do Boga a nie do ludzi Mat. 4, 10, ale będzie ją uwielbiał i za wzór stawiał i przy pojęciu Matki jej imię zawsze uczci.

Dodaję, że pow. wywody wcale nie są oparte na jakiejś innej biblji; jest jedna dla wszystkich wyznań biblja, choć są różne kodeksy bibljijne, ale różnice są tak minimalne, że je zupełnie można pominąć milczeniem. Zresztą proszę moje cytaty wszystkie porównywać z kat. tłumaczeniem Ks. Wujka,

które tak samo można dostać w Bryt. Tow. Biblijnym, Warszawa, Al. Jerozolimskie 15.

Przez pow. wywody absolutnie nie chciałem tykać świętych uczuć inaczej wierzących, ale rozchodzi się o tych, którzy dla nienaturalności różnych dogmatów zupełnie od wiary odpadają. Dajmy im **naturalnego Chrystusa, naturalną pokażmy Marję — Matkę** a lepiej na tem i religja wyjdzie.

Sądzę, że **naturalny kwiat zawsze jest nam żywym bliższym i milszym niż sztuczny!**

W tym duchu musimy przeglądnąć i inne opowiadania z dzieciństwa Jezusowego. Do legend należy również ustęp o **mędrcach ze wschodu słońca,** Mat. 2 (trzej królowie).

Opowiadanie to jest w ścisłym związku z wiarą, że każdy człowiek ma gwiazdę swoją, co oczywiście nie odpowiada rzeczywistości.

Chciano do tego, aby na Chrystusie wypełniło się proroctwo Jez. 60, 65 „przyjdą z Saby, złoto i kadzidło przyniosą i chwały Pańskie opowiadać będą". Ustęp ten odnosi się wogóle do narodu żydowskiego, któremu mają służyć inne narody a nie do mesjasza; mylnie tedy odniesiono go do Chrystusa i chciano koniecznie, aby się wypełnił; stąd powstała owa legenda o mędrcach ze wschodu słońca.

To samo odnosi się do ustępu o **mordzie dzieci betlehemskich.** Król Heród, jako wogóle wszyscy władcy wschodu, sprzątał wprawdzie bez litości wszystkich, którzyby władzy jego szkodzić mogli. Był to tyran bez litości, panowanie było dla niego wszystkiem. O jego całym życiu są szczegółowe historyczne wiadomości, ale nigdzie nie ma tam mowy o owym mordzie botlehemskim. Opowiadanie to zostało znowu ułożone, aby się wypełniło słowo Jer. 31, 15. Ustęp ten odnosi się znowu do narodu izraelskiego, płaczącego swych pobitych synów a nie jest proroctwem mesjanicznym.

Taksamo **ucieczka rodziców Chrystusa do Egiptu** przed rzekomym prześladowaniem Heroda jest legendą. Droga do Egiptu przez daleką pustynię, w której pewnie i band rozbójniczych nie brakło, była jeszcze niebezpieczniejszą niż groza Heroda. Przed nią można się było zresztą gdzieś bliżej schronić. Ułożono tę legendę, aby się spełniło proroctwo: „z Egiptum wezwał syna mego" Hoz. 11, 1, ale Hozeasz rozumie przez to nie mesjasza, ale Israela, którego Bóg wezwał z Egi-

ptu, bo Izrael często nazywany jest synem bożym. Znowu więc mylnie ustęp ten odniesiono do Chrystusa i stworzono legendę.

Wogóle o życiu Chrystusowym powstało w pierwszych wiekach tak dużo legend, że kiedy ustanawiano (blisko 400 lat po Chrystusie), które księgi mają należeć do N. Testamentu, były o to liczne spory; wiele opowiadań odrzucono, zatrzymano tylko 4 ewangelje, ale i w nich znalazło się wiele rzeczy, niezgodnych z rzeczywistością a nawet sprzecznych między sobą.

Jakąż tedy wartość wogóle mają te księgi? W cóż wogóle wierzyć mamy? Księgi te mają wartość przedewszystkiem historyczną. Są one nam dowodem tego, jak pierwsze chrześcijaństwo zapatrywało się na osobę Chrystusową; z tego jednak nie wynika, aby to ich zapatrywanie miało być bezwzględnie wiążące i obowiązujące dla naszej dziś wiary. Ewangelje są dla nas pewnego rodzaju wskazówką, jak my mamy budować swą wiarę; niekiedy są nawet jednak przestrogą, jak jej budować nie powinniśmy. Zawsze tam jednak b. dużo znajdziemy dla swej duszy i zdrowego pokarmu.

Wracając do Betlehemu i związanych z nim legend o dzieciństwie Chrystusa, powie niejeden: może to i słuszne, że wszystko to są legendy niezgodne z rzeczywistością, ale tyle w nich piękna, takie w nich i zdrowe jądro prawdy, że szkodaby było to wszystko skreślać, tem więcej że dookoła tych legend wytworzył się już cały świat poezji i sztuki i pięknych zwyczajów i obchodów, bez których dziś prawieby się obejść nie można.

Ostatecznie jakbyśmy przez szkło powiększające patrzeli się i na najpiękniejsze rzeczy, jak wiele wszędzie odkryjemy skaz i zmarszczek; najpiękniejsze np. wargi pod lupą są gmatwaniną zmarszczek. Mamy więc i na ewangelje patrzeć się przez lupę? Mamy skreślać to, co krytyka odrzuci? Chcę jeszcze raz zaznaczyć, że krytyka musi wszędzie sięgnąć, to jest jej przyrodzone boże prawo i oddaje ona i oddawać będzie zawsze i myśli religijnej nieocenione usługi; oczyści ona religję z przesądów, zabobonów, nieprawdy a prawdę zdobyć pomoże.

Nie powiadam jednak, że to, co bezsprzecznie jest legendą, skreślać trzeba; owszem może ona i dalej służyć i budować, ale musi być traktowana jako legenda a nie jako nieomylne źródło prawdy, z którego się stwarza podstawowe dogmaty religji, będące kamieniem obrażenia dla trzeźwych umysłów.

JERYCHO, JORDAN, MARTWE MORZE.

W następny dzień wybrałem się autem do Jerycha. Okrążamy Górę Oliwną i zbliżamy się do **Betanji**.



Betanja.

Na rycinie widać Górę Oliwną od wschodu; u jej stóp małe domki z kopułami to sklepione dachy. Tu miała stać



Grób Łazarza.

Betanja. Opodal znajduje się **grób Łazarza**. Poszedłem zwiedzić tę osobliwość; stanąłem u wejścia do małej podziemnej **groty**, do której prowadzi kilkanaście schodów w dół.

O zmartwychwstaniu Łazarza opowiada tylko ewang. Jan 11; inne ewangelje nic o tym cudzie nie mówią a przecież gdyby taki cud rzeczywiście był nastąpił, to niemożliwą jest rzeczą, aby o nim nie wiedzieli inni ewangeliści i wtedyby napewno byli go przytoczyli na dowód posłannictwa Chrystusowego. Już tosamo stawia ten cud pod znakiem zapytania.

Wydaje się mi też rzeczą nieprawdopodobną, by Chrystus przy swoim usposobieniu chciał łamać naturalne prawo boże, ze śmiercią zwiazane.

Podkreślić należy, że nie mamy ani jednego cudu zmartwychzbudzenia, któryby podały wszystkie cztery ewangelje.



Pustynne Góry Judzkie koła Morza Martwego.

Droga prowadzi nas dalej w stronę Jerycha; jedzie się wciąż silno w dół. Okolica coraz więcej pustynna; góry dokoła zupełnie gołe i spieczone słońcem.

Przyjeżdżamy na miejsce z napisem See-Level, poziom morza; trzeba jeszcze jechać blisko 400 m. niżej bo Morze Martwe i Jerycho leżą tak głęboko poniżej poziomu morza. Jedziemy najpierw w stronę **Starego Jerycha;** w okolicach tych czynił poszukiwania za starym Jerychem mój profesor teologji Ks. Dr Sellin, dawniej we Wiedniu, obecnie w Berlinie. Obok obfitego źródła uchwyconego w sadzawkę, zwaną sadzawką Elijasza zwrócił jego uwagę niewielki pagórek, jakby kopiec sztucznie usypany. Powstało w nim przypuszczenie, czy to jednak nie przypadkiem stare Jerycho, z biegiem czasu zasypane

przez wiatr piaskiem i ziemią. Kazał grzebać i oto wnet pokazały się fundamenty i resztki starych murów obronnych i uliczki miasta.



Rumowisko Starego Jerycha; u podnóża kozy i owce, potomki tych, których krew ongiś „zmywała grzechy" przez ofiarę w świątyni.

Nie ulegało wątpliwości, że to ruiny starego Jerycha, które było położone według historycznych danych w pobliżu



Mury Starego Jerycha.

Jordanu i Morza Martwego, a śladów ruin tu nie znaleziono.

Zaczęto wykopywanie na większą skalę. Dziś pracuje tam amerykańska naukowa ekspedycja, rozporządzajaca dużymi środkami. Profesor, prowadzący prace, dawał nam objaśnienia.

Właśnie co dopiero odkryto blisko wałów mały sklepik; coś w rodzaju chleba skamieniałego widać było na kupie rumowiska. Uliczki tak wąziutkie, że ledwie można się było przecisnąć. Miasto musiało być dla oszczędności miejsca zbudowane prawieże jak jeden dom. Całość niewielka; obszedłem całe ruiny w przeciągu jakich 7 minut. Prawdopodobnie źródło Elijasza objęte było również murami, ale z tych nie zostało ani śladu. Dziwić się trzeba, że takiego miasta nie mogli Izraelici zdobyć szturmem. Były ich przecież liczne tysiące a miasteczko mogli, jak się to dziś mówi, zarzucić czapkami. Ale widocznie jako lud koczujący nie mieli żadnych maszyn oblężniczych, których było trzeba na zdobycie murów.

W okolicach tych częste są trzęsienia ziemi; widocznie musieli mieć między sobą ludzi zdolnych przeczuć trzęsienie ziemi. Przecież zwierzęta po dziś dzień mają tę zdolność a człowiek pierwotny, zbliżony do zwierząt instynktem swoim, dawniej miał większe pod tym względem zdolności; dziś człowiek zdolności te nadzwyczajnie zastępuje aparatami.

Może przeczuli kapłani izraelscy trzęsienie ziemi i na nie czekali, aż mury się rozpadną. Dla odpowiedniego nastrojenia ludu kazali przez siedem dni obchodzić miasto, aż nastąpiło trzęsienie ziemi. Możliwe też, że Izraelici miasto zdobyli przez zdradę wszetecznicy Rachaby, której potem darowali życie, Jozua 6. Miasto po zdobyciu zostało zniszczone, mieszkańcy w pień wycięci a miejsce to wyklęte, aby nikt więcej tu nie budował. Od klątwy tej wykupić mogły tylko ofiary z ludzi. I tak czytamy w 1 Krol. 16, 34, że Hijel, budując Jerycho, ofiarował pierworodnego swego a pod fundamenty bram położył ofiarą najmłodszego syna swego. Ofiary takie z ludzi przy budowie domów i miast były wtedy nieraz stosowane.

Religje różne żądały nieraz strasznych i to bezmyślnych ofiar; a czy ich i dziś nie żądają? Pewnie nie w tej formie jak ongiś, ale w innych postaciach, nie wiele mniej dotkliwych.

Również owo drugie Jerycho legło w gruzach a zwaliska jego podwyższyły kopiec-grób pierwszego Jerycha z czasów Jozuego.

Przy wykopaliskach widzi się te różne warstwy.

Z Jerycha za chwilę jesteśmy nad **Jordanem.** Stajemy na nowym żelaznym moście, z którego robię zdjęcie.

Za mostem zaczyna się już nowe państwo arabskie:

Transjordanja; Jordan stanowi granicę pomiędzy obu krajami: żydowską (czytaj w przyszłości) Palestyną a arabską Transjordanją.

Jordan nie jest szeroki, ale głęboki; toczy prędko w rwącym nurcie swoje brunatne wody — wiosenna powódź z topniejących śniegów Hermonu. Po obu brzegach bujna roślinność.

Jordan to święta rzeka Izraela. Woda jego uchodziła za oczyszczającą z choroby i grzechu. Elizeusz prorok po 7 kroć kazał się hetmanowi syryjskiemu, Naamanowi okąpać w Jordanie, aby był wyleczony od trądu 2 Król. 5, 7.



Jordan, w głębi góry koło Martwego Morza.

Najsławniejszym stał się Jordan, kiedy Jan Chrzciciel wystąpił ze swym kazaniem pokuty, zapowiadając przyjście Mesjasza. Wtedy to i Chrystus dał się tu ochrzcić. Na pamiątkę jego chrztu odbywają się tu masowe kąpiele pielgrzymów. W kościele prawosławnym jedno z największych świąt, święcenie wody nazywa się świętem Jordanu.

Miałem i ja zamiar okąpać się w Jordanie, ale brzeg pełen błota z tego miejsca czynił to niemożliwym.

Pojechaliśmy stąd nad **Morze Martwe** leżące na południe od Jerycha w odległości kilku kilometrów. Nazywa się martwym, ponieważ w jego wodach niema żywych istot, bo zawierają one ponad 30% soli i innych minerałów.

Wskutek trzęsienia ziemi przed niepamiętnymi wiekami powstała olbrzymia szczelina, ciągnąca się od Galilei aż na

południe od Morza Martwego. W szczelinę tę poprzez dolinę Jezreel napłynęły masy wód morskich, które potem wyparowały, ostawiając sól; z tego powodu resztki tych wód tzn. właśnie w Morzu M. są tak przesycone solą.

Jak słoną i ciężką jest woda Morza M. o tem miałem sposobność wnet osobiście się przekonać; rozebraliśmy się i huzia do wody, bo było upalnie. Trzeba było nadzwyczaj uważać, by woda nie plusnęła do oczu, bo piekło straszliwie. Cała skóra powlekała się białą warstwą soli, kiedy się na chwilę stało na powietrzu. Ale najciekawsze to to, że w wodzie tej nie można utonąć. Póki się ma grunt pod nogami, to się stoi, ale skoro tylko grunt się straci, zaraz ciało podnosi się w górę; próbuję opaść, ale nie daję rady; pływanie również utrudnione, bo nogi za bardzo unoszą się w górę. Możnaby całe morze przejść i nie utonęłoby się.

Niedawno utworzyła się wielka spółka żyd. dla wydobywania, przez odparowanie wody, minerałów z Morza M., szczególnie soli, ałunu i asfaltu. W pobliżu wznoszą się mury wielkiej fabryki, mającej dać zatrudnienie 10 tysiącom robotników; na razie jednak pan Kryzys zakazał dalszej pracy i czekają aż przyjdzie pan Kapitał i dalszą pracę wznowi.

Będzie tu znowu wrzało życie, jak kiedyś za czasów miast Sodomy i Gomory, których ruin obecnie poszukują archeologowie.

WYCIECZKA DO GALILEJI.

W następny dzień wybrałem się do Galilei. Ułożyłem sobie następujący plan: autem przez Samarję do Tyberjady nad jeziorem Galilejskim, tam zwiedzić Kapernaum i okolicę, potem pojechać autem do Nazaretu a z Nazaretu doliną Jezreel do Haify, nowego angielskiego portu; z Haify zwiedzić Athlit, ruiny groźnej twierdzy Krzyżowców i koleją wzdłuż morza wrócić do Jeruzalem. Oczywiście na taką wycieczkę trzeba najmniej 4 dni, które trzeba w pełni wykorzystać. Plan okazał się dobrym.

Auto, wypełnione przygodnymi pasażerami, wyjechało z rana.

Jedziemy dobrą nową szosą prosto na północ. Tędy wiódł kiedyś szlak, łączący Galileję i Samarję z Jeruzalemem. Droga

ta jest jednak, choć krótsza, dosyć uciążliwa, bo wiedzie terenem górzystym, podczas gdy drugi szlak szedł doliną Jordanu i tamtędy też przeważnie pielgrzymi z Galilei wędrowali do Jeruzalemu. Czasami pielgrzymki szły i tą drogą na Samarję i Jezus nią raz szedł, jak to widzimy z owej rozmowy z niewiastą samarytańską, Jan 4.

I my stajemy w Samarji u **studni Jakóba**, gdzie to Chrystus miał ową rozmowę ze Samarytanką. Studnia znajduje się dziś w kaplicy; obramowanie jej jest ze starego kamienia; jest b. głęboka i po dziś dzień ma „żywą" wodę. Niewiasta, ale nie samarytańska, naciągnęła wody i dała mi pić. Nie miałem jednak czasu, by prowadzić z nią rozmowę. Nie starając się wcale odgadnąć, ilu mężów miała, Jan 4, 18, dałem „Samarytance" bakszysz = napiwek i wyszedłem, by się bliżej przypatrzeć **górze Garizim**, u której stóp studnia Jakóba się znajduje. Na górze wznosi się świątynia samarytańska, potąd też **Samarytanie** w niej chwalą Boga i to według tego samego ceremonjału jak za dawnych dni. Po dziś dzień składają oni ofiary krwawe z baranków na cześć Jahwe'go. Lud samarytański jednak, z powodu małżeństw w małym gronie, coraz więcej się wyradza i zatraca; dziś ich jest już tylko około 150. Mieszkali właśnie w pobliżu studni Jakóba, ale trzęsienie ziemi zniszczyło im tu budynki i chwilowo koczowali w okolicy i niestety dla braku czasu nie mogłem ich odwiedzić, jak miałem ten zamiar.

Przejeżdżamy teraz przez miasto Nablus, dzisiejszą stolicę Samarji; ruiny dawnej znajdują się w pobliżu i obecnie się je również odkopywuje, bo praca archeologiczna w Palestynie idzie dziś w pełnym tempie.

Jedziemy jeszcze pewien czas górzystą krainą Samarji. Miasta tu, pobudowane na szczytach gór, przedstawiają się zdaleka bardzo malowniczo. Przypomniały się mi słowa Chrystusa: „Nie może się ukryć miasto na górze leżące". Widocznie już za czasów Chrystusa były tam miasta i oko Jego nieraz na nich spoczywało.

Wjeżdżamy do **doliny Jezreel**, dzielącą Samarję od Galilei. Odgrywała ona w historji Izraela bardzo ważną rolę. Dolina ta bowiem była bramą, którą ludy północy i wschodu szły na południe w stronę Egiptu. Dzisiaj doliną tą idzie kolej, którą Anglicy chcą połączyć port Haify, u wylotu doliny Je-

zreel z Damaszkiem a stamtąd z Bagdadem i doliną Mezopotamji aż ku zatoce perskiej; byłaby to najkrótsza droga ku Indjom, którąby można przerzucać szybko wojska do Indji, gdyby nawet kanał sueski miał być zagrożony dla okrętów. Znaczenie doliny Jezreela wychodzi więc i dziś znowu na jaw w całej pełni. Tędy też mają iść rurociągi z pól naftowych Iraku do Haify.

W dolinie Jezreel stoczono wiele bitw. Tutaj nad rzeką Cyson odniósł Izrael pod wodzą prorokini Debory jedno z pierwszych wielkich zwycięstw nad Sysarą. Tutaj też została wyśpiewana jedna z najstarszych pieśni, jaką mamy w St. Testamencie, pieśń Debory, Sędziów 5.

Ale i straszne klęski ponosił Izrael w tej dolinie. Jedną z najstraszniejszych była klęska Saula na pagórkach tej doliny Gilboe, 1 Sam. 31, gdzie polegli trzej synowie Saula razem ze serdecznym przyjacielem Dawida, Jonatanem, poczem Saul sam zadał sobie śmierć, rzucając się na swój miecz.

Dawid, dowiedziawszy się o klęsce, a przedewszystkiem o śmierci serdecznego przyjaciela swego, Jonatana, „lamentował" bardzo i napisał wtedy również jedną z najstarszych pieśni St. Testamentu, 2 Sam. 1, 19 n. Narzeka nad górami Gilboe a nad Jonatanem tak zawodzi: „Bardzo mi cię żal, bracie mój Jonatanie; byłeś mi bardzo wdzięcznym, większa u mnie była miłość twoja, niż miłość niewieścia". Są to słowa o głębokości miłości przyjacielskiej, jakie rzadko znajdujemy wogóle w piśmiennictwie świata, podobnie jak i słowa z 1 Sam. 18. „Dusza Jonatanowa spoiła się z duszą Dawidową i umiłował go Jonatan, jako duszę swoją. I uczynił Jonatan z Dawidem przymierze, bo go miłował jak duszę swoję", należą do najgłębszych i najpiękniejszych słów o przyjaźni.

Przejeżdżaliśmy w pobliżu owych pagorków Gilboe. Puste ich wierzchołki i zbocza, jakby się spełniało przekleństwo Dawidowe nad nimi, że mu zabrały serdecznego przyjaciela.

Przejechawszy na poprzek dolinę Jezreel, pnie się auto znowu w górę — to już **Galileja.**

Z całego szeregu pagórków i gór, bo Galileja to górzysty kraik, na pierwszy plan wybija się góra kopiasta, podobna trochę do głowy cukru — to **góra Tabor.** Uważają ją za górę „Przemienienia Pańskiego" Mat. 17. Dojeżdżamy do Nazaretu, ale się nie zatrzymujemy, bo naszym celem teraz jezioro Ga-

lilejskie. Przejeżdżamy przez Kanę Galilejską, gdzie to Chrystus miał wodę przemienić na wino. Oko ma teraz szeroki widnokrąg na całą prawie Galileję północną. Piękny to kraj, zwłaszcza w okresie wiosennym, w którym go widziałem; wszędzie pełno zieleni, w przeciwstawieniu do Judei, skalistej i nieurodzajnej. W oddali na północy bieleje potężny Wielki Hermon, 2760 m, skąd wypływa Jordan.

Droga prowadzi teraz w dół. Przyjeżdżamy na miejsce znowu z napisem: See-level, poziom morza, bo **jezioro Genezaret** leży 208 m. poniżej poziomu morza, podobnie jak Morze Martwe. Z zachwytem patrzę na jezioro, które w formie lutni (21 km długiej a 12 szerokiej, stąd jego nazwa Kineret = Genezaret) wśród gór uścieliło swe niebieskie wody. Rozumię dlaczego Chrystus, który tak lubił piękno przyrody, tutaj właśnie obrał sobie główny teren działalności swojej. Tutaj zresztą skupiało się wtedy główne życie Galilei.

Dojeżdżamy do celu. **Miasto Tiberias** leży tuż nad brzegiem jeziora genezareckiego. Zbudował je syn Heroda Wielkiego, Heród Antipas, który za czasów Jezusowych rządził Galileją. Potąd utrzymały się częściowo mury, którymi otoczone było miasto. Tuż na północ od miasta leżą wielkie ruiny zamku. Wszystko nosi jakiś ponury charakter, bo zbudowane z czarnego bazaltu, który przeważa nad jeziorem. Błądziłem po zakamarkach zamczyska i myślą przenosiłem się w odległe wieki, kiedy to Heród z Herodjadą, morderczynią Jana Chrzciciela, urządzali tu uczty, podobnie jak i w drugim swym zamku Macherus, gdzieto na misie podana była głowa męczennika za taniec dzieweczki.

Następny dzień poświęciłem wycieczce do Kapernaum. Auto mknie na północ drogą nad jeziorem. Przerzynamy dolinę bagnistą, czarną jak sadza; to ziemia z rozłożonego czarnego bazaltu wulkanicznego pochodzenia; musiały tu kiedyś działać potężne wulkany. Na lewo, na zboczu góry wioseczka Migdal, podobno dawna Magdala, skąd pochodziła Marja Magdalena.

Wysiadam z auta, bo jedzie ono dalej na północ wgłąb lądu a Kapernaum leży nad samym jeziorem. Byłem zadowolony, że będę się mógł przejść piechotą tu, gdzie tak często chadzał Chrystus.

Przechodzą ciepłe deszcze, ostatnie wiosenne, bo potem przez pół roku deszczu tu nie będzie, aż dopiero na jesień.

Wszędzie pełno zieleni, pełno dużych żółtych jaskrów; podobno to są owe lilje polne, o których Chrystus Pan tak pięknie powiedział, że są piękniejsze w krasie swojej niż Salomon w całej swej wspaniałości. Okolica piękna i miła, miejscami wprost prześliczna: u stóp jezioro, mieniące się w słońcu, odbijające błękit niebios w swych lazurowych falach, w oddali na prawo piękne zielone góry Galilei a na lewo dzikie skaliste góry Zajordania. W lecie, jak mi mówiono, obraz ten ulega gruntownej zmianie; z powodu upałów i braku deszczu zieleń znika prawie zupełnie a całą kotlinę jeziora, położonego niżej po-



Synagoga w Kapernaum.

ziomu morza, wypełnia duszny upał, łagodzony jednak trochę wodami jeziora i trochą zieleni, która się trzyma brzegów wód. W lecie lepiej mieszkać na przewiewnych pagórkach Galilei, w zimie natomiast pobyt nad jeziorem daleko milszy.

Co chwila przystaję i rozglądam się po przepięknej okolicy; napawam się jej widokiem, chłonę wprost w siebie jej piękno, chciałbym na płycie swej duszy utrwalić jej wygląd.

Ale nietyle okolica sama mię podnieca — staje przedemną ta Postać, w której jakbyześrodkowała się cała krasa tych gór, tych wód, tych kwiatów, które On tak umiłował. Wprost nie chce mi się wierzyć, że stąpam po tych samych ścieżkach, gdzie On chadzał, gdzie boską swą naukę głosił. Oto to wzgórze nosi nazwę góry kazania Jezusowego, Mat. 5—7.

Dochodzę do **Kapernaum**, z którego ostały się przedewszystkiem ruiny dwóch synagog, (p. ryc. str. poprz.) starszej i nowszej w stylu grecko-rzym. Zdaje się tę drugą wybudował ów setnik z K., któremu Jezus uzdrowił jego sługę, Łuk. 7, 5.

Wracając z Kapernaum, postanowiłem po drodze zwiedzić **Bethsaidę**. Leżała ona na zachód od K. nad samym jeziorem, gdzie wytryska kilka gorących źródeł. Okąpałem się w jeziorze a na obiad poszedłem do katolickiego azylu w pobliżu. Podano ryby i tak mogłem skosztować tego pokarmu, którym Chrystus tu często się żywił.

Po obiedzie wdałem się w dłuższą rozmowę z pewnym katol. księdzem, dobrze obeznanym ze stosunkami w Palestynie. Między innymi zeszła rozmowa na temat **prawa do Ziemi św**. Naogół był ów ksiądz przeciwnikiem kolonizacji żyd., obawiając się dla chrz. kościoła w Palestynie większych trudności ze strony żyd. fanatyzmu niż arabskiego. W sporze Żydów z Arabami stawał po stronie Arabów, mówiąc, że Arabi większe mają obecnie w Palestynie prawa niż Żydzi; Żydzi przez swój fanatyzm narodowo-religijny spowodowali wojny, których następstwem było wyrzucenie ich z Palestyny, o którą się wcale nie troszczyli. Arabi przyszli przed przeszło tysiącleciem, zastali kraj zniszczony i opustoszały i zagospodarowali go jak umieli; dziś tu siedzą tak długo jak dawniej Żydzi tu mieszkali, którzy zresztą i tak przedtem wchodząc do Kanaanu, bez miłosierdzia i litości tępili narody przedtem tu mieszkające.

Mówił mi dalej ów ksiądz, że obecnie naprężenie między Żydami i Arabami ma również podłoże moralne; najwięcej drażni Arabów zachowywanie się młodzieży żydowskiej, w wielkiej części komunistycznej i niereligijnej. Młodzież nieraz chodzi półnaga; dziewczyny noszą krótkie spodniczki bez bielizny nawet a chłopcy prawieże tylko kostjumki sportowe; ich życie seksualne jest naogół za swobodne. Arabi noszą długie szaty a Arabki jeszcze bardziej otulają swe grzeszne ciało, tak że właściwie widać tylko nos, oczy i czoło, a na wszelką swobodę seksualną Arabek miałby Arab jedną tylko odpowiedź: kij albo nawet i nóż. Krótkie spodniczki żydówek uważają oni za nieszczęście i mówią, że żydówki bezczeszczą świętą ziemię i przyniosą nieszczęście.

Mam prawie zawsze zwyczaj, o ile się kogoś atakuje, stawać w obronie atakowanego i zastanowić się, czy może on

jednak nie ma słuszności, przynajmniej w części. I tu próbowałem stanąć w obronie Żydów i ich praw w Palestynie. Nie jestem wogóle bynajmniej ani ich zwolennikiem ani też wcale nie jestem antysemitą. Nauczyłem się patrzeć na człowieka jako na człowieka; z biegiem czasu i doświadczenia życiowego, zwłaszcza pod wpływem swoich podróży wyzbyłem się dosyć gruntownie różnych narodowych, wyznaniowych czy państwowych przęsądów i myślowych ograniczeń, stałem się kosmopolitą i podkreślam przedewszystkiem człowieczeństwo. Dlaczegóż miałbym bardziej miłować chrześcijanina złego człowieka niż Żyda czy Mahometanina czy kogokolwiek innego, porządnego człowieka? Dlaczegóż miałbym woleć Polaka gałgana od uczciwego Niemca? albo naodwrót? Oczywiście w równych warunkach wolę zawsze „swojego“, ale nie jestem bynajmniej ślepym wobec „swoich“ i pragnę ich podniesienia i wiem, że każdemu wśród swoich praca jest najłatwiejszą i najświętszym przyrodzonym obowiązkiem, ale wyzbyłem się wszelkich fanatyzmów i uprzedzeń. Gdziekolwiek się na człowieka popatrzę, wszędzie widzę tych samych dwoje oczu a za nimi tę samą tajemniczą głębię duszy ludzkiej. Ludzkość już dosyć przeżyła fanatyzmów rasowych, narodowych, wyznaniowych, społecznych; wszystkie te fanatyzmy morza krwi z niej wytoczyły; może je też musiała przejść, aby powoli dojść do poczucia **człowieczeństwa.** W każdym chcę odkryć człowieka i zrozumieć go i obudzić w nim to człowieczeństwo. Nie jestem dlatego absolutnie antysemitą. I tu widząc, że się im coś zarzuca a oni właśnie do tego tak się palą, starałem się ich zrozumieć i odpowiedziałem owemu księdzu na temat kolonizacji żydowskiej i arabskiej w Palestynie tak, podobnie jak owemu młodemu „Dawidowi“ na okręcie; ponieważ myśli te chcę bliżej uzasadnić, dlatego po części powtórzę to, co tam już powiedziałem.

Ziemia św. jest klasycznym krajem religji, zwłaszcza monoteistycznej. W Ziemi św. ta wiara, choć była ona już i gdzieindziej w zarodku, wiara w jednego Boga się wyhodowała we wielką religję światową, mającą swe uzasadnienie w naszym najczystszym rozumowaniu. W tej pracy największą zasługę mają Żydzi. Tu rozbrzmiewał głos proroków, tu płynęła ich krew; tu największy z narodu żyd. Jezus Chrystus myśl monoteistyczną uszlachetnił i połączył z myślą o człowieczeństwie

jak nikt przedtem ani potem. I mahometanie z tej myśli monoteistycznej skorzystali bardzo wiele i ukochali tę ziemię tak jak żydzi, jak chrześcijanie. Wszyscy monoteiści, **wszyscy wierzący i miłujący jednego Boga mają do tej Ziemi prawo**, ba cała ludzkość ma do niej prawo, bo tu żył „Syn Człowieczy", jak się on Człowiek, Chrystus sam nazwał. Kto Boga miłuje, w kim człowieczeństwo się zbudziło, tego pociągać będzie ten kraj, tchnący myślą religijną, zasiewaną w tę ziemię. Ale że Żydzi najwięcej tu pracy ducha włożyli i najbardziej się w niej krwawili, więc może oni największe tu mają prawa, o ile wogóle wobec zasadniczo równych praw człowieka można mówić o większym lub mniejszym czyimś prawie. Wszakże nie wszyscy Żydzi mają do tej ziemi prawo — Ziemia św. jest klasycznym krajem religji i tylko ludzie religijni mają do niej prawo, że się tak wyrażę. Tu gdzie najszlachetniejsza myśl religijna i ludzka się wyhodowała, tu nie ma miejsca dla fanatyzmu narodowego czy religijnego czy jakiegokolwiek innego.

Jeśli tu Żydzi przychodzić będą tylko ze swoim narodowym fanatyzmem, to spotka ich ten sam los, co w 70 r. Jeśli tu przychodzić będą Krzyżowcy chrz. jak w średnich wiekach z fanatyzmem swym, krwią ociekającym, to spotka ich los Krzyżowców, wypędzonych mieczem z tego kraju. Jeśli Mahometanie te same metody by tu chcieli zastosować, co w Syrji, gdzie wyrzynali ludność chrz., to spotka ich ten sam los co w Syrji, gdzie dziś chrześcijanie im kajdanki założyli na ręce. Jeśli tu w Ziemi św. wciąż osiedlać się będą te fanatyczne zakony różnych wyznań i do gorszących bójek będą doprowadzały, to niedługo tu ich pobytu, bo plugawią tem tę świętą ziemię nie mniej od owych króciutkich sukienek żydóweczek, według myśli Arabów. Dziś i święta Ziemia i wogóle ziemia dosyć już ma fanatyzmów wyznaniowych i nowa religijna era nadchodzi dużymi krokami, gdzie religja będzie błogosławieństwem a nie przekleństwem, czcią a nie pogardą, rozszerzeniem widnokręgu człowieka a nie jego zacieśnieniem i ograniczeniem.

Wszyscy, co Boga pragniecie, co człowieczeństwo miłujecie, pójdźcie tu, odetchnijcie myślą i życiem tej Ziemi a wy **religijni Żydzi, jako gospodarze** pełnijcie tą zaszczytną swą rolę, rozwijając dalej myśl religijną.

W roku 1854 powstała w Niemczech sekta, która głosiła,

że naprawa kościoła chrz. wyjdzie z Ziemi św. W r. 1868 część tej sekty przesiedliła się do Palestyny i założyła kolonje religijne koło Jaffy, w Haifie pod Karmelem i innych stronach. Dzięki religijnemu życiu doszli do dobrobytu i dali przykład kolonizacji Ziemi św. i jej przyszłości.

Wogóle sądzę, że ziemia należeć będzie ludziom religijnym, którzy problem religijny należycie rozwiążą i wykorzystają i w codziennym życiu te błogosławione, potężne siły, które drzemią w idei religijnej.

Ziemia należeć będzie nie do tych, co mieczem władają, „bo kto mieczem wojuje, od miecza zginie;“ dosyć mamy na to dowodów, co dzieje się z narodami wojowniczymi!

„Die fremden Eroberer kommen und gehen;
Wir beugen uns, aber wir bleiben stehen!“ *Schiller.*

(Zdobywcy przychodzą i znikają, my się ugniemy, ale ostaniemy). „Błogosławieni są cisi, albowiem oni odziedziczą ziemię“. Mat. 5, 5.

Z poważnej rozmowa stała się żartobliwą i mówię księdzu tak: gorszy się ksiądz razem z Arabami, że Żydzi tak niemoralnie się ubierają i otwarcie żyją i po części przyznaję słuszność, bo miłość u człowieka to nie sam cielesny objaw jak u zwierząt, ale głębokie uczucie, które sięga ducha i takie głębokie uczucie jest nie na pokazanie, jak u zwierząt, ale na schowanie a już nigdy na sprzedanie.

Co się zaś tyczy ubioru, to widzę dwie skrajności; jedni robią ze siebie kupę ciała na pokaz i to ciała nawet farbowanego, sztukowanego i kto go tam wie jeszcze jakiego a drudzy robią ze siebie kupę habitów, byle tylko zakryć to grzeszne ciało i nie pokazać ani kształteczku. Ja to lubię złoty środeczek, harmonję między skrajnościami.

Co się zaś tyczy kochania, to wolę, że się ludzie kochają niż biją; tyle tylko mają nieraz biedni ludziska za utrapienia życia — byleby tylko przy tem nie deptali słusznych praw osób trzecich i nie zapomnieli, że istnieją jeszcze zawsze liście figowe a tu w Palestynie dużo ich rośnie.

Rozmawiałem z księdzem o tem i owem, aż oto słyszę wrzawę nad brzegiem — rybacy łowią ryby! Oczywiście poleciałem tam duchem, by się przypatrzeć, jakto kiedyś i apostołowie ryby tu łowili. Kilka nagusów arabskich (przypomniał się

mi nagi Piotr, Jan 21, 7 wlazło do wody, porozciągało sieci a potem zaczęli ryby zdalsza straszyć. Zbliżały się do brzegu w wielkich ilościach, bo o tym czasie się tam ryby trą i wyciągnęli sieci ze sporą zdobyczą. Udało mi się podchwycić tę scenę. Różne ryby; są takie w jeziorze, które podlatują i taki głos płetwami wydają, jakby śpiewały; są takie, które młode rybki koło paszczy swojej noszą, aż trochę podrosną. W lecie, kiedy woda u brzegów gorąca, ryby odpływają na głębię i wtedy



Rybacy u Morza Galilejskiego.

trudno złapać, w zimie i na wiosnę ryby podchodzą do wody cieplejszej u brzegu z powodu ciepłych źródeł i wtedy ryb tu wbród. Zrozumiałem, dlaczego apostołowie nieraz nic złapać nie mogli, a inną razą pełne mieli sieci, skoro Ten, który był napewno jasnowidzem, wskazał im, gdzie ryby ciągną Łuk. 5, 4 n.

Po przechadzce nad brzegiem jeziora wybrałem się w drogę powrotną. Droga szła przez pola. Tu i ówdzie stoją namioty Beduinów, ludu koczowniczego podobnie jak nasi Cyganie. Namioty ich czarne ze skóry wielbłądziej. Dookoła wypasają swoje nieliczne trzody lub orzą pierwotną sochą ziemię, wynajmywaną na krótki czas od stałych właścicieli. W podobny sposób żyli tu kiedyś patrjarchowie, aż rozmnożywszy się w Egipcie w liczny naród; zdobyli tę ziemię, na której kiedyś koczowali.

Auto zawiozło mnie w ten sam dzień do

NAZARET.

Stanąłem tam późnym wieczorem. Na drugi dzień zwiedzałem miasto, bo dziś jest to miasto a nie wieś, jaką było pewnie za czasów Chrystusowych. Wielką część miasta stanowią ogromne klasztory, które tu wszędzie się rozłożyły w mieście i w najbliższej okolicy na wzgórzach otaczających miasto. Nazaret leży na najwyższym punkcie płaskowyżu położonego między jeziorem galilejskim a doliną Jezreel. Otoczony szczy-



Studnia w Nazarecie.

tami gór, z których roztacza się malowniczy widok na całą Galileję, aż na śnieżne szczyty Hermonu, aż hen daleko na morze. Na góry te nieraz Chrystus wychodził na modlitwę przez dzień a nieraz i w noce księżycowe i tu wśród przepięknej natury, sam na sam zbliżał się do Boga i czerpał siłę natchnienia swego i rozwijał swe głębokie myśli.

O jak i nam dziś, wśród tej gonitwy życia potrzebne, wprost konieczne są takie wycieczki sam na sam, nie zawsze w hucznych i wesołych towarzystwach, na łono przyrody! Więcejby było pogłębienia życia a mniej tej płycizny, która tak bardzo cechuje dzisiejsze społeczeństwo. Dziś wychodzi

się na góry dla ćwiczenia ciała a zapomina się o duchu swym, który marnieje.

Sądzę też, że koniecznie powinnoby się i wspólne nabożeństwa odprawiać częściej na łonie przyrody a nie prawie zawsze w zamkniętych lokalach.

Stare miasto skupiało się napewno dookoła synagogi, którą niedawno temu odkryto. Jest to stara sala zbudowana z kamienia. Nazaret niewielki miał pewno tylko jedną synagogę. Tu Chrystus przemawiał raz w dzień sabatu, ew. Łuk. 4, 16 n. Następstwem kazania tego było, że Żydzi wypchnęli go z miasta i chcieli strącić z góry w przepaść. Opodal miasta jest góra zwaną górą strącenia, gdzie jest miejsce nad przepaścią, w którą strącano pewnie złoczyńców.

Jeszcze jest jedno miejsce naprawdę historyczne w Nazarecie; jest to studnia Marji. Ponieważ jest to jedyne w całym mieście źródło, więc tam napewno Marja z dzieciątkiem Jezusem codzień chadzała po wodę. Po dziś dzień niewiasty z Nazaretu chodzą tam ze swymi dużymi dzbanami na głowach po wodę. Przy studni tej Chrystus niejedną spędził chwilę; tu słuchał pewnie i opowiadań podróżnych, bo studnia leży przy głównym szlaku, prowadzącym z północy przez Nazaret do doliny Jezreel ku morzu. Te opowiadania z dalekiego świata kształtowały jego duszę.

Poza tem niema w Nazarecie nic pewnego historycznie. Gdzie stała chatka Józefa, któż to dziś odgadnąć może? Kościół kat. wyszukał jakąś jaskinię, obmurował ją kościołem i twierdzi, że tu stał domek Józefa. Domku jednak już tam nie ma — przenieśli go anieli do Loretto do Włoch, gdzie po dziś dzień stoi, obmurowany kościołem i dobre zyski z łatwowiernych przynosi spryciarzom, którzy wymyślili tę bajeczkę. Nie wiedzieć, czemu się tu bardziej dziwić: czy bezczelności spryciarzy czy głupocie ludzkiej. Najmędrszy ze wszystkich stworzeń, człowiek, jest jednak poniekąd najgłupszy. Zając tylko do czasu bać się będzie straszydła, ale potem spokojnie pod straszydłem będzie sobie chrupał kapustę a człowiek przez tysiące lat korzył i korzy się przed różnymi bóstwami, nieraz istnymi straszydłami; ba będzie się do nich modlił! I im straszniejsze te „bogi“, tem większą rel. czcią się je otacza. I zlatują się biedaków roje i znoszą ciężko zapracowany grosz, bogacą sprytnych, ale jak na tem religja traci, aż gorzko wspominać.

Wyszedłem z jaskini chatki Józefowej; wołałem wyjść raczej na pagórek ponad miasto, aby tu podumać nad tem, co było w Nazarecie i myślą przenosić się w te odległe czasy, kiedy to On tu w pracy w warsztacie i posłuszeństwie wobec rodziców kształtował duszę swoją do późniejszej pracy życiowej. Wzrok mój z umiłowaniem błądzi po tych zielonych pagórkach, gdzie On hasał ongiś jako chłopiec, jako pastuszek, bo rodzice pewnie i owce mieli, a potem jako dojrzewający młodzian w żarliwych modlitwach i rozmyślaniach zapalał swą duszę do czynu, który ludzkość miał pchnąć na nowe tory.

Następnym etapem mej wędrówki była

Góra Karmel.

Auto, prowadzone wprawną ręką Abasa Assada, chrześcijanina z Nazaretu (bo w Nazarecie jest trochę Arabów chrześcijan), szybko zjeżdża z wyżyn Galilei, przebiega dolinę Jezreel i zatrzymuje się pod Górą Karmel w mieście Haifie. Haifa to duże miasto, mające, wszelkie widoki dalszego rozwoju. Anglicy budują tu wielki port, z którego kolej prowadzi do Damaszku i dalej.

Zwiedziwszy ruchliwe miasto, wyjeżdżam na górę Karmel.

W autobusie nawiązuję rozmowę z kolonistami żydowskimi z Góry Karmelu. Karmel w dziejach Izzaela wielką odgrywał rolę, był to bowiem bastjon obronny kraju od północnego zachodu, panujący nad doliną Jezreel. Piękno okolicy było przysłowiowe. Stąd nowa fala kolonizacyjna żydowska wzięła i Karmel pod uwagę; pobudowano drogi na górę i założono wśród malowniczej, lesistej okolicy kilka kolonij, które dziś z powodu kryzysu dosyć biedują, bo wszystkie soki żywotne, jako jeszcze niemowlęta, czerpały z funduszów kolonizacyjnych, które obecnie wysychają.

Skarżyli mi się bardzo żydzi koloniści na ciężkie czasy, ale byli pełni nadziei na przyszłość.

Wysiadam na szczycie. Widok bajkowy — na piękną dolinę sarońską od południa, na lesiste wzgórza od wschodu, na Haifę, dolinę Jezreel, Galileę aż po Libanon od północy a na zachód, jak okiem sięgnąć, cudowne lazurowe morze.

Tu odbył się ów sąd między Baalem a Elijaszem, 1 Król. 18, na oczach tłumów Izraela i pogan, przyczem według le-

gendy ogień miał pożreć nawet kamienie ołtarza. Prawdopodobnie ołtarz Eljasza był zbudowany z jakichś kamieni, które polane wodą rozpadły się jak nasze wapno gaszone, przyczem mógł powstać i ogień. Na wschodzie kapłani znają różne sztuki, którymi się obficie posługują dla prowadzenia ludu w pożądanym dla nich kierunku. W tym wypadku rozchodziło się o zwalczenie konkurencji pogaństwa, które jako bardziej zmysłowe z powodzeniem przez kilka wieków zagrażało bardziej duchowej religji żydowskiej. Wielki „cudotwórca" Eljasz był fanatykiem swej religji i udało się mu na pewien czas porwać za sobą swój lud i stłumić wpływy pogaństwa.

Z Haify prowadzi do Jeruzalemu kolej przez dolinę Sarońską i tędy postanowiłem wracać, aby zwiedzić tę część, która kiedyś była główną siedzibą Filistynów. Tu znajduje się sławna twierdza Krzyżowców, **Athlit,** której ruiny widziałem z góry Karmel niedaleko Haify.

Tu przerwałem jazdę i piechotą poszedłem do ruin. Olbrzymie to zwaliska; w ich obrębie rozłożyła się spora wioska arabska, której młodzież wnet mię otoczyła, pokazując mi różne osobliwości. Między innemi zaprowadzono mię do olbrzymich lochów podziemnych, służących pewnie za więzienia. Daleko nie chciałem się zapuszczać, abym sam tam gdzie nie został, bo bałem się tej zgrai arabskiej, któraby pewnie chętnie pomściła męczarnie swych współziomków, kiedyś tu przez krzyżowców więzionych.

Twierdza ta była głównym oparciem krzyżowców w bojach z Arabami o Ziemię Świętą. Tu lądowały wojska krzyżowe i pielgrzymi, zdążający do Jeruzalemu. Z trzech stron twierdzę oblewa morze a z czwartej była szczególnie mocno ufortyfikowana a jednak padła — co mieczem wojuje, od miecza ginie.

Pociąg pędzi doliną sarońską, zalaną słońcem i kwieciem; tu i ówdzie nowe kolonje żyd. z domkami rozrzuconymi, lekko wystawionymi; gęstsze natomiast osady arabskie, zwarte i skupione a ciężkie i szare, bo od wieków już tu siedzą.

Z Jaffy pociąg powoli wchodzi w niegościnne, puste góry judzkie, wlecze się leniwo wąwozami, pnie w górę wśród skał wapiennych, by późnym wieczorem stanąć u stóp Jeruzalemu.

STARUSZEK ABRAHAMOWY.

Następnego dnia wybrałem się autem przez Betleem do Hebronu, leżącego o 15 km. na południe od Jeruzalemu.

Jedzie ze mną jakiś zamożny kupiec, trzymający w ręku olbrzymi paciorek bursztynowy; nieustannie przesuwa jego wielkie bursztynowe gałki, rozmawiając przytem ciągle ze mną; mówi nieźle po francusku. Paciorki noszą tu nietylko chrześcijanie, ale i mahometanie, dowiaduję się jednak z rozmowy, że kupiec jest katolikiem z Betleem, gdzie jest sporo chrześcijan. W przejeździe zaprasza mię nawet do swojego domu w Betleem i raczy przy tem kawą i pokazuje mi swój sklep, gdzie leżą całe zwoje takich paciorków. Widocznie modlitw dużo z tego kraju mieszkańcy „zasyłają przed tron Najwyższego", nie zapominając przy tem ich policzyć.

Dalsza droga prowadzi szczytem płaskowyża z widokiem rozległym ne wschod w stronę Morza Martwego.

Hebron dzisiejsze to typowe arabskie miasto z 10 tysiącami mieszkańców. Do niedawna jeszcze dostęp innowierców do miasta był prawie niemożliwy wskutek religijnego fanatyzmu Arabów. Dziś stosunki się zmieniły, ale Żydom nie wolno wchodzić do jaskini Machpela, gdzie leżą prochy patrjarchów; do kościoła zbudowanego przez krzyżowców a dziś meczetu, wolno Żydom wejść tylko na siedem z dwudziestukilku stopni. Ponieważ o tej porze do jaskini nie puszczają, więc patrzę tylko przez dziurkę od klucza i widzę typowe sarkofagi mahometańskie, nakryte zielonym jedwabiem.

Hebron przez pewien czas było stolicą Dawida; w dolinie miasta znajduje się obszerna sadzawka, którą miał wybudować Dawid. Tuż za nią wielkie arabskie cmentarzysko z charakterystycznymi marabutami, grobowcami sławniejszych Arabów.

Zwiedzam jeszcze sławny **„dąb Abrahama"**, dąb bardzo stary; pień i konary jego to prawie sama plomba cementowa, bo każdą dziurę zalano cementem, chcąc drzewo ocalić od rozpadnięcia się. Zieleni na nim niewiele; gdzieniegdzie zielona gałązka świadczy, że jeszcze się w tym staruszku tłucze życie. Czy widział on Abrahama, będzie to można osądzić kiedyś po zwaleniu się dęba, licząc na pniu jego lata. Ze staruszkiem dębem abrahamowym **pożegnałem tę prastarą Ziemię św.**, bo w następny dzień pociąg uniósł mię w dalszą

jeszcze drogę, do starożytniejszego jeszcze Egiptu. Zaledwie dwa tygodnie mogłem poświęcić zwiedzaniu Ziemi św., ale że czas ten był w pełni wykorzystany a kraj niewielki, przygotowania zaś historyczne i religijne przedtem duże, więc mogę powiedzieć, że i widziałem i przeżyłem tu wiele.

Widziałem w podróży swej wtenczas wogóle bardzo wiele: zwiedziłem Egipt z jego cudami; byłem w piramidach, oglądałem Sfinks, błądziłem po kolosalnych świątyniach Karnaku i Luksoru, podziwiałem groby faraonów, zachwycałem się oryginalną sztuką egipską; przebogate i przepiękne cacka z grobu Tutankamena oczarowały mnie wprost; ze zdumieniem przechadzałem się po olbrzymiej nowoczesnej tamie na Nilu koło Assuan; potem przepiękna starożytna sztuka grecka i czarowny kraj Hellenów rozkoszowały mą duszę. Złoty Róg i Bosfor konstantynopolski i Dardanele mieniły się mi całą swą krasą; przemknąłem przez ten „kocioł bałkański", gdzie to wszystkie czarownice waśni warzą swą okrutną strawę wojny; widziałem i w poprzednich swych podróżach wiele — ale nic mi wewnętrznie tyle nie dało, co św. Ziemia, ten klasyczny kraj religji.

Wiem, że są ludzie, którzy zupełnie dobrze bez religji żyć potrafią; tacy do Palestyny niech nie jadą, bo oprócz niegościnnych, pustych, twardych gór Judei, ciekawego co prawda Morza Martwego i powabnej, ale tylko na wiosnę, Galilei nic tam nie będą mieli.

Jest natomiast sporo ludzi, dla których religja jest najgłębszą treścią życia; są ludzie, którym nie wystarcza czysto materjalna kultura, choćby najwyższa; dla nich to za mało, że będą mieli czem zaspokoić wszystkie potrzeby cielesne, że kultura da im wszystkie wygody i roztoczy przed nimi wszystkie powaby życia, oni idą głębiej — pytają się skąd i na co to życie, jaka jego najgłębsza treść, jakie ostateczne przeznaczenie człowieka, gdzie leży siła, która człowieka może postawić na najwyższym stopniu doskonałości. I odpowiedź na to wszystko znajdą w tym jednym pojęciu: Bóg. I będą się starali ustosunkować do tego pojęcia, co właśnie jest religją. Jasną jest rzeczą, że bez myśli rel. nie ma prawdziwie głębokiej kultury.

I oto nigdzie myśl rel. tak głęboko nie została przetrawiona jak właśnie w Ziemi św., tym klasycznym kraju religji.

Tajemnicze Indje z bramanizmem i Buddą głęboko rozważały tę kwestję, zostawiły wiele głębokich myśli i doświadczenia, ale skończyły sceptycyzmem, powątpiewaniem filozoficzno-religijnym a ostatecznie pogaństwem z mnóstwem bogów i kast. Egipt, cudowne po sobie pozostawił pamiątki, ale religja jego wyraża się w potwornych postaciach zwierząt. Assur, Babilon i Persowie zostawili po sobie skrzydlate postaci duchów światłości i ciemności, ale do jądra zagadnienia nie dotarli.

Już daleko głębiej sięgnęła grecka filozofja. Podobnie jak religijna filozofja hinduska pokusiła się ona o rozwiązanie zagadki istoty wszechświata, ale były to systemy ściśle filozoficzne bez głębszego zapuszczenia się w żywotne kwestje rel. Bóstwa greckie to bogowie uczłowieczeni i ludzie ubóstwieni, nie dający odpowiedzi na dręczące człowieka pytania rel.

Przez hasła swoje: 'gnoti sauton (poznaj siebie samego) i kalos k'agathos (piękny i dobry) hellenizm ocierał się o problemy rel., ale nie poruszał ich głębiej. Rzymianie pojęcie prawa udoskonalili ku wspaniałemu wzorowi, ale sami religji prawdziwej szukali, nie znalazłszy jej przez sprowadzanie bogow ze wszystkich krajów swego olbrzymiego państwa.

Ae oto lud, mieszkających na tych twardych pustkowiach wydał ze siebie wielkich mężów, którzy Boga pojęli jako Ducha, którego obrazem wyrazić nie można i nie wolno i nazwali Go: Jestem, który jestem, Jahwe, źródło jestestwa. A z Boga-Ducha tego, który pierwotnie był tylko ich narodowym bogiem, wielcy prorocy — myśliciele, na skutek porwania Izraela w wir życia wielkiego ówczesnego świata, doszli do wyobrażenia Boga-Ducha wszechludzkości i wszechświata, ale też zarazem i przedewsz. i każdej pojedyńczej jednostki, Boga praw odwiecznych, rządzących wszechświatem.

I z niego wyszedł największy ze wszystkich proroków, Chrystus, największy genjusz religijny świata; Boga określi jako Miłość najwyższą; przekreśli fałszywą ideę religji kapłańskiej i wspaniale rozwinie pierwiastki religji samodzielnej mającej początki już w St. Testamancie a przedewsz. głębokie oparcie w etycznym poczuciu człowieka. Co jednak najważniejsze, daje nietylko myśl, ale życie religijne, sam będąc ucieleśnieniem tej myśli.

I oto **ta Ziemia św.**, jak skała wznosząca się od morza i dolin sarońskich, **stała się religijnym ołtarzem ludzkości.**

Kto ma zrozumienie dla tych rzeczy i głębszą potrzebę rel., tego do tej Ziemi ciągnąć będzie jak do ojczyzny. Z umiłowaniem będzie oglądał te miejsca, gdzie duch ludzki wpośród okrutnie krwawych tragedyj ciała, tak głęboko pracował.

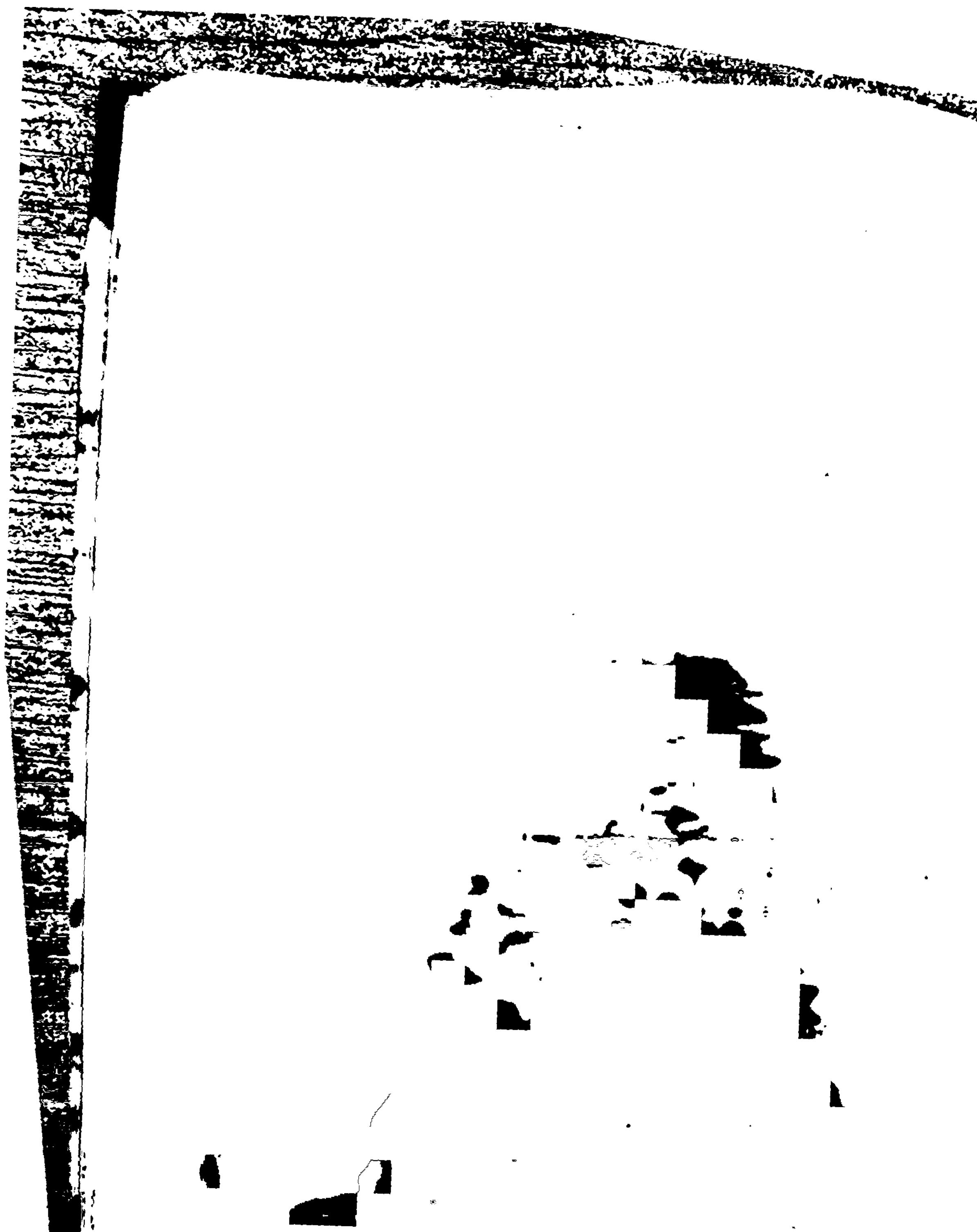
Błogosławionaś ty Ziemio, mlekiem i miodem myśli płynąca! Ze skał twoich za uderzeniem różdżki Ducha źródło wypłynęło, z którego pić może cała ludzkość.

Na pożegnanie i ja tobie dziękuję za chwile tu przeżyte. Com z świątnicy twojej najświętszej wziął, biorę z sobą w świat jak ogień z ołtarza twego, by go zapalać, gdzie mię życie poniesie a gdzie ludzie ciepła twego ognia pragną...

Mój rumak, obieżyświat, niesie mię dalej i zamieni się wkrótce na wielbłąda, który mię, majestatycznie kiwiąc głową, obniesie koło piramid a potem na osiołka, co drobnym kroczkiem obleci groby faraońskie. Do sławnego ongiś labiryntu egipskiego już nie wejdzie, bo go już nie ma; ale istnieje inny labirynt, labirynt zagadnień wszechświata. Tam to teraz zaproszę swoich dotychczasowych cierpliwych towarzyszy podróży; przyjdzie nam tu nieraz omackiem szukać drogi w tym labiryncie trudnych pytań religijnych, związanych ze wszechświatem. To, cośmy poznali w Ziemi św., będzie nam ową nitką, która nam może pozwoli znaleść wyjście i ogarnąć całość i zrozumieć ją, choć w drobnej cząsteczce.

Labiryntu wszechświata nie można przejść na górnolotnym pegazie fantazji, ale na żmudną piechotę badania, tak jak idzie wiedza i nauka; niechże i wiara tą drogą pójdzie!

Przechodzimy temsamem do **części drugiej**, która obracać się będzie około składu nowoczesnego „wierzę": Bóg, Duch wszechświata; człowiek; zjednoczenie ludzkości i człowieka z Bogiem...



Wierzę w Boga Ojca, Ducha wszechświata;
Przez Chrystusa Człowieka wierzę w człowieka;
Wierzę w zjednoczenie człowieka i ludzkości z Bogiem.

CZĘŚĆ DRUGA.

WIARA A WIEDZA.

Przez **wiarę** rozumie się zwykle **przypuszczanie** o czemś, czego cielesnymi zmysłami swymi nie mogę ogarnąć, przez **wiedzę** zaś rozumie się **poznanie** tego, co mogę zmysłami objąć.

Gdybyśmy przy takim określeniu mieli pozostać, byłoby jasną rzeczą, jak słabe podstawy ma wiara, wisiałaby ona poprostu w powietrzu a przecież wiara powinna być podstawą naszego życia; musi więc mocno tkwić w przekonaniu, inaczej nigdy nie będzie siłą, jaką powinna być.

I widzimy też rzeczywiście, że u ludzi, którzy tak wiarę pojmują, religja przeważnie stoi na ostatnim planie.

Inaczej natomiast ma się rzecz z wiedzą. Jeśli ona jest poznaniem tego, co mogę zmysłami objąć, wtedy jej pozycja jest prawie nie do obalenia. Oczywiście, że i zmysły mylić się mogą i bardzo często się mylą i nieraz nauka się myli, ale człowiek te zmysły coraz więcej kontroluje, wynachodzi przyrządy, które się mylić nie mogą, bo oparte są na odwiecznych, wypróbowanych prawach przyrody i wyniki badań stają się coraz pewniejsze i stalsze. Wiedza wie już bardzo wiele, choć oczywiście daleko jej jeszcze do tego, by wiedzieć wszystko.

To też stanowisko wiedzy jest dzisiaj potężne i będzie coraz silniejsze i nie ma się czemu dziwić, że wiedza dla wielu ludzi stała się poprostu ich religją, podstawą i ich wewnętrznego życia. A że wiedza potąd jednostronnie, z małymi wyjątkami, zajmuje się objawami czysto materjalnymi, stąd mamy dziś to „zmaterjalizowanie" dzisiejszego światopoglądu i życia.

Na tym punkcie zdaje mi się być coś w nieporządku u wiedzy, o czem później, ale jeszcze w większym nieporządku zdaje się mi być stanowisko wiary.

Jeśli wiara ma być podstawą wewnętrznego życia, to nie może ona być tylko przypuszczaniem, ale **wiara musi być również jak wiedza poznaniem czy doznaniem,** opartym na ścisłych obserwacjach i logicznym myśleniu; wiara musi pracować taką samą metodą, co wiedza.

Wiara i wiedza to dwie siostrzyce, służące ludzkości; obie dążą do poznania prawdy i nawzajem się tu powinny wspierać; choć każda inny dział sobie obrała, metody ich jednak muszą być naukowe.

I taką też była wiara u zarania swego powstania. Wiara bowiem jest bezsprzecznie córką rozumowania człowieka; człowiek, przypatrując się temu światu i zastanawiając się nad tem, co widzi, dochodził do wiary a że wiedza jego wtenczas była mała, więc i wiara była naiwna i taką ją uchwycili i utrwalili kapłani; wiedza poszła naprzód a lud i kapłani konserwatywni wiarę trzymają na uwięzi; stąd wiedza stała się udziałem i wiarą ludzi myślących a wiara religijna została u mas naogół ciemnych i zabobonnych.

Wiara jest córką rozumowania a córka matki w twarz bić nie może, bo się inaczej nie spełni na niej błogosławieństwo czwartego przykazania.

Odpowie ktoś, że przy takim ujęciu wiary znaczyłoby to zrobić ją niewolnikiem wiedzy, odebrać jej tajemniczość i obciąć skrzydła, na których winna wznosić ludzkość w sfery wyższe.

Podkreślam, że bynajmniej **nie ma tu mowy o niewoli,** ale jedynie o **scisłej współpracy;** teolog musi być obeznany z wynikami prac naukowych, tak jak było i pierwotnie w zaraniu dziejów, że kapłani byli mężami nauki ówczesnej a w świątyniach schodziły się nici wiedzy, kapłani należeli do najoświeceńszych ludzi swojego wieku a nie do mało oświeconych, jakto dziś niestety nieraz często widzimy.

Nie ma tu mowy o odebraniu **religji tajemniczości,** na której w znacznej mierze czar religji polega: wszechświat i dla wiedzy pełen jest tajemnicy i odkrywszy jedną, natykamy się na jeszcze większą tajemnicę i właśnie tu leży największe zadanie wiary, żeby była poprostu pionierem, wskazującym na

nieznane krainy ducha i idącym naprzód w tajemnicę, oparłwszy się przedtem na tem, co już zostało zbadane. Tak ongiś i dziś wielcy misjonarze jak Liwingston kroczyli w nieznane krainy, torując drogi nauce. Tak **wiara** powinna **iść naprzód w tajemnicze krainy ducha i wołać wiedzę ze sobą,** by pomagała badać to, czem się naogół ścisła nauka niechętnie dziś zajmuje, mając jeszcze bardzo wiele do zbadania w dziedzinie czysto materjalnej.

Temsamem wierze pozostaną owe „skrzydła", na których winna wznosić ludzkość w sfery wyższe, ale nie będzie to spekulacja i fantastyczne bujanie, kończące się zwyrodnieniem myśli, ale lot Piccarda w stratosferę ducha, ale podróż Kolumba na odkrycie nowej krainy doskonalszego, głębszego życia.

Oczywiście że wiara przy tej pracy w dziedzinie ducha musi się posługiwać innymi środkami badania niż ścisła wiedza; wierze nie wystarczy samo „szkiełko mędrca", sam aparat fotograficzny i laboratorjum chemiczne, ale poznawszy to, co odkryły wszystkie te aparaty uczonych, musi myśleć nad tem i wyciągać dalsze wnioski i być niejako ukoronowaniem wyników ścisłej wiedzy; **teologja powinna być i sumą nauk.**

Ale zawsze to trzeba podkreślić, że myślenie teologa musi być ścisłe i dokładne nie fantastyczne, trzeźwe a nie upiorne. Największym niebezpieczeństwem dla wiary jest wizjonerstwo ludzi, ktorzy w czasie jakiegoś szału czy podniecenia, spowodowanego udręczeniem ciała lub seksualnym zaburzeniem, mówią, że mają „objawienia Boże".

W zdrowym ciele zdrowy duch, mówi przysłowie. Dlaczego Bóg niemiałby sie objawiać przedewszystkiem zdrowemu rozsądkowi, który jest największym darem Bożym a miał się objawiać tylko chorym umysłom?!

Takie niezdrowe wizje i „objawienia Boże" już dosyć złego, już dosyć zamieszania wywołały w religjach, bo ludzie niestety zbyt pochopnie im ulegają, widząc w tem tajemniczą, wyższą siłę.

Przypatrzmy się, **jakie tu było stanowisko** klasycznego genjusza religijnego, **Chrystusa.** Należy to podkreślić, że Chrystus był, jak na owe czasy, **trzeźwym myślicielem rel.,** czego w ewangeljach mnóstwo mamy dowodów; żył jak każdy inny człowiek, dlaczego też złośliwi przeciwnicy nazwali go nawet obżartusem i pijanicą wina, Mat. 11, 19, bo nie chciał być cuda-

kiem, jak inni „religijni". Nietylko że się umartwieniom nie oddawał, ale nie nakazywał ich też swoim uczniom a interpelowany o to, odpowiadał żartami, Mat. 9, 15.

Inaczej żył np. **Budda**, który oddawał się wyszukanym umartwieniom ciała, aby spowodować w tym stanie wizje objawienia i unicestwić również życie. Budda sam opisuje wrażenia, jakie miał w tym stanie, przy czem „widział" kilkadziesiąt swoich poprzednich istnień na ziemi w różnych postaciach; że było to chorobliwym przywidzeniem, spowodowanym nienaturalnym stanem ciała, nie trzeba dodawać.

Takich objawów Chrystus prawieże nieznał. Łuk. 10, 18 znajdujemy zupełnie odosobniony wypadek jego wizyj i to notowany tylko u tego ewangelisty, a więc wątpliwy; „Widziałem szatana jako błyskawicę z nieba spadającego".

W stosunku do wiedzy mogłoby się wprawdzie na pierwszy rzut oka zdawać, że Chrystus jest zwolennikiem dogmatycznego ujęcia religji a temsamem przeciwnikiem krytyki, badania, którymi wiedza bezwarunkowo musi się posługiwać, Mat. 5, 17—18 mówi Chrystus: „Nie mniemajcie, abym przyszedł rozwiązywać (tzn. znosić) zakon albo proroki; nie przyszedłem rozwiązywać, ale wypełnić. Zaprawdę bowiem powiadam wam; Aż przeminie niebo i ziemia, **jedna jota albo kreska nie przeminie z zakonu, ażby się wszystko stało".** Chrystus uważa tu więc Stary Testament za bezwzględną prawdę, która się musi wypełnić; każda jota, każda kreska zakonu jest prawdą. Kto na takim stanowisku stoi, że jakaś pisana księga religijna we wszystkich szczegółach jest prawdą nietykalną, ten temsamem przekreśla pojęcie wiedzy.

Mamy jeszcze inne słowo Chrystusowe, odnoszące się do wiedzy: „Wysławiam cię, Ojcze, Panie niebios i ziemi! żeś te rzeczy zakrył przed mądrymi i roztropnymi a objawił je niemowlątkom" Mat. 11, 25. I tu zdawałoby się, że Chrystus za nic ma sobie naukę i ludzi uczonych.

Słowo „błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest królestwo niebieskie", Mat. 5, 3 nie wchodzi tu w rachubę, jako niektórzy sądzą, uważając, że oznaczają one ludzi o ograniczonym umyśle; Chrystus przez to wyrażenie rozumie pokornych, skromnych. (Dodaję tu, że ewang. Łukasz, bardzo „socjalistycznie" nastrojony, skreśla „w duchu" a podaje tylko „ubodzy" Łuk. 6, 20, porównaj 6, 21, 24, 25).

Rozważmy teraz bliżej oba cytowane wyżej miejsca.

Współczesne Chrystusowi pokolenie uważało Stary Testament za zakon, niewzruszalną podstawę wiary. Nie zdawano sobie sprawy z tego, że księgi St. Test. nie są jednolite, że myśl religijna od czasu Mojżesza do Ezechjela tzn. w ciągu 1000 lat zrobiła wielki postęp i ten postęp w niejednem poprawiał myśli pierwotne. Uważano wszystkie księgi za harmonijną całość, objawienie Boże i to jako takie było nietykalne. Dużo zresztą przecież i dzisiaj mamy w chrześcijaństwie ludzi tak samo zapatrujących się na Nowy Test., ba na całą biblję.

Krytyki tekstów biblijnych wówczas, jak i dziś b. często, nie znano zupełnie. O źródle tej werbalnej inspiracji była mowa na str. 19.

Chrystus był dzieckiem swojego czasu i wierzył taksamo i stąd jego słowa, że ani jedna jota ani jedna kreska z zakonu nie przeminie, ażby się wszystko stało tzn. wypełniło.

Chrystus jednak jako głęboki myśliciel intuicyjnie to wyczuwał, że pomiędzy myślami religijnymi St. Test. zachodzą poważne różnice i jedna myśl zbija drugą. Nieraz w sprzeczce z uczonymi w Piśmie, którzy się powoływali na Pismo, Chrystus przytaczał inny ustęp Pisma, który zbijał twierdzenie uczonych a temsamem i twierdzenie Pisma.

Wyraźnie to widać **w sprzeczkach o sabat.** Sabat przez zakon otoczony jest całym szeregiem ostrych przepisów, których żydowi nie wolno omijać, Zwłaszcza w czasie niewoli babilońskiej, kiedy niebyło ofiar w Jeruzalemie, uświęcających całego Izraela, stał się sabat świętością jednoczącą Izraela i podtrzymującą jego ducha. Sabat stał się poprostu nietykalnem tabu. W czasie walk narodowych żydzi dawali się nawet masami wybijać wrogom w dzień sabatu, ponieważ nie wolno im było w ten dzień nic robić tzn. ani oręża w celu obrony brać. Podobnie i dzisiaj sabat dla prawowiernego żyda jest nietykalnym tabu.

Tymczasem cóż robi Chrystus — nieraz tego sabatu nie przestrzega, ba wprost gwałci go i pozwala uczniom swoim go gwałcić. Ewang. Mat. 11 i Marek 1, 23 n. opowiada nam, jakto uczniowie Chrystusowi w sabat rwali kłosy i wywołali tem zgorszenie. Chrystus nietylko ich nie gani, ale broni przed faryzeuszami i używa wprost niesłychanych u żyda argumentów: „sabat dla człowieka uczyniony a nie człowiek dla sabatu. Dla-

tego Syn Człowieczy jest panem i sabatu“ a posługuje się przy tem cytatami z tego samego Pisma, które ustanawia sabat. W kazaniu na górze, Mat. r. 5—7 Chrystus nauce zakonu wprost przeciwstawia swoją naukę, kilkakrotnie używając wyrażenia; „słyszeliście, iż rzeczono starym..., **ale ja** wam powiadam“. Np. w sprawie przysięgi Chrystus wprost przeciwstawia się przepisom zakonu, Mat. 5, 23 n. Taksamo w sprawie mycia rąk przed jedzeniem, nakazanego przez zakon, Marek 7.

Wszystko to czyni Chrystus **na podstawie głębszego zrozumienia zakonu,** ale **narusza przy tem wprost literę zakonu,** o której powiedział, że nie jest naruszalna. Może też Chrystus jako mądry pedagog, widząc tak głęboko zakorzenioną wiarę w werbalną inspirację zakonu, nie chciał jej formalnie naruszać, bo byłby tem odrazu zraził wszystkich, ale czynił to powoli, krok w krok otwierając głębsze zrozumienie treści zakonu i w ten sposób powoli rozsadzając starą formę martwej litery; mamy więc objaw myślenia religijnego, godnego wiedzy.

To rozsadzanie starej formy uzasadnia Chrystus w ciekawy sposób pojęciem **„wypełnienia“**, wykonania; **wypełnione proroctwo przestaje być proroctwem, bo się wypełniło i już nie jest proroctwem, wykonany zakon jest zniesiony.** Podkreśla on nieraz to słowo „wypełnienie“. Nie „przeminie kreska, ażby się wszystko stało“ — stawszy się, kreska przeminęła. Doskonalsza forma wypiera, znosi mniej doskonałą; tak Chrystus przez głębsze pojęcie St. Test. znosi stare przepisy.

Nader ważnym jest to pojęcie wypełnienia przy urzeczywistnieniu przez Chrystusa proroctwa z Jez. r. 53 o „położeniu ofiarą duszy swojej za grzech“. Chrystus najwidoczniej jest przekonany, że śmierć jego będzie tą przepowiadaną przez Jezajasza największą ofiarą a po jej złożeniu ofiary już będą wogóle niepotrzebne i nastanie to, co powiedział Samarytance: „ani na tej górze ani w Jeruzalemie nie będziecie chwalili Ojca. Bóg jest duch a ci, którzy go chwalą, powinni go chwalić w duchu i w prawdzie“ — a nie w ofiarach, Jan 4.

Tak też list do żydów 9, 26 pojmuje ofiarę Chrystusową jednorazową, ale doskonalszą od ofiar kapłanów, które temsamem stają się bezprzedmiotowe — minęły, bo zostały wypełnione (p. str. 54). W każdym razie Chrystus jest sobie świadomy, że nastąpiło coś nowego, odrębnego od St. Testamentu.

Kto takie stanowisko zajmuje wobec uświęconej tradycji, ten temsamem ją krytykuje i czyni to, czego domaga się wiedza, czego potrzebuje wiara, która jeśli nie uznaje krytyki i wolności sumienia, jest **ślepym posłuszeństwem**, niewolnikiem, ale nie **wiarą, głębokim przekonaniem** na podstawie krytycznego poznania czy doznania, wewnętrzną siłą.

Chrystus był głębokim myślicielem; gruntownie przetrawił w duszy swej myśli starego zakonu i rozwinął je wspaniale. Nie był on wcale dogmatycznym teologiem, jak talmudyści, którzy rozwałkowywali tylko literę, ale nie wycisnęli z niej żadnego. życiodajnego soku.

Bardzo ważnym dla całokształtu tej kwesji jest tu słowo Chrystusa, Jan 16, 12—13: „Mamci wam jeszcze wiele mówić, ale teraz znieść nie możecie. Lecz gdy przyjdzie on Duch prawdy, wprowadzi was we wszelką prawdę" i Jan 8, 32 **„Poznacie prawdę a prawda was wyswobodzi"**. Temsamem Chrystus prawo do badań i dalszego rozwoju zastrzega dla swych uczniów i wogóle wierzących, boć jasną jest rzeczą, że on „Duch prawdy" nie jest myślany jako działający mechanicznie, ale działający przez myślenie, wynika to zresztą z wyrażenia **„poznacie"**.

Wiara musi być poznaniem a poznanie musi się opierać na wyborze między prawdą a nieprawdą czyli na krytyce, podstawowej zasadzie wiedzy.

Widzimy więc że w rzeczywistości **Chrystus nie mógł być przeciwnikiem wiedzy i badania.**

Co się zaś tyczy cyt. na początku ustępu: „Dziękuję ci, Boże, żeś te rzeczy zakrył przed mądrymi a objawił je niemowlątkom", to przedewsz. trzeba na to zwrócić uwagę, co to byli za „mądrzy", za uczeni, których tu Chrystus ma na myśli — byli to właśnie dogmatycy żydowscy, teolodzy, uczeni w Piśmie, którzy trzymali się właśnie martwej litery i nie pozwalali jej ruszać, byli wszystkiem innem a nie ludźmi wiedzy, owszem przeciwnicy wiedzy prawdziwej, opartej na krytyce i rozsądku. Gromi ich też Chrystus i siecze nielitościwie na niejednym miejscu. Od takich „uczonych" Chrystus wolał nieskażone rabinizmem, proste umysły dzieci ludu, te dusze dziewicze, na które mogły paść jego słowa i zapuścić tam korzenie.

Nieraz prosty chłop więcej ma rozsądku od tzw. inteligenta, którego umysł jest uprzedzony dogmatami tzw. nauki,

która nie jest wiedzą. Do pierwszego łatwo trafisz a drugiego nie przekonasz, choćbyś bił w niego taranem słusznych wywodów.

Właśnie że Chrystus przeciw takim „uczonym“ występywał, jest dalszym dowodem, że był zwolennikiem krytycznego myślenia, wiedzy prawdziwej.

Dla Chrystusa najwyższym prawem była w rzeczywistości nie litera, ale życie, jako je poznał z wnikliwej obserwacji przyrody a zwł. duszy ludzkiej. Do tego życia nagina on literę a nie życie do litery; stąd nawet nieraz napozór sprzeczne jego słowa, nie dające się podciągnąć w jeden system a jednak harmonijnie mieszczące się w systemie życia; porównaj Mat. 5, 39 a Jan 18, 23.

Jest to stanowisko godne myśliciela, ale nie zgodzą się nigdy na nie „uczeni w Piśmie“.

Z nich wyszedł **ap. Paweł,** najwybitniejsza po Chrystusie postać pierwszego kościoła chrz. Człowiek ten położył podwaliny pod system chrz. teologji; był to **pierwszy chrz. teolog.** Jakież jest stanowisko apostoła Pawła wobec wiedzy? Jest to tem ciekawsze, że ap. Paweł posiadł całe ówczesne wykształcenie żyd. a oprócz tego znaną mu była i grecka literatura, p. Dzieje Ap. 17, 28.

Stanowisko ap. Pawła wobec wiedzy jest po części zbliżone do stanowiska Chrystusowego, ale widzimy u niego również pozostałości z metod owych „uczonych w Piśmie“, co się potem niedobrze odbije na młodej i późniejszej teologji chrześcijańskiej.

Wielką zasługą ap. Pawła jest, że oderwał chrześcijaństwo od systemu St. Test. i że w głębokim zrozumieniu ducha Chrystusowego uczynił z niego religję wszechświatową. „Niemasz Żyda ani Greka; nie masz niewolnika ani wolnego, nie masz mężczyzny i niewiasty; albowiem wszyscy wy jednem jesteście w Chrystusie Jezusie“, Gal. 4, 28 — złote zdanie, stojące na wysokości Chrystusowej, na wysokości głębokiego i szlachetnego myśliciela-człowieka.

Dalej wielką zasługą ap. Pawła jest podkreślenie i przeprowadzenie w pierwsz. zborach chrz. myśli Chrystusowej, że martwe uczynki zakonu, zachowywanie formalnych przepisów nie mają żadnego wewnętrznego, rel. znaczenia. „W Chrystusie Jezusie ani obrzeska nic nie znaczy ani nieobrzeska, ale nowe

stworzenie tzn. odrodzenie się wewnętrzne, stanowisko godne nowoczesnego myśliciela.

Na wysokości Chrystusowej stoją takie zdania ap. Pawła jak: „Litera zabija, ale duch ożywia“ 2 Kor. 36 i „Wszystkiego doświadczacie a co jest dobrego, tego się trzymajcie“ 1 Tes. 5, 21.

Nie potrafił jednak ap. Paweł wyzbyć się zupełnie **metod i ducha rabinizmu,** przeciw któremu Chrystus nieraz tak ostro występywał. Nie ma się tu zresztą czemu b. dziwić; ap. Paweł przed nawróceniem był faryzeuszem, uczonym w Piśmie i przesiąkł zupełnie tym kierunkiem i nie mógł zmienić się o tyle do gruntu, by zarzucić razem z faryz. nienawiścią do Chrystusa również i metody tego faryzeizmu i rabinizmu. Główną cechą rabinizmu był dogmatyzm, który w Piśmie widział szczyt doskonałości nie mogący być prześcigniony, ale tylko wytłumaczony i zastosowany do życia. Ap. Paweł też obficie w argumentacji swojej cytuje to Pismo, przyczem posługuje się zupełnie ówczesnymi metodami uczonych w Piśmie. Wyrywa z Pisma pojedyncze cytaty czy słowa, zupełnie nieraz ze związku, w jakim one stoją i obrabia je w sposób nieraz wprost przeciwny ich pierwotnej myśli. Ale taka była metoda ówczesnego rabinizmu a ap. Paweł był jego nieodrodnym synem.

Ale same metody rabinizmu nie są jeszcze tak niebezpieczne, jak jego duch a niestety u ap. Pawła spotykamy się gdzieniegdzie z objawami tego ducha.

Gal. 1, 8 i 9 mówi: „choćbyśmy i my albo anioł z nieba opowiadał wam ewangelję mimo tę, którąśmy wam opowiadali, **niech będzie przeklęty**“ i na podkreślenie jeszcze raz to przekleństwo powtarza.

Mógłby ktoś powiedzieć, że jest to dowodem głębokiego religijnego przekonania, które musi wyłączyć inne zdanie; sądzę jednak, że religijne przekonanie, choćby najgłębsze, nie powinno się porywać do przekleństw ludzi inaczej myślących. Jest to już fanatyzm, którego pełno spotykamy w kapłańskich religjach, który jaskrawo nieraz występuje w St. Testamencie i stamtąd go też ap. Paweł wyniósł i niestety przekazał i dalej chrześcij. kościołowi, który z tego przeklinania nieraz robi użytek.

Filip. 3, 2 ludzi inaczej myślących nazywa ap. Paweł nawet psami: „upatrujcie psy, upatrujcie złych robotników, upatrujcie rozerwanie“.

Jakież dodatnio wobec tego brzmią słowa Chrystusa o pojednaniu wzajemnym, Mat. 18, 15—17. Przesadnie jaskrawym w duchu kapłańskim jest też ujęcie przez ap. Pawła śmierci i zmartwychwstania Chrystusowego jako dogmatu. Co u Chrystusa było żywą ofiarą, porywającą do żywego naśladowania, to u ap. Pawła staje się jaskrawym dogmatem, bez którego przyjęcia pozostaje się w grzechu 1 Kor. 15, 17. Jakośmy na str. 94 zaznaczyli szczytem tej drogi jest 2 Kor. 5, 21 „Bóg tego, który nie znał grzechu, za nas grzechem uczynił, abyśmy się my stali sprawiedliwością Bożą w nim (Chrystusie)". Bóg jest tu wprost pojęty jako kapłan, który przerzuca grzech ludzi na Chrystusa i ofiaruje go, aby módz przed sobą (Bogiem) usprawiedliwić ludzi; wygląda to wprost na mylenie ludzi i Boga przez Boga samego, bo jakżeż z niewinnego można robić winnego, aby winnych móc oczyścić i robi to tu przecież Bóg, który zna wszystkich.

Jest to niemożliwy kapłański teologiczny system, który horendalnością swoją tak się narzuca, że trzeba dopiero jakiegoś wstrząsu życiowego, by to zrozumieć; sam o tem wiem z własnego doświadczenia.

Nie ma się się czemu dziwić, że oświeceni Grecy, którzy krytyką swą osłabili wiarę we własnych bogów, poczęli się naśmiewać z ap. Pawła, kiedy im zaczął w Atenach a potem w Koryncie przedstawiać Boga jako tego arcykapłana, który zwala winę na niewinnego, krzyżuje go a potem do życia powołuje, aby módz uznać jego ofiarę i grzech ludzki uważać za zmazany.

Ani takiej teologji ani takiego dogmatyzmu uczeni greccy uznać nie mogli, Dzieje 17, 32; to też ap. Paweł w 1 Kor. 1 17—29, bardzo ostro wyraża się o mądrości Greków; figurują tu takie wyrażenia jak: „rozum rozumnych odrzucę", „upodobało się Bogu przez głupie kazanie zbawić wierzących", „Grekowie mądrości szukają, ale my każemy Chrystusa ukrzyżowanego", „co głupiego jest u świata, to wybrał Bóg, aby zawstydził mądrych".

Zaznaczyć przy tem należy, że apostoł Paweł nie ma przed sobą fałszywych uczonych, jakimi byli uczeni w Piśmie, przed którymi i Chrystus ostrzegał, ale ma przed sobą ludzi, których poglądy filozoficzne jeszcze dzisiaj dla naszej filozofji są nieraz punktem wyjścia.

To przykro uderzające stanowisko ap. Pawła wobec „mądrości świata tego“ staje się niestety miarodajne na długie wieki, ba nawet dziś jeszcze niejeden wierzący patrzy się na mądrość świecką z góry jak na coś złego.

Jako przykład fatalnego tu wpływu ap. Pawła na teologów chrz. przytoczę **Tertuljana,** jednego z największych pisarzy chrz. owej doby (żył 160—240 r.). W dziele swym „De carne Christi“ = O ciele Chrystusa, tak pisze: Syn Boży uległ śmierci; ja w to **wierzę, ponieważ to jest niedorzecznym.** Syn Boży, będąc złożony do grobu, zmartwychwstał; ja wierzę, że to jest pewnym, gdyż wydaje się niemożebnym — Credo, quia ineptum = wierzę, ponieważ to jest niedorzecznym. To zdanie dla licznych stuleci stało się podstawą wierzenia. Oto skutkiap. Pawłowego „upodobało się Bogu przez głupie kazanie zbawić wierzących“ i „rozum rozumnych odrzucę”.

Widzimy tu **całkowite przeciwstawienie wiary i wiedzy.** Stosunek ten staje się w kościele coraz bardziej wrogim. Po ostatecznym zwycięstwie kościoła tłum chrz. niejednokrotnie rzucał się na siedziby nauki i niszczył je razem z dziełami uczonych. W r. 390 spalono sławną bibljotekę w Aleksandrji a co jeszcze z niej pozostało, to do reszty zniszczyli również wyznaniowo fanatyczni muzułmanie w r. 690, mówiąc że wszelka mądrość jest tylko w Koranie a poza nią nie trzeba innej mądrości. Zginęły wtedy bezpowrotnie jedyne egzemplarze dzieł starożytnych. W r. 415 ukamienowano sławną uczoną grecką, Hypatję a w r. 529 cesarz Justynjan zamknął w Atenach sławną grecką szkołę filozoficzną a uczeni musieli wywędrować do Persji.

Wtedy nauka pognębiona już zupełnie i podbita poszła na usługi kościoła, **wiara zapanowała niepodzielnie nad wiedzą.**

Przez przeszło 1000 lat nie wolno było nic uczyć ani pisać, coby się sprzeciwiało nauce kościoła. Ktoby się był ośmielił wystąpić przeciw kościołowi, szedł na stos razem z księgami swymi. Była to prawdziwa **babilońska niewola wiedzy.**

Ale śmiałkowie nieraz się znachodzili. Przeważnie były to różne sekty, które atakowały naukę kościoła i podkreślały konieczność powrotu do czystej nauki ewangelicznej. Takimi byli Waldensi, potem Husyci, ale wszystkie te ruchy zostały w potokach krwi stłumione, aż zwyciężyła reformacja 16 wieku i to

po wielkiej części dzięki naukowemu prądowi humanizmu, który pod wpływem filozofji greckiej obalił we wielu umysłach wiarę w dogmaty kościelne i tem przygotował grunt reformacji.

Sama reformacja gruntownej zmiany stosunku kościoła do wiedzy niestety jeszcze nie przyniosła. Obalono wprawdzie wiarę we wiele niedorzecznych dogmatów kościoła i wrócono do źródeł chrześcijaństwa, N. Testamentu, ale znowu zrobiono z Pisma „Słowa Bożego", nienaruszalną, nietykalną podstawę nowych kościołów.

Wprawdzie sam Luter odkrył jedną sprzeczność w N. Testamencie (nauka ap. Pawła o usprawiedliwienia z wiary bez uczynków i nauka ap. Jakóba o usprawiedliwieniu z uczynków) i wyraził się, że da swój kapelusz doktorski temu, kto te dwie nauki pogodzi, ale poza tem i on uważał Pismo za czyste Słowo Boże, które można wprawdzie objaśniać, ale nie krytykować. „Słowa niech nie naruszają!".

Z tego powodu w niedługim czasie rozwinęła się ortodoksyjna luterska teologja, nie wiele szersza w poglądach swych od katolickiej.

Drugi reformator, Kalwin, kazał spalić na rynku w Genewie uczonego lekarza, Serweta za jego naukę, przeciwną dogmatom chrz. o bóstwie Chrystusa i Trójcy świętej; na szczęście wypadek zupełnie odosobniony w tym kościele.

Ale jeden postęp został osiągnięty: przez danie biblji do ręki ludowi i naukę czytania jej rozszerzono oświatę i przygotowano temsamem teren dla przyszłego postępu. Dalej zdrowe czyste myśli ewangeliczne powoli przeorywały umysłowość ówczesną i przygotowały ją do zwycięstwa „praw człowieka", gdzie wolność osobista, wolność sumienia, wolność badania stanowią główne podstawy nowego społeczeństwa; są to zarazem główne podstawy dla prawdziwej wiedzy i prawdziwej wiary.

Najgłówniejszą rolę w wyzwoleniu wiedzy z pęt kościoła odegrał **racjonalizm francuski**, przygotowywany długo przez pracę wielkich filozofów. Wreszcie **rewolucja francuska rozkuła ostatecznie pęta ducha i wiedzy** i odtąd nauka może rozwijać się swobodnie i robi też znakomite postępy.

Za nowym kierunkiem poszła liberalna teologja ewangelicka, która krytykę tekstów biblijnych i dogmatów prowadzi w ściśle naukowy sposób i przez roztrząsanie problemów religijnych idzie powoli do ich rozwiązania.

Katolicka natomiast teologja pozostała przy dawnym średniowiecznym systemie, obostrzonym jeszcze dogmatem o nieomylności papieża r. 1870, dogmat, który nie znosi pojęcia o wolności nauki, o wolności sumienia.

Jakże to przypomina apostolskie Pawłowe: „Choćby też anioł z nieba głosił inną ewangelję, niech będzie przeklęty".

A wobec tego Chrystus: Mamci wam jeszcze wiele mówić, ale teraz znieść nie możecie" i „poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi".

Dla zdrowej myśli religijnej, myśli Chrystusowej, niema innej drogi, jak **pogodzenie wiary z wiedzą i wspólna praca nad rozwiązaniem najgłębszych problemów religijnych, które są podstawą człowieczeństwa.**

Pogodzenie to jest możliwe jednak tylko wtedy, jeśli i wiara posługiwać się będzie naukową metodą pracy a wiedza uzna, że wiara musi mieć do dyspozycji specjalne potrzebne jej środki badania, nie samo tylko „szkiełko i oko mędrca".

Wiara i wiedza nie mogą tu stać na jednym miejscu, ale muszą kroczyć naprzód, odkrywając nowe drogi dla rozwijającej się ludzkości.

Luter powiedział: **„Tu (tzn. w Piśmie św.) stoję, inaczej nie mogę; niech mi Bóg dopomoże"!** Na on czas był to ogromny postęp w stosunku do kościoła, który zboczył od głębokiej nauki ewangelicznej. Dziś przekonaliśmy się, że w Piśmie jest dużo rzeczy czysto ludzkich a prawdę Bożą tam trzeba dopiero odkrywać i że tej prawdy nietylko w Piśmie, ale i gdzieindziej szukać należy. Dlatego **samodzielna myśl religijna rzecze: Bardzo wysoko cenię Pismo, ale dogmatycznie tu już nie stoję; muszę iść naprzód; inaczej nie mogę; niech mi Bóg dopomoże!**

Po tych przesłankach przejdziemy do rozważenia najważniejszych problemow religijnych.

MATERJA A DUCH.

Cóż wie nauka eksperymentalna o materji? Mówi ona tak: Cały wszechświat zbudowany jest z materji, dziś b. różnorodnej, występujacej w postaci stałej, płynnej, gazowej, w postaci sił i promieni.

Mimo tej różnorodności liczba podstawowych składników materji jest niewielka, zwiemy je **pierwiastkami,** których nauka liczy potąd odkrytych 97. Do nich należy np. wodór, tlen i azot, z których składa się woda i powietrze; dalej żelazo, srebro złoto itd.

Pierwiastki te łączą się nawzajem ze sobą w najróżniejszych kombinacjach według ścisłych praw i tworzą wszystko to, co widzimy dookoła siebie i czem sami jesteśmy.

Dawniej myślano, że pierwiastki te składają się z najdrobniejszych cząstek tzw. molekuł, **drobnic,** zaledwie dostrzegalnych przez najsilniejsze mikroskopy. Drobnice te są w bezustannym ruchu.

Przekonano się jednak, że i drobnice są złożone z jeszcze mniejszych cząstek, które nazwano **atom** tzn. niepodziałka, bo myślano, że atomy nie są już złożone.

Tymczasem dalsze jeszcze odkrycia wykazały, że i atom jeszcze jest złożony, ba że stanowi sam dla siebie mały światek, podobny do systemu słonecznego: w środku atomu znajduje się ciałko zwane **protonem,** o dodatnim ładunku elektrycznym a dookoła niego wirują z niesłychaną szybkością tzw. **elektrony,** z ujemnym ładunkiem elektrycznym. Wirujące elektrony stanowią pewnego rodzaju powłokę atomu.

Podobnie dookoła słońca wirują planety, do których należy i nasza ziemia.

Elektronów w atomach jest jednak u różnych pierwiastków różna ilość. Najprostszy jest atom wodoru, gdzie dookoła jednego protonu krąży jeden tylko elektron, skutkiem czego atom wodoru jest najlżejszy. U innych pierwiastków liczba elektronów jest większa i dochodzi aż do 97 i ten atom jest najcięższy nam znamy; jest to atom uranu, najcięższego ciała.

Prawdopodobnie we wszechświecie istnieją jeszcze cięższe pierwiastki.

Atomy są niesłychanie mocno zbudowane tzn. siła ich wirowania jest niezmiernie wielka, tak że niesłychanie trudno jest tę siłę wyzwolić i skierować poza atom. W laboratorjach dopiero niedawno potrafiono to uczynić. Gdyby się to łatwiej mogło udawać, by **rozbić atom** a potem spowodować znowu jego złożenie się z taką ilością elektronów, jakby człowiek chciał, to wtedy możnaby sztucznie wytwarzać różne minerały, np. złoto; trzebaby protonowi w rozbitym atomie dać taką ilość

elektronów, jaką ma złoto a mielibyśmy sztuczne a jednak prawdziwe złoto.

W laboratorjach trudno o taką siłę, potrzebną do rozbicia atomu; w przyrodzie jednak ta siła się znajduje; we wnętrzu słońca i innych gwiazd panuje tak wysoka temperatura i działają tam tak potężne siły, że atomy ulegają tam ciągłemu rozbiciu a rozpadając się, wydają ze siebie olbrzymią siłę, energję, która w postaci promieni idzie w przestworza, między innemi i do nas i tu jest czynną przy najróżniejszych przemianach, jakim podlega nasza materja. My wszyscy czerpiemy razem z roślinami i zwierzętami tę siłę słońca i dzięki niej żyjemy. Np. zapasy węgla w łonie ziemi to wszystko skutki sił, które nam z rozbitych atomów swoich przesłało słońce, samo przy tem tracąc ciągle na wadze. Podobnie i ciała pachnące wyrzucają ze siebie w przestrzeń cząsteczki swoje, które uderzając o nasze nerwy powonienia, powodują wrażenie powonienia.

Materja wysłana w postaci sił przez gwiazdy oczywiście nie ginie, bo we wszechświecie nic nie ginie, ale koncentruje się czy na ziemi czy na innych gwiazdach czy gdzieś w przestworzach.

Taksamo i nasza ziemia, kiedy była w stanie gazowym a potem płynnym, podlegała takiemu samemu procesowi jak słońce; i na naszej ziemi atomy wtenczas masami ulegały rozbiciu a kiedy ziemia ostygała, wtenczas te atomy zwierały się znowu i zależnie od warunków miejscowych różna ilość elektronów skupiała się dookoła protonów i w ten sposób na różnych miejscach powstawały różne pierwiastki — tu żelazo, tam miedź, złoto itd.

Atomy, choć tak maleńkie, są jednak najpotężniejszymi zbiornikami siły. Gdyby całą siłę zawartą np. w węglu wielkości grochu udało się wyzwolić, to obliczono, że tą siłą mógłby największy okręt zajechać do Ameryki i wrócić stamtąd. Siła więc, choć jej nie widzimy ani potąd istoty jej nauka uchwycić nie zdołała, jest czemś ściśle materjalnym, mogącym być mierzonym.

Zawartość atomowa zamienia się na siłę a siła na materję, tak że można powiedzieć: ile materji tyle siły a ile siły tyle materji.

Siły atomów rozbijanych występują przedewszystkiem w postaci **promieni.** Promieni we wszechświecie jest pełno; wysyła

je nietylko słońce, dochodzą one do nas i z najodleglejszych gwiazd i zowią się promieniami kosmicznymi (kosmos po grecku wszechświat). Promienie te są tak potężne, że przechodzą przez płyty ołowiane ogromnej grubości, podczas gdy np. słoneczne promienie zatrzymują się już na cienkich przedmiotach.

Ostatnio promieniom tym nauka poświęca wiele uwagi. Prof. Piccard pierwszy a za nim już inni wznosili się na wielką wysokość, by badać te promienie.

Na ziemi mamy również promieniotwórcze ciała. Jedno z nich, rad odkryła nasza rodaczka, pani Curie-Skłodowska a medycyna zastosowała już te promienie do leczenia zwłaszcza raka.

Zdaje się, że i magnes wysyła ze siebie również pewnego rodzaju promienie, które działają na odległość. Możliwe, że wszystkie ciała promieniują, tylko słabo i nie mamy odpowiednich aparatów, aby te promienie mierzyć.

Prawdopodobnie i przy naszym **myśleniu** wytwarzają się pewnego rodzaju **promienie**, które działają i na odległość, tak że ludzie odpowiednio czuli, mogą myśl wysłaną w postaci promieni przez inny mózg, uchwycić, odgadnąć albo też swoją myśl przez tzw. suggestję narzucić innemu mózgowi, tak że ten poprostu jest zmuszony myśleć to, co oni myślą.

Zbadanie istoty promieni będzie miało olbrzymie znaczenie i dla religji, bo może nam wytłumaczyć wiele objawów ducha np. myślenie.

Ale niestety nauka jeszcze tej zagadki nie rozwiązała. Jedni przypuszczają, że promień jest zbudowany z tzw. neutronów, pewnego rodzaju atomów, w których proton i elektron są jednością ze sobą spojoną. Inni mówią, że promienie są **falowaniem.**

Przypuśćmy, że promienie są falowaniem, podobnie jak i elektryczność objawia się falowaniem; na tym falowaniu polega i radjofonja, operująca elektrycznymi falami różnej długości. Ale jeśli promień jest falowaniem, to falowaniem **czego?** Przecież te fale idą przez przestrzenie, gdzie niema absolutnie niczego, jak nauka twierdzi, gdzie jest absolutna próżnia. Wobec tego nauka przyjmuje częściowo hipotezę o tzw. **eterze,** jakiejś materji, znajdującej się wszedzie we wszechświecie.

Prostszym byłoby przypuszczenie, że promienie, będące siłą, są pewnego rodzaju materją tylko nieskrystalizowaną w sub-

stancję, skutkiem czego mogą z niesłychaną szybkościa przechodzić przez przestrzeń.

Że światło jest złożone z jakichś cząsteczek, to zdaje się nie ulegać wątpliwości; odkryto bowiem, że światło wywiera pewien napór na materję a więc muszą to chyba być jakieś materjalne cząsteczki.

Choć nauka ostatecznej tajemnicy budowy promieni i sił i ich istoty i stosunku do substancji z jednej a do świadomości (o której bliżej później) z drugiej strony, nie poznała jeszcze, to jednak zna ona już naogół dosyć dobrze najróżniejsze objawy tych sił, ma dla nich specjalne nazwy, którymi je odróżnia od siebie. Nauka obserwuje, bada te siły, posługuje się nimi w laboratorjach a potem oddaje je do usług społeczeństwa. Nazwy tych sił to: ciepło, elektryczność, magnetyzm, światło itd. **Zespół tych sił nazwę energanna** (z greckiego energja = siła). Wyrazu tego używam w przeciwstawieniu do wyrazu hindusko-buddystycznego **nirwanna** — nicość, który to wyraz jest tam pojęciem nietylko religijno-filozoficznym, ale i pewnego rodzaju fizykalnym, bo Budda poza wszystkiem wiwidzialnym przypuszczał absolutną próżnię, nicość, do której dąży dusza. Tą nirwanną jest i Bóg, jak go sobie Budda wyobrażał, bo pierwotny buddyzm jest zasadniczo ateizmem (o tem później).

Na podstawie tego, cośmy potąd powiedzieli, atom składałby się z protonu i elektronów i sił, które nazwałem energanną.

Odkryto jednak, że i proton jest jeszcze złożony a mianowicie, że w protonie są cząsteczki ujemnie naelektryzowane jednak tak, że całość ma ładunek dodatni w przeciwstawieniu do ujemnych elektronów; ale odkryto, że są i dodatnie elektrony; wygląda to podobnie jak homoseksualizm u organizmów: niektóre osobniki męskie mają pociąg kobiecy a kobiece pociąg męski, ba przekonano się, że w każdym mężczyźnie są tzw. hormony kobiece, choć przeważają męskie, a w kobiecie są i męskie hormony, choć naogół przeważają kobiece. Pełna tajemnic i zagadek jest przyroda!

Przypuszczałbym, że protony i elektrony to w zasadzie jedno i tosamo; są to podstawowe cząsteczki tzw. **substancja** od wyrazu łacińskiego sub — stare = stać pod czemś czyli być podstawą. Najmniejszą cząstkę tej podstawy, substancji nazwał-

bym **substans**. Z owych substansów składają się protony i elektrony, przy czem masa protonu zawiera ogółem więcej substansów niż ogół elektronów, bo proton jest ciężkim ośrodkiem, dookoła którego wirują elektrony. Substanse protonów i elektronów są ładowane elektrycznie dodatnio i ujemnie przez siły czyli energannę według **konieczności** życia, którą później nazwę **świadomością** atomu. Zaś podstawową cząstkę energanny nazwałbym **energon** a nie neutron, która to nazwa nic nie oznacza.

W każdym atomie jest więc substancja jako podstawa, na której opierają się i działają siły; działają te siły i między atomami, bo wszędzie są cząstki rozbitych atomów w postaci promieni, nieskrystalizowanych w substancję, tak że owa energanna napełnia i przenika wszystko.

Musimy pójść o dalszy krok naprzód **i pytamy się, czy siły**, działające we wszechświecie, **działają ślepo** i tylko przez przypadek a raczej szczęśliwą kombinację powstają twory robiące tylko wrażenie celowości i mądrości. **Albo też siły te mają same w sobie jakąś świadomość** czy też z zewnątrz **prowadzone są przez jakąś świadomość**, konieczność, życie, które mądrze wszystko kombinuje i prowadzi ku jakiemuś celowi.

Na pytanie to możemy dać odpowiedź, wychodząc na razie tylko od siebie samych, z własnego poczucia; wszak przecież i my jesteśmy cząstką wszechświata a we wszechświecie choć taka różnorodność panuje, to jednak jest tam też pewna prostota i jednakowość założenia, która się ciągnie przez cały wszechświat, tak że wszechświat, choć niesłychanie skomplikowany, jest też zarazem niesłychanie prosty w głównych podstawowych swych zarysach.

Jest rzeczą oczywistą, że człowiek normalny jest istotą świadomą siebie, odróżniającą siebie od otoczenia, istotą myślącą, czującą, chcącą czegoś i działającą celowo, bo świadomość człowieka głównie z tych 3 objawów się składa: myśli, uczucia i woli. Świadomość więc we wszechświecie jest, przynajmniej u człowieka. A musi ona być i poza człowiekiem, skoro takiego człowieka wytworzyła, wykształtowała.

Czyż możemy przypuścić, że taka istota jak człowiek mogła powstać przez przypadkową szczęśliwą kombinację ślepych, nieświadomych siebie sił?! Poprzez wszystkie biljony wieków, to chyba niemożliwe.

Weźmy atomy (które już zresztą same są dowodem niesłychanej inteligencji) i czekajmy, aż się one same ułożą np. w grę szachową i zaczną grać w szachy. Wyobrażać to sobie bez świadomości sił, bez inteligencji, przez czysty przypadek byłoby chyba największym absurdem. Że przy wynalezieniu szachów, że przy każdej nieomal grze szachowej przypadek, w naszym tego słowa znaczeniu, odgrywa pewną rolę, to jasna rzecz, ale nigdy główną! Sam już człowiek więc i powstanie jego jest dowodem, że we wszechświecie i poza człowiekiem jest bezsprzecznie jakaś inteligentna siła, która działa i w atomach i powoduje, że jednoczą się one do wytworzenia różnych tworów.

Jest to **siła inteligentna, przez jednoczenie tworząca i wszystko przekształcająca. Tę siłę sił nazwiemy świadomością, życiem, duchem.**

Czy ducha mą tylko człowiek?

Na podstawie wnikliwych obserwacyj można powiedzieć, że tak wysokiej świadomości jako ją ma czy może mieć człowiek, nie ma żaden inny twór na ziemi. Ale czyż możemy powiedzieć, że zwierzęta i rośliny nie mają swojego rodzaju świadomości?

W świecie zwierząt i roślin napotykamy tak zdumiewające objawy świadomości, że możemy i tu mówić o inteligencji zwierząt i roślin. Pięknie przedstawił te objawy Maeterlink w książce odznaczonej nagrodą Nobla, „Inteligencja kwiatów".

Tę samą mądrość, którą człowiek odkrywa we własnym swym ciele, widzimy i w organizmach zwierząt i roślin.

Ale i tu nie możemy się zatrzymać, musimy iść dalej w świat minerałów, pierwiastków, atomów. Jakże cudownie zbudowany jest taki atom! Jakie cuda kryją się poza tem, co nazywamy promieniem, co nazywamy siłą! Dlaczegóż to taki atom broni się z tak niesłychaną zaciętością, rzekłbym, przed rozbiciem, że człowiekowi trudno znaleźć siłę, któraby go zniweczyć mogła?

Czyż w takim atomie niema pewnego rodzaju **świadomości,** która się objawia w tzw. **powinowactwie chemicznym,** na podstawie którego atomy wchodzą w pewne tylko, ściśle określone związki a w inne związki nie wchodzą, jakby miały pewne wyczucie i w ten sposób tworzą ten cudowny zespół żywiołów świata?

Weźmy np. takie kryształy szlachetnych kamieni — czyż nie jest to jakaś świadomość, która atomom każe się łączyć w twory tak cudowne, że patrzą się one na nas jakby jakimś cudownym okiem, hipnotyzując nieraz nasze zmysły?!

Jest i tu wszędzie, napewno jest jakaś świadomość! **Wszelkie procesy chemiczne powodowane i prowadzone są jakąś świadomością.** Nauka przeważnie mówi, że te wszystkie procesy odbywają się według ścisłych, działających mechanicznie praw przyrody. **Lecz cóż to jest przyroda?** Nie jest to nic innego, jak jakaś wyższa zbiorowa świadomość, która jest przy każdym chemicznym procesie i prowadzi go w pewien sposób. A z drugiej strony, jeśli atomy słuchają rozkazu przyrody, to muszą mieć jakąś zdolność wykonania prawa, rozkazu. **Mechanicznie** tzn. samo od siebie **nicby się nie stało;** w nieruchomym bezwładzie leżałaby substancja. **Jakżeby przedewszyst. dojść mogło do naszej świadomości,** która niewątpliwie istnieje, bo o niej wiemy, bo ją mamy, **gdyby w całej przyrodzie, która nas wytworzyła, nie była rozlana ta świadomość?!** Atom nie jest martwą, ale ożywioną cegiełką, z których zbudowany jest wszechświat.

Zrobiłbym tu porównanie. Cóż to jest **automobil?**

Czy automobil jest samym autem, aparatem zbudowanym z pewnego materjału, wyposażonym w motor, w benzynę, we wszystko? Nie, to jeszcze nie automobil, samochód! Taki samochód jeszcze się nie ruszy. Trzeba jeszcze szofera, któryby wszystko w ruch puścił i nim kierował; szofer jest świadomością auta. I dopiero auto w ruchu razem z szoferem jest automobilem. **Takim antomobilem w ruchu jest atom a szoferem jest jego świadomość,** jego konieczność, jego życie, po łacinie causa.

Czy ta świadomość stoi ponad atomami, jak szofer zdaje się stać ponad autem albo też jest w atomie samym? Stać ponad, nie znaczy jeszcze nie być w środku czegoś. I szofer jest w gruncie rzeczy w każdej istotnej cząstce auta, bo ją opanowuje a jeśli jej nie opanuje, to auto musi stanąć. Tak i tu musimy powiedzieć, że świadomość opanowuje cały atom, jest w każdej cząstce jego składowej, w każdym energonie a przezeń w każdym substansie. Świadomość jest poprostu organiczną właściwością atomu, ale tak potężną, że ta świadomość jest wprost właścicielem, rządcą atomu. Na tej pod

stawie powiemy, że **duch jest właściwością wszelkiej materji, ale tak potężną, że materja staje się jego własnością.**

Że atom ma do pewnego stopnia samodzielną świadomość, jakiś kierowniczy instynkt powiedzmy, tego dowód mamy na samych sobie, na naszym własnym ciele, które przecież posiada swoją świadomość, nawet do pewnego stopnia niezależną od naszego ducha czyli wyższej świadomości, cały proces trawienia, oddechania, przemiany materji odbywa się prawie zupełnie samodzielnie, na podstawie jakiejś świadomości ciała.

Że świadomość jest i poza atomem, to również jasna jest rzecz, bo mamy i rozbite atomy i nieskrystalizowaną energannę, działającą w postaci promieni. Świadomość, życie jest rozlane wszędzie a zatem jest przedewszystkiem **w atomie tej podstawowej, żywej cegiełce wszechświata.**

Że ze świadomością iść musimy do samego jądra wszystkiego, do atomu i całej jego treści, to jest mi jasną rzeczą, bo inaczej gdzież mielibyśmy zacząć, od czego, jeśli nie od tego najpodstawowszego? Od rośliny? — Od której? — Od zwierząt? — od jakiego? Od człowieka? — wtedy jakiego? boć przecież nie każdy człowiek jest pełnym człowiekiem, a który jest pełnym?! Gdzież jest istota, o którejby można powiedzieć, że od niej a nie od innej świadomość się zaczyna?

A zresztą gdzież tę świadomość we wszechświecie pomieścić, jeśli jej nie pomieścimy w najpodstawowszych najdrobniejszych jego cząstkach? **Każdy atom jest centrum wszechświata a treścią najistotniejszą każdego atomu, jego koniecznością, jego życiem jest świadomość, która z tego centrum opanowuje świat.**

Tę świadomość nazywam duchem.

Zachodzi teraz pytanie, **czem** w gruncie rzeczy ta świadomość — duch jest, czy duch jest czemś materjalnym czy też czemś niematerjalnym, jak się przeważnie dotąd rozumie ducha.

Moja myśl nie może się oprzeć wrażeniu, że **świadomość — duch jest czemś materjalnym**, że granica między materją a duchem nie stanowi przepaści, oddzielającej dwa światy całkowicie różne, odrębne, sprzeczne (jak chcą po przeważnej części religje), ale że wszystko razem stanowi jeden

świat realny i doświadczalny a materja czy raczej substancja i duch są tylko formami czy objawami czy częściami jednego wszechświata, jednej przyrody, jednego Bytu, który cały w sobie jest materją, ale dla jej istnienia i życia podzielony na dwie nie sprzeczności, ale przeciwieństwa w postaci substancji razem z energanną z jednej a ducha z drugiej strony.

Kilka prób dowodów albo raczej przypuszczeń, że duch jest czemś materjalnym, przyczem musimy wyjść od swojej świadomości jako nam najbliższej:

Najważniejszymi objawami ducha naszego jest **myślenie, uczucie i wola.** W gruncie rzeczy i uczucie jest myśleniem w postaci podświadomego czy świadomego zdawania sobie sprawy ze swojego stosunku do innych osobników czy też części składowych mego własnego ja; uczucie jest jakością, qualitas myślenia — **jak** się czujesz, jak się masz tzn. jak myślisz o sobie i o swoim stosunku do innych — tak się pytamy zupełnie słusznie. Wola zaś jest myśleniem spotęgowanym do decyzji czynu, wola jest pewną ilością, napięciem, a więc siłą, quantitas myślenia.

Duch objawia się więc przedewszystkiem w **myśleniu.** Wyraziliśmy już przypuszczenie, że myślenie nosi wszelkie cechy jakiegoś materjalnego procesu, jakiegoś promieniowania, które może być przenoszone na odległość, uchwycone, przez suggestję narzucone innemu osobnikowi, podobnie jak fizycznie, cieleśnie mocniejszy pokonuje słabszego.

I zwierzęta przez przenoszenie myśli na odległość, jak wskazują doświadczenia, porozumiewają się między sobą, odnajdują swoje miejsca; cały ich instynkt oparty jest na tej materjalnej istocie myślenia.

Jeśli **myślenie jest materjalnym procesem,** to bardzo bliskim jest przypuszczenie, choć to jeszcze oczywiście nie jest udowodnienie, że i sam duch, który się objawia w myśleniu, jest czemś materjalnym.

Duch człowieka objawia się w **charakterze** człowieka. Widzimy jednak, jak bardzo **dziedziczne są** cechy charakteru przodków na dzieci; i my głęboko wyrobione przez nas samych rysy charakteru przekazać możemy swemu potomstwu **a co jest dziedziczne, to już napewno jest materjalne.** Mógłby jednak ktoś powiedzieć, że charakter jest objawem ciała a nie ducha. Ale w takim razie, gdzież jest ta granica

między ciałem a duchem, które rysy charakteru są cielesne, a które duchowe, tak żeby nimi zająć się mogła tylko religja; przecież religja za objawy charakteru wini ducha, który jest w człowieku. Duch ma bezsprzecznie wpływ na charakter a charakter jest dziedziczny czyli materjalny a więc znowu przypuszczenie, choć jeszcze nie dowód oczywisty, że sam duch jest czemś materjalnym.

Powstawanie człowieka jest również pewnego rodzaju dowodem, że duch jego jest czemś materjalnym. Człowiek powstaje przez łączenie rozrodczych komórek, męskiej z żeńską, przyczem obie tak się jednoczą jak atomy np. wodoru i tlenu tworzą drobinkę wody, która ma swoją już pewnego rodzaju zbiorową, ale jednak zjednoczoną świadomość.

Ciekawe są **objawy przed i przy zapładnianiu.** Wszędzie zauważamy wzajemne drażnienie się, podniecanie, flirt, który ma widocznie na celu spowodowanie jak największego napięcia świadomości, siły życiowej, która bezsprzecznie skupia się wtedy na komòrkach rozrodczych a w samej chwili zapłodnienia dochodzi nieraz nieomal do utraty własnej świadomości, którą poprostu przelewamy na komórki rozrodcze. W ten sposób rodzice siłę świadomości, siłę życia przekazują potomkowi; musi to więc być materjalna siła. Nie możemy przypuścić, że jakiś duch poza oboma rodzicami czeka na ten moment zapłodnienia, aby się połączyć z ciałem; twierdzi to wprawdzie buddyzm, ale jest to twierdzenie nielogiczne. Najprostszym i najoczywistszym jest przypuszczenie, że rodzice przez akt zapłodnienia stwarzają siłę życia, tę konieczność, tę świadomość, która zaraz jak wir porwie dla siebie wszystko potrzebne z otoczenia i wytworzy nową istotę z nową świadomością — duchem. Ale w takim razie owa świadomosć — duch jest czemś materjalnym.

Przytaczanie wpływu **narkotyków** na świadomość jest niebardzo przekonywującym dowodem materjalności ducha, bo mógłby ktoś powiedzieć, że narkotyki paraliżują tylko komórki, przez które duch się objawia a nie ducha samego, choć oczywiście znowu mógłbym tu postawić pytanie: a więc gdzie się ten duch zaczyna a gdzie kończy ciało?

Natomiast sądzę, że bardziej przekonywującym dowodem materjalności świadomości — **ducha** jest jego **ograniczenie** zawsze do jednej tylko świadomej funkcji; nie możemy z pełną

świadomością robić kilku rzeczy naraz. Pewnego rodzaju wyjątkiem jest tu rozszczepienie świadomości jako objaw chorobowy czy medjalny, polegający na tem, że w stanie transu osobnik może pisać zdumiewające świadomością utwory a równocześnie bawić się świadomie z otoczeniem; polega to na tem, że świadomość nasza jest zjednoczoną zbiorowością świadomości ojca i matki, ba przodków naszych i jeśli to **zjednoczenie** rozbijemy przez trans, wtedy działają pojedyncze świadomości.

Normalnie jednak **nasza** prawidłowo zjednoczona świadomość może przyjąć do **pełnej** świadomości tylko jedno wrażenie. Powie ktoś, że tu winien mózg, który nie jest bardziej pojemny. Owszem mózg nasz jest dość pojemny i podczas gdy my zajęci jesteśmy świadomością swoją przy czemś, on automatycznie, takbym tu rzekł, przyjmuje różne wrażenia, które dopiero potem przychodzą nam do świadomości, kiedy ta zostanie z poprzedniej pracy zwolniona i otworzy miejsce na nowe wrażenia. Nieraz jesteśmy głęboko zajęci jakąś myślą; tymczasem dookoła nas stało się coś; nie zauważyliśmy tego jednak, czyli nie przypuściliśmy tego do pełnej świadomości, bo ona była zajęta. Dopiero później przypominamy sobie, przecież to a to się stało, kiedym był zamyślony; mózg to zanotował w swych komórkach a dopiero potem to odcyfrowujemy; widząc nie widzimy, bo świadomość nasza jest ograniczona i niemoże wszystkiego naraz widzieć.

To ograniczenie świadomości naszej jest chyba dowodem, że ta świadomość-duch jest czemś materjalnym, bo coś niematerjalnego nie mogłoby być ograniczone.

Religje powiadają, że poza tymi wszystkimi ograniczeniami, poza tym, że się tak wyrażę, doświadczalnym duchem-świadomością jest jakiś **najczystszy duch** i ten jest **absolutnie niematerjalny.** W takim razie mogłaby to być tylko jakaś nirwanna — nicość Buddy, która nas nic a nic nie może obchodzić, bo jest ona zupełnie oderwaną od wszelkiej materji a więc dla nas zupełnie nieosiągalną, całkowicie abstrakcyjną, poprostu nie istniejąca. Nas obchodzić może tylko świadomość — duch doświadczalny, realny a takim jest i ta najwyższa świadomość — Duch, Bóg jako Go Chrystus pojmuje, rozumiejąc Boga jako pracownika, jako siłę myślącą, czującą i działającą, Jan 5, 17. Zresztą i religje tego Boga jakże ma-

terjalnie, aż nazbyt, strasznie materjalnie pojmują; tylko abstrakcyjna teologja uduchawia Go i odmaterjalnia tak dalece, że potem musi dla tego Boga wynajdywać różne materjalne zastępstwa w postaci posągów, obrazów, czy ludzi.

Sądzę, że niema innej drogi, jak droga, którą nam wskazuje wnikliwe obserwowanie rzeczywistości — przyrody. W przyrodzie tej widzimy substancję, zbiorowisko olbrzymie wszystkich substansów; odkrywamy tu dalej przepotężne najróżniejsze siły, kierowane jednak jakąś świadomością, która w istocie swej jest czemś najsubtelniej materjalnym, jakąś **prąmaterją** — duchem, wszystko jednoczącym ku spełnieniu pewnych zadań, wszystko przekształcającym.

Jak jest zbudowana owa najbardziej tajemnicza najbardziej istotna, najmniej uchwytna siła? Nie wiemy, jak ostatecznie zbudowana jest subtancja, jak zbudowane promienie, energanna; cóż możemy mówić o owej pramaterji, jej bu dowie? Ale hipotezy i nazwy można stawiać, jak nauka zawsze już dawała nazwy temu, czego istoty nie zbadała jeszcze; elektryczności potąd niezna a nazywa ją elektrycznością.

O budowie substancji wyraziliśmy nieśmiałą myśl, by nazwać jej najmniejszą cząstką substansem a najmniejszą cząstkę energanny energonem.

Tak tu świadomość, myśl Bożą zawartą w najmniejszych cząstkach nazwałbym **theonem**, od greckiego wyrazu Theos = Bóg.

Dla wielu takie traktowanie sprawy najpoważniejszej wyglądać będzie śmiesznym, innym zakrawać będzie na bluźnierstwo, ale zaznaczam, że rozchodzi się mi tu o obrazowe przedstawienie objawów ducha, którego pojmuję jako coś pramaterjalnego i tę myśl przeprowadzam w szczegółach, ponieważ się nam to później przyda dla obrazowego przedstawienia niektórych pojęć religijnych.

Że myśl materjalności ducha nie jest tak absurdalną, jakby się zdawało, toć przecież są zdania, że materjalne komórki mózgu są producentami myśli, co przy uwzględnieniu siły świadomości, prowadzącej każdy proces chemiczny, jest jednak rzeczywistością. Zresztą czyż nie mniejszy to „cud", jeśli nasze materjalne komórki rozrodcze pod wpływem siły świadomości życia wytwarzają człowieka?

Świadomość, będąca istotną treścią każdej cząstki wszechświata jest niezmiernie rozmaitą i od jej rodzaju zależy postać

i byt każdego tworu. Najprostsza świadomość ta jest u minerałów, wyższa u roślin, dalej u zwierząt, aż dochodzi do człowieka, gdzie się objawia jeszcze dalsze jej stopniowanie. Obrazowo mówiąc, jako rozmaitość pierwiastków zależy od ilości elektronów w ich atomach, tak i rozmaitość pojedynczych tworów zależy od theonu tzn. od myśli, jaką Bóg wkłada w każdy twór, bo już tu powiemy, że **zespół i źródło zarazem wszystkich theonów**, wszystkich świadomości świata czyli **wszechświadomość nazwiemy Bogiem Duchem.**

Materja a duch — tak zatytuowaliśmy ten rozdział, pytając się o wzajemny stosunek i dochodzimy do zdania, że wszystko i duch jest materją. Ciało i duch są objawami jednego, w sobie całkowicie materjalnego-realnego Bytu. są jego dwoma połowami, składającymi się na całość materji, w której niezmiernym kole wszystko się toczy. Materja, to słowo pochodzi od mater = matka; a więc materja, przyroda czyli wszechświat widzialny razem z Bogiem są Mater, materją wszystkiego a duch w obrębie tej materji jest jakąś prasiłą wszystko przenikającą i świadomie przetwarzającą. Pojęcie materji więc uduchowiamy tzn. ducha czynimy jej najistotniejszą treścią; materjalizujemy ducha a materję uduchowiamy i w ten sposób sprowadzamy wszystko do jedności, jaką mimo przeciwieństw jest wszechświat.

Nie może materja istnieć bez ducha a duch bez materji, którą musi mieć, aby się w niej wyżywać; jedno do drugiego bezwarunkowo należy; nie są one ze sobą sprzeczne, choć istnieją między nimi konieczne do życia napięcia.

Dla zobrazowania podałbym tu stosunek płci żeńskiej i męskiej — i mężczyzna i kobieta są ludźmi, są jednością a jednak istnieją między nimi różnice i napięcia, które są konieczne dla życia i jego przemian, przyczem kobieta byłaby podobieństwem biernej substancji a mężczyzna podobieństwem czynnej, świadomej siły, dającej życie i przez to najwartościowszej, choć dla życia konieczną jest i substancja.

Zastanowimy się teraz bliżej nad tem, jak się ten stosunek materji i ducha objawia we wszechświecie a potem u człowieka.

WSZECHŚWIAT A BÓG.

„Wierzę w Boga Ojca, Ducha wszechświata".

Cóż nauka wie o wszechświecie?

Człowiek wprawdzie już bardzo dawno wszechświatem się

zajmował; tajemniczy urok nieba przykuwał jego uwagę i budził pytanie, skąd to wszystko powstało. Stare hinduskie księgi Rigwedy już bardzo głęboko ujmowały tę kwestję, ale widząc swoją bezsilność rozwiązania jej, wyrzekały się powiedzenia stanowczego słowa w tej materji i sceptycznie mówiły:

„Ten, kto to stworzył, lub może nie stworzył?
Ten, kto jest władcą w najwyższych niebiosach,
Ten wie zapewne wszystko — a może też nie wie?...“

tak brzmi koniec ustępu o początku rzeczy w Rigwedzie, Mandala 10, 129 (tł. St. Michalskiego).

Kapłani babilońscy, egipscy i amerykańscy już dawno badali przestworza niebios, ale w gruncie rzeczy pozostawały te niebiosa księgą zawartą na 7 pieczęci — nie było odpowiednich przyrządów badania. Dopiero z wynalezieniem ich zaczyna się właściwa astronomja. Przewrót w pojęciach o wszechświecie wywołał nasz Kopernik, † 1543, odkryciem, że nie słońce dookoła ziemi, ale ziemia dookoła słońca się obraca.

Coraz doskonalsze teleskopy posunęły w ostatnich czasach badania wszechświata bardzo naprzód, nie przynosząc jednak jeszcze bynajmniej rozwiązania najważniejszych pytań tak bardzo interesujących religję. Popularne przedstawienie wyników badań wszechświata znajdujemy ostatnio w dziele Jeans'a „Wszechświat“.

Badania te stwierdzają że cały wszechświat jest podobnie zbudowany jak nasza ziemja, jak nasz system słoneczny. I we wszechświecie podstawową cegiełką budowy jest atom, który jednak w przeważnej ilości gwiazd z powodu niesłychanych temperatur, dochodzących do wielu miljonów stopni, ulega ciągłemu rozbijaniu, skutkiem czego wytwarzają się kolosalne siły promieniujące w obszarze całego wszechświata. Wszystko i wszędzie jest w bezustannym, kolosalnie szybkim ruchu.

We wszechświecie wszystko jest zależne od wszystkiego, choć każda cząsteczka żyje swym życiem odrębnym; **wszechświat więc cały jest pewnego rodzaju jednością,** choć na wewnątrz ogromnie urozmaiconą.

Jak wielkim jest wszechświat, tego nawet najbujniejsza fantazja ludzka nie jest wstanie sobie wyobrazić. Einstein oblicza przekrój wszechświata na przeszło 80 miljardów lat światła tzn., że światło z jednego do drugiego końca wszechświata

musiałoby leciec 80 miljardów lat, lecąc na sekundę 300 tys. kilometrów; ze słońca na ziemię światło leci tylko 8 minut!

Ale astronomja ciągle odkrywa przez coraz więcej udoskonalane teleskopy coraz nowe dalsze gwiazdy, tak że wszechświat coraz bardziej dla nauki rośnie. Oprócz tego astronomowie stwierdzili, że wszechświat jest w stadjum rozszerzania się. Ostatnio odkryte mgławice gwiazd oddalają się od nas z szybkością 18.000 km. na sekundę, czyli że w tym stosunku rośnie wszechświat. Przypuszczają astronomowie, że wszechświat rozszerza się i kurczy, prawieże oddecha jak organizm.

Myśl nasza kazałaby nam właściwie przypuszczać, że wszechświat powinien być nieograniczony, bez granic, bez końca, bo nie może być nigdzie nic, ale wszędzie musi być coś.

W praktyce jednak będziemy mieli zawsze do czynienia z ograniczonym, choć niezmiernie wielkim wszechświatem.

Nasza ziemia ze słońcem należy do tej części wszechświata, którą nazywamy Drogą Mleczną. Jak maleńką jej cząstką jesteśmy, to wykazuje następujące porównanie: gdyby mapa Drogi Mlecznej była tak wielką jak Europa, to ziemia przedstawiałaby tu tak mały punkcik, że byłoby jej trzeba szukać mikroskopem. Gdyby całą Polskę przykryć warstwą piasku paręset metrów grubą, gdzie każde ziarenko oznaczałoby gwiazdę, to ziemia nasza w tej masie wszystkich gwiazd wszechświata byłaby mikroskopijnym pyłkiem!

Wiek ziemi naszej uczeni obliczają według różnych objawów na 2 miljardy lat a wiek znanego wszechświata na 8 do 10 miljardów lat, ale przypuszczają, że musiała już przedtem istnieć jakaś pramaterja, która w postaci promieni wlała się w „przestrzeń" dzisiejszego wszechświata i zapoczątkowała ten rozwój, który dziś widzimy toczący się we wszechświecie a mający się skończyć za biljony lat.

Wszystko to oczywiście są przypuszczenia.

Myśl nasza jednak zmusza nas do zdania, że wszechświat w tej czy innej formie zawsze był i zawsze będzie, bo nie mogło być nic i nie może też nie być nic. Musi być coś!

Wszechświat jest bez początku, bez granic i bez końca, ulega natomiast ciągłym przemianom, które go właśnie podtrzymują w bycie a celem jego jest wielkie: **być! Wszechświat nie chce i nie może umrzeć a radością jego jest byt, istnienie, jest on w całym tego słowa znaczeniu wieczny,**

co do początku i końca; wszechświat nie zna czasu a granice i przestrzeń są mu nieznane.

Gdzież tu w takim światopoglądzie **pomieścić Boga?**

Może? nie zmieści się tu, tak narazie powiemy, pojęcie **Boga-Stworzyciela** wszechświata, jak je prawie wszystkie religje mają, ale zmieści się pojęcie **Boga-Tworzyciela,** który wszechświat odwieczny przenika, przekształca, nim kieruje, jest **Duchem wszechświata,** jego najistotniejszą treścią.

Powiedzieliśmy w rozdziale poprzednim, że podstawowa cząstka materji ma swoją świadomość, mówiliśmy o coraz wyżej idącej zbiorowej świadomości, którąśmy poprowadzili aż do świadomości człowieka. Teraz tę myśl chwytamy na nowo, bo się nam ona narzuca i przy pojęciu wszechświata i mówimy, że Bóg jest zbiorową świadomością jego, ale nietylko sumą, owszem źródłem tej świadomości. Sławny psycholog, starszej już daty, Wundt mówi, że dusza jest sumą zjawisk psychicznych; owszem, ale, skąd ta suma, jeśli nie ma źródła tych zjawisk? Dusza jest nietylko sumą, ale koniecznie i źródłem zjawisk psychicznych. Tak i **Bóg Duch wszechświata jest sumą i źródłem wszechświadomości;** Bóg jest najistotniejszą właściwością materjalnego wszechświata i to tak istotną, że wszechświat ten jest Jego własnoscia, w nieskończenie wyższym stopniu niż nasze ciało jest własnością naszego ducha. Czy ten Duch wyłonił, stworzył z Siebie wszechświat albo naodwrót, któż to może powiedzieć? Rozważymy to jeszcze później.

Do czegóżby przyrównać tak pojęty wszechświat? Jasną rzeczą, że żaden obraz nie ujmie całości wszechświata, to trudno — wszechświat jest wszechświatem, nie da się on ująć w żaden obraz, żaden system, bo każdy będzie miał luki. Błądzą tacy, którzy ujmując życie w jakiś swój system, myślą, że ich system jest jedyny — prawdziwy; ujmujemy w systemy tylko część życia; prawda pewnie że jest jedna, ale ma miljony oblicz i ten system jest do niej najbardziej zbliżony, który jak najwięcej objawów prawdy, życia potrafi objąć.

Augustyn święty, chcąc ująć pojęcie Boga w jakiś system i rozmyślając o tem, miał spotkać na brzegu morza chłopca, który wykopał mały stawek i nosił do niego wodę z morza; zapytany, co czyni, odpowiedział, że chce wlać morze do swojego stawku. Tak i my w swoich systemach chcielibyśmy zmieścić wszechświat — ale beznadziejnie!

Wszechświat jest wszechświatem a Bóg jest jego Duchem. Spróbujmy jednak obrazu, któryby jak najwięcej objawów wszechświata potrafił uwzględnić; nasuwa się mi tu pojęcie organizmu, które do wszechświata zastosowałbym w słowie **wszechorganizm**.

Obraz organizmu jest nam najbliższy, bo sami jesteśmy organizmem a z drugiej strony organizm jest to pojęcie tak niezmiernie szerokie a przytem organizm jest najdoskonalszym tworem wszechświata — przyrody, że w tym pojęciu będziemy mogli jak w zwierciedle ogniskującym objąć możliwie najszerszy obraz wszechświata.

Przez organizm rozumiemy coś substancjalnego, materjalnego (po staremu mówiąc) i duchowego zarazem, coś co ma życie samo w sobie, jak się dlatego mówi, organicznie i dlatego też może i życie tworzyć, bo życie tylko z życia powstaje, omne vivum ex vivo. Pojęcie organów czyli członków służących organizmowi, niekoniecznie należy do pojęcia organizmu, bo są np. organizmy jednokomórkowe, które organów nie mają; zresztą organa, członki są tylko wykonywaniem sił świadomych i raczej pojęcie tych działających sił świadomych jest nieodstępnym pojęciem organizmów.

Dalej charakterystyczną cechą organizmów jest, że przechodzą **rozwój** wewnętrzny. Narodzenie się i śmierć organizmów nie stanowią zasadniczej cechy organizmu, bo w gruncie rzeczy mówiąc, organizm powstaje ze żywego, które zawsze było żywe i oddaje swą świadomość, życie znowu dalszym organizmom, które dlatego i przez to wiecznie żyją — życie jest niezniszczalne samo w sobie, choć przemijające są formy, w których życie się objawia.

Przeciwstawieniem do pojęcia organizm jest pojęcie **mechanizm**. Przez mechanizm rozumiemy coś martwego, co niema życia samo w sobie, ale to życie i ruch otrzymuje od zewnątrz od jakiejś inteligencji, która zresztą i stwarza ten mechanizm i może go zastawić w ruchu, ba zniszczyć. Sam ze siebie mechanizm nie przechodzi rozwoju i ma swój początek i koniec, bo nie ma wiecznego życia sam w sobie, które mają natomiast organizmy.

Jeszcze jest jedna zasadnicza różnica pomiędzy organizmem a mechanizmem a mianowicie ta, że organizm ma, przy całej różnorodności części składowych, **siłę jednoczącą wszy-**

stko czyli świadomość sam w sobie, podczas gdy mechanizm tej siły jednoczącej niema sam w sobie a jest mu ona sztucznie z zewnątrz dawana; kółka zegarka same od siebie nie mają żadnego związku ze sobą i mogłyby wieki obok siebie istnieć a nie poruszą mechanizmu zegarka, póki jakaś świadoma siła tych kółek nie połączy w jedność. Organizm natomiast ma tę jedność sam w sobie i wir tej siły pociąga sam wszystko dookoła siebie ku sobie.

Czy wszechświat jest organizmem czy mechanizmem? Przyjrzyjmy się tym systemom religijnym i filozoficznym, które twierdzą jedno albo drugie.

Wszystkie religje i chrześcijańska pojmują wszechświat jako mechanizm stworzony przez Boga; mechanizm ten nie ma życia sam w sobie i będzie też kiedyś zniszczony przy końcu świata, przestanie poprostu istnieć, zamieni się w nic, nirwannę, bezwzględną próżnię, jedno tylko z niego pozostanie — zmartwychwzbudzone ciała! Ap. Paweł widzi w takiej myśli oczywistą sprzeczność, dlatego 1 Kor. 15, 43 mówi, że „wzbudzone będzie ciało duchowne a nie cielesne", ale i to nie jest pozbawione materjalności, skoro ma być „wzbudzone" a wzbudzić można tylko coś materjanego.

O Chrystusie ew. Łuk. mówi, że zmartwychwstał w tak cielesnym ciele, iż prosił o jedzenie i w takim ciele też wstąpił na niebiosa, dokąd według St, Testamentu wstąpił też i Eljasz cieleśnie na ognistym wozie.

Ducha św. przedstawiają ewangelje jako widzialną gołębicę.

Podobnie materjalne są również pojęcia i o samym Bogu.

Religje uczą, że Bóg stworzył świat tak jak człowiek tworzy maszynę. Stworzenia tego nie możemy sobie inaczej wyobrazić, jak że Bóg wyłonił ze siebie samego świat materjalny i tak to pojmują też systemy religijno-filozoficzne. Jeśli jednak wyłonił, tzn. że ta materja odwiecznie była w Nim.

Chrystus pojmuje Boga jako pracownika, Jan 5, 17: „Ojciec mój pracuje aż potąd". Czyż możemy sobie wyobrazić, żeby był czas, kiedyby Bóg nie był pracował; od samego „początku" pracował a terenem tej pracy mogła być tylko materja, wobec tego i ta materja musiałaby być taksamo jak Bóg odwieczna i jako Bóg niestworzona i niezniszczalna; możnaby tę materję pojąć tylko jako substancję, podstawę, ciało, w którym wyżywa się, pracuje duch a pracować może tylko przez naj-

głębsze wnikanie w tę substancję, jakośmy to przedstawili w poprzednim rozdziale. A takie pojmowanie zbliża nas do zrozumienia świata jako wszechorganizmu.

Religijne pojmowanie świata jako czystego mechanizmu powoduje też tzw. **dualizm**, rozdwojenie, które przeciwstawia jako sprzeczności Boga i materję, jako dwie rzeczy nietylko obrębne, ale i ze sobą walczące, co wyraża się i we wierze w szatana jako uosobienie materji, ciała.

Pełno tych pojęć jest i w chrześcijaństwie.

A przecież Chrystus wyraźnie sam powiada, Mat. 3, 24, że każde królestwo w sobie rozdzielone musi upaść... Gdyby we wszechświecie były tak zasadnicze sprzeczności, toby wszechświat musiał się zawalić. Przeciwieństwa i napięcia są, jak przy każdym ruchu, jak w każdym organiźmie, ale niema sprzeności zasadniczych, owszem jest jedność, która idzie przez cały wszechświat, gdzie wszystko od wszystkiego jest zależne, jak w każdym organiźmie.

Niemożliwość dualizmu, jak go pojmują religje, już oddawna nie zadawalała głębszych umysłów i oddawna próbowano wszechświat pojąć jako jedność, są to t. zw. systemy monismu (monos greckie jeden). Tu należy **materjalizm**, który mówi, że wszystko jest materją; tu należy **spiritualizm**, który mówi, że wszystko jest duchem.

Przypatrzmy się bliżej obu kierunkom.

Materjalizm uczy, że istnieje tylko materja tj. w pojęciu jakeśmy to powiedzieli przedtem o substancji i energannie; jest substancja i działające w niej siły, ale poza tymi siłami nie ma żadnej świadomości, żadnego ducha; siły działają według czysto mechanicznych praw i przez ich przypadkowe skombinowanie powstają twory, które tylko robią wrażenia inteligentnych, ale o jakiejś prawdziwej inteligencji wszechświata mówić nie można, bo zresztą jest w nim wiele objawów, które świadczą o braku wszelkiej inteligencji a świadczą tylko o ślepym przypadku; tak uczy materjalizm.

Myślenie człowieka polega tylko na automatycznym odbieraniu wrażeń przez komórki mózgowe i czysto automatycznej reakcji na te wrażenia.

Człowiek jest tu poprostu automatem, przypadkowo zestawionym i przez każdy przypadek mogącym być zniszczonym. Wszechświat jest i będzie wieczny i nie ma żadnego

celu ani przeznaczenia. — Bodajby jak najwięcej było takich automatów jak człowiek, który sam tworzy automaty!

Trochę wglądnięcia w siebie samego i w bieg świata wykazuje jednostronność a nie zadowalającą umysł wszechstronność takiego światopoglądu; biljardy lat mogłyby się atomy przypadkowo kombinować a nie stworzyłyby takiej istoty jaką jest np. człowiek. Wszyscy też mamy poczucie świadomości swojej, której żaden materjalizm nie jest w stanie zaprzeczyć, bo jest ona zbyt oczywistą.

Wierzę, że istnieje **przypadek**, nie w absolutnym, ale względnym tego słowa znaczeniu, ale przypadek ten stanowi tylko pewien procent praw, w obrębie których on sam jest ednym z praw, ale nie jest ogólną regułą. Tak jak uczony w laboratorjum niejedno odkrycie robi przez „przypadek", tak można powiedzieć i Bóg pozostawia pewien procent wypadków automatycznemu biegowi do rozstrzygnięcia, jak i my losowi bieg niekiedy zostawiamy.

Powiedziałem, że nic się nieda ująć w jeden system, wszędzie są wyjątki; takim wyjątkiem, ale nie regułą jest przypadek.

Wiele rzeczy we wszechświecie wydaje nam się nielogicznymi, przeczącymi inteligencji świadomości wszechświata, ale musimy zaznaczyć, że wiele zjawisk nie możemy zrozumieć, bo jesteśmy zbyt krótkowzroczni, aby objąć całokształt wypadków. Musi być i to zaznaczone, że „niedoskonałości" są wypływem stopnia rozwoju, który jeszcze szczytu nie osiągnął.

Dziecię jest niedoskonalsze od dorosłego, ale właściwie takie, jakie być musi w dzieciństwie swoim. Gdybyśmy odrazu otrzymali wszelką doskonałość, cóżby nam pozostało do zrobienia? Jaki cel życia? A więc i w tej „niedoskonałości" widzimy inteligencję wszechświata. O podobnych objawach bliżej w r. o cierpieniu.

Mechaniczne pojęcie wszechświata, jako nam go daje materjalizm ani nie odpowiada rzeczywistości ani nie spełnia najgłębszych naszych pragnień, bo odejmuie nam pojęcie celowości wszechświata i celowości naszego życia, choć nie przeczę, że mogą być bardzo ideowi materjaliści, którzy widząc tylko to życie, mogą się starać jaknajpiękniej je wykorzystać nietylko ku swojemu, ale też i ku bliźnich dobru; również i na polu naukowym materjalizm, uznając tylko fizyczne prawa, bardzo wiele zdziałał nad zbadaniem ich i wykorzystaniem dla życia,

podczas gdy ludzie religijni, mając oczy skierowane na życie przyszłe i potępiając życie ciała, zaniedbują przeważnie te dziedziny i nie widać u nich tego materjalnego postępu, co u materjalistów a materjalny postęp sam w sobie nie jest niczem złem, owszem w niejednem może pracę ducha ułatwić.

Na skrajnie przeciwnym biegunie co materjalizm stoi **spirytualizm**, który mówi, że wszystko jest duchem.

Rzeczywistość jednak najwyraźniej mówi, że jest substancja, materja, ciało, choć przyznajemy, że najgłębszą treścią ciała jest duch.

Odmianą spirytualizmu jest tzw. **pantheizm**, który twierdzi, że wszystko jest Bogiem i mówi: natura sive deus, przyroda czyli Bóg.

Zdaje się mi być rzeczą oczywistą, że Bóg jest wszystkiem tzn. najistotniejszem, ale nie wszystko tzn. i substancja jest Bogiem a przyroda to substancja i Bóg (natura = substantia et Deus).

Myśl nasza prze nas w tym kierunku, by raczej na **wszechświat** patrzeć się jako na jeden wielki harmonijny twór, jako **wszechorganizm**: ciałem jego jest substancja a świadomością, duchem Bóg, który przez siły energanny kieruje substancją, przenikając wszystko, Bóg będący najgłębszą treścią każdej cząsteczki i prowadzący wszystko w pewnym kierunku.

Tak jak świadomość jest organiczną właściwością materji a duch mój właściwością mego ciała, ale taką, że świadomość, duch bierze na własność substancję, ciało, tak i wszechświata właściwością jest Duch, który ten wszechświat bierze na własność i to w stopniu o wiele wyższym niż nasz duch nasze ciało. My dopiero idziemy do tego celu, który nam wskazał Chrystus: „Bądźcie wy tedy doskonałymi, jako Ojciec wasz niebieski". Mat. 5, 48.

Jeśli wszechświat miałby być organizmem, to zażądałby ktoś dalszych charakterystycznych cech organizmów u wszechorganizmu. O jednej już mówiliśmy a mianowicie, że życie, świadomość jest organiczną właściwością wszechświata. Drugą cechą była mimo rozmaitości **jedność wszechświata**; we wszechświecie wszystko od wszystkiego jest zależne. Że ta jedność w rozmaitości jest, widzimy wszędzie we wszechświecie; atomy łączące się w drobinki mają w drobince tej zbiorową świadomość; my sami jesteśmy czemś niesłychanie złożonym a jednak mamy jedną zbiorową świadomość; ludzie, robiący

jedno, również tę wspólną świadomość mają i idzie ona aż do poczucia ludzkości. Tak i wszechświat jest jednością a jednością tą właśnie jest Bóg, wszechświadomość, Duch wszechświata.

Organami wszechświata są przepotężne siły, które w nim działają.

Gdzież mózg owej wszechświadomości? Tym mózgiem to nasze mózgi i mózgi innych stworzeń a myślą to te procesy myślowe które się dokonują i w najmniejszych cząstkach, świadczących o wielkiej myśli, wielkiej mądrości.

Wszechorganizm stwarza, wydaje ze siebie organizmy jako najdoskonalsze swe twory; możemy powiedzieć, że cały wysiłek wszechorganizmu, przyrody idzie w kierunku organizmów, które całą nieorganiczną materję mają do dyspozycji, wszystko to im służy, jest poprostu ich ciałem, a zwłaszcza dla człowieka, który ciałem i umysłem swym coraz więcej wszechświat ogarnia. Wszystko dookoła mnie, aż tam gdzie myśl ma sięga, wszystko jest moim ciałem, w którym się wyżywam a wyżywać się będę coraz więcej, podobnie jak Bóg wyżywa się w całym wszechświecie.

W obrazie wszechorganizmu nie pójdziemy oczywiście do najdrobniejszych szczegółów, boby to doprowadziło do absurdu a rozchodzi się nam tylko o obraz, któryby jaknajwięcej istotnych cech wszechświata mógł oddać a widzimy z powyższego, że dosyć mamy podstaw do tego, aby swoisty światopogląd oprzeć na obrazie nie mechanizmu, ale raczej organizmu, stąd też ten światopogląd nazwałbym **organomizmem** (organizm + nomos = prawo) albo też **harmonizmem**, bo podkreśla on harmonję, jaka mimo istniejących napięć jest jednak najcharakterystyczniejszą cechą wszechświata. Jest w tym światopoglądzie coś z dualizmu, bo mówi on o ciele i duchu, ale nie jako wrogich sobie potęgach; jest coś z materjalizmu, bo mówi on, że wszystko jest materją, ale jako najistotniejszą właściwość tej materji uważa świadomość — ducha i to tak istotną, że ta materja staje się własnością ducha, czem organonizm zbliża się znowu do spiritualizmu i panteizmu, nie popełniając jednak błędu, aby wszystko nazwać Bogiem, owszem organonizm ciała nie nazwie samym Bogiem, ale własnością Bożą; Organonizm nie chce przeoczyć oczywistego faktu istnienia substancji, która jest również potrzebną dla wszechstronnego, harmonijnego wszechświata.

Dualizm ma słuszność, bo mówi realnie, że jest dwa i tak jest, ale błądzi, bo tych dwoje nie jednoczy, jak jest w rzeczywistości; monizm (materjalizm, spirytualizm) ma słuszność, bo mówi, że jest jedno i jest jedno, ale popełnia błąd, bo tego jedno nie dzieli na dwie połowy, jak to widzimy w realnym życiu. Organonizm czyli harmonizm unika obu błędów, bo mówi, że jest jedno, ale składające się z dwóch połów, związanych w harmonijną całość.

Myśli te zawarte są w kosmogonicznym obrazie na str. 47.

Kto kogo stworzył? — Bóg świat czy świat Boga? Jeśli Bóg stworzył świat, to jakośmy powiedzieli, świat „od początku" był ukryty w Nim, czyli również wieczny. Jeśli świat powoli wytwarza świadomość, podobnie jak dziecię powoli dochodzi do świadomości, to jednak musimy powiedzieć, że i tu ta świadomość znowu potencjalnie od samego początku, jak u dziecka musiałaby być w materji czyli również jest wieczną. Od wieczności są oboje obok siebie, jedno o drugie się opiera i tworzą jedność harmonijną, stąd harmonizm.

Jedna jest jeszcze wielka możliwość: jeśli protony i elektrony mogą być rozbite i zamienione na energję czyli substanse mogą być rozbite na energony (substansem nazwałem najmniejszą cząstkę, z jakich złożone są protony i elektrony a energonem nazwałem najmniejszą cząstkę enerji, p. str. 148) a doświadczenia sławnego Rutherforda doprowadziły już do rozbicia protonów, to znaczyłoby to, że cała substancja mogłaby być zamieniona na energję; substancja byłaby więc kryształem energji a energja byłaby źródłem substancji. Naprowadza nas to na myśl, czy i dalej idąc energja nie jest kryształem świadomości czyli ducha; inaczej obrazowo mówiąc, czy energony nie dadzą się rozbić na theony, na ową jakąś pramaterję, któraby wtedy była już ostatecznym źródłem wszystkiego, inaczej mówiąc i religijnie to ujmując: Bóg ta siła sił, o ile to potrzebne do życia, krystalizuje się w energję a ta znowu w pewnej dalszej części krystalizuje się w substancję czyli Bóg stwarza sobie sam ciało we wszechświecie.

Wtedyby miał zupełną słuszności panteizm, który mówi, że wszystko jest Bogiem; ale harmonizm nie byłby i wtedy przekreślony, bo bierze on pod uwagę wszechświat realny, jaki on obecnie jest tzn. ciało i duch, dwa ale zjednoczone. Zasadniczo miały słuszność panteizm, ale praktycznie, realnie harmonizm.

Gdyby nauka zaś niezbicie udowodnić miała, że poza energją niema już absolutnie nic więcej wyższego, to musiałoby upaść pojęcie Boga. Czyż wtedy religja musiałaby zupełnie zniknąć? Może nie! Tylko na miejsce Boga musiałby wejść człowiek a właściwie ideał człowieka. I to byłaby pewnego rodzaju religja, ba co mówię, czyż takich religij już obecnie nie mamy dość?

Są religje zasadzające się przedewsz. na czci oddawanej duchom zmarłych. W Grecji bóstwem byli bogowie uczłowieczeni i ludzie ubóstwieni. A czyż i w chrześcijaństwie nie spotykamy podobnych objawów? Podniesienie Chrystusa do wysokości równej Bogu czyż nie jest tego objawem? A czyż katolicyzm nie idzie tą drogą, modląc się do Marji, świętych i ustanawiając dogmat o nieomylności papieża, zastępcy Chrystusa-Boga?

Czysta myśl rel. na szczęście jeszcze tymi drogami iść nie musi, bo jeszcze żyje Bóg! Jeszcze Go nauka nie zsadziła z tronu ani też sądzę nigdy nie usunie! Jest rzeczą tak oczywistą, tak namacalną, że poza substancją, poza energją jest świadomość; przecież my sami nietylko mamy, ale wprost jesteśmy tą świadomością. Wnikliwa obserwacja wszędzie nam tę świadomość wykazała — poprzez zwierzęta, rośliny aż do chemicznych procesów i sił działających świadomie, jednoczących w tworzeniu. A źródło i sumę tych świadomości nazwaliśmy Bogiem i On jest, realnie jest, „w Nim żyjemy, ruchamy się i jesteśmy" Dzieje 17, 8.

I trzebaby wszystko zawalić, wszystko unicestwić, aby móc powiedzieć, że Go nie ma.

On jest i stanowi we wszechświecie harmonję.

Harmonizm! Bóg we wszechświecie, jak niezrównany mistrz na instrumencie gra przepotężną, przecudowną melodję życia. Są w tej melodji pewnie i dyssonanse, ale nie bezmyślne, bezsensowne, owszem właśnie głęboko przemyślane. Uczeni we wszechświecie wciąż odkrywają antynomie, zjawiska jakby przeciwprawne; odkrywają prawa, które zdają się obalać wszelki ustalony potąd porządek a mimo to wszechświat się nie wali, bo te dyssonanse są jakoby podparciem, jakoby podnietą prawa, są jakoby obcą dawką, a jednak potrzebną organizmowi.

Organy i mistrz! Któż stworzył jedno i drugie? Zostawmy to nauce albo raczej dobie nieśmiertelności, która rozwiąże tę tajemnicę. Tu już jedno widzimy: **obaj razem stanowią zespół cudowny w najdrobniejszych szczegółach** i w największym zcaleniu, wszechświecie.

Nie walczy jedno przeciw drugiemu, świat się poddaje Mistrzowi a Mistrz mądrze używa instrumentu i tak płynie melodja życia; huczy i szaleje jak orkan, pieści ucho najsubtelniejszym odcieniem; zagrzmi nieraz dyssonansem dotkliwym, ale go wnet rozwiąże i pełnię utworu tem więcej uwydatni.

Nie płakać nam, ale podziwiać i radować się, że do tego zespołu i my należymy i tworzymy z nim jedność.

W obrębie tego zespołu przypatrzymy się teraz bliżej dwom czynnikom, które nas najbliżej obchodzą: Bogu i człowiekowi.

O BOGU.

Mówiliśmy poprzednio o Bogu jako świadomości, Duchu wszechświata. Jego myśl przenika i przekształca wszystko; myśl tę, żyjącą w każdej najmniejszej cząsteczce a będącą najpotężniejszą siłą a więc czemś materjalnym nazwaliśmy obrazowo theonem. Bożej myśli zawdzięczają byt przedewsz. te stworzenia, które nam są najbliżej budową i świadomością swoją: rośliny i zwierzęta. Z Bożej myśli przedewsz. my ludzie jesteśmy; **Bóg jest Ojcem człowieka.**

Dążeniem naszym religijnym jest też poznanie Boga, o ile ono wogóle jest osiągalne.

Ap. Paweł znalazł w Atenach ołtarz z napisem: „Nieznajomemu Bogu" Acta 17, 23. I w gruncie rzeczy Bóg pozostał dla nas otoczony nieprzebitą tajemnicą, tak że i nasza nazwa dla Niego pozostała potąd: Nieznajomy Bóg.

A jednak człowiek przed tą zasłoną tajemnicy nie może się zatrzymać, ale zawsze będzie dążył do tego, by jej uchylić i wniknąć w istotę wszechrzeczy. Wszystkie religje a po części i filozoficzne systemy zajmują się pytaniem o istocie Boga a każde z nich to pytanie stara się rozwiązać na swój sposób. Sądzę, że jedynym możliwym sposobem **częściowego poznania Boga jest przypatrywanie się jego warsztatowi pracy tj. przyrodzie** Obserwując sam warsztat tej pracy,

pracę samą i jej wyniki, mogę wnioskować, jakim jest sam pracownik. Tu nauka ściśle doświadczalna ma największe pole działania i religja musi jej tu zostawić najzupełniejszą swobodę i do wyników badań się dostosować, jak to wyżej już wyłuszczyłem.

Religja nie potrzebuje się tu niczego obawiać. Prawieże niema mężów nauki, którzyby nie przypuszczali, że istnieje jakaś wyższa siła, której mądrość wszędzie widzieć możemy. Nauka może religję tylko oczyścić z najróżniejszych zabobonów i przesądów o Bogu, których pełno widzimy w religjach pierwotnych a gdzie one są, tam o prawdziwym poznaniu Boga nie może być mowy.

W ośrodku przyrody stoi człowiek jako najprzedniejsze stworzenie Boże. Jeśli przez przyrodę poznać możemy Boga, to przedewszystkiem możemy do tego dojść przez poznanie człowieka i jego ducha.

W 1. liście Jana 4, 17 czytamy słowa: „Jaki Bóg jest, tacy i my jesteśmy na tym świecie". Oczywiście ap. Jan rozumie tu przez „my" ideał człowieka. I znowu nauka badająca duchowe życie człowieka, tzw. psychologja oddać nam tu może nieocenione przysługi. Przedewszystkiem jednak człowiek musi zgłębić samego siebie, poświęcać swemu życiu wewnętrznemu jak najwięcej uwagi, szukać tu właśnie Boga. Wzorem jest nam tu Chrystus, który pierwszy wyrzekł te wielkie słowa: „Jestem w Ojcu a Ojciec jest we mnie" Jan 14 w. 10. **Bóg jest w człowieku!**

Póki człowiek nie dojdzie do tej pewności, że Bóg jest w nim, póty nie ma mowy o prawdziwej religji. „Kto mieszka w miłości, mieszka w Bogu a Bóg w nim", mówi 1. Jan 4, 16.

Badanie przyrody, badanie człowieka to droga do poznania Boga. Cóż moglibyśmy, opierając się na tych dwóch filarach, powiedzieć o Bogu oprócz tego, cośmy już powiedzieli.

Nauka mówi, że we wszechświecie wszystko jedno od drugiego jest zależne, czyli że wszechświat stanowi jedną całość. Można zatem powiedzieć, że i świadomość wszechświata tj. **Bóg jest jeden**.

Długo błądziła myśl religijna, zanim doszła do tego przekonania, do tej myśli, najpotężniejszej ze wszystkich myśli. Ale niestety potąd żadna oficjalna religja tej jedynie najracjo-

nalniejszej myśli nie przeprowadziła konsekwentnie w swym programie i w swym życiu.

Hinduscy bramini podobno jeden drugiemu przekazują tę największą tajemnicę, że jeden jest Bóg, ale strzegą jej zazdrośnie dla siebie a lud grzęźnie w bałwochwalstwie.

W Egipcie podobno kasta kapłanów tę samą miała świadomość, ale ludowi kazała uwielbiać przedewszystkiem zwierzęta.

W Izraelu wiara w jednego Boga powoli się kształtowała z wiary w Jahwe'go jako ściśle narodowego żydowskiego Boga, obok którego istnieli inni bogowie dla innych narodów. Powoli wytworzyła się wiara ściśle monotheistyczna, jako ją widzimy u największych proroków i psalmisty.

Później jednak podczas niewoli babilońskiej zetknięcie się z religją irańską wprowadza obok jedynego Boga wiarę w różne złe duchy z belzebulem, **szatanem** na czele, który nieraz psoci i przeszkadza Bogu; ten wpływ obcej duchem religji bardzo poważnie ogranicza pierwotny monotheizm żydowski.

W tej postaci przejął monotheizm i Chrystus i takim go też przekazał chrześcijaństwu, jednak z wiarą, że z bliskim już nastaniem królestwa Bożego i szatan będzie unieszkodliwiony i rzucony w przepaść. Te wierzenia obficie znajdujemy w pierwszym chrześcijaństwie. W średniowieczu jednak wiara w szatana tak się rozwielmożniła, że wprost przyćmiła całe chrześcijaństwo, które stało się raczej trwogą przed szatanem niż wiarą w Boga. Kościół chrześcijański monotheizm jeszcze dalej ograniczył przez **dogmat o Trójcy świętej**, ucząc, że Chrystus jest Bogiem, równym Bogu Ojcu i że Duch św. jest trzecią osobą boską. **Chrystus sam siebie nigdy nie czynił równym Bogu.** Jeśli mówi: „Ja i Ojciec jedno jesteśmy" Jan 10, 30, to rozumie przez to najściślejszą społeczność z Bogiem. Siebie uważa tylko za wysłannika Bożego. Nazywał się i to rzadko Synem Bożym, ale tylko w tym znaczeniu, jak każdy człowiek wierzący jest Bożym synem. Bardzo charakterystyczne jest tu miejsce Jan 10, 33 n, gdzie Jezus powołuje się na Ps. 82 „Bogowie jesteście a **synami Najwyższego wszyscy** jesteście" i w tym a nie innym znaczeniu Chrystus uważa się za syna Bożego.

Na niejednym miejscu zaznacza wyższość Boga. Nie pozwala się nazywać dobrym, przypisując ten przymiot tylko

Bogu, Mat. 19, 17. Mówi, że o nadejściu królestwa Bożego ani on nic nie wie, tylko sam Ojciec, Marek 13, 32 i t. p.

I apostołowie nie uważali Chrystusa za Boga, ale za Pana swojego i tego tytułu stale o Chrystusie używają w przeciwstawieniu do tytułu i pojęcia „Bóg". W N. Test. znajdujemy ściśle biorąc tylko 4 miejsca, któreby można przytoczyć jako dowód, że N. Test. Chrystusa uważa za Boga:

1) Ewang. Jana 1, 1 „Bogiem było ono Słowo — a to Słowo ciałem się stało", w. 14. Ewangelista, nie apostoł Jan, ale inny Jan, pochodzący z greckich kół, używa tu wyrażenia filozofji greckiej, pogańskiej, aby pojęcie Chrystusa uczynić przystępnym filozofom greckim. Grecy mieli pełno wiary w ludzi, którzy się stawali bogami a ich filozofja nawet pojęcia filozoficzne ubóstwia, czyni bogami, ale oczywiście nie ma mowy, by to rzeczywiście byli bogowie. Tak i tu grecko-chrześcijański filozof Jan ubóstwia, czyni Bogiem filozoficzne pojęcie Logos'u = Słowa, ale nie oznacza to rzeczywistości, jak ją sam Chrystus i apostołowie pojmowali. Ewangelista Jan pisał zresztą ewangelję swą 100 lat po Chrystusie, kiedy czystość pierwotnej nauki Chrystusowej zaczynała się już zniekształcać w świecie greckim.

2) Tomasz wątpiący, zobaczywszy Chrystusa po zmartwychwstaniu miał zawołać: „Panie mój i Boże mój!" Jan 20, 28. Jest to okrzyk w ekstazie, prawie że w przestrachu, który nie może być uważany za dowód, że uczniowie uważali Chrystusa za Boga. Miejsce to ma tylko Jan.

3) Rzym. 9 w. 5 „Z których (Izraelitów) poszedł Chrystus ile według ciała, który jest nad wszystkimi. Bóg błogosławion (niech będzie) na wieki. Amen. Objaśniający między wyrazem wszystkimi a Bóg kładę kropkę, co zupełnie zmienia sens, myśl zdania. Według tego Chrystus uważany jest tu za pierwszego między Izraelem a koniec wiersza jest tzw. doksologją, wyrazem uwielbienia Boga, jako je często znajdujemy w biblji; tem więcej że ap. Paweł stale Chrystusa nazywa tylko Panem a nie Bogiem, owszem udowadnia, że Chrystus jest drugim człowiekiem; pierwszym był Adam, ale upadł, ale drugim Chrystus, przygotowany przez Boga w niebiesiech, zanim został zesłany na ziemię „wtóry człowiek sam Pan (ale nie Bóg) z nieba" 1 Kor. 15, 48. Tu ap. Paweł idzie za ówczesnymi apokaliptycznymi wierzeniami, że Zbawiciel jest trzy-

many przez Boga w pogotowiu w niebiesiech, aby jako Syn Człowieczy w obłokach zejść w odpowiednim czasie na ziemię.

4) Tak należy też rozumieć czwarte miejsce, Filip 2 6—11. „Chrystus, będąc w kształcie Bożym (t. zn. w niebie jako Syn Człowieczy przed przyjściem na świat), nie poczytywał sobie tego za drapiestwo (za uzurpację, niesłuszne przywłaszczenie) równym być Bogu". Ap. Paweł widocznie fałszywie tu rozumie słowa Chrystusowe: „Ja i Ojciec jedno jesteśmy", których nie można na podstawie innych słów Chrystusa brać jako równość Bogu, ale ścisłą społeczność z Bogiem.

Ap. Paweł wnet też się reflektuje i na końcu tego ustępu tak mówi: „A wszelki język aby wyznawał, że Jezus Chrystus jest Panem ku chwale Boga Ojca". Jest tu więc wyraźnie rozróżnione i powiedziane, że Chrystus jest Panem ludzi ku chwale Boga Ojca.

Że ap. Paweł nie równał Chrystusa Bogu, jasno widać to z takich miejsc jak 1 Kor. 11, 3, „każdego męża głową jest Chrystus a głową niewiasty mąż a głową Chrystusa Bóg" albo 1 Kor. 15, 26 „A gdy mu (Chrystusowi) wszystkie rzeczy poddane będą, tedyć też i sam Syn będzie poddany Temu, który mu poddał wszystkie rzeczy, aby był Bóg wszystkiem we wszystkich". Jest tu więc najwyraźniej zaznaczone poddanie Chrystusa Bogu, jego niższość a nie równość Bogu.

Wszystkie listy apostolskie w tymsamym duchu i zrozumieniu są pisane. Apostołowie jako Żydzi zbyt byli wychowani w duchu monotheistycznym, aby Chrystusa wprost mogli nazwać Bogiem.

Dopiero na soborze nicejskim w r. 325 uznano boskość Chrystusa — w trzysta lat po Chrystusie! Na soborze znaczna większość była zrazu przeciwko temu dogmatowi, dopiero nacisk cesarza Konstantyna wymusił uchwalenie tego dogmatu, ale nigdy w kościele chrześcijańskim nie brakło sprzeciwu przeciw temu dogmatowi. Większość długo go nie przyjmowała, aż dopiero z biegiem czasu przez Rzym została zmuszona przyjąć ten dogmat, sprzeciwiający się czystej wierze w jednego Boga.

W 60 lat później tj. w r. 381 na synodzie w Konstantynopolu uchwalono dogmat, że i **Duch św.** jest odrębną osobą boską; w ten sposób powstała pełna wiara w Trójcę św. — trzech bogów, których jednak, aby ratować monotheizm, ogłoszono

dogmatycznie za jedność, mimo że prosty rachunek mówi, że 3 to nie 1, a 1 to nie trzy.

Wiarę w Ducha Bożego znajdujemy już w St. Testamencie, skąd przejął ją też Chrystus, przedstawiający sobie Boga, jak i jego współcześni, jako osobę podobną do człowieka mieszkającą w niebiesiech. O niebiosach dzisiejszych, że się tak wyrażę, wszechświatowych nie miano pojęcia; błękit wyobrażano sobie jako ścianę a gwiazdy jako ozdobę tej ściany. Na niejednym miejscu czytamy w biblji o spadaniu gwiazd na ziemię i mimo to ziemia istnieje nadal. Dziś wiemy, że gdyby jedna taka gwiazda na ziemię spadła, to byłby koniec ziemi. Chrystus i jego współcześni o tem nie wiedzieli i wyobrażali sobie, że za ścianą błękitu powietrza ponad gwiazdami jest cudowne mieszkanie, gdzie przebywa osoba Boża. Ponieważ zaś działalność Bożą, wszędzie widziano, więc wyobrażano sobie, że Bóg **ducha** swojego wysyła i ten pracuje w przyrodzie i w człowieku.

Takie pojęcia o Bogu i o duchu Bożym miano i w pierwszym kościele chrześcijańskim i stąd uchwalono dogmat, że duch Boży jest również osobą, objawiającą się przeważnie w postaci gołębicy.

Czysta myśl monotheistyczna mówi nam, że może być tylko jeden Bóg, a ten jest Duchem przenikającym wszystko; nie trzeba więc dogmatu o osobnym, jeszcze Duchu św. jako trzeciej osobie bóstwa.

Nie dość na tem, wiele kościołów chrześcijańskich jeszcze dalej rozwadniało, że tak rzekę, myśl monotheistyczną. Cześć oddawana Marji równa się czci oddawanej Chrystusowi, ba nieraz tę ostatnią w wierze ludu wprost przyćmiewa. Obok tego religijna cześć i modlitwy do różnych świętych, z których każdy ma jakąć specjalną funkcję, religijna cześć obrazów, relikwij, pewnych miejsc odpustowych, rozpanoszony zabobon i kult cudactw uzupełnia ten przesmutny obraz wiary ludu, dalekiej od monotheizmu, wiary w jedynego Boga, o którym i Chrystus mówi za St. Test.; „Panu Bogu twemu kłaniać się będziesz i jemu samemu służyć będziesz", Mat. 4, 10 a 2 Mojż. 20, 1—5 w dziesięcioro przykazań wyraźnie mówi, jako drugie przykazanie: „Nie czyń sobie obrazu rytego ani żadnego podobieństwa rzeczy; nie będziesz się im kłaniał". Przykazanie to jednak niektóre kościoły usunęły, by im ono nie

przeszkadzało w ich religijnej czci obrazów a zato potem dziesiąte przykazanie podzieliły na dwa przykazania (9 i 10), aby znowu uzyskać pełną liczbę dziesięciu przykazań.

Z ewangelickich kościołów i luterski również poszedł tą drogą, tylko kościoły reformowane przywróciły pierwotne brzmienie dzięsięcioro przykazań Bożych, jak one były dane przez Mojżesza, dla którego zgorszeniem największym była cześć religijna oddawana obrazom i posągom w pogańskich religjach.

Czysta wiara w jedynego Boga istotnie też nie może się pogodzić z religijną czcią ludzi i obrazów itp. objawami.

Nowoczesny człowiek oczywiście drugiego przykazania Mojżeszowego nie obróci przeciw sztuce, która odtwarza piękno natury; nie będzie też miał nic przeciwko temu, by i miejsca nabożeństw upiększać odpowiednio przez dzieła sztuki, aby podnosić nastrój religijny, z tym warunkiem jednak, by z miejsc nabożeństw nie robić znów muzeów, odwracających a nie skupiających myśli nabożnych.

Ale nigdy religijny monotheista nie zgodzi się na religijną cześć oddawaną dziełom sztuki; tu drugie przykazanie Mojż. zachowa zawsze swą ważność.

Niepomiernie byłem zdziwiony, słuchając niedawno odczytu wybitnego uczonego, który potępiał drugie przykazanie Mojż. i z relig. punktu widzenia i z zadowoleniem podkreślał zdanie pewnego ewangelickiego uczonego, który się wyraził, że prawdziwie Boże przykazanie brzmi: „Będziesz sobie czynił obraz i będziesz się mu kłaniał!" Zrozumiałem to stanowisko wyznaniem owego uczonego, że jako dziecię uczono go modlić się do obrazu pewnej Madonny...

Monotheizm to w każdym razie nie jest i z pewnością Chrystus na taki objaw nie byłby się zgodził, jak ów uczony przypuszczał, że Chrystus nie był tu takim rygorystą jak judejscy rel. fanatycy i że w galilejskich synagogach odkryto podobieństwa tworów natury a Chrystus przeciw rel. czci obrazów nigdzie nie występuje. Nie występuje, bo ani jednemu Żydowi za Jego czasów na myśl nie przyszło, by rel. cześć oddawać obrazowi.

Monotheizm bezwarunkowo nie zgodzi się na rel. cześć dzieł sztuki, choć będzie je podziwiał i tę sztukę jako wyrazicielkę ducha ludzkiego, jak najwięcej popierał.

Mówiąc pow. o żydowstwie, bynajmniej nie twierdzę, by tam był pełny i czysty monotheizm. W ortodoks. dzisiejszym żydowstwie np. dużo jest zabobonu, choć w innej postaci; sporo też jest wiary w duchy złe, przeciwne Bogu.

Najczystszą monotheistyczną oficjalną religją dzisiejszą jest może mahometanizm z naczelnym swym hasłem: **Jeden jest Bóg!** Ale i tam wiara w złe duchy wielką odgrywa rolę, ograniczając monotheizm. W Koranie szatan b. często jest wspominany.

Czysty monotheizm spotykamy tylko u nielicznej garstki ludzi myślących a przytem religijnych.

Zachował sobie Bóg swoich 7000, którzy się nie kłaniają baalowi i bogom cudzym, którzy wyzbyli się zabobonu a przy tem mają rel. życie.

W wierze w jednego Boga, Ducha, Świadomość wszechświata, Myśl, źródło wszelkiego życia leży tak potężna moc prewdy, że z czasem zwyciężyć ona musi wszystkie umysły i stanie się wiarą powszechną, zadowalającą wszechstronnie potrzeby ducha ludzkiego.

Cóż dalej o tym Bogu jedynym jeszcze wnioskować możemy?

Przedewsz. to, że musi On być osobowoślcą a raczej **wszechosobowością.** Ten, który stworzył osobowość człowieka, sam nie miałby jej mieć, nie miałby mieć poczucia swego Ja?! **„Jestem, który jestem“ Jahwe**, tak jest nazwanv Bóg, 2 Mojż. 3, 14. Oczywiście wszechosobowość Boża musi być temsamem nieograniczona co do czasu, przestrzeni i jakiegokolwiek wymiaru. Zresztą i osobowość człowieka ma podstawy do tej nieograniczoności, jak to później bliżej wykażemy a teraz tylko zaznaczymy, że człowiek coraz więcej zwycięża przestrzeń i czas, umysłem swym wznosi się już ponad te pojęcia a jestestwem swym też stanie nad nimi (duch nieśmiertelny).

Jasną jest rzeczą, że przy tym pojęciu Boga, jakośmy je właśnie określili, nie możemy istocie Boga przypisywać żadnych ograniczeń, chyba takich, które same przez się wypływają z Jego woli jak np. wolna wola człowieka, o czem później. Bóg poprostu sam nie chciał mieć bezwolnego człowieka, marjonetkę, lalkę bezwolną, dlatego dał mu w miarę potrzeby wolną wolę i ograniczył tu wszechmoc swoją; zresztą nie mo-

żemy mówić o absolutnie tylko o względnie wolnej woli człowieka.

Pewnego rodzaju ograniczeniem woli Bożej mógłby się wydawać opór (grubej) materji, w istocie swej bezwładnej, w której życie przebija się z niesłychanym nieraz trudem, wśród bolów ciężkich, ba nieraz zdawałoby się załamań i katastrof strasznych.

Bliżej o tem będzie mowa w ustępie o cierpieniu, tu już tylko tyle zaznaczyć chcemy, że nauka dobrze wie o tem, iż bez oporu niema ruchu, nie ma życia, nie ma postępu. To pojęcie konieczności oporu jest nieodstępne od pojęcia wszechświata, jest jego koniecznością, podstawą.

Widzimy, że Bóg inaczej rządzić nie może jak przeciwieństwami. Wszędzie te przeciwieństwa, napięcia, plusy, minusy widzimy, ale w gruncie rzeczy nie są one sprzecznościami, ale siłami, dążącymi do wyładowania, wykonującymi pracę.

Bóg jest istotą **pracującą**. „Ojciec mój pracuje aż potąd" mówi Jezus, Jan 5, 17.

Wręcz odmiennie przedstawia sobie Boga **Budda.** Widzi on w Bogu niewzruszony, niezamącony, rzec można kamienny spokój. Jak góry Himalaja niebotycznymi szczytami swymi wznoszą się ponad doliny pełne gwaru, ruchu, niepokoju a same są wielkie, niedostępne, spokojne kamienne kolosy w majestacie swoim, tak sobie Budda wyobraża Boga jako kamienny bezwzględny spokój, na który znajduje właściwy wyraz „nirwanna", nicość, bezwzględna absolutna próżnia. Takim Bóg się widział wielkiemu mędrcowi, dumającemu u ich stóp. Bóg wydawał slę Buddzie tak dalece ideałem spokoju, że nie odważał się Bogu przypisywać jakikolwiek przymiot, bo każdy taki przymiot mógł naruszyć równowagę spokoju Boga. Gdyby powiedział np. Bóg jest wszechmocny, toby temsamem Bogu już musiał przypisać jakąś czynność i byłoby to naruszeniem bezwzględnego spokoju Boga.

Budda nie wiedział jeszcze, że nawet w tym kamieniu, z którego się składają niebotyczne szczyty gór, tak spokojne i niewzruszone na pozór, że i tam wre życie, choć go zwykłe nasze oczy niewidzą.

Sławne jest to buddyjskie: neti, neti — nie taki, nie taki. Bóg nie jest ani taki ani taki. W rezultacie musiał Budda dojść do mniemania, że Bóg jest nijaki i stracić wogole Boga

z oczu. Postąpił on tak, jakby z róży poprostu obrywał płatek po płatku i przy każdym oberwanym płatku mówił; neti, neti, to nie róża, aż oberwie całą różę i powie: niema nic!

I w rzeczywistości też pierwotny Buddyzm jest zaprzeczeniem Boga i jako religja nie byłby się mógł utrzymać, aż ze samego Buddy zrobiono boga i wtedy umożliwiono powstanie religji buddyjskiej, która potem stworzyła innych jeszcze bogów i dziś jest politeizmem, wiarą we wielu bogów, ale wprost naprzekór samemu Buddzie, który w ideale spokoju, nirwannie utopił poprostu samego Boga.

W związku z takim pojęciem Boga Budda odpowiednio pojmuje i życie człowieka, żądając zaprzeczenia jego, przekreślenia, umartwienia, tak że buddyzm w istocie swojej jest niesłychanym cmentarzyskiem życia; ideałem jego jest nie życie, jak u Chrystusa, ale cmentarz, wyplenienie życia.

Ten ideał spokoju jest charakterystyczny wogóle dla wschodu. Celem człowieka wschodu jest spokój. Nieraz na wschodzie widziałem ludzi siedzących jakby w odrętwieniu, zamyśleniu jakimś, jakby ich nic a nic nie obchodził ten gwar i zgiełk życia, kipiącego dookoła nich. Dużo z tego dostało się i do chrześcijańskich kościołów, zwłaszcza w dawniejszych czasach. Mnichostwo jest i dziś zabytkiem wschodu w chrześcijańskim kościele.

Chrystus sam był zupełnie innego pokroju. Boga pojmował jako Pracownika, a ludzi uważał za współpracowników Bożych. „Ktobykolwiek **czynił** i uczył, ten będzie wielkim nazwany w królestwie niebieskim“, „ktobykolwiek tylko uczył, najmniejszym będzie nazwany w król. nieb.“ Mat. 5, 19. „Idź i ty czyń także“, podobieństwo o miłosiernym Samarytaninie, Łuk. 10. „Nie ten, który mi mówi: Panie! Panie! wnijdzie do królestwa niebieskiego, ale który czyni wolę Ojca mego“ Mat. 7, 21. Z ideału spokoju bierze Chrystus tylko to, co koniecznie jest potrzebne i uczy: „Nie troszczcie się o żywot wasz, o odzienie wasze, o pokarm wasz...” tzn. nie zamącajcie duszy waszej niepotrzebnym, nadmiernym niepokojem.

Ale zasadniczo u Chrystusa najwyższą rzeczą jest czyn, praca, poświęcenie się, spalanie się w ofierze dla drugich. Pojęcie najwyższej swej ofiary również na tej drodze on osiągnął, uważając Boga za pracownika a człowieka za Jego współpracownika.

Chrystus nie będzie jak Budda obrywał z róży płatka po płatku i mówił neti, neti, aż oberwie różę i powie: nie ma nic, ale przy każdym płatku róży będzie powiadać: to jest róża, to jest róża... przy każdym objawie życia i myśli i świadomości powtarza: to jest Bóg, to jest Bóg... I nie wystarczy mu jeden kwiat róży, bierze ich całe pęki; zastanawia się: cóż to jest róża? I odpowie: róża, to nietylko to, co mam w ręku i każdy płatek jej, róża, to wszystkie róże, które są na świecie a nietylko te, które są, ale i te, które były i które będą — to wszystko róże i dopiero w takim pojęciu mamy **pełnię** róży. Oczywiście takiej róży nigdy okiem nie ogarniemy, ale pojęciem ją określimy. Takci jest i z pojęciem Boga. **Bóg to najzupełniejsza pełnia wszystkiego** a wykresem Jego — nieskończonej wielkości koło, gdzie każdy punkt jest w środku, jest centrum, dookoła którego się wszystko toczy. Niema w Bogu nic mniej lub więcej wielkiego, wszystko u Niego jest wielkie i wspaniałe.

Nie jest sam, choć jest Jeden, bo istota Jego, że tak rzekę, na wewnątrz jest skierowana i tu się wyżywa w Myśli, która jest pełnią Jego Uczucia; Jego że tak rzekę szczęścia, pełnią Jego wszechmocnej Woli.

Kto lubi myśleć, ten wie, jakim szczęściem jest myśl, gdy się w człowieku poczyna i rośnie i zanika i nowa przychodzi i wciąż idą te odżywcze fale, w których się kąpie duch jak się ciało kąpie we falach i bierze stąd zdrowie i siłę i zadowolenie.

Bóg jest pełnią wszystkiego. W nim jest i to, nie gorszcie się, gdy rzekę, co mylnie nazywamy szatanem, pokusicielem. On zesyła i doświadczenia i próby, w Nim jest i zniszczenie, gdzie go trzeba w przyrodzie i dziejach człowieka.

Takiemu Jezajaszowi ze szczytów ducha otwiera się na chwilę widok na bezkres Boży i prorokuje: „Nie masz żadnego oprócz mnie, Jam Pan, a niemasz żadnego więcej. Który czynię światłość i stwarzam ciemności; sprawuję pokój i stwarzam złe. (Właściwsze tłumaczenie: szczęście i nieszczęście stwarzam). Ja Pan czynię to wszystko...

Biada temu, który się spiera ze stworzycielem swoim, będąc skorupą, jako i inne skorupy gliniane. Izali glina rzecze garncarzowi swemu? Cóż czynisz? Robota twoja zaprawdę nikczemna jest. Biada temu, który mówi ojcu: cóż płodzisz? a niewieście: cóż porodzisz, Jez. 45, 5—10.

Czyż jednak wobec tego Bóg jest tyranem, któremu wszystko wolno? Który postępuje według jakiegobądź widzimisię? Tak doprawdy sądzili niektórzy, widząc cierpienie, że Bóg jest jakby okrutnikiem, bawiącym się ze stworzeniem swym jak kot z myszą.

Jest to najfałszywsze i najnieszczęśniejsze pojęcie.

Bóg jest prawem najwyższym i najlepszym, bo najmędrszym a rozpacz i zwątpienie jest tylko tam, gdzie człowiek przeciw temu prawu wierzga i rani tem i ciało i duszę swoją tak dalece, że umysł jego poczyna bluźnić. Tu człowiek i tylko człowiek stwarza sprzeczności i poczyna nadużywać najwspanialszego Bożego daru: wolnej woli swojej i nadużycie to się mści; ale przychodzi równowaga, otrzeźwienie, które pozwala wniknąć w prawo Boże i poddać się mu i zrozumieć, że w tem leży ukojenie.

Wspaniały jest Ps. 73 zwłaszcza koniec jego, gdzie cierpiący, „w którym zgorzkło serce a nerki cierpiały kłócie... zgłupiałem a nicem nie rozumiał, ale byłem przed tobą jako bydlę...", jednak się zdobywa na wielkie uczucie religijne: „Kogóżbym innego miał na niebie? I na ziemi oprócz ciebie w nikim innym upodobania nie mam. Bóg jest skałą serca mego i dziełem moim na wieki... Mnie najlepsza jest trzymać się Boga; przetóż pokładam w Panu panującym nadzieję swoją, abym opowiadał wszystkie sprawy jego".

Tu jest wzniesienie się człowieka nietylko ponad cierpienie, ale wzniesienie ducha do szczytów zrozumienia głębi Boga i zaczerpnięcie siły Bożej we własne jestestwo.

Tu już nie filozofujący zimno stoicyzm, który obojętnie okiem wschodu patrzeć uczy na wszystko i ze spokojem wszystko znosić każe, ale tu największy wysiłek, by uchwycić Boga mimo cierpienie i ból.

Do tego nie wystarczy zwykłe rozumowanie, tu koniecznem jest, by to rozumowanie przeniknęło całe jestestwo nasze i stało się naszym uczuciem i wolą, to jest miłość Boga; „Będziesz miłował Pana, Boga twego ze wszystkiego serca swego, ze wszystkiej duszy swojej, ze wszystkiej siły swojej!".

Przechodzimy do najwyższego pojęcia Boga jako miłości, zbliżającej się do naszej miłości.

Miłość powstać i utrzymać się może tylko tam, gdzie widzimy piękno, dobro i prawdę; te trzy pojęcia są nierozdzielne

od pojęcia prawdziwej miłości. Miłość bowiem chce stworzyć coś doskonałego, taki jest jej naturalny pęd i dlatego nie znosi ona brzydoty fizycznej, brzydoty wewnętrznej czyli złości i nie cierpi falsyfikatów, bo te do istoty nie należą, czyli wymaga szczerości i prawdy.

Jeśli mamy Boga umiłować, to musimy u Niego szukać i znaleść piękno, dobro i prawdę, ale wszystko to ogarnięte być musi wzajemną Jego miłością; dla miłości naszej konieczne jest pojęcie Boga-Miłości.

Bóg najwyższe Piękno! Czyjeż pióro, jakiż język to piękno potrafiłby wyrazić? Wyjdź z ciasnych ścian mieszkania swego, choćby najpiękniej urządzonego a wżyj się w wolną przyrodę. Oto las roztacza przed tobą całe piękno swej krasy; żadna świątynia godniej nie może służyć Bogu piękna, jak ta budowa z żywych dzieł Jego ręki. Sądzę, że ile tylko można to nabożeństwa powinno się odprawiać w wolnej przyrodzie. Rozumieli to lepiej, raczej instynktownie odczuwali dawni poganie. Dziś całe miasta w dzień wolny przenoszą się na łono przyrody — religja pozostała w martwych kościołach. Chrystus prawie zawsze uczył w wolnej przyrodzie i tam z upodobaniem się modlił.

Przyglądnij się łące kwitnącej! Co krok to inne cudo. „Przypatrzcie się liljom polnym... a ja wam powiadam, że ani Salomon we wszystkiej sławie swojej nie był tak przyodziany, jak jedna z nich“, Mat. 5, 29.

W góry, w góry miły bracie; tu swoboda czeka na cię!“ Swoboda ciała, swoboda ducha i uszlachetniający wpływ tego potężnego piękna, jakie bije z tych olbrzymów odwiecznych.

Spójrz wczesnym rankiem na morze purpury porannych zórz, nad którymi migoce jutrzenka złota a wita je świeżość poranka i świergot ptasząt!

Pij ukojenie u krynicy wieczornych blasków, co gasną powoli na nieboskłonie, oblewając obłoki w coraz to inny, coraz to cudowniejszy ton, — a z drugiej strony miesiąc się wyłania i śmieje się do ciebie swą pucułowatą, dobrą twarzą i otula wszystko swą tajemniczą poświatą, że człowiek chodzi w upojeniu jak urzeczony, jak we śnie.

Stań u stóp tego olbrzyma wód — morza; niech ci ono zahuczy i opryska cię pianą i grozą się wedrze aż do głębi twej istoty; niech ci się zaś rozśmieje i rozwdzięczy całą gamą

barw tęczy i obejmie w swe rzeźkie ramiona; niech cię zaprosi do swego łona, na tę drogę ze złota, co ściele na nim słońce u skłonu swego lub drogę srebrzystą, przez miesiąc dzierzganą na cicho szepczących falach...

A niebo, mirjadami gwiazd zasłane, co tak tajemniczo migocą w bezkresnych otchłaniach, czyż ci nie śpiewa tej wielkiej pieśni: „Niebiosa chwalą przedwiecznego Boga...“!

Ogarnij uwielbieniem ukochaną, piękną a miłą twarz człowieka i wdzięk idący z całej jego postaci, z ruchu każdego, nieraz niedbałego a jednak tak wdzięcznego. Pij słodycz z tych oczu przepięknych a zasłoni się ci cały świat a nowy odsłoni, jeszcze więcej czarowny, tajemniczy, uroczy i zaśpiewa twa dusza nową pieśń — a może ją uchwyci w melodję piękna i harmonję tonów.

Piękno, piękno, piękno jak złota nić biegnie przez cały wszechświat, objawia się w każdym jego drgnieniu. Pięknem jest Bóg. On samym jest pięknem, godnym uwielbienia, miłości, tem więcej, że nie jest to piękno zimne, wyniosłe, ale ciepłe, serdeczne — to piękno dobra. **Bóg jest dobry**, Mat. 19, 17.

Azaż człowiekowi nie jest wrodzone umiłowanie dobra, tak jak mu jest wrodzone umiłowanie piękna? Człowiek z natury swej miłuje dobre a złym zgorzkniałym staje się, gdy tego dobra dokoła siebie nie widzi.

Najlepszym dowodem tego jest sumienie człowieka, które jak magnes lgnie do dobrego i znajduje w nim zadowolenie a czuje się odepchnięte od złego, czuje wstręt do niego i doznaje wyrzutów, jeśli zostało skażone złem.

Mówi się, że sumienie jest nie czemś wrodzonym, ale czemś sztucznie nabytym, wyhodowanym. Aleć, gdyby naturalnych podstaw do niego nie było w człowieku, toby go człowiek nigdy nie potrafił wyhodować.

Sumienie jest poprostu instynktem etycznym człowieka. Z siłą instynktu człowiek lgnie do dobrego a wstręt czuje do złego. Pewnie, że instynkt ten można przytłumić i często się to dzieje, ale wybucha on jednak z żywiołową nieraz siłą.

Ten, kto dał sumienie człowiekowi, ten etyczny, dobry instynkt, sam nie miałby być najwyższym Dobrem?!

Że może Bóg być tylko **prawdą**, to jest jasną rzeczą, boć przecież jest istotą wszystkiego a prawda jest zgłębieniem się w istotę rzeczy i poznaniem jej.

Tę dążność posiada też człowiek sam i to tak dalece, że mimo pierwszego poznania kilkakrotnie będzie wątpił i dalej badał, żeby się jednak najoczywiściej przekonać o prawdzie, o istocie rzeczy.

Nie ma u Boga żadnych falsyfikatów, wszystko jest naturą, bo sam jest istotą przyrody.

Tak mamy u Boga zespolenie tych trzech najważniejszych postulatów, wymagań miłości, zespolenie piękna, dobra i prawdy. Ten ideał widzieli już Grecy i wyrazili go w sławnych słowach: kalos, k'agathos = piękny i dobry.

Ale czy **Bóg jest miłością?** Tak pyta się miłujące serce, bo ono żąda wzajemności.

Przez miłość i do miłości człowiek jest stworzony i nią wychowany! Od kolebki aż do ostatnich chwil na łożu konania szuka dookoła siebie miłujących serc. Tylko brak miłości rodzi niezadowolenie, ba nienawiść i złość. Człowiek, który ma co miłować, znajdzie w tem przeznaczenie swoje i zapomni o nienawiści. Ten kto nie ma co kochoć, staje się nieznośnym dla całego otoczenia, bo mu brak tego, do czego istota jego jest stworzona.

Ten, który stworzył miłujące serce, sam miałby nie być miłością? Mówi psalmista: „Ten który szczepił ucho, miałby nie słyszeć? Ten który ukształtował oko, izali nie widzi?" B. 94, 9.

A ponieważ miłość jest tym najszczęśliwszym uczuciem, najpełniejszym akordem ludzkiej istoty, więc musi też być najpełniejszą harmonją wszechświata, najgłębszą treścią Boga.

Jest dużo takich, którzy we wszechświecie widzą tylko bezczułą potęgę, ba beznadziejną pustkę — ich serce nie bije w takt miłości! Niech miłość w nim zadrga a odrazu ożywi, napełni się im, rozkrasi i prześwietli wszechświat. I ciało ludzkie badać można tylko szkiełkiem i będzie się tam widziało tylko zespół chemicznych sił — ale trzeba umieć zaglądnąć okiem w oko, sercem ogarnąć serce a wtedy to, co było przedtem tylko chemicznym zespołem sił, teraz będzie opromienione miłością.

Bóg jest miłością! Zrozumienie tego wprost ciśnie się nam do świadomości, gdy się przypatrzymy bliżej samym sobie.

Azaż ten, który człowieka stworzył i tak hojnymi darami go obsypał, nie powodował się przytem uczuciem miłości?!

Psalmista tak mówi: „Cóż jest człowiek, iż nań pamiętasz? Mało mniejszym uczyniłeś go od aniołów, chwałą i czcią ukoronowałeś go. Dałeś mu opanować sprawy rąk swoich, wszystkoś poddał pod nogi jego.

Panie, Panie nasz! jako zacne jest imię twoje po wszystkiej ziemi!" Ps. 8.

Nawet cierpienie człowieka nie przyćmiewa miłości Bożej, bo jest ono z jednej strony w ręku Bożym środkiem wychowawczym człowieka a z drugiej wypływem wolnej woli człowieka, która przecież jest najważniejszym darem Bożym w stosunku do nas. Cierpienie to niepomiernie się zresztą zmniejsza w miarę poznania woli Bożej, wyrażającej się w prawach natury i poddanie się tym prawom i wykorzystanie ich z pomocą rozumu ku własnemu dobru. Bez cierpienia zresztą nie byłoby i radości, bo człowiek radość odczuwać może tylko na tle cierpienia; gdyby zawsze miała być tylko radość, toby ją człowiek przestał odczuwać jako szczęście, takby się do niej przyzwyczaił.

Miłość Boża jednak nie może być miłością ślepą, ale rozumną, a że rozciągniętą na wszystko, więc **sprawiedliwą** wobec wszystkiego.

Poznanie Boga jako miłości zawdzięczamy przedewszystkiem intuicji religijnej Chrystusa. Podczas gdy Stary Zakon rozumiał Boga przedewszystkiem jako Prawo najwyższe, które bezwzględnie musi być strzeżone a które mści się aż do 3. i 4. pokolenia, to Chrystus, nie przecząc temu bynajmniej, jako najwyższe prawo Boże określa właśnie miłość a Boga nazywa Ojcem; wykonywanie prawa miłości uważa za rzecz najwajważniejszą a przekroczenie tego prawa za grzech najcięższy, który najbardziej się mści na człowieku, pozbawiajac go źródła najszlachetniejszej radości. Wykonywanie przykazania miłości, wyrażone między innemi w miłosierdziu, zmazuje grzechy „Odpuszczono jej wiele grzechów, gdyż wiele umiłowała" Łuk. 7, 47.

„Miłosierdzia chcę a nie ofiary", tak już przeczuwa prorok Hozeasz 6, 6 a Chrystus uchwytuje to słowo i czyni je fundamentem swej nauki o Bogu i podstawą etyki chrześcijańskiej.

Wzajemne przebaczanie sobie w miłości jest u niego ro-

zumem najwyższym a przebaczenie tu na ziemi ma znaczenie i w niebiesiech, znosi dany grzech zupełnie „Cobyściekolwiek rozwiązali na ziemi, rozwiązane będzie i na niebie“ Mat. 18, 15—18.

„Odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. Na krzyżu modli się: „Ojcze odpuść im, boć nie wiedzą, co czynią“. A przed odejściem daje uczniom przykazanie: „Nowe przykazane daję wam, abyście się społecznie miłowali; po tem poznają wszyscy, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jedni ku drugim” Jan 13, 34.

Bóg dla Chrystusa jest słońcem miłości, którego promieniom ludzie wzajemnie muszą otworzyć swe serca i życie. Dlatego przyjmuje największe przykazania już Starego Zakonu: „Będziesz miłował Boga ze wszystkiego serca swego a bliźniego swego jak siebie samego”, 3 Moj. 19, 18, przyczem przez bliźniego rozumie nietylko żyda, jak St. Test., ale każdego. Jan, który najgłębiej wniknął w myśl Chrystusową tak woła: „Bóg jest miłością i kto mieszka w miłości, mieszka w Bogu a Bóg w nim” 1 Jana 4, 16.

W ten sposób Chrystus uzupełnia ostatecznie pojęcie Boga i daje nam w Nim obsolutną pełnię życia naturalnego i etycznego, podczas gdy np. buddyzm Boga pojmuje jako absolutną próżnię, jakiej zresztą nie ma nawet w przyrodzie, bo wszędzie przechodzą jakieś promienie i siły; do tej próżni, nirwanny według Buddy dochodzi człowiek przez wypróżnienie ze siebie wszelkiego życia.

Chrystus Boga poznaje jako absolutną pełnię, do której człowiek dochodzi przez wypełnienie życia w najwyższym napięciu miłości.

W buddyźmie jest zupełna negacja, zaprzeczenie życia, niemożliwe cmentarzysko a ideałem mnich umartwiający się i rozmyślający jak wytępić w sobie życie, u Chrystusa podkreślenie życia, które nawet ze śmiercią ciała się nie kończy w nirwannie, nicości, ale przechodzi w nowe, jeszcze wyższe życie w zjednoczeniu się człowieka z Bogiem.

Taka jest Chrystusowa droga do Boga, absolutnej pełni życia i jest sobie Chrystus tego świadom, że to jest jedyna droga: „Jamci jest ta droga i prawda i żywot; nikt nie przychodzi do Ojca, tylko przez mię“ Jan 14, 6.

Do tej drogi wołany jest człowiek, to jest jego przezna-

czenie. Mówi św. Augustyn: „Tu nos fecisti ad Te et inquietum est cor nostrum, donec requiescat in Te“ (Stworzyłeś nas, Boże, ku Sobie i niespokojne jest serce nasze, dopóki nie spocznie w Tobie).

Temu człowiekowi i jego przeznaczeniu chcemy się teraz bliżej przypatrzeć.

O CZŁOWIEKU.

Cóż o człowieku mówi doświadczalna nauka, coby bliżej interesować mogło religję?

Ciało człowieka jest niesłychanie skomplikowanym organizmem, ale posiadającym, jak każdy organizm, jakąś siłę jednoczącą wszystko. Co w budowie ciała ludzkiego w porównaniu z ciałem zwierząt uderza, to **nadzwyczajna wielkość mózgu**, co dla życia duchowego ma pierwszorzędne znaczenie bo przez mózg idą wszystkie procesy myślowe.

Drugim niezmiernie ważnym czynnikiem w organizmie jest **krew;** jest ona u człowieka o tyle zbliżona do krwi małp, że serum (przeźroczysta, wodnista ciecz, powstająca przy krzepnieniu krwi) małp nie zabija czerwonych ciałek krwi człowieka, jak to czyni serum krwi innych zwierząt, co wskazywałoby na to, że pomiędzy człowiekiem a małpą istnieje jednak coś wspólnego.

Krew ludzka ma 4 **odmiany**, idące tak daleko, że przy transfuzji krwi odmiany te się nie znoszą; czyżby to może wskazywało na to, że i źródłem pochodzenia człowieka jest nie jedna para, ale że człowiek na kilku miejscach, z różnych odmian jakiegoś praczłowieka czy małpoluda powstał? Czyż może nie wskazywałyby na to i rasy, nieraz tak odmienne, że ich skrzyżowania nie dają potomstwa?

Czyż odmiany krwi mają może i jakiś wpływ na tzw. **temperamenty**, których jest również **cztery**, a które z charakterem a więc z duchem człowieka w ścisłym stoją związku? Na to nauka potąd nie daje odpowiedzi.

Nauka doszła do przekonania, że człowiek istnieje na ziemi około pół miljona lat. Wiek ten głównie obliczają uczeni na podstawie warstw ziemi, w których znajdują się szczątki człowieka przedhistorycznego. Biblja oblicza **wiek człowieka** na ziemi na okrągłe 6000 lat, co absolutnie nie odpowiada rzeczywistości.

Na początku biblji znajdujemy nawet dwa zupełnie odrębne i niezgodne ze sobą podania o **stworzeniu człowieka** przez Boga. Na podstawie pierwszego podania z 1 r. Genezis Bóg najpierw stworzył wszystkie inne stworzenia a na końcu w dzień szósty stworzył człowieka i to mężczyznę i niewiastę odrazu. To podanie idzie do Genezis 2, 4.

Tu naraz znowu czytamy: „teć są zrodzenia niebios i ziemi" i następuje drugie opowiadanie o stworzeniu świata, zupełnie odrębne od poprzedniego przedstawienia tego stworzenia, gdyż według niego Bóg najpierw stwarza człowieka i to tylko Adama mężczyznę a po Adamie dopiero stwarza rośliny i sadzi z nich raj w Eden, (pierwsze opowiadanie wogóle o raju nic nie mówi). Potem stwarza zwierzęta i przyprowadza je do Adama a ten daje im imiona. Na koniec stwarza z żebra Adamowego Ewę.

W pierwszym z tych opowiadań Bóg, w hebrajskim tekście, nazwany jest Elohim a w drugim Jahwe i od tego te dwa różne opowiadania wzięły swą nazwę: Elohist i Jahwist.

Dopiero później te dwa opowiadania połączono w jedno, ale tak, że wyraźnie można te dwa źródła odróżnić. Idą one i dalej: według jednego pierwszym synem Adama jest Kain a potem Abel 4, 1, według drugiego pierwszym synem jest Set, 5, 3, itd.

Już dlatego nie można biblji brać za podstawę prawdy o stworzeniu człowieka, ponieważ ma ona dwa różne, wyłączające się nawzajem opowiadania. Któreż z nich mamy uznać za jedynie prawdziwe?

Dawniejsi chrz. dogmatycy nie mieli z tem kłopotu, bo nie przyszli na te różnice; odkrył je pewien lekarz, ale obecna nauka biblijna te rzeczy musiała przyjąć jako niewątpliwe, ale nie rozpowszechnia się tego między ludem, aby nie podkopywać wiary w nieomylność biblji. Prawda ta jednak powiedziana być musi, bo ją inni powiedzą. Nie ucierpi zresztą na tem wcale zasadnicza, religijna i zdrowa myśl, zawarta w obu opowiadaniach a mianowicie ta, że stwórcą człowieka jest **Bóg**, On jest **Ojcem człowieka**, człowiek jest na **Jego wyobrażenie** stworzony. To jest najistotniejsza i najgłębsza treść jednego i drugiego opowiadania zarówno.

I istotnie jeśli przypuścimy, że Bóg jest życiem, inteligencją wszechświata, jego Świadomością, która wszystkiem kieruje, to nie możemy inaczej sądzić ,jako tak, że Bóg świa-

domie dążył do stworzenia przedewsz. człowieka, który ze wszystkich nam znanych ziemskich stworzeń bezsprzecznie przedstawia istotę najinteligentniejszą, myślącą, świadomą siebie samej. Człowiek zawsze musiał być w myśli Bożej, i o tyle istniał zawsze; dopiero kiedy przyszedł czas odpowiedni dla życia ciała, w którym ta Boża myśl zrealizować, urzeczywistnić się mogła, wtedy powstał człowiek realny. A powstać mógł dopiero wtedy, kiedy życie roślinne a potem zwierzęce, z którego zresztą człowiek czerpie swe pożywienie, już bardzo było rozwinięte i przeszło tysiączne przeobrażenia, zanim rozkwitnęło do tego stopnia, że mógł się pojawić człowiek. W jaki sposób człowiek został stworzony? Religje twierdzą, **że człowiek wyszedł bezpośrednio z ręki Bożej;** wynikałoby to zwłaszcza z drugiego opowiadania o stworzeniu człowieka w 2 r. Genezis, gdzie jest mowa, że człowiek jest stworzony na samym początku, przed roślinami i zwierzętami „z prochu ziemi". Opowiadanie z 1 r. Gen., gdzie człowiek powstaje na samym końcu stworzenia, nie podkreśla tak wyraźnie tej myśli bezpośredniego wykształtowania ciała człowieka z ziemi przez „rękę Bożą", ale jest rzeczą oczywistą, że ta myśl przyświecała i temu opowiadaniu. Oba te opowiadania mają też na myśli, że ów pierwszy człowiek był odrazu doskonały, nawet doskonalszy od późniejszego, który się zepsuł przez upadek w grzech.

Nauka tymczasem **twierdzi coś wręcz przeciwnego;** mówi ona, że **człowiek powstawał powoli z przeobrażania i przekształcania się ciała zwierzęcego;** pierwotny człowiek był małpoludem, którego mózg coraz więcej się rozwijał, aż osiągnął mózg człowieka przedhistorycznego a potem historycznego i dzisiejszego.

Opiera się tu nauka na ścisłej obserwacji życia zwierząt i powolnego powstawanią w ciągu miljonów lat jednego gatunku zwierząt po drugim, coraz doskonalszego, bardziej rozwiniętego. Podobny rozwój wykazują szkielety ludzkie znajdywane w wykopaliskach od czasów najdawniejszych. Budowa szkieletów tych najdawniejszych ludzi bardzo jest zbliżona do budowy szkieletu małp; wspomniałem, że serum krwi małp nie zabija czerwonych ciałek krwi człowieka, co również pozwalałoby wnosić, że pomiędzy człowiekiem a małpami istnieje pewne pokrewieństwo.

Czyż ma to uwłaczać człowiekowi? Czy „proch ziemi" lepszy jest od ciała małp!?

Wypowiedziałbym tu pewne nieśmiałe przypuszczenie niefachowca, próbujące wyświetlić tę tajemnicę, osnutą setkami tysięcy lat. Może że **człowiek rozwinął się z pewnego rodzaju małp, żyjących na bagnach.** Wskutek ciągłego brodzenia po grząskim terenie ręka rozwinęła się w szeroką stopę nożną, aby lepiej opierać się na błotnistym gruncie. Trudności życia na takim terenie przyczyniły się może również do rozwoju inteligencji.

Na możliwość tej hipotezy wskazywałby fakt, że **owłosienie** człowieka jest stosunkowo bardzo skąpe, podobnie jak u zwierząt żyjących w wodach (hipopotam, nosorożec) i bagnach a odznaczających się przedewszystkiem grubą skórą zamiast uwłosienia. U człowieka owłosienie nosi charakter przedewsz. seksualny, z wyjątkiem może głowy, gdzie włos służy przedewszystkiem do jej ochrony, choć i tu włos u człowieka nie stracił swego seksualnego polotu. Wiadomo, jak wielką uwagę w okresie dojrzewania chłopcy i dziewczęta poświęcają swej fryzurze i jak włos piękny u dziewczyn działa na mężczyznę. Poza tem włos u człowieka występuje dopiero w okresie dojrzewania płciowego a wyjątkowo u młodszych, ale też w związku z nienormalną wczesnością dojrzewania.

Twierdzenie, że człowiek pierwotnie był cały owłosiony, a dopiero wskutek ubierania się utracił włos, nie wytrzymuje krytyki. Ubranie w małej tylko części usuwa włos. Zresztą pierwotne narody, żyjące prawie nago, mimo braku ubrania nie wykazują większego uwłosienia. Jest to znakiem, że z natury człowiek jest bez większego uwłosienia, co wskazuje na to właśnie że człowiek powstać musiał w okolicach bagien i wód. I rzeczywiście wykopaliska różne i odkrycia udowadniają, że człowiek pierwotny lubił takie miejsca, które mu zresztą dawały i większą ochronę. Na wodach człowiek pierwotny wznosił swoje palowe mieszkania.

Naturalną ochroną był mu przed zimnem nie włos, ale raczej skóra. Musiała ona pierwotnie być znacznie grubsza u człowieka, a zresztą i dziś posiada jeszcze znaczną grubość i silny rozwój. Również stojąca wysoko postawa człowieka jak u ptaków błotniaków jest poparciem pow. hipotezy. Małpoludów przed powstaniem człowiekiem musiało już być kilka gatunków i z tych gatunków odmiennych **powstały różne rasy i to prawdopodobnie na różnych miejscach, nie z jednej pary.**

Co do wykończenia stworzenia człowieka, to tak się mi często wydaje, jakby ono zostało przerwane, jakby **człowiek był istotą niewykończoną,** jakby sam był przerwał, obrazowo mówiąc, p. str. 48, stworzenie swoje, otrzymawszy dar wolnej woli i swobodę działania.

O innych stworzeniach można powiedzieć, że są skończonymi typami, tak jak ich właśnie przyroda w gospodarce swej potrzebuje. Taki lew jest skończoną istotą; nie zmienią go długie tysiąclecia, prędzej wyginie, niż się zmieni; o postępie u innych stworzeń prawieże nie może być mowy.

Jakże zupełnie inaczej przedstawia się tu człowiek! Wskutek niewykończenia brak wprawdzie człowiekowi niejednego daru, które mają inne stworzenia, ale zato droga jego rozwoju wgórę jest prawie nieograniczona. **Stwórca pozostawił dokończenie stworzenia swego samemu człowiekowi,** dając mu do tego dar większy niż wszystkie siły instynktu, jakie otrzymały inne stworzenia — **rozum.**

Pewnie że i zwierzęta a może i rośliny mają pewnego rodzaju rozum, ale jest to rozum instynktowy, nie jest to rozum krytyczny, rozważający samodzielnie, **myślący twórczo.** Najlepiej się o tem przekonać możemy, podstawiając zwierzęciu **zwierciadło.** Zwierzę nie umie się patrzeć do zwierciadła, odwraca nawet głowę, nie rozumie go, niema zmysłu samokrytycznego. Człowiek natomiast — o ho! jak on się lubi patrzeć do zwierciadła. Dzikusi nawet, otrzymawszy zwierciadełko, skaczą i tańczą z radości. Małe dziecko wnet się pozna na zwierciedle i uśmiecha się do obrazku w nim odkrytego i wnet zrozumie, że to ono samo jest. Oczywiście jest to wadą, jeśli ktoś często zwierciadła używa, ale sam fakt jest niezbitym dowodem, że człowiek ma zdolność samokrytyki a to jest podstawą postępu.

Zwierzę z powodu braku tego zmysłu samokrytycznego nie może się duchowo rozwijać ponad stan przez naturę mu od wieków dany. Koń zawsze zostanie koniem! Wiele hałasu narobiły konie w Elberfeld, które przez długoletnią naukę doprowadzono do rozwiązywania nawet zadań matematycznych. Możliwe! Ale cóż, kiedy to właśnie człowiek jest, który konia nauczy, koń sam z siebie nie doszedłby do takich rezultatów, nie mówiąc o tem, że do takiego rozwoju jak człowiek wogóle nie jest zdolny.

Człowiek natomiast **rozwija się ciągle sam z siebie autonomicznie.** Przedstawimy tę rzecz obrazowo. **Istota człowieka jest jako dom; fundamenta** jego to prawa materji anorganicznej, podstawa mocna i solidna, wybudowana w czasie, od kiedy materja wogóle istnieje. **Parter** to prawa świata roślinnego, z którym człowiek ma wiele, wiele wspólnego; drogą tego świata poszło i jego ciało w ciągu minionych miljonów lat, świat cudowny, który człowiek kocha i uwielbia i ciągnie z niego tysiączne soki życiowe i wzory przecudne... **Pierwsze piętro, to świat zwierzęcy**; potężny, pełen najmocniejszych instynktów, pełen grozy, ale i siły elementarnej, pełen powabu i przykuwającego czaru zmysłów. Na tym piętrze człowiek nietylko że mieszkał miljony lat, bo ciało jego stąd wzięte, ale ileż to ludzi, którzy tylko na tym piętrze mieszkają i prawieże nie mają aspiracji pojść wyżej a jeśli wyjdą, to tylko na chwileczkę. Ba każdy i ten najinteligentniejszy, najbardziej uduchowiony człowiek często na to piętro schodzi; tu jest życie jego popędów, tu jego uciechy zmysłowe, tu jego tragedje bolesne.

Ale z 1. piętra prowadzą **wąziutkie schody wyżej.** Z mozołem je sobie człowiek sam w ciągu długich miljonów lat wybudował na podstawie darów rozumu i woli, od Boga otrzymanych.

Przejściem tym nie przedostają się już zwierzęta; czasem tylko koń i piesek, od setek tysięcy lat nieodstępni towarzysze człowieka, trochę u owych górnych drzwi powąchają i wcisną tam ciekawą, mądrą swą główkę, ale tam wejść nie mogą całe, człowiek tam jednak wchodzi.

Jest to drugie piętro, **piętro świadomości człowieka.** Zaczyna tam wchodzić dziecię, które już ze świadomością siebie powtarza swoje imię i nazwisko, co jest jego **narodzeniem się w ów świat wyższy,** następujący nieraz długo po pierwszym narodzeniu.

Tu jest właściwa twórcza pracownia człowieka, tu jego przeznaczenie, tu jego szczęście właściwe, bo raj myśli, wznoszący go ponad wszystko co niskie i brudne, tu świat wiedzy i nauki. Tu człowiek, choć sam z natury nienajpiękniejszy, odkrywa w sobie zmysł takiego piękna, że piękną się staje twarz jego natchniona i przez ten zmysł piękna człowiek już nietylko uszlachetnił swą postać, ale uszlachetni ją z biegiem mi-

ljnów lat tak, że będzie najpiękniejszym i fizycznie stworzeniem. Tu człowiek rzeźbi świat swojego piękna i uwielbia go i melodje mu nuci przepiękne i harmonje stwarza przecudne.

Tu człowiek, choć to nieraz ten najokrutniejszy zwierz, odkrywa w sobie poczucie tego, co dobre i szlachetne, tu tworzy się etyka, jako podstawa współżycia. Tu jest podstawa nadziei, że człowiek, choć tak moralnie nieraz upada, osięgnie szczyty szlachectwa i ogarnie całokształt prawdy osięgalnej.

Na tym piętrze człowiek stawia teleskopy, spoglądając we wszechświat; stąd kieruje oko swoje na szczyty Boże.

To, co pracuje na tym piętrze pełnej świadomości człowieka, to już nie dusza, jako ją mają i inne stworzenia, ale to **duch człowieka**, duch, który wytworzył się z duszy w ciągu miljonów lat na podstawie szczególnego daru Bożego, jaki człowiek otrzymał.

Ten duch jest już nie przedmiotem pracy naszego mózgu, ale jego podmiotem, czemś samodzielnym, co poprostu przypatruje się wytworom myśli, kieruje w znacznej mierze tem ich tworzeniem się, powoduje, że pewne myśli powstają a inne spędza z areny, klasyfikuje je, krytykuje i tak je kombinuje, by mogły tworzyć. Człowiek czuje się nietylko przedmiotem zdarzeń, ale ich twórcą. W tym stopniu co u człowieka nie obserwujemy tego u żadnych innych stworzeń; one tworzą instynktowo, człowiek zaś samodzielnie myśląc.

Duch człowieka jest tak potężny, że potrafi opanować i instynkt i ciało i to tak dalece, że jest zdolny je nawet zniszczyć.

Samobójstwo, choć samo w sobie jest straszną rzeczą, to jednak z drugiej strony, o ile zostało popełnione świadomie a takie wypadki są, jest dowodem, jak dalece człowiek może panować nad swym ciałem. Zresztą **umartwianie ciała** jest przecież pewnego rodzaju samobójstwem a jakże często je u człowieka spotykamy. Tu należy **i śmierć dla idei**. Tego umartwiania ciała i samobójstwa nie spotkamy u żadnego innego stworzenia; opowiadania o skorpionach, która w chwili niebezpieczeństwa, mają się same zabijać, okazały się bajką. Zwierzęta słuchają tylko instynktu a instynkt dąży tylko do zachowania życia organizmu; nie przyjmą pokarmu tylko wtedy, kiedy instynktowo czują, że organizm się już wyczerpał i podstawa życia upadła.

Jak twórczy jest duch człowieka, to widać najlepiej **z dzieł rąk jego**. Przecież np. małpy mają tak samo ręce do pracy jak człowiek a gdzież one potrafią stworzyć takie dzieła sztuki, jak je stwarza malarstwo, architektura, piśmiennictwo, muzyka, gdzie się w całej pełni okazuje twórczy duch człowieka.

Potęga ducha ludzkiego objawia się i w **wolnej woli**. Na ten temat niezmiernie wiele się już spierano, czy ona wogóle u człowieka istnieje. Oczywiście, że absolutnie wolnej woli człowiek niema, bo mieć ją może tylko ten, któryby siebie samego stworzył i wszystko sam sobie dał; ale **może** mieć człowiek **względnie wolną** wolę tzn. tak wielką siłę ducha, że może przechylić rozstrzygnięcie nawet przeciw swym materjalnym interesom a na korzyść rozwoju swego duchowego. Podkreślam że **może** mieć człowiek wolną wolę, ale nie każdy ją ma i nie każdy w równym stopniu, bo człowiek otrzymuje tylko **podstawę wolnej woli** i to nawet nie w równej mierze, zależnie od zapotrzebowań w gospodarce świata duchowego, bo i taka istnieje. Jak jeden dziedziczy 1 a drugi 10 talentów (podobieństwo Chrystusowe) a inny żadnego talentu nie otrzymuje, tak jest i z wolną wolą człowieka — są ludzie tak upośledzeni, że prawie nie można o nich mówić jako pełnym człowieku; nie mówię, żeby tacy w gospodarce przyrody byli niepotrzebni, ale w gospodarce ducha są mniej wartościowi. Inny znowu otrzymał potężną podstawę, ale sam ją zaprzepaścił i nic na niej nie postawił a inny dokona zdumiewających rzeczy. Każde postanowienie i wykonanie go wzmacnia naszą wolę a każde zaniedbanie ją osłabia. Ale to wykonanie i zaniedbanie zależy już w znacznej mierze od człowieka samego. Pewnie, że wszystko jest wypadkową różnych sił, ale do tych sił należy właśnie poczucie odpowiedzialności człowieka za swe czyny. Człowiek normalny ma to **poczucie wolnej woli i to jest decydujące w tej kwestji**. Bez wolnej woli nie możemy sobie poprostu przedstawić pełnego człowieka; jest ona zresztą wypływem jego zdolności zastanawiania się nad wszyskiem, krytykowania, myślenia, rozumowania. Kto to ma, czyżby to miał napróżno a czy to inaczej się objawić może, jak nie przedewszystkiem w wolnym działaniu?!

Pewnie że tej siły przeciętnie w człowieku procentowo jest bardzo mało, ale jest ona nadzwyczaj silna i najmiarodaj-

niejsza, stanowiąca istotę człowieka, jego najgłębszą wartość, odróżniającą go od innych stworzeń, które się kierują tylko instynktem; i człowiek się instynktem bardzo często kieruje a jednak najwartościowsze wyczyny jego wypływają z jego wolnej woli.

U człowieka automat — maszyna, tzn. ciało podatne jest duchowi a nie naodwrót, owszem ten **duch potrafi tworzyć automaty, co jest oznaką, że sam nie jest automatem.**

Charakterystycznym objawem ducha człowieka jest tzw. **osobowość** jego, inaczej **poczucie indywidualności**. Człowiek, skrystalizowawszy duszę w ducha, czuje się osobą, wie o-sobie, ma poczucie, iż jest istotą samodzielną, odrębną od innych istot, niezależną; już dziecię wszystko chce uparcie samo czynić. U zwierząt samopoczucie jest raczej gatunkowe niż indywidualne, instynktowe niż krytyczne.

Tylko na tej podstawie, że sam jest osobowością, człowiek może uosabiać personifikować, co tak często u człowieka zauważamy. Może on się nieraz mylić i za dużo uosabiać różne siły przyrody czy objawy własnej istoty, ale nie myli się co do osobowości własnego ja; gdyby człowiek osobowością nie był, toby wogóle nie potrafił personifikować.

Poczucie indywidualności jest u człowieka taksamo realne jak poczucie istnienia, jest wprost elementarne i kto przeciw tej sile, w jej naturalnych oczywiście granicach, walczy, za pionki ludzi uważa, ten się nie ostoi, bo przeciw Bożej sile walczy.

Wszystko wskazuje na to, że siła inteligentna, pracująca we wszechświecie, przechodzi przez substancję i energannę, przez nieorganiczne twory, przez rośliny i przez zwierzęta, tak jak przechodzi ona i przez człowieka, ale w nich się nie uosabia, nie krystalizuje; tak to wygląda, jakby jakaś niewidzialna ręka prowadziła wszystkie inne stworzenia (prowadziła oczywiście od ich wewnątrz przedewszystkiem), ale dzieje się to w formie jakiejś instyktowej biernej świadomości.

Doszedłszy natomiast przez niezmiernie długi proces tworzenia aż do człowieka, Inteligencja wszechświata daje duszy podstawę i możność szczególnej krystalizacji, uosobienia się w ducha człowieka; tak powstaje istota twórcza, świadoma swego pochodzenia i celu — człowiek!

Pełna świadomość człowieka czyli duch jego jest to skry-

stalizowana, uosobiona myśl Boża; jest to specjalnego rodzaju zespół owych theonów, o których mówiliśmy, chcąc zobrazować materjalność siły myśli Bożej.

Tak jak u **promieniotwórczych pierwiastków** jak rad trzeba do ich powstania odpowiedniego zespołu substansów i energonów, tak w pełnym człowieku powstaje specjalny zespół theonów, skutkiem czego tworzy się **świadomość twórcza.** Dzieje się to oczywiście drogą naturalną powstawania człowieka a nie jakimś nadnaturalnym każdorazowym wkraczaniem Ducha w proces tego powstawania.

Z siły ducha swego człowiek słusznie może być dumnym a właściwie wdzięcznym swemu Stwórcy.

Drwią niektóre systemy z **antropocentrycznego** poglądu na świat, gdzie człowiek (antropos) myśli, że on jest centrum wszechświata; ale uważam te drwiny za zupełnie niesłuszne, bo człowiek doprawdy jest w centrum inteligentnej siły, rządzącej wszechświatem. Prawdopodobnie i na innych gwiazdach istnieją ludzie albo nawet i wyższe jeszcze stworzenia, ale i te wyższe stworzenia drogą człowieka iść musiały, bo zasady rozwoju, ewolucji we wszechświecie są te same i człowiek sam idzie też tą drogą rozwoju.

Jeśli przeciwnicy szlachetnej dumy człowieka mają słuszność, to tylko dlatego, że nie wszyscy ludzie są ludźmi i ja też jestem tego zdania. Sądzę, że w człowieku myśl Boża (obrazowo mówiąc theony) uzyskuje tylko **podstawę** uosobienia się, krystalizacji, ale to nie znaczy jeszcze, by wszystko, co ma ciało ludzkie, było tym uosobieniem się myśli Bożej; jak w przyrodzie wiele komórek rozrodczych ginie i nie wykształtuje się w rzeczywistość, tak **wiele istnień ludzkich nie wykształtuje się w człowieka, wyobrażenie Boże, nie przetworzy duszy w ducha.**

Weźmy np. dzieci, które umierają przed osiągnięciem swego Ja; weźmy chorych umysłowo z przyrodzenia, weźmy ludzi, którzy żyją tylko „ciałem“ itp. Nie mówię, żeby tacy w gospodarce przyrody byli niepotrzebni, ale nie są oni czynnikiem w gospodarce ducha i jestem przekonany, że tacy nieśmiertelności nie uzyskają, ale ich siła wraca się nieuosobiona do źródła siły wszechświata. Natomiast człowiek, który w ciągu życia doprowadził do uosobienia się, skrystalizowania w sobie myśli Bożej, jest nieśmiertelny i przechodzi po rozpadnięciu

się ciała do wyższego życia, łącząc się prawdopodobnie z pokrewnymi duchami w nowe wyższe twory jak tu łączą się pokrewne ciała do wytworzenia nowych ciał.

Szlachetnego nadewszystko jesteśmy rodu i tego powinniśmy sobie być świadomi, aby być godnymi tego rodu i spełnić przeznaczenie swoje.

Indywidualność, jaźń, osobowość, pełna świadomość, **duch człowieka to cel stworzenia.** W Bożej myśli był człowiek od samego początku, o ile wogóle o początku mówić można; kiedy przyszło wypełnienie czasów, myśl ta mogła się skrystalizować w ducha człowieka i odtąd pędu jego nic nie złamie, aż spełni zadanie swoje, do którego człowieka, swą najprzedniejszą myśl, Bóg przeznaczył w gospodarce wszechświata.

Przez pow. kilka zdań wkroczyliśmy już w nowy rozdział — o nieśmiertelności człowieka, którą teraz rozważymy, przyczem znajdą jeszcze wyjaśnienie dalsze objawy naszej jaźni, naszego ducha.

NIEŚMIERTELNOŚĆ.

„Wierzę w zjednoczenie człowieka z Bogiem".

Przez długi czas sądziłem, że wiara w nieśmiertelność człowieka jest jedną z najkonieczniejszych potrzeb wszelkiego życia religijnego, że bez niej religja zapada się sama w sobie. Lecz doszedłem do przekonania, że tak nie jest.

Można wierzyć w Boga, który stworzył człowieka dla pewnego ściśle określonego zadania na ziemi, poczem po spełnieniu tego zadania człowiek znika, ustępując miejsca innym. I taki człowiek może Bogu jako najwyższej sile oddawać cześć, chwałę i uwielbienie i czuć się z Nim związanym — a tem właśnie jest religja. Nie przeczę jednak bynajmniej, że dla pełnego życia rel. potrzebną jest wiara w nieśmiertelność!

Wierzę jednak w nieśmiertelność przedewszystkiem dlatego, że wiele przekonywujących objawów mi na nią wskazuje i to objawów, odnoszących się do całokształtu życia; objawy te zaczerpniemy z życia organicznego, z życia organizmów, tak roślin jak i zwierząt, z życia naszej ludzkiej świadomości, z życia wszechświata przy jego celowości i jego najwyższej inteligencji, jaką jest Bóg.

Weźmy przykład z życia organicznego, **z dziedziny fizyki:** H_2O to jest tzw. formułka wody, oznaczająca, że dwa atomy gazu wodoru H_2 (Hydor = woda po grecku) łączą się zawsze z jednym atomem gazu tlenu O (Oksygenium = tlen) i tworzą w ten sposób najdrobniejszą cząstkę tzw. drobinkę wody; choć obie części składowe były gazem, to po połączeniu tworzą ciecz, wodę i ta drobinka wody ma już zupełnie nowe prawa, którymi się kieruje przy połączeniu się z innymi drobinkami wody, by z nimi tworzyć różne postacie jak krople, parę, kryształy lodu. Jeśli jednak użyjemy pewnej siły, to ową drobinkę wody możemy zmusić do rozpadnięcia się i wtedy z niej powstaje znowu H_2O, dwa gazy, ale te dwa gazy zawsze będą do tego dążyły, by w sprzyjających warunkach znowu

utworzyć z powrotem drobinkę wody, czyli rozbijając drobinkę wody, absolutnie nie zabijemy jej prawa do nowego powstania, do nowego życia, bo to prawo tak jakby się ukryło w obydwu tych gazach czy istniało też jako siła pomiędzy ich atomami i ciągle je zmusza do ponownego łączenia się w wodę. To **niezniszczalne prawo** wody nazwijmy świadomością, duszą, koniecznością, po łacinie **causa** — wody i widzimy, że ta dusza wody jest nieśmiertelną; żadna moc nie potrafi zniszczyć tego prawa, tej duszy wody, bo to jest myśl Boża z wodą, ów obrazowy theon wody, jakośmy przedtem o nim już mówili.

Podobnie zresztą ma się sprawa z każdym atomem, który ma również swoje prawo, swój theon, świadomość, duszę swoją, co porównaliśmy ze szoferem w aucie. Atom można rozbić, choć z olbrzymim trudem, ale nie można zabić jego prawa — zawsze on będzie dążył do nowego skupienia się, tak że w zasadzie jest on nieśmiertelny, właśnie dzięki swojemu prawu.

Takie prawo ma każde stworzenie, ma je i **człowiek**, który **jest zespoleniem najróżniejszych składników w jedność przez prawo człowieka;** tym prawem człowieka, jego koniecznością, causa jest jego świadomość, jego duch — causa hominis est spiritus eius, — tym prawem jest Boża myśl, znowu theon, tylko inaczej zbudowany, obrazowo mówiąc, podobnie jak i atomy różnych pierwiastków różnie są zbudowane; u człowieka pełnego dusza dochodzi do potęgi ducha, spiritus a już nie anima, jako ją mają np. zwierzęta.

I tak jak prawo atomów i drobin jest niezniszczalne, nieśmiertelne, tak i prawo człowieka, jego duch jest nieśmiertelny i zawsze ten duch będzie dążył do wyżycia się w jakiejś substancji (materji). To jest jego **odwieczna, niezniszczalna moc.**

Że to prawo jest jakieś stałe, nienaruszalne, typowe, widzimy z tego, że rodzi się z reguły cały człowiek, mimo że przecież od niezliczonych pokoleń dokonuje człowiek pewnych zniekształceń ciała swego.

Oczywiście że przez owo niezniszczalne prawo człowieka bynajmniej nie jest udowodniona nieśmiertelność jego indywidualności, ale to jest jasną rzeczą, że żyje w nim jakaś niezniszczalna siła, przez którą powstał, która się w nim wyżywa i to we wszystkich możliwościach, jakie jej nastręcza ciało, zwłaszcza w swym mózgu.

W mózgu naszym dzięki prawu dziedziczności są zawarte najróżniejsze właściwości nawet dalekich przodków naszych. W komórkach rozrodczych odkryto ogromną ilość drobnych ciałek tzw. chromosomów, o których przypuszczają uczeni, że są to dziedziczne właściwości przodków, dlatego nazwałbym je **dziedzicznikami**; nawiasem mówię, że oprócz dziedziczników są jeszcze w owych rozrodczych komórkach tzw. geny, które stanowią o płci noworodka, dlaczegobym je nazwał **rodzajnikami**; przez owe dziedziczniki do mózgu naszego dochodzą różne świadomości przodków naszych i duch nasz wyżywa się w nich, tak że np. w chwili transu, o którym będzie mowa później, naraz człowiek zaczyna być innym zupełnie człowiekiem, nie tym, którym jest na jawie.

Podobnie w mózgu naszym ucieleśniają się wprost wpływy od zewnątrz, idące od innych ludzi i duch nasz również potem w tych umózgowionych wpływach obcych się wyżywa, zwłaszcza w chwilach transu i snu, kiedy mu nie przeszkadzają nowe wrażenia, ciągle dochodzące przez nerwy.

Jak bardzo zmienia się ciało i dusza nasza, widać to z tego, że dzieci tych samych rodziców wszystkie są inne a powinneby być te same, boć przecież zawsze ten sam ojciec i matka je spładzali. Ale właśnie że nie ci sami, bo tymczasem zmieniło się ich ciało, zmieniła ich dusza, inne świadomości przyszły do słowa tzn. duch nasz w innych świadomościach się wyżywał i to się odbija na potomstwie.

Bliźniacy są do siebie bardzo podobi, ale niekiedy wystarczy już ten ogromnie krótki moment, kiedy tworzył się następny plemnik, by nasza jaźń się już zmieniła i bliźniaczki były całkiem inne.

Są to niezmiernie skomplikowane dziwy życia, ale w nich i przez nie się właśnie duch nasz wyżywa, czem potem będziemy tłumaczyli wiele objawów spirytyzmu i jasnowidzenia.

Jest mi rzeczą jasną, że duch nasz, kiedy skończy się rola ciała naszego razem z mózgiem jego i świadomościami w nim zawartymi, że wtedy duch człowieka nie zostanie zniszczony, o ile w ciągu życia dusza potrafiła się przeobrazić w ducha, skrystalizować w osobowość i wniknąć w Ducha wszechświata tj. Boga. **Taki duch poszuka sobie innego ciała,** w którymby się mógł dalej wyżywać; **prawdopodobnie wyrywa duch z dotychczasowego ciała jakąś cząstkę, może jakieś ciało**

astralne?, o czemby świadczyły tzw. ektoplazmy, materjalizacje i zjawy ludzi umierających, o czem pomówimy przy medjumiźmie.

Tak tedy zaobserwowane w świecie fizykalnym jako nieśmiertelne owe prawo świadomości, które działa w każdym atomie, w każdej drobince naprowadza nas na myśl, że i prawo człowieka, jego duch jest nieśmiertelny, niezniszczalny.

Drugim niezmiernie ważnym w przyrodzie prawem jest **prawo zachowania energji.** We wszechświecie nic nie ginie, może się zmieniać, przeobrażać, ale nie znika, nie ginie. Czyż możemy sobie wyobrazić, żeby zginąć miała taka energja, jako nią jest duch człowieka?

Jeśli za życia dusza człowieka potrafiła uzyskać potęgę ducha, to taka energja nie może zginąć.

Sądzę, że kto za życia nie potrafił się przebić do potęgi wiary w nieśmiertelność, ten nie będzie miał dosyć siły, aby się stać nieśmiertelnym, ale kto tę wiarę zdobył, ten staje się nieśmiertelnym, bo ma w sobie siłę do tego. „Jako wierzysz, niech ci się stanie" mówi nieraz Chrystus; wspomina on i o potędze wiary, góry przenoszącej. **Bóg nam daje podstawę do nieśmiertelności, ale sami ją zdobyć musimy**.

Tak staje się prawdą, co mówią jedni, że nie ma nieśmiertelności, ale staje się prawdą, co mówią drudzy, że nieśmiertelność jest, bo ją czują w sobie i wiedzą, że tej potęgi żadna śmierć ciała nie złame. I nieśmiertelności nie można ująć w jeden system!

Jako trzeci przykład nieśmiertelności z dziedziny fizyki przytoczyłbym pojęcie **perpetuum mobile**, maszyny w wiecznym ruchu. Jeśli we wszechświecie istnieje perpetuum mobile, to dlaczegóżby przedewszystkiem duch człowieka nie miał być takim perpetuum mobile?

Czyż każdy atom, czyż cały wszechświat nie jest perpetuum mobile?

Przekonano się, że przy oziębieniu metalu do prawie absolutnego zera, — 273 ^{0} prąd elektryczny w takim ciele nie napotyka na opór i może w takim kole krążyć wiecznie, bo się nie zużywa. A czyż coś podobnego nie będzie w niesłychanie wysokich temperaturach?

Otóż jeśli dusza nasza potrafi podnieść się do szczytów Bożego Ducha, Ducha wszechświata, owego perpetum mobile,

to temsamem chyba staje się perpetuum mobile czyli nieśmiertelną. Czyż np. Chrystus nie podniósł się do tych wyżyn, tak że świadomie mógł powiedzieć: „Ja i Ojciec jedno jesteśmy“?! Przez Chrystusa-Człowieka wierzę w człowieka; wierzę, że i my za przykładem Chrystusowym do tych wyżyn zbliżyć się i wznieść możemy, przynajmniej możemy tu za życia nabrać rozpędu do tej drogi, która nas potem zawiedzie do szczytów **świadomego zjednoczenia z Bogiem.**

Weźmy teraz przykłady z życia **organicznego**, najpierw roślinnego.

W **świecie roślinnym** istnieją istoty **jednokomórkowe.** Taka komórka dzieli się na dwie, przyczem każda pozostaje przy życiu i znowu się dzieli dalej w ten sam sposób, tak że w zasadzie taka jednokomórkowa istota jest nieśmiertelna. Okazuje się, że to co jest najprostsze jest najtrwalsze.

I ducha określiliśmy, i to chyba słusznie, jako tę najsubtelniejszą, najprostszą, jako tę pramaterję odwieczną, określiliśmy ją jako ów theon, najgłębszą podstawę, istotę materji i ze wszystkich objawów ducha takim się on nam być wydaje istotnie.

Z takim pojęciem z konieczności jest związane pojęcie nieśmiertelności.

W **świecie zwierzęcym** spotykamy się z istotami, które są w stanie odcięte części ciała zastąpić nowymi, ba są jako gdzieś czytałem takie organizmy, które są w stanie nawet **odciętą głowę wytworzyć na nowo z jej mózgiem;** prawo, causa tych istot, ich siła życia jest tak potężna, że stajemy zdumieni przed takimi objawami.

Ale czyż czegoś podobnego nie widzimy w zasadzie i u człowieka? Wprawdzie dziś człowiekowi odrąbana głowa nie odrośnie, ale pytam się, cóż było pierwej: czy prawo, causa człowieka, myśl Boża o nim, czy też głowa człowieka? Napewno najpierw była causa hominis, prawo człowieka i ta myśl Boża o człowieku, ucieleśniając się przez prawieki, wytworzyła jego głowę z mózgiem czyli duch człowieka stwarza jego mózg, aby się w nim wyżywać a nie naodwrót, żeby mózg wytwarzał ducha. Czyż nie naprowadza nas to na myśl, że duch człowieka po rozpadnięciu się mózgu i ciała może sobie wytworzyć nowe warunki wyżywania się, ba że sobie te warunki przygotowuje już za życia w ciele, podobnie jak instynktowo niektóre zwierzęta przygotowują się zawczasu na zimę?

Rozpadnięcie się ciała i mózgu nie wyłącza więc możliwości nieśmiertelności.

Przejdźmy teraz do rozważenia zjawisk, **objawów** naszej własnej, **ludzkiej świadomości.** Człowiek ma tę **dziwną zdolność,** że może **zastanawiać się nad samym sobą.** Mamy zdolność w zwierciedle przypatrywać się swojemu ciału i umiemy się patrzeć w zwierciadło; tak mamy zdolność, ba nieprzepartą skłonność, by się zastanawiać nad głębią swej istoty i badać głębię innych istot.

Jest to jednak praca najgłębsza i dlatego najtrudniejsza i wymagająca całego skupienia myśli i skierowania ich w potężnym wysiłku w jednym kierunku. Dla uskutecznienia tego jest prawie zawsze konieczną rzeczą, by przytłumić wszystkie inne czynności naszego organizmu, aby nie przeszkadzały nam w myśleniu, skierowanym na wewnątrz; stąd myśląc o czemś głęboko, zamykamy oczy a nawet nie zamknąwszy ich, poprostu nie widzimy, nie słyszymy, nie czujemy, choć oko nasze widzi a ucho nasze słyszy i skóra nasza odbiera wrażenia. Jest to tzw. **trans,** słowo łacińskie oznaczające = poza — jesteśmy poza naszymi nerwami, skupieni w głębi swej istoty. Trans absolutnie nie oznacza zabicia naszej świadomości, owszem oznacza tylko jej wzmocnienie przez przytłumienie nerwów, aby nie doprowadzały nowych wrażeń i nie przeszkadzały duchowi w jego pracy. W transie duch znajduje owo zwierciadło, w którym może się przypatrywać samemu sobie, może się przez odbicie w nim objawiać innym duchom i może łatwiej wyżywać się we wszystkich możliwościach mózgu i ciała naszego, ba nawet w mózgu i ciałach innych.

Tu przechodzimy do nadzwyczaj ciekawych zjawisk **medjumizmu,** spirytyzmu, jasnowidzenia itp.

Zgóry jednak zaznaczam, że **najważniejszym transem jest nasze własne głębokie myślenie,** gdzie nerwy tylko tak dalece są przytłumione, że możemy sami sobie przytomnie zdać sprawę z tego, co myślimy i co na wewnątrz oglądamy i zarejestrować to wszystko; bez tego wszelkie inne transe są bezużyteczne. O ile są bardzo głębokie transe, gdzie człowiek nic nie wie, co się z nim działo, to musi być przy tem ktoś w lekkim transie tzn. z głębokim przytomnym myśleniem, aby wszystko obserwować, co się z uśpionym dzieje i badać swoim duchem stany jego ducha i wyciągnąć stąd wnioski.

W ostatnich dziesiątkach lat dziwnymi objawami ducha w chwilach transu zajęli się bliżej ludzie głębokiej wiedzy; wymienię kilka tylko nazwisk: Myers, Lodge, Schrenck-Notzing, Flournoy, Richet. Utworzono kilka związków uczonych, zajmujących się medjumizmem. Całokształt nauki tej objęto nową nazwą, którą podał nasz polski myśliciel, Lutosławski: **metapsychika** (meta, greckie = ponad, psyche, greckie = dusza) a więc nauka o objawach sięgających ponad duszę tzn. w sferę ducha.

Klasyczne pod tym względem dzieło napisał prof. fizjologji przy uniwersytecie paryskim, **Karol Richet,** który zrazu na objawy medjumizmu zapatrywał się bardzo sceptycznie, ale po długich badaniach przekonał się o ich rzeczywistości i wyniki swych badań ogłosił w obszernym klasycznym na tym polu dziele pt.: **Traité de métapsychique.** Mam pod ręką drugie wydanie, Paryż 1923, stronnic przeszło 800; dzieło zostało przetłumaczone i na język niemiecki.

Richet badał wiele medjów z zachowaniem największych środków ostrożności i z pomocą innych uczonych, by się nie dać oszukać medjom, które w przeważnej większości lubią oszukiwać, głównie dlatego, że ich zdolności medjalne występują przeważnie w pewnych tylko okresach i do pewnego czasu a ponieważ medja te przeważnie żyją ze swych zdolności, więc chciałyby uchodzić za medja i wtenczas, kiedy swych zdolności w rzeczywistości już nie mają.

Medjami, pośrednikami (między żyjącymi a duchami) nazywamy ludzi, którzy w chwilach transu wykonują rzeczy nadzwyczajne, na które nie mamy wytłumaczenia w dotychczas znanych prawach przyrody, skąd je niektórzy tłumaczą tzw. spirytami (spirytus = duch) czyli duchami ludzi zmarłych, chcących się przez owe medja jako pośredniki porozumieć ze światem żyjących.

Uczeni jednak, między innymi i wym. Richet aż do ostateczności nie chcą przyjąć takiego tłumaczenia, dążąc do tego, by te nadzwyczaj ciekawe zjawiska wyjaśnić raczej jakąś nieznaną, ale naturalną siłą, możnaby powiedzieć jakimś szczególnym zmysłem, który ma niewielu tylko ludzi i może go mają nawet niektóre stworzenia, u których również spotykamy podobne ciekawe objawy; zmysł ten Richet nazywa „cryptesthésie“ — jasnowidzeniem, nazwałbym go raczej intuicją, wnikli-

wością nadzwyczajną, która potrafi wykryć tajemnice, niedostępne zwykłym zmysłom i wykonywać rzeczy, których zwykli ludzie nie potrafią dokonać. I mnie się zdaje, że prawie wszystkie spirytystyczne zjawiska wytłumaczyć sobie możemy potęgą ducha człowieka żyjącego.

Jedną jednak niepomierną zasługę ma medjumizm, że wykazał nam jak ogromną potęgą jest duch ludzki i na tej potędze sądzę można z całą pewnością wybudować gmach wiary w nieśmiertelność, tem więcej, że wiele i innych objawów na to samo wskazuje.

Ale wymieńmy kilkanaście **charakterystycznych przykładów** medjumizmu, by na nich wypróbować swe zdanie:

28-letnia panna B. jest sparaliżowana; trzej lekarze stwierdzają ciężki stan. Kiedy 26/II. magnetyzer Magnin ją pierwszy raz odwiedza, p. B. zauważa obok niego jakąś postać pięknej pani, która jej zapowiada uzdrowienie dnia 8/V. Podczas częstszych magnetyzowań (podobnych do transu) p. B. zawsze widzi ową piękną panią i rzeczywiście 8/V. odzyskuje zdrowie, Richet, str. 131.

Moje wyjaśnienie: człowiek myśli obrazami, bo ciągle zresztą obrazy widzi; nawet w matematycznym myśleniu operujemy obrazami cyfr i znaków. Dlatego też wszelkim myślom swoim i pragnieniom dajemy kształt obrazów; we śnie nasze pragnienia np. seksualne przybierają zawsze obrazową postać. P. B. pragnienie wyzdrowienia przyoblekа w duchu swym w postać, obraz pięknej pani; duch p. B. w jasnowidzeniu ogarnia prawdziwy stan choroby ciała i widzi zaczątek uzdrowienia, które będzie skończone do 8/V. i zapowiada to przez obrazową postać pięknej pani. Nie mamy tu więc do czynienia z żadnym obcym duchem, ale z duchem p. B, który w transie staje się tak potężnym, że widzi jasno stan choroby ciała.

I my we śnie, który jest również pewnego rodzaju transem, jaśniej odczuwamy zaczynającą się dopiero chorobę a duch nasz nadaje temu obraz np. walki z falami mętnej wody itp.

Na str. 134 wspomina Richet medjum Alicję, która w stanie transu, otrzymawszy np. włosy osoby chorej, opisuje tę chorobę przez intuicję. Na str. 135 wymienia wypadki tzw. **autoskopji, widzenia swego wnętrza.** Niekiedy medja w transie widzą wewnętrzne swe organa i opisują je zgodnie z prawdą; duch ich jest skierowany na wewnątrz i w jasnowidzeniu widzi

ciało jak w zwierciedle i na tej podstawie może nawet przepowiedzieć własną śmierć. Każdy z nas w swym życiu już pewnie słyszał albo sam spotkał się z podobnymi wypadkami.

Wszystkie one tłumaczą się naturalnie — potęgą naszego ducha, objawiającą się zwłaszcza w transie.

Na str. 141 Richet podaje następujący przykład: W więzieniu w Blois powiesił się więzień na krawatce. Kawałek krawatki zamknięty w podwójnej kopercie podają medjum, Marie; ta w transie zgaduje, że to krawatka, że na niej powiesił się morderca a siekiera, którą zamordował, znajduje się na pewnym miejscu. Według wskazówek szukają tam i znajdują rzeczywiście narzędzie mordu.

Jest to doprawdy nadzwyczajny wypadek jasnowidzenia. Richt powiada po prostu: jasnowidzenie, ale nie tłumaczy bliżej, bo uważa to za niemożliwe do bliższego tłumaczenia. Człowiek jednak chce wiedzieć, w jaki sposób to się może dziać. Spróbujmy następującego tłumaczenia: wszystkie nasze myśli, naszy czyny, zdarzenia wywołują pewne zmiany w otoczeniu; dzieje się to przez promienie czy fale jakieś i siły, któreśmy objęli wspólną nazwą energanny; w owej energannie, zespole sił i promieni, która wszystko i nas samych przenika, odbija się wszystko, podobnie jak w tzw. fata morgana na pustyniach odbijają się obrazowo nawet dalekie okolice i podróżny sądzi, że ma przez sobą zielone gaje a jest to tylko odbicie. Duch medjum w chwili transu łączy sie bezpośrednio z ową energanną i widzi to, czego inni widzieć nie mogą; żadne przeszkody nie mogą istnieć dla takiego oka ducha.

Ponieważ przedmioty, należące do historji danego wypadku jako znajdujące się na miejscu jego, najsilniej mogły przejąć promienie wypadków, przeto najłatwiej na podstawie takich przedmiotów duch medjum odczytuje zdarzenia, które się działy dookoła tego przedmiotu, jakby te przedmioty były niejako zwierciadłem, w którym wypadki się odbiły i duch medjum w to zwierciadło wypadków może się patrzeć, wzniósłszy się przez trans w sferę energanny.

Żyjący jeszcze inż. Ossowiecki w Warszawie, który podobnych rzeczy dokonuje i ma zdolności telekinezji — poruszania przedmiotów z odległości, mówi, że czyni to przez skupienie myśli i połączenie się z jakimś źródłem siły we wszechświecie; tę siłę we wszechświecie a raczej siły nazywam właśnie energanną.

Zresztą czyż my tych sił energanny nie bierzemy codziennie do swych usług? — elektryczność, radjo, fotografja itp. Medjum posługuje się jakimiś nieznanymi nam bliżej siłami natury, bo ma odpowiednią, choć wyjątkową zdolność do tego, zdolność intuicji.

Jeśli jednak uczynki nasze przez energannę odbijają się w przedmiotach, podobnie jak nasze myśli przelewamy na papier, skąd je potem odczytujemy, czyż nie wskazywałoby to na to, że dość będziemy mieli we wszechświecie materjału, z którego dusza nasza będzie mogła żyć, choćby i mózg został zniszczony?!

„Uczynki ich idą za nimi" Obj. 14, 13, tak mówi Pismo.

Zresztą czyż już tu nie żyjemy wspomnieniami przeszłości?

Na str. 279 podaje Richet bardzo ciekawe doświadczenie ze sławnym medjum panią Piper: niejaki **Jerzy Pelham** jedyny tylko raz brał udzial w seansie z p. Piper dnia 7/III. 1888 r., nie nabrawszy zresztą przekonania o nadzwyczajnych zdolnościach p. Piper; umarł on w r. 1892. Pani Piper znała zaledwie jego imię Jerzy i absolutnie nie mogła znać szczegółów jego życia, bo w seansie wystąpił pod pseudonimem.

W pewien czas po śmierci jego p. Piper w transie mówi, że zgłasza się do niej duch Jerzego Pelham'a, podaje imię jego, nazwisko, imiona jego przyjaciół, żąda przyjścia rodziców i znajomych, by z nimi mógł rozmawiać przez p. Piper i podaje mnóstwo szczegółów ze swojego życia, które mogli znać tylko owi znajomi i rodzice.

Do jednego z przyjaciół swoich pisze ręką uśpionej p. Piper długi list, gdzie podaje tak sekretne tajemnice im obydwu tylko znane, że przyjaciel wzburzony szarpie list po otrzymaniu go na kawałki, by nikt nie dowiedział się tych tajemnic, które zresztą odpowiadały prawdzie.

Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że tu jest jedno tylko właściwe tłumaczenie, że rzeczywiście duch zmarłego Pelham'a przemawiał przez uśpioną p. Piper. Prof. Richet nie wierzy w takie tłumaczenie, bo nie wierzy w życie pozagrobowe; tłumaczy to znowu jasnowidzeniem, ale nie podaje żadnego bliższego wyjaśnienia, które jednak jest konieczne, inaczej łatwo można ulec prościejszemu tłumaczeniu spirytystycznemu, zwłaszcza o ile ktoś wierzyć może w życie pozagrobowe.

Próbuję następującego wyjaśnienia: podczas seansu 7/III.

1888 r. cała świadomość żyjącego jeszcze wtenczas Pelhama, obecnego na owym seansie, udzieliła się p. Piper podczas jej transu; razem ze świadomością tą przeszły do mózgu p. Piper wszystkie charakterystyczne wiadomości p. Pelhama i pozostawały tam przez długi czas utajone, aż wybuchnęły raz podczas seansu już po śmierci Pelhama z żywiołową siłą, odsłaniając tajemnice zmarłego i odtąd przez cały szereg transów duch p. Piper wyżywał się w tej przejętej od żywego Pelhama energji, utajonej w jej mózgu podświadomie, wyżywał tak długo, aż się owa energja wyczerpała; jest to bowiem charakterystyczne u medjów, że „owe duchy" przemawiają przez pewien czas a potem zupełnie znikają i inne przychodzą.

Powie ktoś, to niemożliwe! A jednak możliwe! Czyż nie jest to ogólnie obserwowanym zjawiskiem, że hipnotyzer narzuca myśli swoje uśpionemu, tak że ten myśli i czyni to, co mu hipnotyzer nakaże? Tak cała świadomość Pelhama mogła się usadowić w czasie transu w mózgu p. Piper i tam utajona czekać na swój moment.

Z życia pszczół wiemy, że podczas rójki jeden tylko truteń zapładnia matkę ula i ta na cały czas swego królowania czerpie z owego zapłodnienia, by dawać życie tysiącom pszczół. Dlaczegóż p. Piper nie mogłaby czerpać z owego duchowego zapłodnienia p. Pelhama, by potem podawać jego tajemnice?!

Czyż podczas momentu zapłodnienia w maleńkich komórkach rozrodczych rodzice nie przekazują przez dziedziczniki i rodzajniki całej masy najrozmaitszych właściwości noworodkowi, który potem przez dziesiątki lat czerpie z tego zasobu sił, jemu przekazanych w momencie zapłodnienia?

Podobnie dzieje się przy zapłodnieniu ducha, które zresztą z aktem płciowym wiele ma wspólnego. Moment fotograficzny chwyta tysiące szczegółów na płytę.

W jednym momencie, na pierwszy rzut oka dwóch odpowiadających sobie osobników przez umiłowanie łączy się w jakiś cielesno-duchowy związek, który nieraz trwa aż do śmierci; związek ten niekiedy jest tak potężny, że ze śmiercią jednego drugi traci podstawę życia i ginie. Jest to wzajemne przeniknięcie się, idące niekiedy nawet tak daleko, że jeden upodabnia się do drugiego.

W podobny sposób w transie dusza p. Piper uchwyciła świadomość Jerzego Pelhama, by po latach, kiedy przyszedł

odpowiedni moment, świadomość ta wyłoniła się na powierzchnię i wtedy wyżywał się w niej duch p. Piper w transie. I nam nieraz niewiedzieć skąd przyjdą na pamięć dawno zapomniane wypadki.

Są to tajemnicze zjawiska, ale dla ich wytłumaczenia absolutnie nie musimy sięgać do spirytystycznych zjaw jakoby ludzi umarłych.

Gdyby się był rzeczywiście zjawił duch p. Pelhama, to czyż nie byłby coś objawił z tajemnic pozagrobowego życia? A tymczasem nic takiego, objawił tylko tajemnice swego ziemskiego życia!

Przykład ten wykazuje nam w całej pełni, jak głębokie są tajemnice ducha i jak one są najściślej związane z materją, tak że i tu mamy dowód, że duch jest jakąś pramaterjalną, przepotężną siłą; inaczej ducha wogóle nie zrozumiemy

Wykaże nam to i następny przykład, Richet str. 350:

Dwóch przyjaciół, żołnierzy niemieckich, czas wojny — jeden chory, leży w szpitalu w Monachjum i pewnej nocy ma sen, podczas którego wychodzi na podwórze i tu się budzi; we śnie widzi dokładnie przyjaciela swojego, jak na froncie stoi na czatach; przyjaciel na widok jego drży ze strachu, ale on uspakaja go i pyta, czy mnie nie poznajesz? Ach to ty, odpowiada tamten, cóż tu robisz? Na drugi dzień odrazu jeden drugiemu pisze, co to wszystko miało znaczyć? listy minęły się w drodze, jak o tem świadczą daty stempla; przyjaciel z frontu pisze, że najwyraźniej widział przyjaciela swego i słyszał głos jego.

Nie możemy sobie tego inaczej tłumaczyć jako tem, że duch chorego w transie sam porwał pewne cząstki ciała i widzialnie ukazał się przyjacielowi, poczem wrócił do ciała. Jest to już zbliżone do tzw. materjalizacyj, o których bliżej później.

Na tej podstawie możnaby wytłumaczyć zdolności hinduskich fakirów pokazywania się na odległość.

Swiadczy to znowu o nadzwyczajnej potędze ludzkiego ducha. B. charakterystyczny jest następujący przykład, Richet, str. 389; Pani Green w Anglji we śnie widzi dwie panie w powozie; naraz koń płoszy się i pada w wodę, topią się obie panie a kapelusze ich pływają po wodzie. Po pewnym czasie otrzymuje p. Green wiadomość z Australji, że jej siostrzenica, której zresztą osobiście nie znała, utopiła się razem ze swą

przyjaciółką i jak się okazało w okolicznościach, jak je p. Green widziała właśnie i to w tymsamym czasie, kiedy nastąpiła śmierć.

Świadczy to, że w transie niektórych snów nie istnieją dla ducha przeszkody przestrzeni ani czasu, w jasnowidzeniu oglądać on może zdarzenia odbijające się w energannie; że tu o takie odbicie się rozchodzi, a nie o duchy umarłych, o tem świadczy i to, że odbijają się i przedmioty martwe, podobnie jak przy zjawach ludzi umierających pokazuje się nietylko ich zmaterjalizowany duch, ale i ubrania, w których byli ubrani w chwili śmierci.

B. trudne do naturalnego wytłumaczenia są **sny i zjawiska prorocze.** Richet, str. 466: P. Łukawski, wyższy urzędnik z Petersburga śni w r. 1895, że duży okręt, na którym jedzie, ma zderzenie z innym, że wpada w wodę, obok niego w wodzie inny pasażer, wreszcie ginie przez utoniecie.

P. Ł. unika okrętów. Po kilku miesiącach otrzymuje rozkaz udania się na okręt „Włodzimierz" i okręt rzeczywiście zderza się z innym a p. Ł. ginie. Uratował się p. Henicke, który razem z p. Ł. wpadł do wody.

Richet, str. 484: W czerwcu p. Z. odwiedza przyjaciółkę swoją i w wyobraźni widzi obok niej nieznanego człowieka, który przyjaciółce topi nóż w prawym boku. Opowiada o tem prof. Lange a ten śmiejąc się zakłada się o 100 funtów szterl., że widzenie to się nie spełni.

Jesienią p. Z., składając znowu wizytę przyjaciółce, widzi ku przerażeniu swemu na schodach człowieka, którego w swym widzeniu oglądała z nożem obok przyjaciółki swej. Był to lekarz, który właśnie dokonał na przyjaciółce operacji lewego boku a ta dogorywała, kiedy p. Z. ją zobaczyła.

Tu wszelkie tłumaczenia są niewystarczające; mogą one tylko częściowo rozjaśnić tajemnicę podobnych wypadków, których Richet przytacza udowodnionych sporo. P. Ł. urzędnik marynarki nieraz mógł mieć obawę wypadku na morzu i dokoła tej myśli przez jasnowidzenie we śnie wytworzył się ów obraz, który się potem zrealizował.

Pani Z. przez jasnowidzenie odkryła chorobę w boku przyjaciółki, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Z chorobą związany jest lekarz i operacja, stąd dalsze szczegóły widzenia, które się spełniło.

W każdym razie dziwne wypadki, świadczące o tem, że duch człowieka i w przyszłość może niekiedy spoglądnąć, jakby była jakaś siła, która go niekiedy chce przestrzec, aby był przygotowany. Niekiedy ta siła ostrzegająca czy myśl czy obawa przybiera postać widziadła jakiegoś a to dlatego, że my myślimy prawie zawsze obrazami i uosobieniami. Niektórzy myślą, że są to duchy opiekuńcze zmarłych, dobrze nam życzących, lecz mogą być to uosobione obawy nasze i myśli ukryte w mózgu naszym. Któż zresztą wie? Pełne tajemnic i zagadek jest istnienie nasze!

Mówią ludzie; **przeznaczenie,** od którego się nie wywiniesz, gdzie twoja wola nic nie znaczy i wyciągają wniosek, że wszystko jest przeznaczone, że wogóle wola nasza nic nie znaczy. Jestem przekonany, że wiele rzeczy nam jest rzeczywiście przeznaczonych, czy przez dziedziczenie, czy przez wypadki, że wola nasza od wielu, b. wielu czynników jest zależna, ale stanowczo zadalekie jest posunięcie, które mówi o absolutnym przeznaczeniu i zaprzecza absolutnie wolności woli, uważając człowieka poprostu za automat.

Oby było jak najwięcej takich automatów jak człowiek, który sam stwarza automaty i maszyny posłuszne jego woli! Jest, bezsprzecznie jest, przynajmniej u normalnego człowieka, wprawdzie niewielki procent względnie wolnej woli, ale jest to czynnik tak ważki, że decyduje nieraz o wyniku. I jestem przekonany, że jasnowidzący, idąc w transie za wszystkimi szlakami sił powodujących, widzą też i ten czynnik woli człowieka i dopiero z takiego całokształtu mogą przewidzieć, jak będzie wyglądał koniec tej całej gry sił czyli samo zdarzenie.

Bo na tem polega **proroctwo,** że zna się i widzi wszystkie siły działające, podobnie jak metereolodzy przepowiadają dobrze pogodę, jeśli mają sprawozdania z różnych stacyj, jak i jakie idą wiatry i jak są rozmieszczone ciśnienia atmosferyczne. Nie mogą jednak przewidzieć, czy niespodziewanie z górnych warstw powietrza, gdzie nie ma stacyj, nie przyjdzie jaki wpływ, który naraz wszystko zmieni.

Kto z różnych oznak pozna charakter człowieka, ten w przybliżeniu może powiedzieć, jak się będzie układała przyszłość jego, ale b. wiele jest tu omyłek, ba oszustw a jeszcze więcej łatwowierności. Mądrze zresztą przyszłość jest nam zasłonięta a tylko od czasu do czasu natura tzn. wyższe siły nas ostrze-

gają przed niebezpieczeństwem czy to we snach naszych czy też przez innych ludzi, którzy lepiej od nas widzą. Przestrogi te mają na celu właśnie wpłynąć na naszą wolę a nie ją paraliżować, proroctwa więc nie zaprzeczają woli, ale ją uwzględniają.

Gdyby p. Ł., ostrzeżony przez sen, poczynił więcej zabiegów, toby go może śmierć nie była spotkała; gdyby przyjaciółka p. Z., ostrzeżona przez jej widzenie, była na pierwszy ból w boku odczuty albo jeszcze nawet przedtem szukała na czas pomocy lekarskiej, toby może była uratowała życie. Podobnie natura przestrzega i inne stworzenia; wiadomo, że zwierzęta instynktowo łatwiej przeczują trzęsienia ziemi, zmiany pogody, ostre czy łagodne zimy i t. p. Nie potrzeba im do tego żadnych duchów i taksamo przeczucia człowieka nie duchami są powodowane, choćby nawet człowiek te przeczucia widział jako obrazy i zjawy, bo człowiek wogóle wszystko uosabia, ale są to nieznane siły, któreby można u człowieka nazwać intuicją, jakimś wnikaniem w tajemnice, zakryte przed zwykłymi naszymi zmysłami.

Zjawiska te w każdym razie świadczą, że jest jakaś wyższa siła, która w razie koniecznej potrzeby wkracza w nasze życie, chcąc wpłynąć na nasze działanie. Choćby to była nawet jakaś nieznana nam siła organizmów, która tu działa przez dziwne przeczucia i to mówi o wyższej jakiejś inteligencji, która takie organizmy z takimi siłami stworzyła.

Do najciekawszych zjawisk medjumizmu należą tzw. **materjalizacje.** Polegają one na tem, że z uśpionego medjum wychodzi coś w rodzaju mgły, która następnie zagęszcza się i tworzy najróżniejsze formy, części ciała, ba całe postacie, zmieniajace nieraz zupełnie swój wygląd; postacie te mogą być fotografowane. Realność np. rąk takich stwierdzono ponad wszelką wątpliwość z pomocą rozgrzanej, płynnej parafiny. Zażądano od medjum, by ręka taka zanurzyła się w parafinie, położyła na stole, aż parafina ostygnie i oto pozostała na stole forma ostygłej parafiny w postaci rękawiczki; fluidyczna ręka nie mogła z takiej formy, nie naruszając jej, inaczej wyjść jak tylko przez jakieś rozproszenie się, bo inaczej szeroka dłoń byłaby zniszczyła wąskie przegięcie ręki. I rzeczywiście ręka taka uchwycona żywą ręką rozprasza się jak mgła, Richet, str. 701.

U postaci takich wyczuć można niekiedy nawet bicie pulsu

i serca. Raz na pewnym seansie jeden z obecnych niespodziewanie rzucił się i uchwycił w ramiona taką fluidyczną postać, ale w tej chwili przemożna siła rzuciła go na przestrzeń 6 m. w stronę medjum i oto okazało się, że trzyma w ramionach medjum samo, Richet, str. 707.

Wygląda to zatem tak, jakby postacie te były niby przedłużeniem samego medjum, w każdym razie z nim związane i wracają do niego. Richet, str. 687 wymienia dwa b. ciekawe zjawiska.

Dr Gibier, słynny fizjolog, dyrektor instytutu Pasteura w N. Jorku, robił doświadczenia z medjum, panią Salmon, w swoim własnym laboratorjum. Wstawiono p. S. do żelaznej zamkniętej klatki; na seansie poprzez kraty pokazują się najpierw ręce fluidyczne, potem całe postacie, wreszcie poprzez ciasne kraty przechodzi samo medjum i zwala się na ziemię nawpół martwe — zamki były nienaruszone.

Wstawiono teraz p. S. do drewnianej budki, ale i przez drzewo przechodzą podobne formy. Naraz zjawia się garść białej mgły wielkości jaja i z niej rozwija się kobieta, którą widzą dokładnie i dwie panie asystujące przy seansie; kobieta owa mówi po francusku, choć medjum po francusku nie mówi. Potem zjawia się postać silnego mężczyzny, którego mocną rękę ściska Dr Gibier i po pewnym czasie postać zapada się jakby w podłogę.

Dr Gibier przedsięwziął wszelkie środki ostrożności, by nie być oszukanym, sam będąc bardzo sceptycznie nastawiony wobec medjumizmu. Wogóle uczeni przy badaniach medjów są nadzwyczaj ostrożni; robią próby przeważnie w swoich laboratorjach, ze swoimi asystentami, medja muszą się zupełnie rozebrać i otrzymują nowe, zbadane ubrania, wypróżnia się im nieraz żołądek i bada włosy i wszystkie zagłębienia ciała a mimo to zjawiska powstają, tak że przekonywują i największych sceptyków. Nieraz zjawiska nie udają się zupełnie i to przez dłuższy czas, bo medjum nie zawsze ma w sobie potrzebną siłę.

Zjawiska te nie muszą być jakimiś duchami zmarłych, są one prawdopod. ucieleśnieniami myśli samego medjum, którego duch porywa cząstki własnego ciała, by obrazowym myślom swym nadać różny realny kształt. To, że owa fluidyczna pani mówiła po francusku, choć medjum języka tego nie

znało, jest znakiem, że duch medjum połączył się z właściwościami dusz obecnych, mówiących po francusku i poprostu przejął ich zdolność, wyżywając się w ich pamięci.

Zjawiskiem materjalizacji tłumaczyć można tzw. **telekinezje** czyli poruszanie przedmiotów na odległość, zdolność niezbicie stwierdzona u całego szeregu medjów, Richet, str. 638.

Tem tłumaczą się (Richet, str. 553) i owe ruchy stołów przy seansach, które podnoszą się, choć ciężkie, nieraz na znaczną wysokość; tem wyjaśninją się i owe pukania w stołach i różne znaki, tem również, niezbicie w kilku wypadkach stwierdzone, „strachy" w niektórych domach. Nieraz w domu takim albo w pobliżu znajdują się medja, które same o tem nie wiedzą, że są medjami, są to niekiedy nawet dzieci — wychodzi z nich jakaś siła, niekoniecznie ona musi być widzialna, i powoduje hałasy i „strachy", rzuca przedmiotami itp. Oczywiście jest tu dosyć sprytnych oszustów, ale są i autentyczne, stwierdzone wypadki.

Nie są to duchy, ale siły medjów, działające przez materjalizacje na odległość. Przecież i magnes na odległość porusza kawałki żelaza; są to jakieś niewidzialne a jednak materjalne fale czy promienie. Nieraz materjalizacje te występują w postaci promieni, jakby fosforycznych płomyków błąkających się po sali seansów, Richet,, str. 624.

Niedawno odkryto we Włoszech kobietę, u której z okolicy serca wychodzą czasem **jakieś** promienie. O czemż to znowu wszystko świadczy? Czyż nie o tem, że jest w nas jakaś potęga, która potrafi przekształcać nawet ciało i powodować jego zmiany? Czyż ta potęga nie będzie w stanie w chwili śmierci wziąć coś i z ciała, aby utworzyć sobie nowe ciało?

Przytaczam taki przykład, Richet, str. 443:

Pani Telechow znajduje się (rok 1880) w swoim salonie w Petersburgu, obok niej pięcioro jej dzieci i pies. Naraz pies zaczyna szczekać; oglądają się i widzą małego chłopca w koszulce, w którym rozpoznają chorego chłopca mleczarki, Andrzejka. Zjawa unosi się w powietrze, przechodzi ponad ich głowami i znika; pies lata za zjawą i szczeka. Okazuje się, że w tymsamym momencie Andrzejek umierał. Richet przytacza i inne podobne zjawiska.

Jaką potęgą jest duch, weźmy zjawiska **stygmatyzacji** jak np. u **Teresy z Konnersreuth.** Wiele zjawisk jest u niej

niepewnych, tem więcej że nie chce się poddać ścisłym badaniom. Jej odżywianie się tylko hostjami b. jest wątpliwe wobec podania faktów, że umie gotować znakomitą kawę. Kiedy powiedziano, że przytem musi przecież kosztować, odpowiedziano, że dzieje się to węchem. Nawet katoliccy duchowni badacze jak jezuita, ks. Siwek w wątpliwość podaje te objawy.

Niewątpliwą jest jednak stygmatyzacja tzn. występywanie krwawiących się ran. Duch Teresy (podobnych wypadków było więcej) tak się wmyśla w dzieje męki Chrystusowej, że ma to wpływ na ciało; czyż podobnych wpływów nie widzimy wszędzie i u siebie? Można sobie wymyślić chorobę i zapaść przez to na nią, można uwierzyć w wyleczenie i dostąpić wyleczenia siłą ducha itp.

Mówi się, że to **suggestja, histerja** itp. Zgoda! Ale są to właśnie wszystko zjawiska, przemiany, niech będą i choroby i nienormalności, jak niektórzy koniecznie chcą, ale one to powodują stępienie normalnych nerwów i wystąpienie transu, podczas którego działają siły ducha.

Kogo to wszystko nie przekona i nie uwierzy w te sprawozdania ludzi głębokiej wiedzy, fizjologów, sceptycznie zrazu nastawionych i badających z wszelkimi ostrożnościami, niech zwróci uwagę na to, czego dokonuje „normalny" duch ludzki przez głębokie myślenie swoje, któreśmy też nazwali pewnego rodzaju transem; wymieńmy tylko telewizję, gdzie również na odległość możemy widzieć jak owe medja, wymieńmy radjo, gdzie na odległość słyszeć potrafimy. Jakżesz głęboko duch ludzki przenika substancję i przemienia i kształtuje ją według swej woli.

Czyż nie świadczy to wszystko o jakiejś przepotężnej sile twórczej, świadomej siebie. Nazwijmy tę siłę materjalno-psychiczną czy psychiczno-materjalną, aby podkreślić jej materjalność, ale zaznaczyć też, że jest to jakaś specjalna siła odrębna od elektryczności, światła itp., psychiczna siła, największa siła, podmiot a nie przedmiot działania. Jest ona w obrębie świata materjalnego a jednak zajmuje specjalne, pierwsze miejsce, jest ona tym ośrodkiem jednoczącym i przekształcającym wszystko — to jest duch, prawo — causa — objawiający się w człowieku. Czyż taka siła może być zniszczalna? Czy z niej rezygnować może przyroda? Po co ta siła jest? Jaki ma cel?

Richet taki wyciąga wniosek na str. 814: „człowiek b. bli-

ski jest zwierzęcia, posiada tylko wyższy stopień inteligencji — oto wszystko. Ale przetwarzać materję, stawać się istotą przejściową (zjawą fluidyczną) i stwarzać przejściowe, żywe materjalizacje — to świat zupełnie nowy. Tu wchodzimy w sferę innych wielkości... tu człowiek nie należy już do świata zwierząt; wychodzi nawet ze świata mechanicznego, w którym się zwykle obracamy, świata, gdzie rządzą niepodzielnie chemja, fizyka a nawet metapsychika".

Tak mówi profesor fizjologji, zrazu b. sceptycznie nastawiony wobec wszystkich medjumicznych zjawisk, ale po długoletnich doświadczeniach dochodzący do powyższego wniosku.

Bardzo dużo dają mu do myślenia zjawy spirytystyczne, str. 803: „Prawdę mówiąc, niektóre zjawiska bardzo nas prą w kierunku wiary w dalsze życie umarłych. Dlaczegóż medja, chociaż wcale nawet nie czytały książek spirytystycznych i nie są wprowadzane w nauki spirytystyczne, odrazu uosabiają różnych umarłych? Dlaczegóż taka nowa zjawa potwierdza się z taką siłą i mocą a często z taką prawdziwością? Dlaczegóż oddziela się ona tak wyraźnie od osobowości medjum? Wszystkie słowa wielkich medjów przepojone są teorją nieśmiertelności. Może to tylko pozory, ale poco te pozory"?

Dochodzi do wniosku, że pamięci zmarłych były rzeczywistościami tak prawdziwymi, jak stwierdzone fakty historyczne, str. 806.

A jednak ostatecznie wnioskuje: kiedy mózg zniszczony, nie ma więcej myśli i oczywiście temsamem upada teorja nieśmiertelności, str. 804. Richet przypuszcza raczej, że istnieją we **wszechświecie, jakieś wyższe inteligencje, daimones** po grecku, demony i że to może one raczej, a nie duchy zmarłych ludzi działają przy zjawach spirytystycznych. Cytuję tu charakterystyczne słowa Richeta: „że istnieją siły inteligentne odmienne od człowieka, zbudowanego według zupełnie innego typu, to nietylko jest możliwe, ba bardzo prawdopodobne, możnaby nawet rzec pewne. Byłoby absurdem przypuszczać, że tylko nasza inteligencja istnieje w przyrodzie i że koniecznie każda siła inteligentna jest zorganizowana na wzór zwierzęcia czy człowieka, z mózgiem jako jej organem". Str. 816.

Rozważywszy jednak tę okoliczność, że demony te na seansach medjumicznych nic głębszego nam nie są w stanie objawić ponad to, co już wiemy, co już jest w umysło-

wości ludzkiej a przeważnie mówią nam o rzeczach banalnych, przeto ostatecznie i to tłumaczenie zjawisk obecnością demonów uważa za niedostateczne i kończy tak: „W rezultacie wierzę w tłumaczenie (hipotezę) nieznane, które należy do przyszłości, tłumaczenie, którego nie mogę sformułować, bo go nie znam" Str. 819.

Kończy więc zdaniem, że trzeba czekać, aż się zjawi jakieś nadzwyczajne medjum i jakiś genjalny uczony, który istniejące niewątpliwie dziwne zdarzenia i objawy potrafi ostatecznie wytłumaczyć, co będzie miało dla ludzkości decydujące znaczenie.

Co się tyczy największej wątpliwości prof. Richet'a, że duch ludzki nie może istnieć po zniszczeniu mózgu, to wyjaśniłem już poprzednio, że owszem duch stwarza sobie mózg a nie mózg ducha i dlatego ten duch istnieć może i po zniszczeniu mózgu. Wytwarza sobie zresztą ten duch za życia już dalsze możliwości istnienia, rzekłbym nowe ciało przez czyny swoje, odbijające się we wszechświecie. O ile duch tego „ciała" sobie nie wytworzy, nie uosobi się, to i ja sądzę, że taka siła ducha a raczej duszy wraca się bez odrębnej świadomości do źródła wszechistnienia, Boga, dokąd wracają nieuosobione siły życia (roślin, zwierząt) całej przyrody.

Nawiązując zaś do powyżej cytowanego zdania Richet'a o wyższych istotach inteligentnych, wyrażam przypuszczenie, że są to jednak istoty, które przeszły życie ludzkie, bo dlaczegóż dążą do tego, by się z ludźmi przez medja skomunikować, dlaczegóż zdradzają tyle tajemnic znanych ludziom? W przyrodzie nie mamy nigdzie szalonych skoków, jedno rozwija się ewolucyjnie z drugiego, powoli, systematycznie, konsekwentnie. Tak i te wyższe istoty inteligentne, duchowe mogły wyjść z ludzkiego ducha, mogą być połączeniem ludzkich duchów w nowe potężniejsze twory duchowe, na które to połączenie wskazuje już tu na ziemi nasza dążność do szukania i łączenia się z pokrewnymi duchami. Narzuca się nieodparcie myśl, że właśnie pełny **człowiek stanowi przejściowe ogniwo** pomiędzy światem zwierzęcym z jego duszą, psyche a owymi inteligencjami i ostatnią inteligencją wszechświata, Bogiem.

Z elementów świata anorganicznego, poprzez cudowny świat roślinny, z tajemniczych mroków instynktu świata zwierzęcego, **wstaje człowiek,** którego dusza przekształca się w oso-

bowość ducha, świadomego swego prapoczątku, władnie substancją i nieprzeparcie narzuca się mu myśl, że jest przeznaczony do wyższego życia. Dziwne objawy jak błyskawica oświetlają mu drogę do tego życia, to znowu chmury niepewności mu wszystko przesłonią, ale w głębi jego **ciągle się budzi pytanie: a jeśli jednak?...**

Z wysokości swej świadomości, ze swego wysokiego poziomu kieruje wzrok swój w przestworza **wszechświata** i tu szuka również **rozwiązania tej zagadki.**

Pyta się: pocóż to wszystko? Pocóż na tle wszechświata jestem ja sam? Jakież moje przeznaczenie?

Człowiekowi nieodparcie narzuca się pytanie: czy wszechświat, a z nim i ja, ma **jaki wyższy cel?** Wielu odpowiada, że wszechświat i człowiek są poprostu tylko po to, aby być, człowiek ma zadanie swoje tylko na świecie, na ziemi a nie w jakichś niepewnych wyższych światach. Powiedzieliśmy na początku tego rozdziału, że i przy takim nastawieniu możliwe jest pewne życie religijne — ale czy pełne? czy odpowiedź powyższa daje człowiekowi pełne zadowolenie? Widać, że nie, skoro człowiek ciągle myślą swą tę granicę przekracza, szukając dalszej, wyższej drogi.

Przedstawmy to obrazowo: Czemuż sadzisz jabłoń? Przecież ona i tak zginie! Tak, ale wyda owoc a sama nacieszy się słońcem, napije i skąpie w deszczu, nacieszy życiem; legnie pod toporem czasu, ale żyła a żyła szczytnie, jej życie było celem samym w sobie a pożyteczne i w gospodarce przyrody.

Takci i człowiek! Jakiekolwiek są trudności i cierpienia życiowe, jest w nim jednak i dużo słońca, piękna i dobra, ogromne wartości są w nim złożone; każdy człowiek ma cel sam w sobie, w swym wyżyciu się cielesnym i duchowym; ma cel i dla bliźnich i w gospodarce przyrody; po przejściu tego życia idzie na zasłużony odpoczynek wieczny. Czegóż szukać innego celu, czy w samym życiu nie ma dość wysokich celów, pocóż szukać ich poza życiem a przytem może zaniedbywać nieraz i celów samego życia a nieraz je wypaczać i zniekształcać dla jakiejś idei?

Odpowiedź ta sama w sobie jest logiczna i mądra, wcale nie pozbawiona wyższych dążeń; zgodzić się może na nią i wielu tych najszlachetniejszych. A jednak nie jest ona zupełnie zadowalającą!

Człowiek czuje się, i to zupełnie słusznie, najistotniejszą i najważniejszą cząstką wszechświata i ma świadomość, że tylko z punktu widzenia wszechświata może rozwiązać zagadkę istnienia swego.

Człowiek stoi w centrum wszechświata, on jest jego zagadnieniem a wszechświat jest na to zagadnienie odpowiedzią!

Że świat ma jakiś cel, to chyba jasne z tego, że ma swoją przyczynę, causa, jako powiedzieliśmy; **gdzie jest przyczyna tam jest i cel**; nierozłącznie te dwa pojęcia są ze sobą związane.

Celem wszechświata jest bezsprzecznie wytworzenie człowieka i na ziemi i na innych ewent. gwiazdach. Choć zakrawa to na megalomanję, zarozumiałość człowieka, ale tak temu jest; kto się nad tem bliżej zastanowi, temu ta myśl nieodparcie się narzucić musi.

Czyż nie narzuca się nam tu konieczność przypuszczenia, że wszechświat ma dać możność ucieleśnienia się myśli Bożej, przedewsz. tej myśli, jaką m aBóg z człowiekiem? Wszechświat substancjalny jest podstawą przekształcenia się duszy w ducha, to początek nowych istot duchowych jeszcze wyższych, stojących bliżej Inteligencji wszechświata. Człowiek jest jednym z najważniejszych ogniw tego szalonego kręgu, jakim jest wszechświat z jego najwyższą Inteligencją. Toteż na koniec kierujemy teleskop swój **w kierunkn tej Inteligencji**, bo czujemy, że tu jest jako w **Istocie wszechświata, ostateczna odpowiedź na naszą zagadkę.**

Jeśli jest Bóg, któregośmy określili jako tę najzupejniejszą pełnię wszystkiego, a inaczej nasza myśl religijna Go pojąć nie może, wtedy jest rzeczą niemożliwą, aby pełny człowiek ta najistotniejsza istota substancjalnego świata był śmiertelny, może on być, jako stojący w najbliższym związku z nieśmiertelną Inteligencją wszechświata, tylko nieśmiertelny. **Zagadnienie nieśmiertelności jest więc ostatecznie ściśle związane z zagadnieniem istnienia Boga.**

Pewnie że tego Boga in flagranti nie chwycimy nijak i na oczy nikomu Go nie postawimy. Wszystko zależy tu od nastawienia człowieka. Są ludzie, do których nie trafi żaden dowód istnienia Boga; oni nie potrzebują religji. Choćbyśmy takim Boga i na oczy postawili, to powiedzą, że się ich oczy mylą.

Niekiedy tylko głucho odezwie się w nich coś: czy jednak za tą tajemnicą nie ma czegoś?! Ale odpędzą od siebie te myśli. Dużą winę ponoszą tu systemy rel., które mnogim zbrzydziły do ostateczności pojęcie Boga!

Są jednak inni, **którzy pragną dać życiu głębszą podstawę**, słuchają wszystkich świadków i oto wnet znajdą nić, która ich doprowadzi do wątka sprawy; wyrobiwszy w sobie w ten sposób ducha, wszędzie teraz Ducha widzą i znajdą nie jeden, ale mnóstwo przekonywujących dowodów.

Kto niema inteligencji, ten nigdzie inteligencji nie odkryje; kto nie ma ducha, ten w Boga nie uwierzy; kto niema pragnienia nieśmiertelności, tego nic nie przekona.

Dużo jest jednak niepewnych i wahających się i dlatego trzeba podwoić wysiłki; badać, szukać prawdy, by można nawet „i pewnych" siebie „materjalistów" skierować na drogę ducha i pogłębić ich kulturę.

Któż się tymi badaniami ma zająć? Czy np. medjumizm ze **spirytyzmem** jest dla szerokich warstw, **czy może być podstawą jakiejś religji**, jak to np. widzimy dziś w Anglji, gdzie spirytyzm utworzył poprostu nowy kościół, podobno z 2 miljonami wyznawców?

Uważam oddawanie się spirytyzmowi dla wielu ludzi wprost za niebezpieczne i dla ich umysłu i dla ich religji. Tylu jest oszustów pomiędzy medjami, że trzeba już wprawnych badaczy, a by się nie dać oszukać. Dalej olbrzymią większość zjawisk rzeczywistych człowiek nauki potrafi wytłumaczyć naturalnie znanymi prawami przyrody a niefachowiec wszędzie będzie widział duchy zmarłych i może popaść, jak się to nieraz zdarza, nawet w rozstrój nerwowy.

Przedewszystkiem jednak religja nie jest łącznością człowieka z duchami umarłych, ale z Bogiem, źródłem naszego istnienia i naszej siły wewnętrznej. A o tym Bogu i wyższym życiu prawie nic nam owe „duchy" spirytystyczne nie mówią.

Z tego powodu **spirystyczna religja spada do rzędu religij ludów pierwotnych**, które wszędzie widzą duchy i boją się ich lub je też uwielbiają. W niektórych religjach pogańskich rozchodzi się przeważnie o cześć oddawaną duchom przodków, są to tzw. religje animistyczne (anima = dusza).

Z tego niskiego stanu wyzwolił religję monotheizm, wiara w jednego Boga, jako nam ją dali prorocy izraelscy a potem

w najdoskonalszej formie Chrystus. **Chrystus** sam był najpotężniejszym może **medjum**, jakie kiedykolwiek istniało; wiele poszlak tego znajdujemy w ewangeljach; w swoich transach, tzn. głębokich modlitwach i głębokim religijnym myśleniu wniknął najgłębiej w istotę Ducha i duchów; modlitwę i szukanie prawdy wskazuje nam jako jedyną drogę, która nas wyswobodzi.

On powiedział, „gdzie dwóch albo trzech zebranych w moim imieniu, tamem jest w pośrodku nich", to są **najlepsze seanse, Chrystus jest jedynym pośrednikiem między nami a światem Ducha i duchów.** Łącznośćci z tym medjum szukajmy a odsłoni się nam świat Ducha jak nigdzie indziej.

Sądzę, że myśl zależności komunikacji umarłych z żywymi przez medja, przeważnie oszukańcze jest wprost nieznośna i niebezpieczna, natomiast wierzę, że **umarli na nas wpływać mogą** i wpływają przez **nasz własny trans,** przez nasze głębokie, etyczne myślenie.

Nie znaczy to jednak, byśmy zupełnie zaniedbali medjumizm. O ile więc zauważymy jego objawy, trzeba o tem uwiadamiać naukowe towarzystwa, które się obecnie utworzyły prawie we wszystkich krajach; interesujmy się też sami i innych wynikami tych badań.

I ze **zmarłymi łączność** też powinniśmy zachować, ale nie ową fantastyczną łączność niebezpiecznego spirytyzmu, owszem raczej w formie pamięci o zmarłych tzw. **pietas;** szanujmy ich pamiątkę, uczmy się z ich życia; nadsłuchujmy, co nam chcą powiedzieć przez nasz głos wewnętrzny, przez nasze etyczne poczucie; wzywają nas, by naprawić zło, które mogło po nich pozostać i pomóc im wznieść się w wyższe sfery.

Pielęgnujmy miejsca ich spoczynku i zwiedzajmy je; jak wyraźna ich mowa! Tu niech z nas opada zbytnia gorączka życia, która tak bardzo trawi dzisiejsze społeczeństwa; tu kierujmy ducha swego w inny świat, do którego i my niedługo będziemy należeć.

Z cmentarzy wynośmy wyższe zrozumienie życia i według tego też nastawmy nasze codzień. To będzie nasze zmartwychwstawanie, które ukoronowane będzie nowym życiem.

Nasuwa się nam tu pytanie, **jak to nowe życie poza grobem może wyglądać?**

W ostatnich czasach urządza się u nas wycieczki zbio-

rowe pociągami w nieznane — nie powiada się, dokąd się jedzie i to ludzi właśnie pociąga. **Taką podróżą w Nieznane** jest nasza droga w wyższy świat. Pismo określa to tak, 1 Kor. 2, 9: „Czego oko nie widziało i ucho nie słyszało i na serce ludzkie nie wstąpiło, to nagotował Bóg tym, którzy Go miłują".

Z pewnością jednak i myśli nasze i czyny ziemskie będą miały bardzo wielki wpływ na dalsze ukształtowanie się przyszłego życia — „Uczynki ich idą za nimi" Obj. 14, 13; życie nie zna nigdzie skoków przez przepaście; wszystko rozwija się jedno z drugiego, tak i nasze przyszłe życie rozwinie się ze ziemskiego.

W wieczne jakieś **piekło** jednak bezwarunkowo nie można wierzyć. Uważam to wprost za obelgę Boga, by Mu przypisywać takie okrucieństwo, jako je przedstawia np. Apokalipsa, której autor z jakimś sadystycznym upodobaniem maluje te krwawe obrazy i zakaził nimi życie religijne na całe stulecia. Dziękuję wprost za takiego Boga, jak Go ma na myśli owo „objawienie!" Musiałby Bóg być najwyższą niesprawiedliwością, gdyby tak chciał karać.

Mówi się, że postrach tu jest konieczny, aby prosty lud trzymać na wodzach — Ale, spuśćmy już raz na próbę tę „bestję" z łańcucha a przekonamy się, że może nieraz ona właśnie dlatego niekiedy kąsa, że się ją na łańcuchu trzyma a nie rozwija się jej duszy w siłę ducha. A możeby raczej tym łańcuchem pogrozić innym? a nie prostemu ludowi, który na ogół ma litościwsze serce i głębsze poczucie ludzkości niż „wyżej" stojący i kąpiący ducha w świetle „oświecenia" a ciało w dostatkach, zapracowanych krwawicą ludu! „Biada wam, faryzeusze obłudni... albowiem cięższy sąd odniesiecie" Mat. 23, 14.

Co Chrystus sam uczył o karze pozagrobowej, to trudno dziś wywnioskować, gdzie wiele jego słów w ewangeljach jest tak niepewnych. Opowieść o bogaczu w piekle i Łazarzu ma tylko ewangelista Łukasz w r. 16 i jest to tylko podobieństwo. Mat. 5, 30; 18, 8; 35, 41, 47 znajdujemny nieliczne słowa Chrystusa o ogniu piekielnym „zgotowanym djabłu i aniołom jego" i „pójdą ci na męki wieczne, ale sprawiedliwi do żywota wiecznego;" odnośne jednak słowo w ewang. Jana 5, 29 brzmi: „i pójdą ci, którzy dobrze czynili na powstanie żywota; ale ci, którzy źle czynili, na powstanie sądu" (którym niekoniecznie musi być wieczne piekło).

Niepewne więc to są słowa a choćby nawet niestety były pewne, to należą one do bardzo nielicznych omyłek Chrystusowych, podobnie jak np. Chrystus omylił się co do prędkiego wtórego przyjścia swego. Przyjmując cały nadzwyczaj dodatni program Chrystusowy, nie musimy przyjmować jego omyłek; jak już odrzuciliśmy jego werbalną inspirację Pisma, tak zmuszeni jesteśmy odrzucić i wiarę w wieczne piekło z jego djabłami, bo pojęcie to absolutnie nie zgadza się ani z pojęciem dobrego ani sprawiedliwego Boga.

Niemniej jednak wierzę, że **jakieś oczyszczenie złej świadomości,** złego sumienia będzie musiało w przyszłym życiu nastąpić. Może człowiek będzie musiał czekać na tych, przeciw którym zgrzeszył, aby z nimi rozwiązać, czego nie rozwiązał na ziemi i pokutować dotkliwie za swą pychę, nie mogąc się wznieść we wyższe sfery ducha. Może będzie musiał cierpieć, aż się wypali na ziemi to zło, które przez niego zostało spowodowane a nie naprawione. Naprawa ta dokonywać się może i przez nas, dzięki i tym dobrym siłom, które przodkowie w nas zostawili w spuściźnie, tak że niejako oni sami przez nas to zło naprawiają. We wszystkich nas jest to pragnienie, by na pamięci przodków naszych nie ciążyły żadne plamy, ale by była ona najświatlejszą. Nieraz się zdarza, że z jakąś wyższą siłą narzuca się nam pamięć błędów z historji rodu czy narodu i prze nas ku naprawie. Nieraz i sny mają tu swe znaczenie. Czyż to nie jest może oddziaływanie na nas w tych transach świadomości zmarłych?

Ostatnie życzenia umierających idą przeważnie w kierunku pojednania i naprawy złego. Jest to instynktowny zachowawczy pęd przyszłego już życia.

Nie wierzę, by dla pokuty duch człowieka musiał wracać znowu w ciało ludzkie czy nawet ucieleśniać się w zwierzętach; jest to tzw. **wędrówka dusz,** którą rozwinął hinduizm a za nim buddyzm. W nowym ciele człowiek tylkoby przysporzył nowych grzechów i pokuta jego nigdyby się nie mogła skończyć. Ciało zwierzęce z mniejszym mózgiem zupełnie też jest niewspółmierne duchowi ludzkiemu, by mógł on w nim zamieszkać. Dosyć sposobności oczyszczenia będzie mógł mieć duch w wyższym życiu, tak że nie musi wracać w ciało ludzkie.

Niektórzy dlatego wierzą w wędrówkę dusz, ponieważ myślą, że jeśli duch jest wieczny, to zawsze musiał być a nie-

mógl być indziej, jak w ciele ludzkim. Ale przecież był czas, kiedy ludzi wogóle niebyło i przyjdzie czas kiedy ich, tzn. ciał ludzkich, znowu nie będzie!

Człowiek istniał zawsze jako myśl Boża, podobnie jak dom istnieje w planie, przed jego wybudowaniem; ale kiedy przychodzi czas, wtedy człowiek staje się rzeczywistością.

I jeszcze raz na koniec pytamy: po co? czyż tylko dla jakiejś zabawki Bożej się to dzieje? czy to tylko przypadkowa gra ślepych czynników? Wprost namacalne są dowody, bo mamy je w samych sobie i tuż koło siebie, tylko je trzeba odczytać, że **celem naszym i przeznaczeniem jest nieśmiertelność**. Ona jest potrzebą i radością ducha naszego.

Nauczono nas tylko drżeć przed Bogiem; dlatego wielu wydaje się myśl nieśmiertelności wprost straszną. Chrystus przedstawiał nam Boga jako Miłość; zbliżenie się do takiego Boga, po złożeniu ułomnego ciała, może być tylko wypełnieniem najgłębszych pragnień i potrzeb życia naszego.

Uczucie zjednoczenia z Bogiem, może człowiek w wyjątkowych stanach osiągać i za życia w ciele; stan ten obejmujemy ogólną nazwą **mistycyzm**, o którym tu na koniec pomówimy.

Mistycyzm jest również transem, tylko że w tym transie duch człowieka wyżywa się nie w możliwościach własnego i innych ciał czy świadomościach innych osób, ale wyżywa się we Wszechświadomości, w Bogu.

Mistycyzmu pełne są dzieje każdej niemal religji; wszyscy prawie założyciele religij, nie wyłączając również Chrystusa, byli mniej lub więcej mistykami, mieli chwile uczucia zlewania się z Bogiem, p. str. 27.

Z najnowszych czasów przytoczę przykład jako go opisuje Flournoy „Une mystique moderne“ Archiv de Psychologie, tom 15, str. str. 1:

Cecile Ve w 17 r. życia została zgwałcona. Wychowana bogobojnie, inteligentna, z dobrej, nieobciążonej rodziny. Odtąd w usposobieniu jej powstaje rozłam. Od czasu do czasu budzi się namiętność, czuje się wtedy zupełnie inną niż zwykle. Do 30 r. życia „szatan“ miał przewagę. Następuje „nawrócenie“, które przyniosło rozkwit moralnej jaźni a namiętność tylko od czasu do czasu się głosi.

W r. 1912 w jej jaźni wyłania się „duchowy przyjaciel“ mający wybitne cechy charakteru ojca i wpływ nauk wiary.

To wszystko potąd jest wytłómaczalne siłą personifikowania i obrazowania, jak o tem mówiliśmy na str. 203.

Ale oto pewnej nocy, po raz pierwszy, Cecylja traci zupełnie przytomność ciała i jaźni (trans) i czuje się zupełnie przejętą, przesiąkniętą przez Boga. (Ekstaz takich Cecylja opisała 31).

Cec. nie przeżywa teraz rozmów, jak potąd z „przyjacielem“, przy których zachowuje jaźń, owszem ta jaźń się traci w Boskiej rzeczywistości. Boga odczuwa jako coś ponadosobowego, ponadmoralnego a jednak realnego.

Bardzo ją boli, że te ekstazy stoją w związku ze zmysłowością; objawiają się one w czasach podniecenia seksualnego w odstępach 7 dniowych. O ile słowa Boga opisać mogą, to w wizjach stoi On ponad czasem, przestrzenią, dobrem i złem a jednak jest najpewniejszą rzeczywistością, światłością i siłą, tak że ogarnia ją fala podziwu i uwielbienia. Ekstazy te budzą b. często silne seksualne podniecenie.

Tłomaczy to sobie ona tem, że wielkie siły życia, Bożego i cielesnego, mówią tymsamym językiem; tu i tam jest potrzeba najbezpośredniejszego zetknięcia i przeniknięcia się...

W dziwny sposób widzimy tu splecione objawy życia seksualnego z objawami uczucia i poznania religijnego, zresztą połączenie to przejawia się w bardzo wielkiej mierze u wielkiej liczby mistyków na tle abstynencji płciowej a w wyjątkowych wypadkach nawet nadmiernie rozwiniętego życia seksualnego. **Seksualizm** też we wszystkich religjach ogromną odgrywa rolę.

Miałem przygotowany osobny rozdział w tej materji, nie da się on jednak pomieścić w ramach tej pracy i musiałem go skreślić. W ciągu tej pracy poruszałem niekiedy ten temat p. str. 26, 27, 33, 104, 120, 147, 153, 206, 179, 180, 182 (później o małżeństwie).

Tu chciałbym podkreślić to, że życie seks. i duchowe stoją ze sobą w b. ścisłym związku. Popęd seks. jest u człowieka źródłem miłości i chrześcijaństwo jako religja miłości popędu tego nie może przekreślać jako coś samo w sobie grzesznego, owszem musi się nań patrzeć jako jeden z największych Bożych darów, przez który nas Bóg czyni współpracownikami w dziele stworzenia.

Jasną jest rzeczą, że pęd seksualny w społeczeństwie

kulturalnym nie może rosnąć jako dziczka, ale musi się poddać działalności kultury, by wydawać jak najszlachetniejsze owoce; **kultura ta i religja jednak nie śmie też ciąć żywotnych pędów seksualnych.**

Wolna m. rel. jako **ogólną zasadę** stawia: gdzie ludzie dobrowolnie się umówią na wyżycie seksualne **bez** naruszenia **słusznych** praw osób trzecich, tam niema grzechu, owszem grzechem i nierozsądkiem jest takie wyżycie seks. potępiać i hamować i powodować tem schorzenia, prowadzące nieraz do zupełnego wykolejenia jednostek i społeczeństw.

Rzeka w okolicach kultury ludzkiej musi być ujętą w regulację, ale nonsensemby było chcieć zatamować bieg rzeki — zaleje wszystko!

Nowoczesna myśl rel. nie śmie stawiać przeszkód w uregulowaniu dzisiejszych ciężkich bolączek wyżycia seks. w duchu rozumu i słuszności.

Religja musi umieć ująć pęd seksualy i podnieść go do wyżyn religijnego umiłowania piękna, dobra i prawdy tj. Boga.

Tak pęd seks. będzie czynnikiem nieśmiertelności na ziemi, utrzymując przy życiu ludzkość i będzie czynnikiem religijnym, jednocząc ludzkość w duchu miłości a podnosząc człowieka ku Bogu Miłości, będzie czynnikiem nieśmiertelności ducha.

Zakończmy ten rozdział wyjątkami z **mistycznego obrazu Mickiewicza**, przedstawiającego wrażenia ducha, łączącego się z Bogiem w **nieśmiertelności**; tytuł jego „Widzenie":

Dźwięk mnie uderzył... Nagle moje ciało,
Jak ów kwiat polny, otoczony puchem,
Prysło, zerwane anioła podmuchem,
I ziarno duszy nagie pozostało...
I zdaje mi się, żem się nagle zbudził
Ze snu strasznego, co mnie długo trudził.
I jak zbudzony ociera pot z czoła,
Tak ocierałem moje przeszłe czyny,
Które wisiały przy mnie jak łupiny
Wokoło swieżo rozkwitłego zioła.
Ziemia i cały świat, co mię otaczał,
Gdzie dawniej dla mnie tyle było ciemnic,
Tyle zagadek i tyle tajemnic,
I nad którymi jam dawniej rozpaczał:
Już w nim ujrzałem wszystko w głębi, na dnie,
Jak w ciemnej wodzie, na którą blask padnie.
Teraz widziałem całe wielkie morze,

Płynące z środka, jak ze źródła, z Boga.
A w niem rozlana była światłość błoga
I mogłem latać po całym przestworze,
Biegać jak promień przy boskim promieniu
Mądrości bożej; i w dziwnem widzeniu
I światłem byłem i źrenicą razem.
I w pierwszym, jednym rozlałem się błysku
Nad przyrodzenia całego obrazem:
W każdy punkt moje rzuciłem promienie,
A w środku siebie, jakoby w ognisku,
Czułem odrazu całe przyrodzenie.
Stałem się osią w nieskończonem kole...
Sam nieruchomy, czułem jego ruchy;
Byłem w pierwotnych żywiołów żywiole,
W miejscu, skąd wszystkie rozchodzą się duchy
Świat ruszające, same nieruchome,
Jako promienie, co ze środka słońca
Leją potoki blasku i gorąca,
A słońce w środku stoi niewidome.
I byłem razem na okręgu koła,
Które się wiecznie rozszerza bez końca
I nigdy bóstwa ogarnąć nie zdoła.
I dusza moja, krąg napełniająca,
Czułem, że wiecznie będzie się rozżarzać,
I wiecznie będzie ognia jej przebywać;
Będzie się wiecznie rozwijać, rozpływać,
Rosnąć, rozjaśniać, rozlewać się, stwarzać,
I coraz mocniej kochać swe stworzenie
I tem powiększać coraz swe zbawienie...

ZŁO I CIERPIENIE A ZBAWIENIE.

W ostatnich zdaniach poprzedniego rozdziału mówiliśmy o cierpieniu za zło; trzeba nam teraz przejść do tego problemu, bo jednym z najważniejszych zagadnień religijnych jest zło i wyzwolenie z niego przez tzw. zbawienie, które obiecuje w mniej lub więcej doskonały sposób każda religja.

Bezsprzecznie **źródłem pojęcia złego jest cierpienie.** Gdyby cierpienia nie było, toby człowiekowi ani na myśl nie przyszło, że istnieje zło, grzech, że mogą istnieć jakieś moce powodujące zło i grzech.

Cierpienia jest bezmiar ogromny i cała trudność tego rel. zagadnienia polega na tem, jak istnienie cierpienia i zła pogodzić z pojęciem mądrego i dobrego Boga. Jeśli bowiem Bóg jest dobry i mądry, to czemuż tego świata nie urządził tak, aby cierpienia nie było albo przynajmniej nie było go tak dużo a z drugiej strony, jeśli cierpienie powodowane jest przez jakieś zło a raczej przez jakiegoś złego czyli szatana, to gdzież jest moc Boża, która tego złego szatana nie może poskromić? Istnienie cierpienia zdaje się więc na pierwszy rzut oka zaprzeczać czy mądrości i dobroci czy też mocy Bożej.

Przez zagadnienie cierpienia pociąga więc człowiek niejako Boga do usprawiedliwienia się z tego cierpienia — dziwny zaiste stosunek: z jednej strony według wiary **Bóg pociąga człowieka do usprawiedliwienia się za grzech** a z drugiej strony **człowiek pociąga Boga do usprawiedliwienia się za cierpienie, które zrodziło pojęcie grzechu.**

Różne są odpowiedzi różnych religij na te trudne zagadnienia: **Naturalne religje** pogańskie przyjmują **bogów dobrych,** którzy człowiekowi błogosławią **i bogów złych,** którzy człowiekowi szkodzą i zsyłają cierpienia. Jest rzeczą jasną, że bogowie tacy są poprostu uosobieniem sił, panujących w przyrodzie a z boskością jako taką nie identyczne.

Zagadnienie cierpienia i grzechu głęboko roztrząsała już na 2000 lat przed Chrystusem **religja hinduska a za nią**

Budda, założyciel nowej religji, liczącej acz w znacznie zmienionej formie, po dziś dzień około 500 miljonów wyznawców.

Budda uczy, że cierpienie i zło powstaje przez **wtargnięcie zmysłowości w naszą duszę;** jest takich dróg, którymi to stać się może, dwanaście. Ale czy możemy sobie wogóle wyobrażać życie bez zmysłów i zmysłowości? Dlatego też Budda uważa cierpienie za **konieczność procesu życia.** Zróbmy porównanie: Budda wyobraża sobie życie jako proces palenia; płomień powoduje ból; póki się pali życie, póty jest ból. Kiedy się życie zupełnie wypali tak jak świeca, wtedy ustaje cierpienie i nastaje nirwanna, nicość, w której nie masz już więcej cierpienia. I Boga, jakośmy już rzekli, Budda wyobraża sobie jako nirwannę, jako nicość, bezwzględny kamienny spokój.

Ale myliłby się, ktoby myślał, że Budda naturalną śmierć uważa za przejście do nirwanny a temsamem za wyzwolenie się z cierpienia. Budda uczy, że przeważnie ludzie umierający mają jeszcze jakieś pragnienia czyli że życie jeszcze się w nich nie wypaliło zupełnie i dlatego ich dusze będą musiały wrócić jeszcze na ziemię i żyć w innym ciele; jeśli sercem ich miotały grzechy i namiętności, to muszą przejść nawet w ciała zwierząt **(wędrówka dusz)** i tak długo będą musiały **wędrować, aż się wypali w nich wszelkie życie** i związane z nim pragnienia, na wszystko będą bezwzględnie obojętni, kiedy już nawet zbawienia swego pragnąć nie będą — oczywiście jest to martwota kamienia, którą Budda stara się sprowadzić przez przeróżne umartwienia, ćwiczenia, rozmyślania w klasztorach, odcięcie się od życia. Cała pierwotna religja buddyjska zajmuje się tylko cierpieniem i usunięciem go przez unicestwienie pragnień życia.

Druga wielka religja wschodu, **religja Zaratustry,** która wielki wpływ wywarła na religję izraelską podczas niewoli babilońskiej, uczy o bogu światłości i o bogu ciemności; pierwszy pomaga ludziom, drugi szkodzi. Obaj mają do dyspozycji wojska duchów, dobry dobrych a zły złych. Stąd dostała się do religji żydowskiej a potem chrześcijańskiej **wiara w szatana,** jako twórcę złego i cierpienia, nieprzyjaciela człowieka. Ale jasną jest wtedy rzeczą, że tu upada monotheizm, wiara w jednego Boga, skoro przyjmuje się wiarę w szatana jako niemal przeciw-Boga, który Bogu ciągle psoci i psuje szyki Jego. Próbuje się ten monotheizm ratować w ten sposób, że ostatecznie

Bóg zwycięży i zniszczy szatana. Znaczyłoby to, że dopiero będziemy mieli monotheizm, ale go jeszcze nie mamy. Wiara w szatana jako źródło cierpienia i złego nie da się pogodzić z wiarą w jednego Boga. Stąd też św. Augustyn, największy myśliciel starożytnego kościoła, cierpienie uważa poprostu nie za rzeczywistość, ale za cień, na tle którego dopiero zrozumieć i odczuć możemy radość i szczęście. Takie tłumaczenie mija się jednak z rzeczywistością, bo cierpienie nie jest bynajmniej cieniem, ale rzeczywistością i to bardzo dotkliwą, ba tragiczną.

Musimy prawdzie spojrzeć prosto i odważnie w oczy bez wszelkich uprzedzeń filozoficznych czy religijnych a dopiero na podstawie rzeczywistości wysnuć ewent. wnioski religijne.

Cóż mówi **nauka o cierpieniu?**

Cierpienie jest objawem psychicznym tzn. jest stanem duszy, odczuwającej za pomocą nerwów boleśnie wszystko to, co niszczy życie. Cierpienie jest zatem wszędzie tam, gdzie są nerwy w jakiejkolwiek postaci i gdzie jest niszczone życie czyli że **cierpienie jest nieodzownym następstwem procesu życia,** jako je znamy na ziemi — **niema życia bez cierpienia** i nie ma cierpienia bez życia.

Czyż Bóg mógł urządzić życie bez cierpienia?

Z dwóch powodów zdaje się, że nie.

Po pierwsze: gdyby nerwy nie reagowały boleśnie na każde niebezpieczeństwo zagrażające życiu, toby to życie musiało być wnet zupełnie zniszczone; gdyby nas np. płomień nie palił boleśnie, toby nas łatwo spalił zupełnie, bobyśmy nie uciekali przed nim. **Cierpienie jest** tu więc **ochroną życia**. Najniebezpieczniejsze są właśnie te choroby, których początku nie odczuwamy odrazu boleśnie, bo się im z tego powodu nie bronimy zawczasu. Cierpienie chroni życie, ba co więcej **jest podnietą w rozwoju życia,** bo życie, napotykając przeszkody wzmacnia i hartuje się jak stal, staje się odporne i silne. Gdzie są trudne warunki życia, tam najtężsi ludzie, gdzie wszystko łatwo przychodzi, tam leniwieją.

Cierpienie jest więc tu wprost mądrym urządzeniem natury a **nagradzane jest obficie radością życia,** idącą z przezwyciężania przeszkód i niebezpieczeństw.

Przyroda dała nam też **dostatecznie silne nerwy, abyśmy to cierpienie,** związane z procesem życia, **znieść mogli,** babyśmy nawet mieli z niego **źródło zadowolenia, bo** gdyby

nie było cierpienia, tobyśmy wogóle nie mogli poznać radości i zadowolenia a wyobraźmy sobie, coby było za życie bez cierpienia i bez radości?! — najokropniejsza nuda! Tylko znudziali ludzie mogą tęsknić za takim stanem; ludzie z krwi i kości i z nerwami żywymi szukają nawet przygód i niebezpieczeństw, bo ich natura prze do tego; ba są ludzie, którzy wprost lubią cierpienie i cierpieniem się podniecają do wywołania radości i zadowolenia. „W niebezpieczeństw wiry skaczą bohatery" Mickiewicz.

Gra w szachy z bardzo słabym przeciwnikiem nie daje najmniejszego zadowolenia; cóżby to była za gra w piłkę nożną, gdyby np. wogóle nie było przeciwnika? Można wtedy strzelać bramkę po bramce, ale bez najmniejszego zadowolenia.

Inteligencja wszechświata zadaje umiłowanemu swemu dziecięciu, człowiekowi, trudne zadania do rozwiązania, umyślnie trudne, aby się człowiek na nich kształcił i znalazł w tem zadowolenie.

Doświadczenie też wskazuje, że gdzie nie ma oporu, tam nie ma postępu; pociąg na absolutnie gładkich szynach nie ruszy wogóle naprzód.

Bez przeciwieństw i cierpienia nie ma postępu.

Widzimy to i na polu moralnym: ludzie, którzy nic nie przeszli w życiu, żadnego cierpienia, nie są dobrzy, nie są miłosierni.

Z pow. powodów Bóg nie mógł poprostu urządzić życia bez cierpienia, bo cierpienie jest ochroną, jest podnietą życia.

Poważniej jednak przedstawia się zagadnienie cierpienia tam, gdzie ono już jest nie ochroną i podnietę, ale **zniszczeniem życia,** powodującym konanie i śmierć. Tu należą wszystkie tak liczne i tak bardzo nieraz bolesne choroby. kalectwa, nieszczęśliwe śmiertelne wypadki, tu należy straszna walka o byt, jaki się toczy w całej przyrodzie a u ludzi nazywa się straszną wojną na codzień i wojnami narodowymi. Któż potrafi słowami objąć cały ten ogrom cierpienia, które płynie z tych głębokich źródeł?

Jak to wszystko zrozumieć, jak to wszystko usprawiedliwić?! Czyż może jest jaki sposób, by te obfite źródła łez i krwi zatkać?

Czyż tak musi być? Widocznie w **pewnej** mierze tak, skoro tak jest! **Dlaczego tak jest?**

Natura dąży do ciągłej zmiany; celem tej zmiany jest osiągnięcie jaknajsilniejszych, najtęższych pracowników w jej gospodarce, przyczem to, co się zestarzało i osłabło musi ustępować miejsca młodszym i zdrowym. To jedno. A drugie, natura na wszelkie katastrofy niszczące musi być przygotowana, dając stworzeniom niesłychaną wprost nieraz **płodność,** by ewent. w razie potrzeby mogły wypełnić wszystko — natura nie znosi próżni, nie znosi miejsc niezamieszkałych! Jest to dobry gospodarz, który wszystko zużytkowuje.

Ponieważ jednak w normalnych warunkach bez katastrof, bezograniczone rozmnażanie się jednego gatunku stworzyłoby jednostronność, przeto **przyroda reguluje rozmnażanie** potrzebnych gatunków przez **śmiertelność,** stwarzając jednemu gatunkowi nieprzyjaciela w innym gatunku. Jednym słowem przyroda jest gospodarzem mającym baczne oko **na wszystko,** na całokształt życia, którego my nieraz nie potrafimy ogarnąć. Czyż można jej z tego zrobić zarzut? Czyż można za takie urządzenie winić Boga?

Weźmy jeden konkretny wypadek — prostą **muchę,** stworzenie zdawałoby się tak uprzykrzone. Gdyby jednak nie mucha, to mnóstwo ciał i odpadków rozkładając się zatruwałoby powietrze; mucha i jej gąsienice to wszystko pożerają. I musi mieć ona niesłychaną siłę rozrodczą, aby na wypadek katastrof, gdzie masy ciał giną, spełnić swe zadanie — i mucha je potrafi spełnić dzięki swej niesłychanej rozrodczości.

Ale nie zawsze trzeba dużo much. I oto są pająki, ptaki itp. które ją niszczą, aby się znowu nie stała utrapieniem zamiast pożytkiem.

To samo zadanie mają przeróżne bakterje.

Przyroda reguluje wszystko. Oczywiście musi być przy tem **do pewnego stopnia bezwzględną,** nie może wygodzić wszystkim we wszystkiem, bo to jest rzeczą niemożliwą. Ten kto stoi na czele rodziny czy jakiej organizacji wie, jak się nieraz musi być bezwzględnym a to ze względu na dobro całości.

Wyobraźmy sobie stan, **żeby nie było śmiertelności,** żeby np. choćby ludzie tylko nie umierali. Zdaje mi się, żebyśmy bardziej wnet o śmierć krzyczeli, niż teraz na nią narzekamy. Tak jak robotnik czeka wieczornego odpoczynku, tak spracowany życiem pragnie odpoczynku ostatniego. Gdzieżby

się młode pokolenie pomieściło, gdyby stare nie wymierało? Musielibyśmy zastanowić zupełnie płodzenie nowego pokolenia, a tem samem pozbawilibyśmy ludzkość sposobności otrzymania nowych, może lepszych osobników.

Widzimy z tego, że przyroda daje stworzeniom w zamian za **cierpienie śmierci radość płodzenia i wychowania nowego pokolenia,** czyli **nagrodą za śmierć jest miłość** a mówi Pismo, że „miłość mocna jest jako i śmierć". Pieśń Sal. 8, 6. Ileżby uroku, barwy, zachwytów straciło życie bez miłości! Straciłoby ono swój kwiat a tem samem i owoc.

Bez miłości bylibyśmy ku sobie jak kamień do kamienia; nie wiem, czyby się nam wtedy chciało żyć.

Przyroda dąży do zmiany; środkiem do tego jest jej śmierć i płodzenie, nierozdzielnie ze sobą złączone. To jest jej mądre prawo i ono musi być przyjęte ze zrozumieniem konieczności **i poddaniem się nieuniknionym prawom natury,** prawom Bożym. W tym karnym, rozumnym poddaniu się konieczności leży już wielka ulga w cierpieniu. Bezskuteczne szamotanie się z koniecznością wzmaga tylko cierpienie i czyni je nieznośnym.

Kiedy ojciec mój złożony był śmiertelną chorobą i śmierć mu zaglądała w oczy a siostra płakała, ojciec rzekł: „Czegóż płaczesz? To wszystko takie naturalne!" W tym zrozumieniu leży ogromna siła. Śmierć jest koniecznością i to mądrą a nagrodą za nią jest miłość.

Doszliśmy do zdania, że z dwóch przyczyn nie da się zupełnie usunąć cierpienia, bo 1) jest ono ochroną i podnietą życia; 2) jako zniszczenie starego czy niezdolnego życia jest ono umożliwieniem powstania przez miłość nowego silniejszego życia. Tym mądrym prawom przyrody podlega wszystko a więc i człowiek.

Ale spotykamy w przyrodzie zjawiska, gdzie i to najsilniejsze życie a nietylko to słabe i niezdolne bywa zniszczone; tu należą elementarne kataklizmy przyrody i pojedyncze nieszczęśliwe wypadki.

Religje uważają **kataklizmy** jak trzesienie ziemi, huragany, nieurodzaje i nieszczęśliwe wypadki jako karę Bożą za grzechy ludzkie, zapominając jednak przy tem, że giną równocześnie i wierzący i pobożni razem z grzesznymi. Wprawdzie i pobożni mają swoje grzechy, ale chyba nie takie, by było

trzeba wygładzać ich strasznie z oblicza ziemi, jak się to nieraz w katastrofach dzieje.

Bardzo mądre jest **zdanie Chrystusowe o katastrofach i nieszczęśliwych wypadkach:** Łuk. 13, 1—5 występuje przeciw temu, by pobici przez Piłata i ci, na których upadła wieża w Syloe mieli być gorsi od innych, za co ich spotyka kara Boża. Jan 1, 1—3 uczniowie, widząc ślepego od urodzenia, pytają się Chrystusa, kto zgrzeszył, on czy rodzice jego, że takie nieszczęście go spotkało. Chrystus odpowiada: ani on ani rodzice jego, ale **żeby się okazały sprawy Boże na nim** — i uzdrawia go. Chrystus więc w nieszczęściu widzi sposobność okazania mocy Bożej, innymi słowy człowiek w nieszczęśliwych wypadkach uzyskuje możność natężenia swych Bożych darów, by naprawiać szkody, hartować się i stać się mądrym, zapobiegliwym, postąpić naprzód.

Z nieszczęść absolutnie nie możemy wnioskować o grzechu ludzkim, jak to nierozsądni często czynią, bo cierpień i wypadków jest tyle jako deszczu, który na wszystko pada a radości tyle, jako promieni słońca, które wszędzie zaglądną. Widzi to Chrystus z obserwacji przyrody i mówi: „Bóg to czyni, że słońce jego wschodzi na złe i dobre i deszcz spuszcza na sprawiedliwe i niesprawiedliwe" Mat. 5, 45.

Kataklizmy są zjawiskami przyrody, która się widocznie bez nich obejść nie może. Przyroda daje jednak stworzeniom **bardzo czułe nerwy,** tak że przeważnie potrafią **przeczuć katastrofę** i uciekają na czas. Człowiek miał również takie nerwy, zatracił je jednak przez swą kulturę, ale obecnie je zastępuje aparatami.

Winą człowieka jest, że na zagrożonych miejscach pozostaje i wogóle za mało uważa na głos rozsądku swego. Jeśli wbrew ostrzeżeniom naraża się na śmierć czy cierpienie, to jest to jego wina a nie przyrody czy Boga przez przyrodę działającego. **Przez własną nieostrożność** człowiek podlega ogromnej większości swych **nieszczęśliwych wypadków.**

Trudnym problemem jest pogodzenie nauki o **opatrzności Bożej** a zupełnie niezawinionymi nieszczęśliwymi wypadkami — albo opatrzności nie masz a są przypadki albo jest umyślony „dopust" Boży, kolidujący jednak z pojęciem miłości Bożej.

Są wypadki, których absolutnie nie wytłumaczymy jak

tylko **przypadkiem.** Już raz o nim mówiliśmy, dopuszczając przypadek we względnym tego słowa znaczeniu, str. 163 i tu dochodzimy do tego samego wniosku. Niczego się nie da ująć w jeden system, bo w każdym są wyjątki i przypadek jest takim wyjątkiem czy nawet jednym z praw Bożych, rządzących we wszechświecie i naszym życiu; ma on z pewnością jako prawo ściśle określone granice swoje, ale on jest i działa jako ta niespodzianka, która przecież nieraz jest podnietą życia.

Bóg mądry i dobry każdej istocie a zwłaszcza człowiekowi pozostawił pewną swobodę działania, bez niej życie byłoby nieznośne. Prawa tych swobód najróżniejszych sił przeróżnie się układają jak obrazy w kalejdoskopie, wypełniają się, obejmują jako mniejsze i większe koła, niekiedy jednak i przecinają nawzajem; te przecięcia nazwałbym właśnie przypadkiem, oczywiście we względnym tego słowa znaczeniu.

W absolutnym, bezwzględnym znaczeniu przypadek i w religijnym życiu nie istnieje a na ostateczne wytłumaczenie wszystkiego mamy odpowiedź z objawienia pror. Jezajasza 55, 8—9: „Myśli moje nie są jako myśli wasze ani drogi wasze jako drogi moje, mówi Pan. Jako wyższe są niebiosa niż ziemia, tak przewyższają drogi moje drogi wasze a myśli moje myśli wasze". Niezbadana wyższa siła, wyższa moc, mówimy, z którą człowiek się liczyć musi i dobrze zrobi, jeśli się z tem liczy.

Rzekłby jednak ktoś, jeśli wyższa siła nieraz nie liczy się z tem, czy dobry czy zły i jednako wszystkim słońca użycza i deszczu, jeśli nie ma różnicy w traktowaniu dobrych i złych przez przyrodę czy Boga, czy wobec tego nie lepiej, bo może łatwiej, być bezwzględnym i złym, dbać tylko o siebie? **Jakaż jest korzyść pobożności, jeśli i przypadek dotknie dobrego a uszanuje złego?**

Przy głębszym jednak rozpatrzeniu jest znaczna różnica, wprawdzie nie co do ilości cierpienia, ale co do znoszenia go a to przecież jest najważniejsza, bo można być szczęśliwym i mimo cierpienia. Człowiek wierzący w Boga i uważający Go za mądrość najwyższą, pokornie weźmie z ręki Bożej cierpienie i łatwiej będzie znosił przez cierpliwość niż niewierzący, który łatwo popada w rozpacz. Pobożny ma nadzieję, która mu pomaga cierpieć; cierpienie go nie złamie, ale pogłębi a niewierzącego napełni tylko goryczą i buntem a nieraz i w bramy śmierci samobójczej zaprowadzi.

Wierzący w Boga, odwieczną sprawiedliwość, będzie też przestrzegał praw odwiecznych i mniej się naraża na konflikty a temsamem i cierpienie, u niewierzącego jest naodwrót. Psalm 37 daje temu dobitny wyraz.

Człowieka wierzącego cierpienie nie oddali od Boga, owszem do Niego zbliży jako źródła siły w cierpieniu; Psalm 73, 26 tak mówi; „Choć ciało moje i serce moje ustaje, jednak Bóg jest skałą serca mego i działem moim na wieki".

Wierzący weźmie nawet na siebie **dobrowolnie cierpienie** dla dobra drugich, kierowany mocą wiary i tu też jest zasadnicza różnica pomiędzy buddyzmem, który cały jest nastawiany na ucieczkę przed cierpieniem, idącą nawet do ucieczki przed życiem a kierunkiem Chrystusowym, który naraża się na cierpienie, idzie w życie, niosąc ze sobą wyższą siłę, która mimo cierpienia znajduje w życiu radość i zadowolenie.

Przejdziemy teraz do przyglądnięcia się najgłębszemu źródłu cierpienia, jako je znajdujemy tylko u człowieka; jest nim **grzech, zło.**

Nie ma religji, którąby nie miała pojęcia grzechu i nie poświęcała mu specjalnej uwagi, ale każda też religja inaczej ten grzech pojmuje; już z tego widać, że grzech jest pojęciem b. względnym; co w jednej religji jest grzechem, to w drugiej może być nawet dobrym uczynkiem!

Ludożerca zjadanie ludzi uważa za swój religijny obowiązek! Podobno Hus na stosie, widząc kobiecinę, gałązki pod jego stos wlokącą, miał rzec, że spełnia dobry uczynek, bo ona była przekonana, że spełnia dobry uczynek, pomagając spalić „kacerza".

Grzechem jest dla nas to, co uważamy za grzech i mimo to je czynimy; **pojęcie grzechu bowiem jest ściśle związane ze świadomością grzechu.** Musi być też związane **z wolną wolą,** bo co ktoś czyni z konieczności, to nie może być grzechem. Dlatego też ludzie zaprzeczający wolności woli, temsamem zaprzeczają i pojęcie grzechu, ale człowiek bez wolnej woli, to zwierzę, które działa z przymusu instynktu a nie człowiek.

Ponieważ jednak wolna wola nie jest absolutnie, ale tylko względnie wolną, dlatego grzech musi być pojęciem względnym. Człowiek chory umysłowo, którego wolna wola jest zniszczona chorobą, nie może grzeszyć, ponieważ ani sprawy sobie z po-

stępku swego nie zdaje ani też nie potrafi opanować siebie samego.

Dlatego też dogmatyczne pojęcie o **grzechu pierworodnym jest nielogiczne,** bo jakżesz można dzieci winić za to, że rodzice, w tym wypadku pierwsi rodzice w raju zgrzeszyli?! Na zniesienie tego grzechu wcale nie było trzeba śmierci Chrystusowej, bo takiego grzechu wogóle nie ma. Grzech ten ma zmywać i chrzest i dlatego kościół nieochrzczonym dzieciom nie przyznaje pełni zbawienia; są to wszystko wymysły teologicznych sztucznych systemów i przesądy.

Choć jednak odziedziczonych skłonności nie można uważać za grzech, mimo to **grzechem** jest, jeśli ktoś tych **skłonności nie zwalcza w sobie,** bo **odziedziczone zło da się mimo wszystko zwalczyć przez długotrwałą pracę nad sobą.** Nauka przyrody uczy, że przyzwyczajenie staje się drugą naturą i może być przekazane nawet potomstwu. Tak też wychowywanie siebie w dobrym kierunku poprawia człowieka i może być przekazane i dalszym pokoleniom czy przez krew czy dobry przykład. Zaniedbanie naprawy, zaniedbanie dobrego jest z tego punktu widzenia z pewnością grzechem, bo Bóg dał człowiekowi pęd do doskonalenia się, to jest odwieczne prawo natury człowieka a kto to prawo przestepuje ten grzeszy; **grzech bowiem jest przekroczeniem odwiecznych Bożych praw.**

Sądzę nawet, że przedewszystkiem **zaniedbanie naprawy,** lenistwo, zacofanie, niekorzystanie ze zdolności, z wolnej woli **największym jest grzechem.** Wiele rzeczy, które ludzie określają dziś jako grzech, **wcale nie są grzechem.** Zwłaszcza kapłańskie religje namnożyły tych grzechów bez liku, boć przecież **kapłan z tych grzechów i ofiar za nie żyje.** Można spokojnie powiedzieć, że **więcej się grzechem nagrzeszyło, niż się w rzeczywistości zgrzeszyło.** tzn. niepotrzebnie przydało się ludziom cierpienia, mówiąc że to grzech, co grzechem wcale nie jest a jest tylko źródłem dochodu, wyzyskiwaniem religijnych czy zabobonnych skłonności prostaczków.

Aby takie cierpienia niepotrzebne i nieznośne ciężary zwalić ze siebie, do tego oczywiście nieraz trzeba znacznego wysiłku, trzeba nieraz odwagi, nawet **pewnego buntu przeciw głupim nieraz przepisom.** Musimy umieć nieraz i zakpić z tzw. „boskich“ a w rzeczywistości kapłańskich praw. Jeśli się nieraz

nie nauczysz kpić, toś kiep! Kiedy ci przyjdą ze swoimi „boskimi“ prawami, aby ci niepotrzebne pęta nałożyć, to się odważ zapytać: a czemuż mię Bóg takim stworzył? Czyż niemam, do pewnych oczywiście granic, boskiego prawa wyżycia się według swej natury?

Nie swywolę głoszę, ale konieczny niekiedy bunt, aby pogodę serc i indywidualność człowieka ratować!

Któżeś ty jest, moralizatorze, że mi kazania prawisz? Dużo jest niemoralnych stróżów „moralności!” Wykurz takich moralizatorów kadzidłem kpin. Wzorem niech ci będzie Chrystus wobec faryzeuszów, chcących kamienować jawnogrzesznicę, który im powiedział: **„Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy na nią kamieniem rzuci!“** i ze wstydem wszyscy się wytracili. Ale pamiętaj też, co rzekł niewieście: **„Idź a nie grzesz więcej, aby co gorszego nie przyszło na cię!“** Jan 8.

Aby zdać sobie sprawę z tego, **co właściwie jest grzechem**, a człowiek powinien zdawać sobie sprawę z tego, na to trzeba zastanowić się nad odwiecznymi prawami Bożymi, zawartymi i w przyrodzie dookoła nas, w przyrodzie ludzkiej czyli społeczeństwie ludzkim i w naszej własnej przyrodzie, w nas samych, bo człowiek może grzeszyć przeciw sobie samemu, przeciw ludziom i przeciw naturze a we wszystkiem tem przeciw Bogu, który wszystkiem kieruje. Do tego dał nam Bóg krytyczny rozum i dziwne wewnętrzne wyczucie, zwane **sumieniem.** Wyraz ten pochodzi od: co ja sobie mienię tzn. sądzę o złem; ze „sobie mienię” powstało słowo sumienie. Zaprzeczają niektórzy istnieniu sumienia, mówiąc, że jest to sprawa tresury i że sumienie jest rzeczą b. względną, ale odpowiadam, że gdyby człowiek niemiał podstawy do wyrobienia sobie sumienia, toby go wogóle nigdy niepotrafił posiąść i nierobiłoby mu ono nigdy takich kłopotów, jako je nieraz sprawia człowiekowi chcącemu je zabić. Człowiek ma bezsprzecznie pewne wrodzone wyczucie tego, co się godzi a co się niegodzi, podobnie jak zwierzęta mają instynkt, którym się kierują. **Sumienie jest to etyczny instynkt człowieka.** Instynktu sumienia się nie zabije, choćby się nawet niejeden tem chełpił przed ludźmi; przed samym sobą inaczej musi wyznać! Wrodzonym jest człowiekowi razem z miłością umiłowanie piękna, prawdy i dobra a to jest właśnie podstawą sumienia i na tej podstawie ludzkość już wiele stworzyła i dalej tworzyć będzie, sobie

ku dobru, ku umniejszeniu cierpienia swego a ku pomnożeniu zadowolenia.

Za dalekoby to nas prowadziło, byśmy mieli tu wymieniać pojedyncze rodzaje grzechu, jak to czynią niektóre religje, dzieląc grzechy na główne i poboczne, na śmiertelne i nieśmiertelne itp.; możemy tu tylko ogólnie powiedzieć: czegoś sobie świadomy, że sprzeciwia się to sumieniu twemu i rozumowi, dwom najwyższym prawom, jakie ci dał Bóg, abyś się nimi kierował a mimo tego to pełnisz, tedyć to jest grzechem a **każdy grzech jest śmiertelnym,** bo niszczy twego ducha i ciało i przyśpiesza przedwczesne zniszczenie.

Ale cóż to za straszna siła, która mimo świadomości prze nas ku **złemu, skąd się ona bierze?** Religje prawie wszystkie mówią, to moc złego ducha, szatana! Ale jeśli tak temu jest, to wtedy człowiek nieponosiłby tu żadnej winy. bo cóż człowiek może za złość szatana! Wtedyby oczywiście grzechu nie było, bo miałby go tylko szatan, moc złego a jeśli człowiek daje się omamić, to widocznie tylko dlatego, że ten szatan jest tak potężny, iż potrafi omamić i usidlić człowieka. **Wiara w szatana konsekwentnie usprawiedliwia więc człowieka z jego grzechu. Niech wyższa moc karze za grzech szatana a nie człowieka**. Widzimy więc, że i z tego punktu widzenia wiara w szatana jest niemożliwą, jak się nam okazywała już niemożliwą z monoteistycznego stanowiska.

Grzech ma źródło swoje, jakośmy już nadmienili, w wolnej woli naszej i w warunkach, w jakich człowiek żyje. Powie tedy ktoś: a przecież wolną wolę dał człowiekowi Bóg a więc onby był winien grzechu naszego a nie my.

Wygląda to tak, jakby ktoś biednemu dał wsparcie a ten pieniędzy użyje na zły cel; tak i nam Bóg w wolnej woli dał człowieczeństwo nasze, największy dar, ale człowiek jako wolna istota użył tego sobie ku szkodzie.

Czyż można winić za to Boga? Pośrednio tak, (to znaczy wogóle nie), ale bezpośrednio człowieka samego, tzn. tylko jego.

W ostatecznym dociekaniu musimy dojść do wniosku, że **grzech i zło są następstwem jeszczeniedoskonałości człowieka, po wielkiej części zawinionej niedbalstwem, lenistwem jego.** Substancja (materja), z której ciało człowieka zbudowane, sama w sobie jest bezwładna, ociężała a człowiek

w ociężałości ciała swego niechce korzystać z siły ducha otrzymanej od Boga, stąd jego zacofanie, stąd cierpienie jego, jego niemoc i choroba. **Zasadniczo niema jakiegoś odrębnego pierwiastka złego, niema szatana a grzech, zło i cierpienie wypływają z niskiego stopnia rozwoju**, z jeszczeniedoskonałości człowieka. Dlatego też Chrystus, chcąc zatkać to najbardziej przepastne źródło cierpienia, woła: Bądźcie wy tedy doskonałymi, jako Ojciec wasz niebieski jest doskonały!"

Przedewsz. musimy **uważać grzech za chorobę i nieszczęście**, oczywiście bezpośrednio zawinione przez człowieka samego czy społeczeństwo, ale w każdym razie za nieszczęście i chorobę. Zbrodniarz jest przedewsz. nieszczęśliwym człowiekiem. Tak na człowieka patrzył się Chrystus! **Zbrodniarz jest bolesnym wrzodem na ciele chorego społeczeństwa**, które w znacznej mierze jest sobie samo winne chorobie swojej. Społeczeństwa, które wykorzystały etyczne siły ducha swego, mają daleko mniejszy procent zbrodniarzy niż społeczeństwa zaniedbujące się.

Cóż stwarza zbrodnię? Alkoholizm, narkotyzowanie się wszelkiego rodzaju, **skrajny egoizm**, wyrażający się z jednej strony w **nienaturalnie niesprawiedliwym podziale dóbr** a z drugiej strony w nienaturalnie wysokich wymaganiach życiowych, w **żądzy nadmiernego użycia.**

Dalej **niemądre ustawy**, które nieraz niepotrzebnie krępują wolę i prawa jednostki i wytrącają człowieka z równowagi i pędzą go na drogę najpierw buntu a potem zbrodni. A ponad tym wszystkiem **brak wychowania świeckiego a przedewsz. religijnego**, gdzie wychowuje się nie w kierunku etycznym, ale dogmatycznym, gdzie cała religijność polega na spełnianiu obrządków a nie na miłości ku Bogu i bliźnim. To stwarza zbrodniarzy, to są te szatany, czarne duchy, złowrogo wśród nas krążące a niema innych gorszych djabłów. Usuńmy je a będzie lepiej. Zwalczmy np. jeden tylko alkoholizm a połowa cierpienia zniknie!

Nie wystarczy wycinać wrzodów — zbrodniarzy, trzeba leczyć organizm. **Grzech polega** nietyle na pojedynczych występkach, ile **na stanie duszy zaniedbanej, chorującej** a występki są tylko objawami choroby.

Przy zbrodniczości oczywiście część winy leży u samego zbrodniarza i za to on pokutuje czy przez wyrzuty sumienia

czy przez karę ze strony społeczeństwa, które oczywiście ma prawo bronić się przed wybrykami winy jednostek, ale ma też obowiązek, ba musi przez zbrodniarzy cierpieć, bo lwią część winy ponoszą w zbrodniczości społeczeństwa same a w najgłówniejszej mierze ich źli kierownicy; zbrodnie są dla społeczeństwa karą i to słuszną za zaniedbanie; gdyby tej kary nie było, niebyłoby też upamiętania i naprawy złego.

Potworne wypadki zbrodni, buntu, nieszczęść powinne być jak ta błyskawica oświetlająca nam nasz stan wewnętrzny.

Poznaliśmy w ogólnych zarysach źródło złego i cierpienia; **gdzież zbawienie?**

Naprawa złego, **zbawienie polega przedewszystkiem na gruntownym leczeniu duszy;** zbawiciel to nie jakiś wykupiciel z władzy szatana, który przez ofiarowanie krwi swojej składa jakiś okup i czyści z pierworodnego grzechu i niby chemicznie wszelki grzech oczyszcza, tak Chrystusa pojmuje wiele kościołów, ale **zbawiciel** to przedewszystkiem **lekarz duszy, mądry nauczyciel,** który umie przemawiać do rozumu i uczucia, sumienia budzący, gdzie potrzeba to **i bicze do ręki biorący** na niszczycieli społeczeństw i grabarzy religijnej, ludzkiej moralności; zbawiciel to przedewszystkiem **człowiek dający sam przykład,** jak żyć, jak cierpieć, jak bojować, jak miłować, ba jak i umierać w razie potrzeby, aby się nie cofnąć w chwili rozstrzygającej i własną słabością nie zdradzić świętej sprawy; **zbawiciel to męczennik dla idei!**

Takim był Chrystus! Wlał on w chory organizm ludzkości nowe siły i wskazał drogę na przyszłość: „poznacie prawdę a prawda was wyswobodzi, Jan 8, 32. Wypaczono potem jego myśl, ale prawda jego wiecznie młoda, bo ujął w niej odwieczne etyczne prawa Boże, tkwiące w naturze ludzkiej. Chrystus poznał te prawa i widział, że one są przepotężne, potężniejsze od sił bezwładu, ociężałości, zaniedbania, złego; widział, że Bóg w człowieku obficie pobłogosławił siły dobrego i dlatego wierzył w człowieka i wyznaczył mu najwyższy cel: „bądźcie wy tedy doskonałymi jako Ojciec wasz niebieski, Mat. 5, 48.

Po tej drodze i do tego celu nam kroczyć! Wiele już zrobiono, ale niezmiernie wiele jeszcze pozostało do zrobienia. Bóg nie dał nam odrazu doskonałości, bo cóżby nam pozostało do zrobienia; w pracy leży nasza radość; pracujmy! **Nie szatan jakiś nam psuje szyki, ale pomaga nam dobry Bóg,**

który tak jak dobry ojciec patrzy się na umiłowane dziecko, z upodobaniem widząc, jak się boryka i powoli daje sobie radę. Bóg zadaje nam ciągle trudne zagadki do rozwiązania, ale też i mądrość odpowiednią do tego. Grzechem jest nietylko robienie błędów przy pracy, ile raczej nierobienie, zaniedbanie pracy, dobrego; **za lenistwo i zacofanie Bóg dotkliwie nas karze** i nie „ciaćka się“ z nami. Jego szkoła życia to twarda, ale dobra szkoła. Kto się w niej uczyć chce, kto poznaje Jego prawa i według nich żyje, temu dobrze w życiu.

Badajmy i poznawajmy te prawa; technika, medycyna i inne gałęzie praktycznej wiedzy mają tu ogrom wdzięcznej pracy do wykonania, ale niemniejszą pracę powinna mieć wiedza, badająca ducha człowieka; tu należy psychologja, pedagogja, („oświata ludu dokona cudu“), metapsychika a przedewszystkiem religja, która musi umieć dotrzymać kroku postępom wiedzy na wszystkich polach i wieść ludzkość do najwyższych szczytów zjednoczenia z Bogiem czyli zbawienia ze zła przez przyjście królestwa Bożego na ziemię.

Na ucho, aby się inni niegorszyli, ci powiem, ale tak żeby to słyszało serce twoje: Zbawicielem jesteś każdy, który w miłości i poświęceniu dla drugich pracujesz, który chcesz, żeby ludziom było dobrze, lepiej, jaknajlepiej: jesteś nim, matko, która w miłości dzieci wychowujesz; ojcze, który dzieci swe tak prowadzisz, by wyrosły na samodzielnych, dobrych ludzi; jesteś nim i ty, który niemasz rodziny, bo czy natura czy warunki na to ci nie pozwoliły, ale zato tem więcej się starasz, by pomnożyć kulturalny dorobek ludzkości; zbawicielem jesteś, który leczysz rany cielesne i duchowe; nauczycielu, który mądrze i w poświęceniu wychowujesz młode pokolenie; robotniku, który sumiennie i uczciwie dla siebie i społeczeństwa pracujesz; jesteś zbawicielem ty, który rząd sprawujesz, czy na najwyższych czy najniższych stanowiskach, byle przedewsz. dobro społeczeństwa mieć na oku; zbawicielem jesteś ty, kapłanie, który niemasz ducha kapłańskiego, nie dbasz o zarobek, ale o pomożenie duszy; nie o pierwsze miejsca i władzę się ci rozchodzi, ale sposobność pracy; nie przeklinasz inaczej wierzących, ale własnym przykładem świecisz na drodze do poznania prawdy.

To są zbawiciele! A nad nimi ten geniusz ludzkości, Zbawiciel, który w niezmiernym poświęceniu wzniósł swe ręce na

krzyż, by pomódz ludzkości. I za to Go też „Bóg nader wywyższył i darował mu imię, które jest nad wszelkie imię; aby w imieniu Jezusowym wszelkie się kolano skłaniało tych, którzy są na niebiesiech i tych, którzy są na ziemi i tych, którzy są pod ziemią. A wszelki język, aby wyznawał, że Jezus Chrystus jest Panem ku chwale Boga Ojca" Filip 2, 9 n.

KOŚCIÓŁ A NOWOCZESNA SPOŁECZNOŚĆ CHRZEŚCIJAŃSKA.

Jasną jest rzeczą, że taki program religijny, jaki go miał Chrystus, mógł być zrealizowany tylko z pomocą innych jeszcze ludzi. I Chrystus był sobie tego świadomy i dlatego też powołał uczniów. Z czasem jednak powstała silna i wielka organizacja, która za główny cel obrała sobie urzeczywistnienie myśli Chrystusowej; jest nią kościół. Przypatrzmy się, czy instytucja kościoła, jako ją znamy, zgadza się z myślą i duchem Chrystusowym i czy spełnia swe zadanie.

Że **Chrystus sam o takiej organizacji, jako nią jest dziś kościół, nie myślał,** widać już choćby z tego, że wierzył on w bezpośrednią **bliskość powtórnego przyjścia** swego na ziemię i założenia na niej królestwa Bożego; miało to nastąpić pod koniec żyjącej jeszcze jego generacji, Mat. 24, 34.

Całą spójnią wierzących miała być wiara w Chrystusowe przyjście a zewnętrznym znakiem łączności miało być obchodzenie Wieczerzy Pańskiej jako pamiątki jego ofiarnej śmierci. Chrzest był widomym znakiem przyjęcia do społeczności. Najsilniejszą zaś więzią ich duchowego życia miała być modlitwa w duchu „Ojcze nasz".

Chrystusowi rozchodziło się bynajmniej nie o sprężystą organizację, ale o społeczność wierzących; „gdzie dwóch albo trzech jest zebranych w moim imieniu, tamem jest w pośrodku nich" Mat, 18, 20 — communio sanctorum, społeczność świętych.

Kościół rzym.-kat. powołuje się przedewsz. na **Mat 16 jako dowód,** że Chrystus miał już na myśli **organizację kościelną z Piotrem i jego następcami na czele** i że właśnie kościół rzym. kat. jest tą organizacją a papieże następcami Piotra, ponieważ Piotr miał w Rzymie zginąć śmiercią męczeńską.

Słowa te brzmią tak: „Tyś jest Piotr i na tej opoce zbuduję kościół mój a bramy piekielne nie przemogą go. I tobie dam klucze królestwa niebieskiego i cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane i w niebiesiech; a cokolwiek rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane i w niebiesiech". Słowa te powiedział Chrystus do Piotra jako odpowiedź na Piotrowe wyznanie o Chrystusie: „Tyś jest Chrystus, on Syn Boga żywego" Mat. 16, 16—19.

Przedewsz. trzeba zaznaczyć, że ewang. Łuk., który 9, 18 n. tę samą scenę opisuje nic nie mówi o kościele wiecznotrwałym, opartym na opoce Piotrowej, co odrazu naprowadza na myśl, że słowa te są nie samego Chrystusa, ale późniejszą legendą, jako ich wiele mamy w N. Test.

Podkreślić też trzeba, że Chrystus nigdy nie używał tego słowa „kościół" jako przyszłej społeczności swych wiernych, ale zawsze używał tu wyrazu „królestwo Boże" a tu właśnie jest użyty ten wyraz w znaczeniu wiecznotrwałego kościoła.

Dalej choć Chrystus Piotra wysoko cenił dla jego stanowczości, zapału i otwartości, to jednak nigdy nie było to zwyczajem Chrystusowym, by wyróżniać pierwszeństwem jednych uczniów przed drugimi, owszem kiedy dwóch uczniów chciało się wyróżniać, powiedział im, Mat. 20, 27 „Ktobykolwiek z was chciał być pierwszym, niech będzie sługą waszym"; podobnie Łuk. 9, 98.

Również o jakiejś głowie, **naczelnym zwierzchniku swych wierzących** Chrystus nie myślał, zakazał owszem nazywać kogokolwiek **ojcem**, w relig. tego słowa znaczeniu tzn. duchownym przewodnikiem, Mat. 23, 9; przecież Chrystus sam, choć niewidzialny, ale jednak obecny chciał kierować swą społecznością, „Jam jest z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata" tzn. do powtórnego przyjścia, kiedy będzie obecny i widoczny, Mat. 28, 20.

Zresztą i Dzieje Ap. i Gal. 2, 9 świadczą o tem, że społeczności chrześcijańskiej przewodził nie sam Piotr, ale i brat Chrystusowy, Jakób i apostoł Jan, którzy uchodzili za „filary" tej społeczności. **Nie ma tu więc mowy o jakimś prymacie, i papiestwie Piotrowym,** który to wyraz wprost się sprzeciwia zakazowi Chrystusa, bo papa znaczy ojciec, a Chrystus mówi, by nikogo w rel. znaczeniu nie nazywać ojcem, Mat. 23, 9.

Jeśliby nawet Chrystus był użył pow. słów do Piotra, to

jako **opokę** kościoła mógł uważać **tylko wyznanie Piotra: „Tyś jest Chrystus“** a nigdy samą osobę Piotra. Przecież o tym samym Piotrze kilka wierszy dalej, Mat. 16, 23 wyraża się bardzo ujemnie; kiedy Chrystus mianowicie zaczął mówić o konieczności cierpienia i śmierci swojej, Piotr odwodził go od tego i Chrystus mu na to rzekł: „Idź odemnie, szatanie, jesteś mi zgorszeniem, albowiem nie pojmujesz tego, co jest Bożego, ale co jest ludzkiego“.

Wyraźnie też jest Gal. 2, 7 i 8 podkreślone, że ap. **Piotr** jest przeznaczony na **apostoła obrzeski tzn. ap. wśród żydów** jako ap. Paweł przeznaczony jest na apostoła nieobrzeski tzn. wśród pogan i ap. Paweł, Gal. 2, 11 n. b. ostro gani chwiejność ap. Piotra i obłudę jego, wynikającą z jego żydowskiego stanowiska.

Niemożliwem jest takiego czynić opoką powszechnego kościoła w olbrzymiej większości składającego się nie z byłych żydów.

Wcale też nie jest rzeczą pewną, czy ap. Piotr umarł w Rzymie; jest to tylko niestwierdzona legenda. Kiedym był w katakombach rzymskich, pokazywano mi jedną kaplicę, na której ścianach było dużo znaków, robionych przez wiernych i to ma być dowodem, że tam właśnie apostołowie Piotr i Paweł zostali pochowani; z tej kaplicy też wyjęto dwa kościotrupy i mówi się o nich, że to szkielety obu apostołów, ale jak b. to wątpliwą rzeczą, to chyba jasne.

Cóż zresztą kości mają wspólnego z religją?!

Choćby nawet ap. Piotr był w Rzymie zginął, to gdzież jakie prawo i jaki dowód **przekazania apostolatu papieżom** (których zresztą wtedy jeszcze nie było), jakby ten apostolat był jakim funduszem dziedzicznym. Reljgijnych darów się nie dziedziczy, ale się je osobistym rel. życiem zdobywa!

Z najstarszych ustępów N. Test. jasno wynika, że Chrystus sam nie miał na myśli kościoła, jak on się potem wytworzył, ale społeczność religijną, tymczasowy twór, pracujący w myśl jego programu, aż on sam przyjdzie i ureguluje istnienie nowej społeczności, wtedy już wiecznotrwałej, w postaci królestwa Bożego na ziemi.

Przyjście Chrystusowe jednak nie następowało, zbory się mnożyły, wyrastały też ich organizacyjne potrzeby; zwłaszcza praca miłosierdzia wymagała stałych pracowników i kierowni-

ków; męczennik Szczepan był jednym z takich pracowników, djakonów. Głoszenie słowa pozostawiono każdemu natchnionemu duchem proroczym; 1. Kor, 12, 1—11 i 28—31 omawia różne „dary", według których różni różne posługi w słowie sprawują.

Najwyższym autorytetem oczywiście byli apostołowie, z których jednak niektórzy mieli swoje zatrudnienie. jak np. Paweł, Dzieje 18, 3 a niektórzy prawdopod. utrzymywani byli przez zbory, podobnie jak i Chrystus w czasie nauczycielskiej swej działalności nie pracował już jako cieśla, ale pozwolił sobie usługiwać niewiastom, które własność swą na to łożyły, Mat. 27, 55.

Pojedyncze natomiast zbory stałych płatnych duchownych, już niemówiąc o jakimś stanowisku kapłańskim, wcale nie miały.

Taki był najpierwotniejszy ustrój społeczności chrześć. mniej więcej do 70 r. Następuje **drugi okres**, z którego pochodzą list do Efezów, Kolosensów, do Tymot. i do Tytusa, pisma przypisywane ap. Pawłowi, ale mylnie; części tych listów mogą pochodzić od ap. Pawła, ale zostały one przerobione przez późniejszych; podobnie i 3 pierwsze Ewangelje pochodzą z tego drugiego okresu, choć zawierają niewątpliwie wiele słów Chrystusa.

W tym okresie spotykamy się już z nazwą **kościoła**, ekklesia w listach w. w. i widzimy już urząd stałych **biskupów** (mężów jednej żony 1 Tymot. 3, 2 tzn. że wdowcy duchowni nie żenili się, podobnie jak dziś w kościele prawosł.) w znaczeniu duchownych — nauczycieli, doglądających porządku zborów. Biskupi ci nie byli nad wielu zborami, jak dziś, ale w jednym zborze. Widzimy też tu rozwielmożniające się już różne nauki, różne kierunki obce duchowi chrześc., które to kierunki zwalczają właśnie te listy i dla ich zwalczania są one też za instytucją stałych duchownych po zborach, którzyby doglądali czystości nauki i porządku. Miejsce apostołów zajmują ludzie, wsławieni pobożnością swą, wykształceniem chrześcijańskim, wypróbowani w czasie prześladowań. Są oni powagami w **kościele**, którego pojęcie coraz więcej się wyrabia, im więcej powstawało zborów.

W dalszym jeszcze okresie biskupi, duchowni zborów miast głównych nabierają coraz większego wpływu i znaczenia,

z czego powoli wytwarzają się **patrjarchaty**, z których dwa najważniejsze, **rzymski i konstantynopolitański**, dały początek późniejszym **kościołom rzymsko-katolickiemu i prawosławnemu.**

Wskutek ruchów reformacyjnych powstały różne **ewangelickie kościoły**, które nazwano też protestanckimi, jako wyraz protestu przeciw nadużyciom kościoła.

I tak **kościoł chrz.** nietylko że **nie jest jeden**, ale pojedyńcze jego części nawzajem **zawzięcie się zwalczają** i niema też nadziei, by istniejące kościoły spełniły modlitwę Chrystusową: „Aby wszyscy byli jedno“, Jan 17, 21 i „aby była jedna owczarnia i jeden pasterz“, Jan 10, 16, owszem kościoły walnie się przyczyniają do rozbijania ludzkości na zwalczające się nawzajem obozy. Kościoły były nieraz powodem ciężkich i strasznych wojen, haniebnych wzajemnych prześladowań, idących aż do tortur „świętej” inkwizycji i jej barbarzyńskich stosów i to wszystko w obliczu krzyża i w imieniu Chrystusowym!

Powiada się, że to nie kościoł, ale władza świecka dokonywała kar. Ale, o ile ile władza świecka sprzeciwiała się wykonaniu kary, to na nią rzucano przekleństwo kościelne! Wygląda to tak, jakby ktoś, zabijając sztyletem mówił: ja cię nie zabijam, to sztylet cię zabija; ja zaś ciebie miłuję i to tak bardzo, że pragnę zbawienia duszy twojej.

Kościoła chrz. nie podobna opisywać ogólnie, bo go nie ma, są tylko pojedyńcze chrz. kościoły i teby trzeba określić. Charakterystyki tej nie przeprowadzę tu jednak w szczegółach, boby nas to zadaleko tu zaprowadziło; mógłbym też sam okazać się tu zbyt stronniczym. Zresztą widzimy te kościoły dookoła siebie w życiu i na tej podstawie każdy z nas może sobie swój sąd wyrobić.

Powiem tu tylko ogólnie, że dwa najliczniejsze chrz. kościoły **rzym.-kat. i prawosławny** i pokrewne im kościoły są organizacjami nawskróś **kapłańskimi, hierarchicznymi.** Pojęcie ofiary znaleziono tam sobie w kapłańskim tłumaczeniu słów Chrystusowych o Komunji św. a znalazłszy ideę ofiary, przeprowadzono do kościoła praktykę kapłańską z jej wszystkimi następstwami.

Z ewangelickich kościołów **luterański jest półkapłańskim**, p. str. 54 i 59. Najwyższe stanowisko hierarchiczne prze-

kazał tu Luter władzy świeckiej, ją czyniąc zwierzchnią władzą kościoła, co odbiło się i nieraz jeszcze fatalnie odbija na stosunkach w tym kościele. Obecne przesilenie w ewang. kościele w Niemczech ma swoje podłoże w tym błędnym kroku. Monarcha władzę w kościele sprawuje zapomocą mianowanych przez siebie konsystorzy, które w luterańskim kościele zajmują nieraz podobne stanowisko co konsystorze katolickie.

Staroluterska liturgja wzoruje się też na liturgji katolickiej. We wielu krajach jednak luteranizm wszedł w ścisły związek z kościołem reformowanym i tam nabrał on cech więcej demokratycznych, bo **kościół reformowany**, inaczej kalwiński z jego licznymi odmianami jest kościołem nie hierarchicznym, ale demokratycznym; wszystkie władze kościelne idą tam z wyboru a nie z mianowań jakiejś władzy świeckiej czy duchownej. Takim w najgłębszej istocie swojej jest też kościół polski ewangelicki w Cieszyńskiem.

Kościół reformowany zupełnie zniósł też pojęcie Komunji św. jako ofiary a temsamem przekreślił też zupełnie kapłaństwo, str. 55 i 57.

Ojczyzna nasza leży na skrzyżowaniu dróg Zachodu i Wschodu i temsamem leży też na skrzyżowaniu dróg religijnych, skutkiem czego obok głównych kościołów mamy tu cały **labirynt najróżniejszych wyznań**, tak że jesteśmy tu niemal w całej pełni samowystarczalni. Czego nam zabraknie to możemy odgrzebać z przeszłości swojej.

Tak chciałbbym tu wspomnieć jedno wyznanie, którego dziś już niema u nas, ale które w dobie reformacji odegrało wybitną rolę, ideami zaś swoimi b. zbliża się do myśli religji samodzielnej, jako o niej nieraz mówiłem — są to **Bracia Polscy, Arjanie**, lub Socynianie, jak ich również nazywano od Arjusza, który w pierwotnym kościele chrz. zaprzeczał bóstwa Chrystusowi i od Włocha, Socini'ego, który ten kościół w Polsce założył.

Bracia Polscy zaprzeczali, by Chrystus był równy Bogu, nie uznawali dogmatu o Trójcy św., nie wierzyli, by był grzech pierworodny a Komunję św. pojmowali w duchu kościoła reformowanego. Zbory ich były zorganizowane na wzór pierwotnych chrz. a życie było tak głęboko religijne, że szlachta arjańska dawała wolność chłopom.

Najinteligentniejsze umysły, najzacniejsze rody do nich

należały: najgłębiej myśląca warstwa narodu ruch ten tak zasymilizowała, że stał się on wybitnie polskim odrodzeńczym ruchem rel., na co wskazuje i nazwa Bracia Polscy.

Kwitła u nich nauka a ich szkoły stały na najwyższym poziomie.

Ale wszystkie wyznauia się na nich sprzysięgły, rozwiązano ich zbory a niechcący się „nawrócić" wywędrowali z kraju.

Do tradycji tych właśnie Braci Polskich należałoby w Polsce nawiązać, by dać jej nowoczesną żywotną ideę raligijną w postaci jakiegoś **nowo-chrześcijańskiego** ruchu, któryby zjednoczył do pracy religijnej wszystkich tych, co duchowo odpadli od kościołów a potrzebują życia religijnego; innych na myśli nie mam. Jak sobie tę nowoczesną społeczność religijną wyobrazić? Główne zarysy podałem na str. 84, jak zresztą cała ta praca poświęcona jest nowoczesnej myśli religijnej.

Na podstawie długoletniego doświadczenia przekonałem się, **że zbytnia organizacyjność jest zabiciem ducha religijnego,** bo organizacja zaczyna wtedy być celem samym w sobie. Z drugiej jednak strony zdaję sobie sprawę, że pewne zasady organizacji muszą być zastosowane przy tworzeniu jakiegoś społecznego życia rel., bo życie rel. objawia się nietylko jako życie jednostki, ale i jako życie społeczne i życie rel. bez pewnych więzi stałby się snadno mogło chaosem a nie życiem. Sądzę jednak, że zupełnie wystarczającą zewnętrzną formą organizacyjną dla życia relig. jest **forma stowarzyszeń** tak, jak każde inne stowarzyszenie **zgłaszane u władz państwowych.** Wolny ruch religijny nie powinien dążyć do tworzenia jakichś krajowych kościołów, do których należy każdy przez urodzenie swoje. Do nowocz. społ. rel. możnaby należeć tylko na podstawie osobistego, dojrzałego postanowienia a młode pokolenie powinno być wychowywane tak, aby kiedyś to postanowienie samo powziąć mogło.

Forma stowarzyszenia jasno też stawia sprawę **stosunku do państwa.** Tu nie może być konfliktu z państwem dlatego, że religijne stowarzyszenie podlega jak każde inne kontroli państwowej i nie tworzy państwa w państwie z nieuniknionymi tu komplikacjami, ba konfliktami politycznymi. Odpadną tu konkordaty, które się nieraz zawiera tak jak traktaty handlowe.

Sądzę, że nowoczesne społeczeństwa wszędzie prędzej

czy później i to zupełnie słusznie przeprowadzą **rozdział kościołów od państwa** i przekreślone wtedy też będą niechrześcijańskie pojęcia jakichś **panujących** (zamiast służących) **kościołów**.

W założeniu nowocz. ruchu rel. leży podkreślenie pracy społecznej a więc i państwowej; **zdrową myśl państwowotwórczą podkreślał i Chrystus:** Oddajcie Bogu, co jest Bożego a cesarzowi, co jest cesarskiego", Mat. 22, 21. Budując nowoczesne życie rel., daje się i nowoczesnemu państwu jak najgłębszą podstawę.

Wewnętrzny statut nowocz. stow. rel. musi umożliwić współpracę jaknajszerszym warstwom ludzi o pokroju ideowym czyli **dogmatyzm** powinien być jak **najszerzej ujęty** i nie obowiązujący wszystkich we wszystkiem; muszą to być raczej obszerne ramy, w których możnaby pomieścić obraz życia. Mógłby ktoś powiedzieć, że przy takim ujęciu podstaw wiary mógłby powstać **chaos** nigdy się niekończący. Ale pytam się, czy przy „murowanych" podstawach dogmatycznych kościołów nie powstał i nie powstaje chaos i rozterka może jeszcze większa? Bo ileż to mamy sprzecznych ze sobą tych różnych „murowanych" dogmatów, które prowadzą do ostrej walki między owymi murowanymi systemami, przy czem cierpi nie tylko ludzkość jako ogół, ale któż zliczy te ciche tragedje, powodowane nieustępliwością murowanych systemów?! Mieszane małżeństwa i mieszane wyznaniowo społeczeństwa świadczą o tem chyba dość wyraźnie!

Właśnie więcej ogólne, raczej ramowe ujęcie podstaw wiary, z pozostawieniem pełnej **swobody rozwoju** dla pojedynczych jednostek, może **łatwiej doprowadzić do wyrozumienia i porozumienia.**

Wolna myśl rel. opiera się tu na obserwacji życia, które przy ramowych prawach wszechświatowych, jest największą różnolitością i rozmaitością a jednak nie ginie, owszem nawet harmonję, równowagę osięga.

Nigdy się nie trzeba bać, aby to co jest pokrewne się nie połączyło, bo człowiek ma pęd do zrzeszania się, owszem raczej trzeba się bać tego pędu i być ostrożnym, aby pęd zrzeszenia nie objął i niezdrowych kierunków, jak często zasklepia się rana, choć ropa jest w środku!

Zarzuci ktoś dalej, że taka społeczność relig. nie będzie

miała tej **potęgi, co kościół**. Ale o to właśnie się rozchodzi, żeby nie miała tej potęgi, bo gdzie jest taka potęga, tam dąży się do panowania i absolutyzmu a nie do służenia w miłości; **potęga zna rozkaz, ale nie zna miłości. „Moc Boża dokonuje się w słabości“**, mówi ap. Paweł, 2 Kor. 12, 9. Chrystus odpędził od siebie pokuszenie potęgi; nie pokłonił się szatanowi mocy i stał się mimo to najmocniejszym — przez moc ducha, okazaną w słabym, pognębionym ciele.

Jako szeroką ramę nowoczesnego życia rel. nakreśliłem na próbę owo **nowoczesne „wierzę“**:

Wierzę w Boga Ojca, Ducha wszechświata;
Przez Chrystusa Człowieka wierzę w człowieka;
Wierzę w zjednoczenie człowieka i ludzkości z Bogiem.

Z objaśnień w tej pracy wynika jasno, że pow. „wierzę“ nie jest rozumiane jako dogmat w teologicznym tego słowa znaczeniu, ale że pozostawia się szczegółowsze zrozumienie indywidualności każdego. Zaznaczyłem nawet, że można np. nieśmiertelność pojmować i jako powrót siły ducha naszego do jego źródła bez zachowania indywidualnej świadomości tzn. nie wierzyć w nieśmiertelność w rel. tego słowa znaczeniu a mimo to można w tym życiu Boga uwielbiać jako źródło siły fizycznej i etycznej i mieć przez to życie rel., głębsze od wierzącego nawet w ciała zmartwychwstanie.

Zostawmy w tych rzeczach, osnutych tajemnicą, jak największą swobodę, bo prawdziwa religijność nie znosi przymusu i obłudy. **„In dubiis libertas, in omnibus caritas“** (w wątpliwych rzeczach wolność, ale we wszystkich miłość), to było wielkoduszne zdanie pierwotnego kościoła, godne i dzisiaj najsilniejszego podkreślenia.

To była owa Chrystusowa **communio sanctorum**, społeczność świętych tzn. wierzących.

Dzisiejsza technika ułatwi to, by ta communio sanctorum mimo luźnych ram stowarzyszeń jednak przybrała rzeczywiste ciało: radjo, prasa, wygłaszanie podróżnych odczytów wybitniejszych rel. jednostek poniesie myśl religijną każdemu, kto jej pragnie a ta myśl życiem napełni szerokie jego ramy.

Nowoczesny człowiek chce mieć jak najwięcej przestrzeni i zmiany i dla ducha swego i tę mu musi religja dać, inaczej jej on nie zrozumie.

Ale i **ze starych formuł religijnych** niejedno można wziąć i z pożytkiem zastosować dla nowoczesnej umysłowości.

Tu należy np. **Dekalog**, dziesięcioro przykazań Bożych. Dekalog ten jednak nie może być zniekształcony jak w rzym.-kat. i luterańskim kościele; drugie przykazanie, „nie czyń sobie obrazu..-, abyś się mu kłaniał“ musi być przywrócone w znaczeniu, jak o tem mówiłem na str. 174.

W pełnym blasku zawsze jaśnieć będzie **„Ojcze nasz“**, ta perła wszystkich modlitw. Tu Chrystus zogniskował całą swą naukę. „Ojcze nasz”, jest ukoronowaniem Dekalogu jako odpowiedź serca wierzącego na rozkaz Boży, zawarty w Dziesięcioro (p. str. 58).

Co do **sakramentów**, to sądzę, że należałoby zachować trzy: chrzest, Wieczerza Pańska i małżeństwo, ale nie w znaczeniu rzymskiej nauki z charakterem indelebilis — niezniszczalnym, ale jako obrządki, uświęcone głęboką swą treścią.

Chrzest tylko we wieku późniejszym po gruntownym przygotowaniu religijnym. Zamiast dzisiejszego chrztu dzieci należałoby raczej zaprowadzić pobłogosławienie dziecięcia i rodziców do wypełnienia świętego powołania chrz. wychowania.

Wieczerzę Pańską jako sakrament omówiłem na str. 53 n. O praktycznym jej obchodzeniu p. str. 61. Dodaję tu, że nasz przepiękny staropolski zwyczaj powitania chlebem i przełamania się nim z gościem na powitanie powinien mieć w sobie coś z sakramentu Komunji św.

Szczególnie uroczyście powinna być obchodzona Wieczerza Pańska wieczorem we Wielki Czwartek, kiedy to była ustanowiona. Pierwsze zbory chrz. obchodziły też ten obrządek wieczorem, przyczem oczywiście nie obowiązywał poprzedni post.

Małżeństwo dlatego uważam za świętość, ponieważ jest ono jednym z najgłębszych urzeczywistnień miłości bliźniego.

Małżeństwo powinno ze względów eugenicznych być nawet utrudniane, ale raz zawarte a zwłaszcza dzietne, jak najwięcej wspierane i ochraniane przez religję, prawo, zwyczaj. Uroczyste słowo dane w tak ważnej kwestji życiowej powinno być uważane za świętość. Miłość jest najgłębszym uczuciem ludzkim a przyszłość i wspólnych dzieci tak ważnym czynnikiem, że małżeństwo powinno być obwarowane jak najsilniej i nie powinien tej twierdzy społeczeństwa burzyć byle podmuch wiatru, jak się to dzieje dziś. **Rozwód** powinien być dawany tylko

w wypadkach zupełnego odpadnięcia jednej strony od drugiej, gdzie wspólne pożycie a zwłaszcza wychowanie dzieci stają się wręcz niemożliwe. Przy bezdzietnych małżeństwach warunki rozwodowe będą oczywiście łatwiejsze, choć i tu miłość, czy jej dzieje, jej wspomnienie powinno być jak najwięcej uszanowane.

Chrystus mówi: „Co Bóg złączył, tego człowiek niechaj nie rozłącza", Mat. 19, 6. Chrystus ma tu na myśli serdeczną miłość, uświęconą daniem sobie słowa wiążącego; zaręczyny mają już ten święty charakter. Że Chrystus nie miał tu na myśli samej uroczystości ślubu przed kapłanem i to bez miłości, jak się to często dzieje, to rzecz jasna. Przecież o niejednym „małżeństwie" wszyscy wiedzą, że tam nie Bóg, ale raczej wszystko inne było połączeniem. Dlatego też Chrystus dopuszczał rozwody od takich kościelnych ślubów; Mat. 5, 32: „Ktokolwiek opuścił żonę swoją, oprócz przyczyny cudzołóstwa, przywodzi ją w cudzołóstwo"... Jest tu więc wyraźnie zaznaczone, że cudzołóstwo jest przyczyną, podstawą opuszczenia żony czyli rozwodu. Oczywiście, że wyższą drogą jest przebaczenie i pojednanie, ale nie wszędzie jest ono możliwe i nieraz jedynym wyjściem jest rozejście się.

Co się tyczy **źródeł nauki i zbudowania** czyli tzw. ksiąg świętych to może nimi być wszystko, co i o ile zawiera zdrową myśl religijną a więc księgi religijne wszystkich religij i wyznań, myśli religijne zawarte w dziełach różnych filozofów i pisarzy, jednym słowem ogólnoludzka **złota księga myśli religijnej**. Dlaczegóż do takiej księgi religijnej nie możnaby włączyć np. tak głębokich słów, jako je niedawno czytałem; umieszczono je w egipskiej świątyni Ptah w Memphis: „Co było, jest i będzie, tem jestem; szat moich nikt nie odsłonił; owocem mym słońce" (Bóg).

Najwięcej i najgłębszych myśli religijnych znajdziemy w St. i N. Testamencie, choć są tam myśli religijne, na które dziś nie moglibyśmy się zgodzić, to jednak w żadnej księdze nie ma tak dużo myśli relig. o wiecznotrwałej wartości, jak właśnie w biblji i czytanie prywatne i społeczne tej księgi będzie prawie zawsze podstawą pryw. i społ. nabożeństwa. Każdy i każda społeczność musi tu szukać akurat tego, czego potrzebują ku swemu zbudowaniu (P. str. 49, 106, 17).

Pojęcie społeczności religijnej wymaga oczywiści espołecznych **nabożeństw.** Składać się one powinny ze wspólnego śpiewu, modlitwy i wykładów treści religijnej; liturgji powinno być jak najmniej i jak najprostsza. Nie należy budować dla nabożeństw kościołów, jako zbyt kosztownych i stosunkowo mało wyzyskanych, ale budować **domy zborowe,** gdzieby obok nabożeństw praca dobroczynna, społeczna mogła mieć miejsce. W odpowiednich warunkach jak najwięcej nabożeństw powinnoby się odprawiać na łonie **wolnej przyrody.**

Co do **świąt** chrześcijańskich to możnaby je zatrzymać wszystkie, nadając im odpowiednią treść.

Niedzielę należy uważać za dzień fizycznego wypoczynku a pracy ducha. Nie jestem zwolennikiem żydowskiego, zbyt rygorystycznego (podobnie jak i u reformowanych) traktowania przepisów o święceniu dnia świętego, ale z drugiej strony niedziela nie powinna być absolutnie dniem wybryków i skandali, jak to często widzimy.

Swięto **Narodzenia Chrystusa** (ale nie Boże Narodzenie) powinno być obchodzone uroczyście, jako pamiątka historyczna, przyczem ewangelje o narodzeniu Chrystusa otwarcie traktowane być mogą jako legendy, wyzyskany jednak powinien być ich głęboki podkład religijny.

Najuroczyściej powinien być obchodzony **Wielki Piątek,** przyczem uroczystości powinno się rozpocząć we W. Czwartek wieczorem Komunją św., jako uroczystością pojednania, oczyszczenia i przygotowania na dzień W. Piątku.

Wielkanoc powinna być poświęcona myśli nieśmiertelności, przyczem wcale nie musi być mowy o cielesnym zmartwychwstaniu Chrystusa i człowieka wogóle.

Wniebowstąpienie może być poświęcone idei zjednoczenia pojedyńczego człowieka z Bogiem;

Zielone Św. idei zjednoczenia ludzkości z Bogiem, kiedyto duch Boży rząd będzie sprawował nad ludzkością.

Święto umarłych mogłoby być obchodzone (koniec listopada zbyt późny) nie w sensie dnia zadusznego z jego mszami żałobnymi, tylko jako pamiątka umarłych a pamięć o własnym zgonie.

Podobnie z pewnością i członkowie innych religij mogliby głębszą treść podłożyć pod święta swych religj. społeczności, wśród których żyją.

Tak pomyślane społeczne życie religijne mogłoby być w zasadzie prowadzone przez każdego członka zboru, do tego się nadającego i to powinno być zasadą, od której jednak istnieć mogą wyjątki. Będzie trzeba ludzi, którzy specjalnie poświęcą się prowadzeniu życia zborowego i odbędą odpowiednie **studja teologiczne.** Najlepiejby było, gdyby oprócz teologji mieli jeszcze inne studja i jakiś świecki zawód; wyjątkowo jednak ludzie specjalnie w tym kierunku uzdolnieni i usposobieni mogliby tylko tę pracę obrać sobie za swój wyłączny zawód; tacy powinni jednak mieć równocześnie niezbędnie **wyszkolenie charytatywne,** bo powienni umieć kierować pracą dobroczynną. Mógłby taki nosić tytuł teologa, ale nie śmiałby mieć charakteru duchownego dzisiejszych oficjalnych kościołów. **Tytuł księdza,** jako pochodzący od wyrazu książę i oznaczający pana zboru, uważam za **wykluczony.**

Przewodniczący miejscowego stowarzyszenia, zboru mógłby nosić tytuł prezesa.

Mógłby być nim **mężczyzna czy kobieta,** zależnie od miejscowych warunków. Dlaczegóżby kobieta, w której nieraz jest głębsze odczucie miłości chrześć. niż u mężczyzny, nie mogła zmówić modlitwy, przeczytać i objaśnić ustępów o śmierci Chrystusowej, podnieść chleb i poświęcić go w szczerej modlitwie i przełamać się nim z obecnymi, wzywając do wzajemnego przebaczenia sobie i naśladowania Chrystusa w miłości a tem jest właśnie Wieczerza Pańska.

Gdzieby to wywoływało niechęć, tam oczywiście kobieta nie będzie się wysuwała naprzód, boby już temsamem dała świadectwo, że się na to nie nadaje.

W pracy dobroczynnej kobieta natomiast zawsze zajmować będzie aktywną rolę, bo to leży w jej naturze.

Ważnym teoretycznie i praktycznie jest pytanie, jaki powinien być **stosunek nowoczesnego religijnego człowieka do kościołów,** od których odpadł duchowo?

Widzimy, że społeczeństwa dzisiejsze b. różnie ustosunkowują się do kościołów; mamy tu ludzi zupełnie obojętnych, dalej krytykujących kościoły; mamy ludzi, popierających a z drugiej strony i takich, którzy porywają się nawet na krwawe prześladowania kościołów. Jaką tu drogę obrać?

Z dotychczasowych wywodów jest widoczne, jak bardzo się zawsze tego wystrzegam, by wszystko ujmować w jeden

system, jeden przepis. Jako najwyższe prawo kilkakrotnie stawiałem życie a czynię tak za Chrystusem. Życie nie da się ująć w jeden system! Nie da się też przepisać nikomu, jak się powinien odnieść do kościołów; przepis ten powinieneś mieć w swoim sumieniu, ale podkreślam nie w swojej wygodzie i w swoim interesie. „Posyłam was jako owce między wilki; bądźcież tedy roztropnymi jako węże a szczerymi jako gołębice", mówi Chrystus, Mat. 10, 16.

Pytasz się mnie o moje zdanie? W każdym razie ci powiem, że obojętnym ani prześladującym być nie możesz, ale masz prawo i obowiązek krytyki, boć nowoczesny człowiek powinien rozsądzać, co dobre a co złe, powinien mieć sumienie dla siebie a mając je, powinien być sumieniem i społeczeństwa a więc i kościoła.

I to ci powiem, że w niejednem będziesz mógł poprzeć pracę kościoła, gdzie widzisz ludzi pracujących w duchu Chrystusowym.

W każdym razie trzeba mieć wielką cierpliwość z niedoskonałością ludzką a nadewszystko wielką miłość.

Dla wielu nie będzie innej drogi jak rozejście się, rozwód z kościołem; niech każde idzie swoją drogą a sąd niech wykona życie, bo ono jest najwyższym sędzią jako jest i najwyższym prawem.

Wytłumaczę bliżej pow. punkty widzenia.

Obojętność wobec zagadnień religijnych jest niegodną człowieka kulturalnego. Można wątpić, ba powiem powinno się wątpić, zanim się dojdzie do jakiegoś przekonania, ale do tego przekonania powinien się człowiek przebijać. Zagadnienia religijne są podstawą kultury duchowej. Nie wystarczy obeznanie się i używanie zdobyczy techniki itd., aby być nowoczesnym człowiekiem; i bandyta używa tych zdobyczy, ale trzeba mieć umysłowość nowoczesneego człowieka, który bada i nad wszystkiem się zastanawia.

Powiada się nieraz: sprawy religijne to rzecz księdza. Ależ jeśli się chce coś mieć z pokarmu, to się go samemu musi przetrawić, inaczej się z niego nic nie ma! Wiem, że wielu duchownych wychowuje ludzi wprost ku bezmyślości a nie ku myśleniu religijnemu, bo się boją, aby człowiek nie przyszedł na bezmyślność wielu dogmatów i urządzeń i życia kościoła.

Zabija się **krytykę**, bo się jej boi! Dlatego każe się wie-

rzyć na ślepo i wszystko za prawdę przyjmować, co kościół postanowi. Ale od czegóż mamy mózgi? Czy mózgi mają tylko duchowni?

Przez takie wychowanie ubito umysłowość społeczeństw poprostu na klepisko, gdzie żadne zdrowe ziarno się nie przyjmie. Wyjałowiono do ostateczności duszę społeczeństwa i spowodowano tem niesłychaną płyciznę, która się zadawala formalistyką, ceremonjalnością, symbolami, ale nie ma tam życia.

I na tym tle powstają zwyrodnienia religijne, zabobony, które są zaprzeczeniem prawdziwej wiary.

Niedawno w Krakowie obiegła „wierzące" tłumy wieść, że na grobie świętej Kasi dzieją się cuda; rozdrapano ziemię z grobu, przyczem spryciarze się obłowili, sprzedając tę ziemię. Poruszyła tę rzecz prasa, oburzona takimi stosunkami. Aliści zjawia się z kompetentnej strony wyjaśnienie, że świętej służącej Kasi nie było i nie ma grobu takiej, ale że trochę dalej znajdują się groby świętobliwych ludzi i że religijny instynkt ludu odczuł świętość, ale się pomylił nieco co do miejsca; czyż w ten sposób nie zachęca się ludu, aby to samo czynił, tylko o parę kroków dalej?!

Prasa ucichnęła ze swoją krytyką, nie chcąc zadzierać, ale za to nieraz popuszcza sobie na sektach rel., które powstają z konieczności, bo wielu nie zadawala się takimi stosunkami religijnymi.

Wychowywać trzeba lud do myślenia a nie do bezmyślności religijnej, aby mu dać głęboki podkład moralny. I dlatego nowoczesny człowiek nie powinien się cofać przed otwartą krytyką stosunków religijnych i kościelnych.

Powinny do przeszłości należeć te czasy, kiedy z kazalnic wolno było wszystko mówić i myślano, że wszystkiemu ludzie muszą wierzyć. Nieraz zachodzę do różnych kościołów i wprost zdumiony jestem tem, co się tam głosi. Niech się kościoły nie dziwią, że potem krytyczni słuchacze wrogo się odnoszą do kościoła.

Sądzę, że otwarta, uczciwa, pragnąca dobrego **krytyka tylko na korzyść kościołów wyjść może.** Nieraz uczciwi duchowni ręce wprost opuszczają na widok takiego stanu umysłów i radziby nawet byli, gdyby im pomożono wychowywać lud i prowadzić go wyżej. Sam poznałem się z niejednym takim, w którym jeszcze religijne sumienie żyje i pragną naprawy.

Bardzo dodatnie robi wrażenie, że w ostatnich czasach kościół energicznie występuje przeciw „objawieniom się Matki Boskiej", które tak zastraszająco poczęły się wszędzie szerzyć. Z prawdziwym zadowoleniem można podkreślić, że księża, jak Ks. Siwek są za naukowym zbadaniem, przez ścisłą obserwację lekarzy ciekawych zjawisk u Teresy z Konnersreuth.

Wiara nie potrzebuje się bać krytyki, owszem ta krytyka oczyści ją tylko z zabobonu i obcych, nieistotnych naleciałości a pozostanie czyste złoto wiary, służące duszy ludzkiej, która prawdy łaknie.

Nowoczesna społeczność chrześcijańska powinna, obok innych zadań, wziąć sobie za cel swój: badanie objawów życia religijnego i dopomaganie do zwyciestwa czystej, głębokiej myśli reigijnej.

Że nie obejdzie się przy tem nieraz i bez ostrych słów wobec świadomego zacofania i zahamowania postępu, to rzecz jasna; i Chrystus wołał swoje mocne „biada"!

Ale nigdy człowiek rel. nie porwie się do przeklinań, nigdy nie porwie się do **krwawych prześladowań,** jak je w przeszłości, ba niestety i dziś widzimy. Jak z oburzeniem krytykowaliśmy inkwizycję, tak wzdryga się nasza myśl przed krwawym prześladowaniem kościoła a właściwie kapłanów.

Możemy sobie nie wiem jak bardzo być świadomi szkodliwości systemu kapłańskiego i jego następstw i toczyć z nim zacięty bój o życie dusz, to jednak z drugiej strony nie dość jest podkreślać, że to niegodne człowieka; systemu kapłańskiego zresztą nie usunie się nigdy gwałtem; **męczeństwo zrobi z kapłanów tylko bohaterów** a na to nie zasługują.

Niechże sobie społeczeństwa nowoczesne to uświadomią, że **kapłańskiego systemu nie usunie również propaganda antyreligijna,** bo ona z kościołów wypędzi tylko samodzielniejsze jednostki, zostawiając lud na zupełną pastwę kapłaństwa. Człowiek w znacznej mierze potrzebuje religji i dlatego **kapłaństwo usunąć może tylko głębsza myśl i głębsze życie religijne;** tylko lepsze usunie gorsze. Egozim znika tylko przed miłością; tak i kapłaństwo, któreśmy nazwali egoizmem relig., ustąpi tylko przed religją miłości jako ją rozumiał **Chrystus, pierwszy świadomy przeciwnik kapłaństwa.**

Tego rzeczywistego Chrystusa trzeba dać ludzkości a zniknie kapłaństwo.

Ponieważ jednak wielu kapłanów nie ma ducha kapłańskiego, ducha fanatyzmu, żądzy panowania, wyzysku, zabicia samodzielności, ale że są to i dobrzy pasterze, dbający i o duchowe i cielesne dobro wierzących i zapatrzeni w święty wzór Pasterza, przeto współpraca z wieloma będzie również możliwą. Gdzie widzisz, że się coś naprawdę dobrego dzieje, tam przyłóż ręki swojej i współpracuj szczerze ze serca.

Ze systemem kapłańskim jako takim nowoczesna myśl rel. jednak nie może mieć **nic wspólnego.** Nieraz będzie tu musiał nastąpić i oficjalny rozbrat. Nieraz stosunki są takie, że wielu nie pozostanie inna droga jak **wystąpienie z kościoła.** Mogą się niejednemu warunki tak ułożyć, że sobie będzie musiał powiedzieć: pocóż ja mam liczbą swoją i pieniądzmi swoimi wspierać organizację, o ile ona jest mi wrogą a którą do tego uważam za hamulec w rozwoju społeczenstwa? Poszukam sobie innego sposobu wyżycia się religijnego, bardziej mej umysłowości odpowiadającego.

Uważam te systemy kapłańskie za maszyny, które były dobrymi swojego czasu, ale dziś są **typami przestarzałymi,** których nawet przerobić się już nie da, bo przeróbka musiałaby się skończyć zupełnym rozebraniem i stworzeniem czegoś innego. Typy te jako przestarzałe pracują niesłychanie nieekonomicznie, niepraktycznie i zbyt drogo, bo nietylko że niesłychanie dużo kosztują pieniędzy, ale wymagają od wiernych zapłacenia i własnym rozumem i strzępami wolności rel., bez której indywidualnego życia religijnego wyobrazić sobie dziś nie możemy.

Typy te z pewnością długo jeszcze będą pracowały; będą one miały swoich gorliwych zwolenników na podstawie przyzwyczajenia i konserwatyzmu, dużo bowiem i dziś jest nietylko ludzi, ale i społeczeństw przestarzałych i niezdolnych się już odrodzić, ale wreszcie nadejdzie czas, kiedy kapłańskie kościoły ustąpią miejsca lepszym formom życia rel., kiedy społeczeństwa patrzeć się będą na nie, jak my się dziś patrzymy na średniowieczne zamczyska, które spełniły swoje zadanie, ale dziś się już przeżyły. Widzimy, jak całe społeczeństwa czy ich warstwy masowo z tych ogromów kościelnych uciekają czy wewnętrznie od nich odpadają. Bojaźń przed nimi już zniknęła, owszem trwoga przed przyszłością jest dziś ich udziałem, bo społeczeństwa się przekonały, że są to kolosy na glinianych

nogach, jak na to wskazuje Hiszpanja, Meksyk, Rosja a gdzie jeszcze stoją, to przez niezdecydowanie jednostek i słabych społeczeństw.

W tych czasach przełomu, gdzie ludzkość i pod względem rel. stoi na rozdrożu **próba stworzenia nowoczesnych form życia religijnego** staje się palącą **koniecznością**. We wszystkich niemal społeczeństwach te próby się robi, przyczem odgrzebuje się nawet pogańskie pierwiastki.

Społeczność taka musi sobie jasno postawić przedewsz. **cel** swój. Cel ten dał nam Chrystus w słowie: Przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja... na ziemi!", innymi słowy wyraziliśmy to w nowoczesnym „wierzę" — **wierzę w zjednoczenie ludzkości z Bogiem.**

O zjednoczeniu pojedyńczego człowieka z Bogiem mówiliśmy w rozdziale o nieśmiertelności. Ale człowiek tworzy ludzkość, która nie jest chimerą, ale rzeczywistością, zawartą w człowieku i coraz więcej się urzeczywistniającą, bo dziś ludzkość się rodzi realnie. Kościoły o sztywnych formach dogmatycznych nie potrafią objąć tej ludzkości, może je natomiast objąć idea Chrystusowego królestwa Bożego na ziemi.

Na czem królestwo to Boże, zjednoczenie ludzkości z Bogiem ma polegać?

„**Królestwo Boże** nie jest jedzeniem ani piciem", mówi ap. Paweł, Rzym. 14, 16 tzn. materjalnym dobrobytem, ale jasną też jest rzeczą, że tego królestwa Bożego nie ma tam, gdzie nędza i głód panują, gdzie choroby dziesiątkują ludzkość a nienaturalne nierówności społeczne wywołują gorycz i rozruchy.

Król. Boże musi więc przynieść ze sobą pewien dobrobyt, higjenę, pewne wyrównanie społeczne, sprawiedliwość, ogromny wzrost techniki, która człowiekowi pozwoli obrócić siły przyrody ku swojemu dobru.

„W zdrowym ciele zdrowy duch", mówi przysłowie i król. Boże musi przynieść to zdrowe ciało, nie trapione nadmiernie chorobami.

Byłby to materjalny raj. Religje ten raj obiecują po śmierci i mówią, że tam nam będzie dobrze a tu jest padół płaczu i łez.

Innego zupełnie zdania był Chrystus. On **na ziemię** chce ściągnąć król. Boże. On biedakowi nie obiecuje radości dopiero

po śmierci, nie daje dopiero tam wyrównania niesprawiedliwości, jak to często kler robi, obiecując nic go nie kosztujące „gruszki na wierzbie“ dopiero w przyszłym życiu, zamiast potrudzić się i dopomóc do sprawiedliwości już tu. Chrystus chce, aby już tu na ziemi było jaknajlepiej.

I nowoczesna społeczność rel. też tą drogą musi iść; nie przeszkadzać nigdzie i materjalnemu postępowi, ale go jaknajwydatniej popierać! Ciało nasze jest również Bożym darem i ma swe prawa. Powinniśmy **tak sobie życie urządzić, jakbyśmy tylko je samo mieli** i aby nam dawało jak najwięcej zadowolenia, **ale żyjmy tak, jakby ono było tylko podstawą innego jeszcze życia.** Bo z drugiej strony jasną jest rzeczą, że zaspokojenie wszystkich cielesnych a powiedzmy i kulturalnych potrzeb, nie da najgłębszego zadowolenia wewnętrznego. Wielu się może dziś, gdy tego wszystkiego nie mają jeszcze w dostatecznej mierze, zdaje, że byliby najzupełniej zadowoleni, gdyby to mieli, że nie byłoby im trzeba nic więcej. Ale gdyby to posiedli, przekonaliby się, że mają jakąś pustkę w życiu, która wymaga wypełnienia.

Nie ma się co łudzić — choćbyśmy mieli wbród jedzenia i picia i wygód materjalnych i zadowolenia potrzeb cielesnych, choćbyśmy mieli najlepsze techniczne urządzenia, choćby nas choroby nie trapiły a wojny i niepokoje nie trwożyły — byłby o materjalny raj na ziemi, ze wszechmiar pożądany! Ale czy byłby to ów ostateczny raj i dla duszy ludzkiej? Kaznodzieja Salomonowy, który to niemal wszystko miał, mówi: „marność nad marnościami i utrapienie ducha“. Do wszystkiego się człowiek przyzwyczai a zawsze jakieś jeszcze głębsze pragnienie poza tem ma na dnie duszy, które go czasami tak mocno owłada, że sobie miejsca, że pokoju znaleść nie może.

Miłość Boga, jako tego najwyższego ideału i miłość bliźniego, i ona cielesna, ale przedewsz. owa szlachetna, duchowa miłość i wypełnienie ideału ludzkości, to daje człowiekowi owo najgłębsze zadowolenie, radość i równowagę ducha. A te dwie rzeczy są właśnie podstawą pełnej religji: Bóg i człowiek i umiłowanie obojga!

Do urzeczywistnienia król. Bożego trzeba jednego i drugiego, materjalnego i religijnego postępu, inaczej nastąpićby musiało wypaczenie tej idei, szkodliwa jednostronność, ponieważ człowiek składa się i z ciała i z ducha.

Przyszłość ludzkości leży w materjalnym i religijnym postępie. Kiedy ten postęp stanie się tak wielkim i tak harmonijnym, abyśmy mogli powiedzieć, że król. Boże jest na ziemi? Któż to dziś może osądzić! Chrystus to przyjście czynił zależnym od powtórnego przyjścia swego i tego przyjścia spodziewają się chrz. kościoły, przynajmniej teoretycznie.

Nowocz. myśl rel., hołdująca zasadzie ewolucyjnej, obserwowanej wszędzie w życiu przyrody i w duchowym życiu człowieka, mówi raczej o powolnym zbliżaniu się król. Bożego, które w zasadzie jest już wśród nas przez naukę, którą Chrystus głosił — „Królestwo Boże jest wewnątrz (wśród) was", Łuk. 17, 21. Im głębiej tę naukę zrozumiemy, jako nie oderwaną od życia, ale arcyludzką, możliwą do zrealizowania i dzięki temu ją zrealizujemy, tem rzeczywistsze będzie to król. Boże, tem realniejsze a nie oderwane od życia.

Chrystus miał przyjść jako Syn Człowieczy. I mówię, jeśli **On przyjdzie jako człowiek,** jeśli ludzkość zrozumie tego Chrystusa jako Człowieka i przez Chrystusa człowiek stanie się człowiekiem i narodzi się ludzkość, wtedy będzie królestwo Boże!

Ecce homo! Oto człowiek!
Przez Chrystusa Człowieka wierzę w Człowieka!
Wierzę w zjednoczenie człowieka i ludzkości z Bogiem!

Wtedy człowiek poczuje się harmonijną cząstką wszechświata i wyzna:

Wierzę w Boga Ojca, Ducha wszechświata!

ZAKOŃCZENIE.

Wyszliśmy nareszcie z tego **labiryntu zagadnień wszechświata!** Pewnie się moim współtowarzyszom zakręciło w głowie? Mnie w każdym razie tak. Zrozumie to ten, który z podobną pracą miał do czynienia a potem chciał ją przyoblec w realny kształt. Jestem mocno zadowolony, że kładąc kropkę, jestem u wyjścia z tego labiryntu.

Kropkę? U wyjścia? — Czyż nie czujesz, jakiś głos mi mówi, że z tą pracą wkroczyłeś dopiero w labirynt — **labirynt życia?!** A ten jeszcze jest trudniejszy od owego myśli i dociekań.

„Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę!" Mickiewicz.

Tam miałeś do czynienia z myślami a ostatnio czcionkami w drukarni a te, choć i z nimi nieraz kłopot, to jednak naogół łatwo się poddają — tu będziesz miał do czynienia z żywymi ludźmi, mającymi swą wolę; każdy człowiek to świat, to labirynt życia!

Każdy z nas się pyta: cóż na to ludzie powiedzą?

„Czym śpiewak dla ludzi? Nieszczęsny, kto dla ludzi głos i język trudzi!" przestrzega Mickiewicz; ale trudno, z ludźmi mamy do czynienia i dla żywych ludzi ta praca. Wewnętrznie muszę być niezależny, ale żyć z ludźmi i dla ludzi muszę i chcę.

Wypatruję, nadsłuchuję...?

W rozgwarze przebijają głosy **zgorszenia**...

Dalekim od tego, by chcieć gorszyć i dlatego z góry na wstępie zaznaczyłem, dla kogo ta praca. Jeśli jednak mimo to i niepowołani przeczytali, to chyba musieli odnieść to wrażenie, że się mi przedewsz. rozchodziło o czystość myśli rel. i to tak dalece, że nieraz namiętnością się unosiłem tam, gdzie ją widzę zagrożoną.

Jeśli nie dla ciebie ta książka, to ją daj takim, którzy z niej będą może mogli mieć pożytek. Jeśli zaś ją uważasz za zgorszenie zapowietrzone, to ją spal a pewnie dostaniesz za to sporo lat odpustu! Ile? tego ja już nie wiem, bo nie jestem specjalistą od tego i nie zgłębiłem osobiście tajemnic czyśćca.

Wielkość postaci Chrystusowej na pierwszym mi stałą miejscu i to, by dać ją tym, którzy od Niej się odwrócili; czułem, że inaczej Chrystusa nie zrozumieją, jak tylko w naturalnej szacie.

I mnie Chrystus nigdy nie był tak drogim i wielkim, jak teraz, kiedy usunąłem z Jego twarzy sztuczne naleciałości.

W meczecie św. Sofji w Konstantynopolu odkryto po oddrapaniu tynku przepiękne stare mozaiki. Tak i u mnie życie i praca ducha odrapała z Chrystusa tynk wieków i pokazała Jego święte oblicze.

Przy odrapywaniu tym bolała mię dusza moja i Wam się nie dziwię, że i Was dusza boli i gorszycie się, jeśli widzicie przedstawiony ten proces. Prawda nie zawsze jest przyjemną.

Tak się mi zdaje, jeśli ten naturalny Chrystus, jak Go współcześni widzieli i gorszył, ale też stał się potęgą dla wielu,

to nie może być i dzisiaj inaczej. Rozchodzi się mi o to, by stał się potęgą dla tych najruchliwszych, najpostępowszych, dla ludzi twórczych.

Nie znam już tego Chrystusa, z którego zrobiono baranka ofiarnego, na którego grzech zrzucić można, ale tego, który myślał, pracował, tworzył, miłował i smagał, reformował... Chrystus życia a nie jakiś malowany i to różnymi barwami!

O reformie marzysz? **Co za reformator!** Takie głosy drwiące słyszę. Niestety nie jestem materjałem na reformatora a jakby bardzo, ach bardzo potężny reformator życia religijnego się dziś zdał znowu!

Reformator musi być jednak człowiekiem i praktycznym a tego to ja już niestety w sobie nie mam. Lubię myśleć, przypatrywać się wszystkiemu; jestem teoretykiem, ale nie praktykiem.

Chciałbym tylko **poruszyć myśl;** chciałbym się przekonać, czy u nas w Polsce nadszedł już czas dla myśli religijnej czy też ta ziemia jest jak ubite klepisko, w które dopiero muszą wjechać parowe pługi, by ją rozruszać; chciałbym się przekonać, czy w tej polskiej roli pozostały jeszcze jakie ziarna ze starego posiewu **Braci Polskich?**

Czy ozwie się ktoś?

„Jedźmy, nikt nie woła!" skowyczy serce wieszcza.

Ozwij się, pokrewna duszo! czy w pismach czy w liście, co sądzisz... skrytykuj otwarcie, bo więcej oczu lepiej widzi niż dwoje...

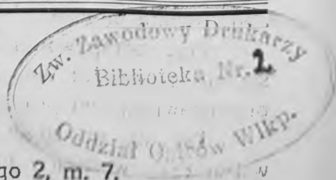
Nie zawsze odpowiem, ale się zorjentuję w położeniu.

Jeśli choć nielicznej garstce Bezdomnych pomogłem wskazać drogę do Domu, to trud sowicie nagrodzony!

Niech nikt tej pracy nie rozumie jako złośliwe łajanie czy butne wyzwanie, niechże ona idzie jako

do pokrewnych dusz wołanie!

Adres:
Karol Grycz
em. ppłk. W. P.
Kraków, ul. Straszewskiego 2, m. 7.



SPIS ROZDZIAŁÓW.

Str.

Wstęp I

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Droga do Ziemi św. 9
Morija 15
Z ziemi św. nowoczesne „wierzę" 46
Wieczerza Pańska i spowiedź 51
Getsemane 65
Góra Oliwna 67
Golgota 71
Grób Chrystusowy. Zmartwychwstanie 88
Kościół św. Grobu 96
Betlehem 99
Jerycho, Jordan, Martwe Morze 107
Wycieczka do Galilei 112
Nazaret 122
Góra Karmel 124
Staruszek Abrahamowy 126

CZĘŚĆ DRUGA.

Wiara a wiedza 131
Materja a duch 143
Wszechświat a Bóg 156
O Bogu 168
O człowieku 185
Nieśmiertelność 196
Zło i cierpienie a zbawienie 226
Kościół a nowoczesna społeczność chrześcijańska 241
Zakończenie 260

